

The background of the cover is a dark, grainy underwater scene. A woman in a white bikini is on the left, and a man in a white shirt is on the right. They are both reaching out with their hands towards each other, their hands just inches apart. The lighting is dim, creating a somber and intimate atmosphere.

ma ra
d yer

przemiana

M I C H E L L E H O D K I N

Michelle Hodkin

MARA DYER: PRZEMIANA

Przełożyła Małgorzata Fabianowska



Tytuł oryginału: *The Evolution of Mara Dyer*

Polish language translation copyright © 2015 by Małgorzata Fabianowska

Original English language edition copyright. Copyright © 2012 by Michelle Hodkin.

Published by arrangement with Simon and Schuster Books For Young Readers, an Imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

Dedykacja

Przedmowa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

68

Przypisy

Dedykuję tę książkę Martinowi i Jeremy'emu Hodkinom, którzy zawsze na mnie stawiali.

Moja książka nie powstałaby, gdyby nie ogromny wysiłek wielu osób. Czterem z nich pragnę szczególnie podziękować:

Courtney Bongiolatti: Tak wiele nauczyłam się od ciebie; nie znajduję słów podziękowania za czas, który mi poświęciłaś, za twój talent i nieskończoną cierpliwość. Bez ciebie nie byłoby tej powieści.

Alexandra Cooper: W krótkim czasie wniosłaś tak wiele do mojej książki. Miałam ogromne szczęście, gdyż tak cudownego wydawcę można wygrać na loterii tylko raz.

Barry Goldblatt: Nawet w najgorszych sytuacjach nie dałaś mi zginąć. Dziękuję Bogu, że wiernie przy mnie trwałeś.

I ostatnia z wielkiej czwórki, choć nie najmniej ważna – Kat Howard. Kat, pomagałaś mi dobierać właściwe słowa i wydobywałaś je ze mnie cierpliwie. Trwałaś przy mnie dzień po dniu, choć dzieliły nas całe mile. „Dziękuję” to za mało.

Dziękuję również Ellen Hopkins, która pomogła mi usłyszeć głos Noaha, oraz Novie Ren Sumie, która nieskończoną ilość razy ratowała mnie z opresji. Jestem szczęśliwa, że mam tak uczynne i mądre przyjaciółki.

Wielkie dzięki dla Justina Chandy’ego, Paula Crichtona, Sieny Koncsol, Matta Pantoliano, Chrissy Noh, Amy Rosenbaum, Elka Villa, Michelle Fallala, Venessy Williams i całej załogi wydawnictwa Simon & Schuster, którym jestem nieustająco wdzięczna. Tak samo jak Lucy Ruth Cummins za jej kolejną, niesamowitą okładkę.

Stephanie, Emily L., Sarah, Bridget, Ali, Annie, Christi i Emli T. – dziękuję serdecznie za wszystko. A także Maggie i Rebecce Cantley, które zajmowały się moimi sprawami, abym mogła poświęcić się pisaniu.

Jak zawsze dziękuję mojej rodzinie za ich nieustającą miłość i wsparcie: Janie i dziadkowi Bobowi, Jeffreyowi, Melissie, wujkowi Eddiemu, cioci Viri i wujkowi Paulowi, Barbarze i Peterowi, Nanny i Zadie, Z”L, wujostwu Jeffom oraz wszystkim moim kuzynom i kuzynkom. Bret, dzięki za *Dawson’s Creek*, Nowy Rok i za wyjątkową tolerancję. Yardano, kocham cię i zawsze będę pamiętała, co znaczysz dla naszej rodziny. Jestem ci niezmiennie wdzięczna za profesjonalne rady, jakich udzielałaś mi w trakcie pisania. Dzięki tobie uniknęłam niejednej kompromitacji. Jeśli psychologiczna strona tej książki jest wiarygodna, zawdzięczam to jedynie tobie. Odpowiedzialność za wszelkie inne uchybienia biorę na siebie.

Martinie i Jeremy – was zaszczycałam dedykacją, więc nie bądźcie zazdrośni.

Na koniec dziękuję mojej mamie Ellen, która zawsze we mnie wierzyła – nawet wtedy kiedy nie powinna.

„Czyż możemy być inni, niż jesteśmy?”
Markiz de Sade, Justyna

PRZEDMOWA

Zniszczysz go swoją miłością.

Te słowa rozbrzmiewały echem w mojej głowie, kiedy biegłam, przepychając się wśród roześmianych ludzi. Jaskrawe światła i okrzyki zachwytu zlewały się w szalony zamęt dźwięków i kolorów. Wiedziałam, że Noah depcze mi po piętach i jest coraz bliżej. Moje stopy próbowały dokonać tego, czego nie potrafiło serce – uciec od niego.

Wreszcie zabrakło mi tchu i zatrzymałam się zdyszana za wielkim, uśmiechniętym klaunem, który wskazywał wejście do Sali Luster. Noah doścignął mnie bez trudu. Chwycił mnie za rękę i obrócił ku sobie. Stałam przed nim zapłakana, z sercem zdruzgotanym jego słowami.

Gdybym naprawdę go kochała, nie pozwoliłabym mu odejść – tak powiedział.

Żałowałam, że kochałam go aż tak bardzo.

KLINIKA PSYCHIATRYCZNA LILIAN I ALFREDA
RICE'ÓW
Miami, Floryda

Pewnego dnia, pewnego ranka, obudziłam się w jakimś szpitalu i zobaczyłam przy swoim łóżku nieznaną kobietę.

Usiadłam ostrożnie w pościeli, bo ramię ciągle mnie bolało, i zaczęłam się jej przyglądać. Miała ciemne włosy, siwiejące u nasady, i orzechowe oczy z kurzymi łapkami w kącikach. Uśmiechnęła się do mnie i jej twarz ożyła.

– Dzień dobry, Maro – powitała mnie.

– Dzień dobry – odpowiedziałam.

Mój głos, niski i chrapliwy, brzmiał obco.

– Czy wiesz, gdzie jesteś?

Chyba nie zauważyła, że tabliczka informacyjna znajduje się na murze za oknem i że z łóżka widzę ją wyraźnie.

– Jestem w Klinice Psychiatrycznej Lilian i Alfreda Rice'ów.

– A wiesz, kim jestem?

Nie miałam pojęcia, ale usiłowałam tego nie zdradzić. Nie pytałaby mnie o to, gdybyśmy się już wcześniej nie spotkały, a skoro tak, powinnam ją pamiętać.

– Tak – skłamałam.

– Jak się nazywam?

Cholera. Nabrałam powietrza i wypuściłam je szybko.

– Jestem doktor West – przedstawiła się. Głos miała ciepły i przyjazny, ale zupełnie mi nieznany. – Poznałyśmy się wczoraj, kiedy przywieźli cię tu twoi rodzice i detektyw, który przedstawił się jako Vincent Gadsen.

Wczoraj.

– Pamiętasz?

Pamiętałam mojego ojca na szpitalnym łóżku, rannego i bladego, postrzelonego przez matkę zamordowanej dziewczyny.

Pamiętałam, że zrobiła to przeze mnie.

Pamiętałam, że pojechałam na posterunek policji, aby zeznać, że ukradłam inhalator mojej nauczycielki i wpuściłam ogniste mrówki do szuflady jej biurka, przez co zmarła na skutek wstrząsu anafilaktycznego.

Pamiętałam, że to była nieprawda – po prostu kłamstwo, które podsunęłam policjantom, aby nie pozwolili mi skrzywdzić kogoś, kogo kochałam. Oczywiście nie uwierzyli, że życzyłam nauczycielce śmierci i że to dlatego niedługo potem umarła. Udusiła się własnym, spuchniętym językiem, dokładnie tak, jak to sobie wyobraziłam.

Pamiętałam, że widziałam też Jude'a w Trzynastym Komisariacie Policji w Miami. I sprawiał wrażenie żywego.

Ale nie pamiętałam, jak trafiłam do tego szpitala. Od momentu kiedy pojawił się Jude, nie pamiętałam już niczego.

– Przyjęto cię wczoraj po południu – powiedziała doktor West. – W komisariacie krzyczałaś i nie mogli cię uspokoić, więc detektyw zadzwonił do twoich rodziców.

Przymknęłam oczy i zobaczyłam twarz Jude'a, który szedł prosto na mnie. Musnął mnie w przelocie. Z uśmiechem. Szybko otworzyłam oczy, żeby tego nie widzieć.

– Powiedziałaś im, że twój chłopak, Jude Lowe, o którym myślałaś, że zginął w grudniu pod gruzami zawałonego domu, żyje.

– Eks – sprostowałam szybko, starając się zachować spokój.

– Słucham?

– Mój eks. Były chłopak.

Doktor West nieznacznie przekrzywiła głowę i przybrała neutralną, trochę zatroskaną minę pani psycholog, którą świetnie znałam, bo taką samą widywałam u swojej matki, terapeutki. Zwłaszcza przez ostatnie parę miesięcy.

– Twierdziłaś również, że to ty doprowadziłaś do zaważenia się opuszczonego szpitala psychiatrycznego na Rhode Island i śmierci pod jego gruzami swojej najlepszej przyjaciółki Rachel oraz siostry Jude'a, Claire. Mówiłaś, że Jude usiłował cię zgwałcić i dlatego chciałaś go zabić. Ale przekonałaś się, że on żyje. I jest tutaj.

Mówiła o tym wszystkim z niezmaconym spokojem, co zwiększało tylko moją panikę. A skoro doktor West wiedziała, także...

– Twoja mama przywiozła cię tutaj na obserwację.

Moja mama. Moja rodzina. Oni też musieli poznać prawdę, choć nie zamierzałam im jej zdradzać. A jednak, choć tego nie pamiętałam, wyznałam ją.

To mnie dobiło.

– Nie zaczęliśmy jeszcze terapii, bo byłaś na środkach uspokajających.

Moje palce powędrowały do ramienia, pod krótki rękaw białej koszulki.

Namacalam opatrunek, który musial zakrywac rane.

– Gdzie ona jest? – spytalam, przesuwajac palcami po opatrunku.

– O kim mowisz?

– Gdzie mama? – Spojrzalam przez szybe w drzwiach na korytarz, ale nie zobaczylam znajomej sylwetki. Gdybym mogla z nia porozmawiac, moze cos bym jej wyjasnila.

– Nie ma jej tu.

To bylo niepodobne do mojej matki. Niemal non stop czuwała przy moim lozku, kiedy wyladowalam w szpitalu po katastrofie w psychiatryku. Powiedzialam o tym doktor West.

– Chcialabyś ja zobaczyc?

– Tak.

– Dobrze, spróbuję to później załatwić.

Jej ton sugerował, że widzenie ma być nagrodą za dobre zachowanie, co mi się nie spodobało. Opuściłam nogi na podłogę i wstałam z łóżka. Miałam na sobie spodnie od dresu, a nie dzinsy, jak wcześniej. Mama musiała przynieść je z domu. Ktoś musiał mnie przebrać. Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

– Chciałabym zobaczyć ją teraz.

Doktor West również wstała.

– Maro, twojej mamy tu nie ma.

– W takim razie pójdę jej poszukać – oświadczyłam i zaczęłam rozglądać się za trampkami. Zajrzałam pod łóżko, ale nie było ich tam.

– Gdzie są moje buty?

– W depozycie.

Wyprostowałam się i popatrzyłam jej w oczy.

– Dlaczego?

– Bo mają sznurówki.

Zmrużyłam oczy.

– I co z tego?

– Znalazłaś się tutaj, gdyż twoja mama uważa, że stanowisz zagrożenie dla siebie i dla innych.

– Ja naprawdę muszę z nią porozmawiać – powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał spokojnie.

Mocno przygryzłam dolną wargę.

– Niedługo będziesz miała okazję.

– Kiedy?

– Cóż, chciałabym, żebyś najpierw porozmawiała z kimś innym, a potem

przyjdzie lekarz, żeby...

– A jeśli nie zechcę?

Popatrzyła na mnie. Miała niewesołą minę.

Moje gardło zaczęło się zaciskać.

– Nie może pani trzymać mnie tutaj bez mojej zgody – wykrztusiłam z trudem.

Tyle przynajmniej wiedziałam. W końcu byłam siedemnastoletnią córką prawnika. Nie mogli mnie tu zamknąć. Chyba że...

– Krzyczałaś, histeryzowałaś, a potem upadłaś. Kiedy pielęgniarka próbowała ci pomóc, uderzyłaś ją.

O, nie.

– Sytuacja wymagała natychmiastowej interwencji, dlatego zgodnie z Ustawą Bakera twoi rodzice mieli prawo zgodzić się na twój pobyt tutaj.

– O czym pani mówi? – zapytałam szeptem, żeby nie krzyczeć.

– Bardzo mi przykro, ale zostałaś chwilowo ubezwłasnowolniona.

– Mamy nadzieję, że pozwolisz zbadać się lekarzowi – powiedziała łagodnie doktor West. – I zgodzisz się na leczenie.

– A jeśli nie?

– Cóż, rodzice mają jeszcze trochę czasu, żeby złożyć papiery do sądu. Byłoby jednak lepiej i dla ciebie, i dla nich, żebyś zechciała współpracować. Jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc, Maro.

Nie pamiętałam, czy kiedykolwiek czułam się tak bezradna i zagubiona.

– Maro – podjęła doktor West, szukając wzrokiem mojego spojrzenia – czy na pewno rozumiesz, co to oznacza?

To oznacza, że Jude żyje i nikt poza mną w to nie wierzy.

To oznacza, że dzieje się ze mną coś niedobrego, choć nie w sensie, o jakim wszyscy myślą.

To oznacza, że jestem skazana na siebie.

W tym momencie moje rozpedzone myśli zwolniły, układając się w jakiś obraz. Wspomnienie.

Beżowe ściany kliniki wyparowały i zostały zastąpione przez szyby. Siedziałam w samochodzie, na miejscu obok kierowcy – w samochodzie Noaha – a policzki miałam mokre od łez. Noah prowadził. Włosy miał jak zwykle idealnie zmierzwione, a w jego spojrzeniu można było dostrzec wyzwanie i determinację.

„Coś bardzo niedobrego dzieje się ze mną i nikt nie potrafi mi pomóc” – powiedziałam.

„Pozwól mi spróbować” – odparł.

Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak niebezpiecznie jestem pokrecona. Ale nawet wtedy, kiedy na marmurowych schodach sądu odpadł ostatni element mojej maski, odsłaniając wszystko, co złe i szpetne, Noah mnie nie zostawił.

To ja go zostawiłam.

Zostawiłam Noaha, gdyż zabiłam czworo ludzi – a praktycznie pięcioro, bo klient mojego taty nie odzyskał świadomości – i dokonałam tego wyłącznie myślą. Mogło być o jednego więcej, gdyby Noah nie uratował życia mojemu ojcu. Jasne, że nie zamierzałam skrzywdzić tych, których kochałam, ale fakty mówiły same za siebie. Rachel nie żyła, a teraz tata cudem uniknął śmierci. I dlatego niecałe czterdzieści osiem godzin temu

uznałam, że dla bezpieczeństwa swoich bliskich muszę się usunąć.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Przez Jude'a.

Nikt nie znał prawdy o mnie. Tylko Noah. To oznaczało, że tylko on byłby w stanie coś naprawić. Muszę z nim koniecznie porozmawiać.

– Maro?

Z wysiłkiem skupiłam uwagę na pani doktor.

– Pozwolisz sobie pomóc?

„Pomóc? Jak? – miałam ochotę zapytać. – Faszering mnie psychotropami, choć nic mi nie dolega, nie licząc stresu pourazowego? Nie jestem chora psychicznie!”.

Nie jestem.

Nie miałam jednak wyboru, więc zmusiłam się, żeby powiedzieć: „tak”.

– Najpierw jednak chciałabym porozmawiać z mamą – dodałam.

– Zadzwoń do niej, kiedy będziesz po badaniach, dobrze?

Nie. Bardzo niedobrze. Kiwnęłam głową i doktor West zaserwowała mi uśmiech, który pogłębił zmarszczki i bruzdy na jej twarzy. Wyglądała teraz jak miła, ciepła babunia. I może nią była.

Po jej wyjściu usiłowałam się jakoś pozbierać, ale nie dano mi zbyt wiele czasu. Wkrótce zjawiał się pan doktor z latareczką i stetoskopem. Wypytywał mnie o apetyt i inne nieznośnie przyziemne szczegóły, a ja spokojnie udzielałam odpowiedzi. Kiedy wyszedł, przyniesiono mi posiłek, a potem ktoś z personelu – pielęgniarka? terapeutka? – oprowadził mnie po klinice. Panował tu dziwny spokój jak na oddział psychiatryczny i niewielu widać było ewidentnych psycholi. Parę dzieciaków czytało książki. Ktoś oglądał telewizję, a inni rozmawiali, stojąc w grupce. Odprowadzili mnie wzrokiem, kiedy przechodziłam, ale nikt nie zwrócił na mnie specjalnej uwagi.

Kiedy wróciłam do pokoju, zamarłam, bo zobaczyłam mamę.

Ktoś, kto jej nie znał, nie domyśliłby się, w jak strasznym jest stanie. Jej cera była nieskazitelna. Ani jeden włoszek nie odstawał z fryzury. Jednak rozpacz i poczucie beznadziei przygarbiły jej postać, a w oczach czaił się lęk. Starła się trzymać ostatkiem sił.

Usiłowała się nie załamać ze względu na mnie.

Miałam ochotę ją przytulić i jednocześnie potrząsnąć nią. Zamiast tego stanęłam bez ruchu, jak wrośnięta w podłogę.

Mama podbiegła do mnie i chwyciła w objęcia. Nie byłam w stanie odwzajemnić uścisku; miałam wrażenie, że ręce przyrosły mi do boków.

Po chwili odstaąpiła krok w tył i odgarnęła mi włosy z twarzy. Badawczo wpatrywała się w moje oczy.

– Tak mi przykro, Maro.

– Czyżby? – Mój głos był płaski, bezbarwny.

To było gorsze, niż gdybym dała jej po twarzy.

– Jak możesz tak mówić? – zapytała z wyrzutem.

– Mogę, bo obudziłam się dzisiaj w szpitalu psychiatrycznym. – Gorzki smak tych słów pozostał mi na wargach.

Odsunęła się ode mnie i usiadła na łóżku, które zasłano pod moją nieobecność. Potrząsnęła głową, aż zafalowały lśniące, czarne włosy.

– Kiedy wczoraj zostawiłaś nas przy łóżku taty i wyszłaś ze szpitala, pomyślałam, że jesteś zmęczona i chcesz wrócić do domu. Tymczasem zadzwoniła policja. – Głos się jej załamał i odruchowo przyłożyła dłoń do gardła. – Najpierw twój ojciec został postrzelony, a potem odebrałam telefon i usłyszałam, jak policjant mówi: „Pani Dyer, dzwonię w sprawie pani córki”. – Łza spłynęła jej z kącika oka. Szybko ją starła. – Sądziłam, że chodzi o wypadek samochodowy. Myślałam, że już nie żyjesz.

Mama przycisnęła ręce do piersi, garbiąc się, jakby przytłaczał ją ciężar.

– Byłam w takim szoku, że upuściłam komórkę. Daniel ją podniósł i przejął rozmowę. Wyjaśnił mi, co się stało: że jesteś w komisariacie i masz atak hysterii. Został w szpitalu z tatą, a ja pognałam do ciebie. A ty tam szalałaś, Maro – dodała i uniosła głowę. – Szalałaś. Jeszcze nigdy... – Głos znów się jej załamał, ale przewiercała mnie spojrzeniem. – Krzyczałaś, że Jude żyje.

Słowem, byłam odważna. Albo głupia. Czasami trudno stwierdzić różnicę.

Postanowiłam jej zaufać. Popatrzyłam matce w oczy i oświadczyłam bez cienia wątpliwości:

– Tak, on żyje.

– Jak to możliwe, Maro? – Jej głos był bezbarwny.

– Nie wiem – przyznałam. W tej kwestii byłam bezradna. – Ale widziałam go.

Usiadłam na łóżku obok mamy, ale nie za blisko niej.

Odgarnęła włosy z twarzy.

– Może to była halucynacja? – Unikała mojego spojrzenia. – Tak jak poprzednio? Jak w wypadku kolczyków?

Sama zadawałam sobie to pytanie. Oczywiście wcześniej miewałam omamy – jak wtedy, kiedy myślałam, że kolczyki babci wpadły do wanny, choć miałam je w uszach. Ściany szkolnej sali rozpadały się na moich oczach, robaki roiły się na moim talerzu.

No i widziałam Claire. Widziałam ją w lustrach. Słyszałam jej głos.

Dobrze wam, idziecie się bawić.

W lustrach widziałam też Jude'a. On też mówił do mnie.

Za bardzo się przejmujesz tym miejscem.

Ale tym razem byłam pewna, że już kiedyś wypowiedzieli te słowa. Nie w lustrach w moim domu. W psychiatryku.

Te słowa nie istniały wyłącznie w mojej wyobraźni. Zapamiętałam je z tamtej nocy, kiedy zawalił się budynek szpitala.

Ale w komisariacie było inaczej. Jude mówił do funkcjonariusza. Usiłowałam sobie przypomnieć jego słowa.

„Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mogę zgłosić zaginięcie? Chyba się zgubiłem”.

Tego wcześniej nie powiedział. To było coś zupełnie nowego. A potem mnie dotknął.

Dotknął mnie. Poczułam jego dotknięcie.

To nie była halucynacja. Jude był realny. Żywy. Tam, ze mną, w komisariacie.

Mama ciągle czekała, aż odpowiem jej na pytanie, więc zrobiłam to. Energicznie pokręciłam głową.

– Nie, mammo.

Jude żyje. Nie ma mowy o halucynacji. Byłam tego pewna.

Długo, o wiele za długo milczała, siedząc nieruchomo. Wreszcie uśmiechnęła się, samymi ustami. Wyraz jej oczu się nie zmienił.

– Daniel tu jest i chce cię zobaczyć – powiedziała, wstając.

Kiedy pochyliła się, żeby pocałować mnie w czubek głowy, w drzwiach stanął mój starszy brat. Niedostrzegalnie wymienili z mamą spojrzenia, ale gdy ruszył ku mnie, zdążył już zamaskować troskę.

Jego gęste, czarne włosy były nienormalnie zmierzwiłone, a pod oczami miał sińce. Uśmiechnął się – zbyt szybko, zbyt skwapliwie – i zamknął mnie w uścisku ramion.

– Cieszę się, że już wszystko dobrze – powiedział.

Z trudem odwzajemniłam uścisk.

Puścił mnie i dorzucił zbyt lekkim tonem:

– Nie mogę uwierzyć, że podkradłaś mi kluczyki. Swoją drogą, gdzie jest mój klucz od domu?

Zmarszczyłam czoło.

– Co?

– Mój klucz od domu. Wisiał razem z innymi na kółku, które miałaś ze sobą w komisariacie, ale go tam nie ma.

– Och. – W ogóle nie pamiętałam, że zabrałam mu klucze, a tym bardziej tego, co z nimi potem robiłam. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. Gorsze rzeczy ci się zdarzały – powiedział, zerkając na mnie spod oka.

– Co masz na myśli? – najeżyłam się.

– Wyluzuj, tak sobie gadam.

– Sam wyglądasz, jakbyś wyszedł ze szpitala – odparowałam z uśmiechem.

Daniel odpowiedział tym samym – tylko tym razem uśmiechnął się szczerze, szeroko, jak dawniej.

– Omal nie dostałem ataku serca, a mamie naprawdę niewiele brakowało – wyjaśnił, poważniejąc. – Cieszę się, że już z tobą dobrze – dodał.

Ogarnęłam spojrzeniem szpitalny pokój.

– „Dobrze” to pojęcie względne.

– Rozumiem.

– Dziwię się, że cię wpuścili – powiedziałam. – Tu jest jak na oddziale zamkniętym, czuję się ubezwłasnowolniona.

Daniel wzruszył ramionami i przestąpił z nogi na nogę, usiłując ukryć zmieszanie.

Momentalnie stałam się czujna.

– Co jest?

Przygryzł usta.

– No wal!

– Mam cię przekonać, żebyś tu została.

Popatrzyłam na niego spod zmrużonych powiek.

– Na jak długo?

Nie odpowiedział.

– Na jak długo, Daniel? – powtórzyłam.

– Na czas nieokreślony.

Poczułam na twarzy falę gorąca.

– Mama nie miała śmiałości, żeby mi o tym powiedzieć?

– Nie o to chodzi – odparł, siadając na krześle obok łóżka. – Ona myśli, że jej nie ufasz.

– To ona mi nie ufa! Tak jest od czasu...

„Od czasu tamtej katastrofy” – chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język. Z miny Daniela odgadłam, że sam sobie dopowiedział.

– Nie wierzy w żadne moje słowo – dokończyłam.

Nie chciałam się skarżyć jak małe dziecko, ale tak wyszło. Podświadomie liczyłam na to, że Daniel zaprzeczy, lecz on tylko patrzył na mnie. Był moim bratem. Moim najlepszym przyjacielem. Tego nic nie mogło zmienić.

Zapragnęłam opowiedzieć mu o wszystkim. O psychiatryku, o Rachel, o Mabel, o nauczycielce. Wszystko.

Jeśli będę mówiła spokojnie – bez hysterii jak w komisariacie, jeśli wytłumaczę mu wszystko, może zrozumie.

Potrzebowałam zrozumienia.

Przymknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech, jakbym zaraz miała skoczyć w przepaść. I tak pewnie było.

– Jude tu jest – oświadczyłam.

Daniel przełknął ślinę i zapytał ostrożnie:

– W tym pokoju?

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Nie, baranie. Na Florydzie. W Miami.

Jego wyraz twarzy się nie zmienił.

– Był w komisariacie. Widziałam go. Był tam. Uwierz mi, Daniel.

Dalej trwał nieporuszony. Miał taką samą spokojną, zwyczajną minę jak ja parę minut wcześniej. Wreszcie sięgnął po plecak i wyjął coś z niego.

– To jest nagranie z monitoringu komisariatu – wyjaśnił, zanim zdążyłam zapytać. – Doktor West uznała, że mama powinna ci je pokazać.

– Czemu go nie pokazała?

– Bo jej nie ufasz. Ale wie, że ufasz mnie.

Zmrużyłam powieki.

– Dobra, pokaż, co tam jest.

Daniel wstał i wsunął płytę do odtwarzacza połączonego z telewizorem podwieszonym pod sufitem.

– Powiedz mi, jeśli coś zauważysz – oznajmił i wcisnął guzik na pilocie.

Kiwnęłam głową i skupiliśmy się na ekranie. Daniel włączył przewijanie i małe ludziki zaroily się w holu. Zobaczyłam siebie, podchodzącą do dyżurki.

– Stop – nakazałam Danielowi.

Wcisnął guzik i nagranie zwolniło do normalnej szybkości. Nie było dźwięku, ale widziałam, jak mówię do funkcjonariusza – pewnie pytałam o detektywa Gadsena.

A potem w kadrze pojawił się Jude. Serce zabiło mi szybciej, kiedy skupiałam na nim spojrzenie. Bejsbolówka, długie rękawy... Coś błysnęło na przegubie. Zegarek.

Wzdrygnęłam się wewnętrznie. Pokazałam na postać Jude'a na ekranie.

– Tu – powiedziałam. Ręka drżała mi niepokojąco. – To on.

Daniel zatrzymał obraz, zanim Jude zdążył wyjść z kadru. Przez długą chwilę nic nie mówił.

– I jak? – zapytałam spokojnie.

– To może być ktokolwiek, Maro.

Gardło mi się ścisnęło.

– Nie żartuj sobie ze mnie, dobrze?

– Maro, ilu chłopaków nosi czapki Patriots?

Jeszcze raz przyjrzałam się ekranowi. Kamera uchwyciła tylko głowę Jude'a w czapce Patriots, której praktycznie nie zdejmował. Z daszkiem nasuniętym głęboko na oczy.

Tak, że prawie nie było widać twarzy.

– Dobrze, ale słyszałam go – powiedziałam.

W moim głosie zabrzmiał błagalny ton. Brat otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie dałam mu dojść do słowa.

– Nie, czekaj. – Powoli wciągnęłam powietrze w płuca, żeby się uspokoić, wyciszyć rozedrganie. – Naprawdę słyszałam. Pytał o coś dyżurnego i rozmawiali przez chwilę. Przecież znam głos Jude’a. I widziałam jego twarz. – Spojrzałam nerwowo na ekran i mówiłam dalej: – Rozumiem, ten obraz nie jest wyraźny, ale zapewniam cię, że to na pewno był on. Jude Lowe.

Daniel długą chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu, zanim wreszcie przemówił. Głos miał niepokojąco łagodny.

– Maro, to nie mógł być Jude.

Mój umysł błyskawicznie przeanalizował fakty – te, które znałam, których mogłam być pewna.

– Dlaczego nie? Przecież nie odnaleźli jego ciała, prawda?

Pamiętałam, jak mówiono, że resztki budynku grożą zawaleniem i dalsze poszukiwania są niebezpieczne.

– Nie mogli się do niego dokopać.

Daniel cofnął nagranie, żeby było widać całą postać.

– Widzisz jego ręce?

Kiwnęłam głową.

– Jude nie powinien ich mieć. Znaleźli tylko jego ręce.

Na te słowa cała krew odpłynęła mi z twarzy.

– Ani jedno z ciał, które wydobyli z gruzów, nie było kompletne, Maro – ani Rachel, ani Claire, ani Jude’a. Odnaleźli tylko jego ręce. I tylko je pochowali. – Na moment boleśnie zacisnął powieki, a potem pokazał na ekran. – Ten chłopak ma obie ręce.

Głos Daniela był łagodny, smutny i zdesperowany. Słuchałam, ale słowa, które wypowiadał, nie chciały ułożyć się w sensowny ciąg.

– Wiem, jak strasznie to wszystko tobą wstrząsnęło. I jeszcze tata... przecież wszyscy się o niego zamartwiamy. To nie był Jude, Maro. Na pewno nie on.

Byłoby dla mnie wielką ulgą, gdybym uwierzyła, że jestem chora psychicznie; gdybym kupiła to kłamstwo i grzecznie łykała prochy. W ten sposób uwolniłabym się od poczucia winy prześladowającego mnie od momentu, w którym przypomniałam sobie, do czego jestem zdolna.

Już wcześniej próbowałam uwierzyć. Niestety, nie pomagało.

Powoli, z drzeniem, wciągnęłam powietrze w płuca.

– Nie jestem psychiczna.

Daniel przymknął oczy, a kiedy po chwili je otworzył, w jego wzroku pojawiło się zdecydowanie.

– Nie powinienem ci tego mówić...

– Czego?

– Psychologia nazywa to zniekształceniem poznawczym – wyjaśnił mój starszy brat. – Krótko mówiąc, chodzi o urojenia, w rodzaju tych, że Jude żyje, a ty masz moc burzenia budynków i zabijania ludzi. Urojenia świadczą o tym, że traci się zdolność racjonalnej oceny rzeczywistości.

– I co dalej?

– Och, wiesz, psychologowie przerzucają się takimi pojęciami jak „psychotyczny” czy „schizotypiczny”, Maro.

Postanowiłam, że się nie rozpłaczę.

– Mama ma nadzieję, że w najlepszym wypadku może chodzić o coś, co nazywa się ostrym zaburzeniem psychotycznym, wywołanym zespołem stresu pourazowego, połączonym z długotrwałą, silną traumą. Jak zrozumiałem, główne różnice pomiędzy tym syndromem, schizofrenią a innymi zaburzeniami polegają na długości trwania. – Przełknął

z wysiłkiem. – Słowem, im dłużej trwają urojenia, tym gorsze prognozy.

Zacisnęłam zęby, zmuszając się do spokoju, podczas gdy Daniel mówił dalej:

– Dlatego mama jest zdania, że powinnaś zostać tu jeszcze przez jakiś czas, żeby mogli dobrać właściwe leki. A potem zamierza cię umieścić w jakimś spokojnym miejscu, w ośrodku terapeutycznym, gdzie...

– Nie – przerwałam mu.

O ile jeszcze niedawno za wszelką cenę chciałam odciąć się od rodziny, żeby im nie zaszkodzić, o tyle teraz zrozumiałam, że muszę być z nimi. Nie mogę tkwić w zamknięciu, kiedy Jude żyje i grasuje w pobliżu.

– Och, tam jest jak w internacie – pocieszył mnie Daniel – z tą tylko różnicą, że mają kucharza, ogród zen i prowadzą terapię sztuką. Prawdziwe wczasy.

– Nie mówimy o Fidzi, Danielu. Ona chce mnie wysłać do psychiatryka! Na oddział zamknięty!

– To nie jest psychiatryk ani oddział zamknięty, tylko ośrodek terapeutyczny, więc...

– Akurat, ośrodek! – mruknęłam, czując, jak łzy napływają mi do oczu. Zamrugałam z furią, żeby je odpędzić. – Widzę, że trzymasz ich stronę?

– Trzymam twoją stronę, Maro. Po prostu uważam, że powinnaś побыć tam przez jakiś czas, żeby nauczyli cię, jak masz sobie ze wszystkim radzić. I tak podziwiam cię, że zdołałaś chodzić do szkoły... i w ogóle. Ja bym nie potrafił.

Przełknęłam ślinę, żeby złagodzić suchość w ustach.

– A co mówi tata?

– Myśli, że to również jego wina.

Poczułam się jeszcze gorzej, słysząc ten bezsens.

– Uważa, że nie powinien brać tej sprawy – ciągnął Daniel. – I generalnie ufa mamie.

– Daniel – powiedziałam błagalnie – przysięgam, przysięgam, że mówię prawdę.

– I w tym właśnie problem – odparł łamiącym się głosem. – Że ty w to wierzysz. Halucynacje są charakterystyczne dla PTSD. Kiedy miewałaś je dawniej, wiedziałaś, że rodzą się wyłącznie w twojej głowie. Teraz święcie wierzysz, że są rzeczywistością. – W jego głosie pojawiło się napięcie. – Wszystko, co mówiłaś wczoraj, pasuje do... do psychozy.

Zamrugał gwałtownie i otarł oczy wierzchem dłoni.

Nie mogłam uwierzyć, że coś takiego może mnie spotkać.

– Rozumiem – powiedziałałem drewnianym głosem. – Czy pozwolą mi chociaż na chwilę wrócić do domu, zanim tam trafię?

– W pewnym momencie przyznali, że zatrzymają cię tu na siedemdziesiąt dwie godziny, a potem będą musieli przedstawić rodzicom ostateczną diagnozę. Termin mija jutro, prawda?

– Zaraz... tylko siedemdziesiąt dwie godziny? I ostateczna diagnoza?

– Takie są przepisy, ale pewnie będą starali się przedłużyć ten okres.

Mniejsza o to, co dalej. Ważne, że na razie sprawa jest czasowa. Na razie.

Jeśli zdołam im wmówić, że przestałam wierzyć w realność Jude'a oraz w to, że zabiłam Rachel, Claire i innych; jeśli przyznam, że wszystko urodziło się w mojej głowie, i jeśli uda mi się przekonująco skłamać – jest szansa, że uznają mój wyskok w komisariacie za jednorazowy epizod. Mama bardzo chce w to uwierzyć, tylko potrzebuje argumentów z mojej strony.

Jeśli dobrze rozegram sprawę, jutro mogę być w domu.

I znów zobaczyć Noaha.

Pamięć podsunęła mi jego obraz przed gmachem sądu. I widok jego zdeterminowanej miny, wyrażającej przekonanie, że nie jestem winna tego, co się stało. Od tej pory nie rozmawialiśmy ze sobą.

A jeśli Noah uznał, że stałam się kimś innym i naprawdę to zrobiłam? Przecież mówił o tym.

Jeśli nie chce mnie już więcej widzieć?

Na myśl o tym poczułam dławienie w gardle, ale nie mogłam pozwolić sobie na płacz. Już nie. Za dużo mam do stracenia. Od tej chwili będę modelowym okazem dziecka zdrowego psychicznie. Nie zniosę kolejnego szpitala. Poza tym muszę wyjaśnić, o co tu, do cholery, chodzi.

Nawet jeśli będę musiała dojść do tego sama, bez niczyjej pomocy.

Drgnęłam, słysząc pukanie do drzwi, ale to była tylko mama. Daniel wstał, wyglądając dzinsową koszulę.

– Gdzie tata? – zapytałam.

– Jeszcze w szpitalu. Jutro wychodzi.

Jeśli teraz dobrze odegram swoją rolę, jest szansa, że wyjdę jednocześnie z nim.

– Joseph przyszedł z tobą?

Kiwnęła głową. A więc mój zaledwie dwunastoletni brat dzieli czas pomiędzy ojca, leżącego w szpitalu z raną postrzałową, i siostrę, zapuszkowaną na oddziale psychiatrycznym. Jeszcze mocniej zacisnęłam zęby. Tylko nie rycz!

Mama zerknęła na Daniela i odchrząknęła wymownie.

– Kocham cię, siostrzyco – powiedział do mnie. – Widzimy się wkrótce, okej?

Przytaknęłam sztywno. Mama usiadła.

– Wszystko będzie dobrze, Maro. Wiem, że te słowa brzmią głupio, ale tak czuję. Będzie lepiej.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, poza jednym: „Chcę do domu”.

Mama wyglądała na udęconą, ale trudno było się dziwić, skoro na rodzinę spadały takie klęski.

– Bardzo bym chciała, żebyś wróciła do domu, kochanie. Ale... nie da się tam zorganizować regularnych zajęć, a przecież na razie nie będziesz chodziła do szkoły. Byłoby to dla ciebie zbyt dużym obciążeniem. Kocham cię, Maro. Bardzo cię kocham. Nie zniosłabym, gdybyś... Byłam w szoku, kiedy usłyszałam o zawałeniu się szpitala... Odchorowałam to. Nie mogę cię zostawić samej ani na sekundę. Jesteś moim dzieckiem. Wiem, masz siedemnaście lat, ale jesteś moją córką i chcę dla ciebie jak najlepiej. – Otarła oczy wierzchem dłoni i uśmiechnęła się do mnie. – To nie twoja wina. Nikt cię nie osądza i nie chce ukarać.

– Wiem – powiedziałam ponuro, za wszelką cenę pragnąc odegrać spokojną, dorosłą osobę.

Mama ciągnęła:

– Miałaś ciężkie przejścia i zdaję sobie sprawę, że trudno jest nam się porozumieć. Ale chcę, żebyś wiedziała, że to – pokazała na pokój – nie jesteś ty. Przyczyny mogą być natury chemicznej, behawioralnej czy nawet genetycznej...

Na czarnej tafli mojego umysłu uformował się obraz. Fotografia. Czarno-biała. Rozmyta.

– Przyczyny czego? – spytałam szybko.

– Twojego stanu. Tego, co się z tobą dzieje. To nie jest twoja wina. Wziąwszy pod uwagę PTSD i wszystko, co się stało...

– Dobrze, wiem – przerwałam jej. – Ale powiedziałaś...

Genetyczne.

– O co chodzi z tą genetyką?

Mama wbiła wzrok w podłogę, a jej głos przybrał profesjonalny ton.

– Wszystko, co się z tobą dzieje – powiedziała, wyraźnie starając się unikać takich słów jak „choroba psychiczna” – może być wywołane przez czynniki biologiczne bądź dziedziczne.

– Czy ktoś w naszej rodzinie miał...

– Moja matka – przerwała mi spokojnie. – Czyli twoja babcia.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Obraz w mojej pamięci wyostrzył się i zobaczyłam zdjęcie siedzącej młodej kobiety o tajemniczym uśmiechu, z dłońmi pomalowanymi henną, złożonymi na podołku. Czarne włosy były rozdzielone równym przedziałkiem na środku głowy, a pomiędzy brwiami widać było kropkę bindi. To była fotografia mojej babci w dniu jej ślubu.

W tym momencie mój umysł dokonał małego fotomontażu, zastępując jej twarz moją.

Zamrugałam, odganiając ten obraz, i pokręciłam głową.

– Nie rozumiem.

– Ona popełniła samobójstwo, Maro.

Gapiałam się na nią w osłupieniu. Pierwszy raz o tym usłyszałam.

– Myślałam... myślałam, że zginęła w wypadku samochodowym – wyjąkałam.

– Nie. Tylko tak mówiliśmy.

– I myślałam, że żyła, gdy byłaś dzieckiem.

– Tak. Odeszła, kiedy byłam dorosła.

Nagle zaschło mi w gardle.

– Ile miałaś lat?

Głos mamy stał się nagle dziwnie cichy.

– Dwadzieścia sześć.

Następne parę sekund ciągnęło się jak wieczność.

– Urodziłaś mnie, gdy miałaś dwadzieścia sześć lat.

– Babcia zabiła się, kiedy miałaś trzy dni.

Dlaczego o tym nie wiedziałam?

Dlaczego mi o tym nie powiedziano?

Dlaczego to zrobiła?

Dlaczego?

Szok musiał odbić się na mojej twarzy, bo mama zaczęła mnie w pośpiechu przeproszać.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek ci o tym powiem.

Nie sądziła, że powie mi jeszcze wiele rzeczy.

– Doktor West i doktor Kells uznały, że powinnaś o tym wiedzieć, bo babcia miała wiele podobnych objawów – wyjaśniła mama. – Miała osobowość paranoidalną, była podejrzliwa...

– Nie jestem...

Już miałam zaprzeczyć, że ja taka nie jestem, ale przecież to była prawda. Coś mogło być na rzeczy.

– Nie miała przyjaciół – ciągnęła.

– Ja mam – zaprotekowałam.

W następnej chwili uświadomiłam sobie, że bardziej stosowne byłoby użycie czasu przeszłego oraz liczby pojedynczej. Rachel była moją najlepszą i rzeczywiście jedyną przyjaciółką. Przynajmniej do czasu przeprowadzki do Miami.

Potem był Jamie Roth, mój pierwszy (i jedyny) przyjaciel w Croyden. Niestety, od czasu gdy wyrzucono go ze szkoły za coś, czego nie zrobił, straciłam z nim kontakt. Mama w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu i pewnie już się nie dowie.

Pozostał Noah. Czy mam go liczyć?

Mama przerwała moje rozmyślenia.

– Kiedy byłam małą, moja matka pytała mnie czasami, czy znam magię.

– Smutny uśmiech pojawił się na jej wargach. – Myślałam, że tak tylko sobie żartuje. Jednak w miarę jak dorastałam, pytała coraz częściej, czy potrafię zrobić coś „niezwykłego”, zwłaszcza kiedy byłam nastolatką. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, a gdy prosiłam, żeby mi wyjaśniła, odpowiadała, że sama powinnam wiedzieć. I prosiła, żebym powiadomiła ją, jeśli coś się zmieni. – Mama zacisnęła szczęki i wpatrzyła się w sufit.

Próbowała powstrzymać się od płaczu.

– Usiłowałam to zlekceważyć, wmawiając sobie, że moja matka jest „inna”. Ale oznaki były ewidentne. – Znow włączyła ten swój profesjonalny ton. – Myślenie magiczne...

– Co to jest?

– Była przekonana, że jest odpowiedzialna za rzeczy, za które nie mogła być odpowiedzialna – wyjaśniła. – Poza tym była przesądna, wystrzegła się pewnych liczb, jak pamiętam. Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, miała objawy paranoidalne. Pewnego razu, gdy wiozła mnie po raz pierwszy do internatu, zatrzymałyśmy się, żeby zatankować paliwo. Przez ostatnią godzinę jazdy ciągle spoglądała w lusterka, jakby sprawdzała, czy nikt za nami nie jedzie. Kiedy weszła do budynku, żeby zapłacić za benzynę, jakiś mężczyzna zapytał mnie o drogę. Wyjęłam mapę i pokazałam mu, jak ma jechać. Kiedy już odjeżdżał, twoja babcia wybiegła ze stacji i zaczęła wypytywać o niego: czego chciał, co mówił, co ja mu powiedziałam... po prostu szalała. – Mama urwała na moment, zatopiona we wspomnieniach, a potem dodała: – Czasami przyłapywałam ją na lunatykowaniu. Dręczyły ją koszmary.

Nie byłam w stanie mówić. I tak nie wiedziałabym, co powiedzieć.

– Wiesz... czasami było mi z nią ciężko. Myślę, że dlatego poszłam na psychologię. Chciałam pomóc... – Głos jej zamarł i znow się zamyśliła.

Nagle drgnęła, jakby przypomniała sobie, że tu jestem. I dlaczego tu jestem. Zaczerwieniła się.

– Och, kochanie... nie chciałam tak jej przedstawiać. – Mama była wyraźnie strapiona. – Zawsze będę ją pamiętała jako cudowną matkę i wyjątkową osobę. Miała artystyczną duszę, była twórcza i zabawna. Starła się, żebym była szczęśliwa. Bardzo o mnie dbała. Gdyby w latach jej młodości wiedziano tyle co teraz, może... może wszystko wyglądałoby inaczej. – Przełknęła z wysiłkiem i popatrzyła mi prosto w oczy. – Ale ona nie jest tobą, Maro. A ty nie jesteś nią. Powiedziałam ci o babci, gdyż pewne cechy mogą być dziedziczne. Musisz jednak wiedzieć, że nic z tego, co zrobiłaś i co się wydarzyło, zawałony szpital i tak dalej, nie jest twoją winą. Tu są świetni terapeuci i zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby ci pomóc.

– A jeśli mi się nie polepszy? – spytałam spokojnie.

Łzy załśniły jej w oczach.

– Polepszy ci się, Maro. Na pewno. I będziesz żyła normalnie. Przysięgam na Boga – dodała bardzo poważnym tonem – że będziesz żyła normalnie.

Wyczułam swoją szansę.

– Czy musisz mnie posłać do ośrodka?

Przygryzła wargę i wciągnęła powietrze.

– To ostatnia rzecz, jaką miałabym ochotę zrobić, kochanie. Sądzę jednak, że chwilowa zmiana otoczenia i opieka fachowców naprawdę dobrze na ciebie wpłyną.

Z brzmienia jej głosu i sposobu, w jaki zmieniał się jego ton, wyczułam, że mama jeszcze się nie zdecydowała. Nie była pewna, co ma zrobić. A to oznaczało, że nadal mam szansę zmanipulować ją tak, aby pozwoliła mi wrócić do domu.

Ale jeszcze nie teraz, nie w tej rozmowie. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Bez niej.

Ziewnęłam szeroko i zamrugałam.

– Widzę, że jesteś zmęczona – powiedziała, spoglądając na mnie z troską.

Kiwnęłam głową.

– Masz za sobą piekielny tydzień, Maro. Piekielny rok. – Ujęła moją twarz w dłonie. – Ale powoli się z tym uporamy. Obiecuję.

Uśmiechnęłam się do niej anielsko.

– Wiem.

Pogładziła mnie po włosach i ruszyła do drzwi.

– Mamo? – zawołałam za nią. – Powiesz doktor West, że chcę z nią porozmawiać?

Rozpromieniła się.

– Oczywiście, kochanie. Zdrzemnij się teraz, a ja porozmawiam z nią chwilę i poproszę, żeby później do ciebie wpadła, dobrze?

– Dzięki.

Nie wyszła; wahała się jeszcze, jakby walczyła ze sobą.

– Co się stało?

– Maro... – zaczęła i na ułamek sekundy zacisnęła powieki. – Podobno wczoraj powiedziałaś policjantom, że Jude napastował cię, zanim zawałił się budynek. Chciałam po prostu... – Głęboko nabrała powietrza. – Maro, czy to prawda?

Oczywiście, prawda. Kiedy zostaliśmy sami w jednym z pokoi, Jude zaczął mnie całować. Był tak namolny, że kazałam mu przestać. Przycisnął mnie do ściany. Napierał na mnie. Byłam w pułapce. Musiałam się bronić. Uderzyłam go, a on mi oddał.

– Och, Maro – szepnęła mama.

Musiała odgadnąć prawdę z wyrazu mojej twarzy, bo zanim zdecydowałam się na odpowiedź, już była przy mnie.

– Teraz widzę, że było jeszcze gorzej. Boże, podwójna trauma... Musiałaś się czuć... nie mogę sobie nawet...

– W porządku, mam – zapewniłam, patrząc w jej oczy, szkliste od łez.

– Nie, nic nie jest w porządku. Ale będzie. – Znów mnie pocałowała i wreszcie wyszła, posyłając mi na pożegnanie smutny uśmiech.

Usiadłam prosto, usiłując się pozbierać, bo doktor West mogła nadejść w każdej chwili.

Będę musiała przekonać ją – a raczej ich – że mam tylko PTSD i daleko mi do schizofrenii czy innego równie strasznego i permanentnego zaburzenia. Z PTSD mogłabym zostać w domu i mieć czas na spokojne przemyślenie sobie wszystkiego. Na zastanowienie się, co zrobić z Jude'em.

Innego wyjścia wolałam sobie nie wyobrażać. Lata spędzone na oddziałach psychiatrycznych i na prochach. Żadnych studiów. Zero normalnego życia.

Spróbowałam sobie przypomnieć, co mama mówiła o objawach babci:

Podejrzliwość.

Paranoja.

Myślenie magiczne.

Urojenia.

Koszmary senne.

Samobójstwo.

Potem podsumowałam, co wiem o PTSD:

Halucynacje.

Koszmary nocne.

Zaniki pamięci.

Przebłyski pamięci.

Widać było pewne podobieństwa, ale też różnice. Moim zdaniem główna z nich polegała na tym, że w przypadku PTSD ma się świadomość, że omamy nie są realne. Natomiast przy zaburzeniach z przedrostkiem schizo-, jeśli ktoś ma halucynacje, wierzy w nie nawet wtedy, kiedy już miną. I zaczyna żyć w urojonej rzeczywistości.

Miałam zdiagnozowane PTSD; doświadczyłam wyjątkowej porcji traumy i zdarzało mi się widzieć rzeczy, których nie ma. Nigdy nie traciłam przy tym przekonania, że są tylko urojeniami, choćby wydawały się nie wiem jak prawdziwe.

Dlatego muszę postawić sprawę jasno i wyraźnie: nie wierzę, że Jude żyje.

Choć to przecież nieprawda.

Zegary w klinice tykały, odmierzając ostatnie z siedemdziesięciu dwóch godzin dzielących mnie od wypisu. Mój Trzeci Dzień zapowiadał się wspaniale. Byłam spokojna. Życzliwa. Boleśnie normalna. Kiedy kolejna pani psychiatra, doktor Kells, przyszła do mnie i przedstawiła się jako kierowniczka jakiegoś programu terapeutycznego na Florydzie, odpowiadałam na jej pytania tak, jak oczekiwała:

- Czy masz kłopoty ze snem?
- Tak.
- Czy miewasz koszmary senne?
- Tak.
- Czy masz trudności z koncentracją?
- Czasami.
- Czy zdarza ci się stracić panowanie nad sobą?
- Och, nieraz. W końcu jestem normalną nastolatką.
- Czy masz obsesyjne myśli na temat swoich traumatycznych doświadczeń?
- Jak najbardziej.
- Czy masz fobie?
- A kto ich nie ma? – Czy zdarza ci się widzieć lub słyszeć ludzi, których już nie ma?
- Czasami widzę przyjaciół, ale wiem, że oni nie istnieją.
- Czy miewasz myśli samobójcze lub dotyczące samookaleczenia?
- Raz tak było. Ale nic sobie nie zrobiłam.

Pani doktor poszła sobie i przyniesiono mi lunch. Nie byłam głodna, lecz postanowiłam, że rozsądniej będzie zjeść. To należało do mojej strategii.

Dzień dłużył się niemiłosiernie, aż wreszcie pod koniec powróciła doktor West. Siedziałam przy stoliku w dużym holu, który pełnił funkcję świetlicy. Pomieszczenie miało wygląd nudny i bezosobowy, jak zwykle w szpitalach. Dwoje dzieciaków, na oko w wieku Josepha, grało w szachy. Ja rysowałam w swoim szkicowniku.

– Hej, Maro – powiedziała pani doktor, pochylając się nad moim rysunkiem.

– Hej – odpowiedziałam z uśmiechem, odkładając ołówek, aby zaznaczyć, że cała moja uwaga należy do niej.

– Jak się czujesz?

– Jestem nieco spięta – wyznałam. – Tęsknię do domu.

Musnęłam palcem szkic, którego jeszcze nie skończyłam. Przedstawiał kwitnące drzewo. Mogła coś z niego odczytać – terapeuci potrafią wiele wydedukować z takich rzeczy. Normalni ludzie widzą tylko drzewo.

Skinęła głową.

– Rozumiem.

Popatrzyłam na nią wielkimi, niewinnymi oczami.

– Czy myśli pani, że mogę wrócić do domu?

– Oczywiście, Maro.

– Dzisiaj?

– Och. Cóż... – Zmarszczyła brwi. – Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem.

– Czy to w ogóle będzie możliwe?

Mój niewinny, dziecięcy głos doprowadzał mnie do szału. Tego dnia używałam go częściej niż w ciągu ostatnich pięciu lat.

– Jest parę możliwości – podjęła pani doktor. – Możesz zostać u nas na dalsze leczenie lub przenieść się do innej kliniki. Bądź też rodzice zadecydują, że najlepszym miejscem dla ciebie będzie ośrodek terapeutyczny z internatem. Większość z nich prowadzi zajęcia licealne. Dzięki temu mogłabyś kontynuować naukę i jednocześnie uczyć się na terapię.

Ośrodek. To nie było wymarzone wyjście.

– Jeszcze inną, moim zdaniem bardzo dobrą opcją, jest dzienny oddział terapeutyczny.

– Co to takiego?

– Chodzi o dzienne programy dla nastolatków, które wymagają pomocy po trudnych przejściach, jak ty.

Wątpliwe, żeby mi pomogli.

– W tego typu ośrodkach kładzie się nacisk na indywidualną pracę z terapeutami oraz zajęcia grupowe z rówieśnikami. Ważnym elementem jest udział w eksperymentalnych terapiach poprzez sztukę i muzykę. Oczywiście realizowany jest normalny program szkolny, ale podstawą są terapie. Po całym dniu zajęć wracasz do domu.

To już lepiej. Przynajmniej wiem, na co mogę liczyć.

– Twoi rodzice mogą również zadecydować, że skupisz się wyłącznie na terapii. Przedstawimy im swoje zalecenia, ale ostateczna decyzja należy do nich. Przy okazji, twoja mama niedługo tu będzie – dodała, zerkając na windy. – Rysuj sobie dalej – śliczny jest ten obrazek! – a potem znów

porozmawiamy, kiedy ustalę coś z twoją mamą.

Z uśmiechem skinęłam głową. Uśmiechanie się było bardzo ważne.

Pani doktor odeszła, a ja dalej cyzelowałam swój słodki obrazek, nadając mu tendencyjnie radosny charakter. Drgnęłam, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia.

Odwróciłam się i zobaczyłam dziewczynkę, na oko dziesięcioletnią, o długich, dawno nieczesanych, jasnych włosach. Stała i spoglądała na mnie nieśmiało, ssąc kciuk. Miała na sobie białą, za dużą koszulkę, niebieską spódniczkę z falbanami i niebieskie skarpety. Wolną ręką podała mi zwiniętą kartkę.

Papier ze szkicownika. Moje palce natychmiast rozpoznały jego fakturę i serce zabiło mi szybciej, kiedy rozprostowałam kartkę. Był na niej szkic, który parę tygodni temu podarowałam Noahowi w Croyden – jego portret. Na odwrocie napisano tylko trzy słowa, lecz dla mnie były to trzy najpiękniejsze słowa w języku angielskim:

„Ja ci wierzę”.

Poznałam pismo Noaha i serce podskoczyło mi z radości, kiedy obejrzałam się za siebie, licząc, że jakimś cudem zobaczę jego piękną twarz.

Ale wszystkie twarze były obce.

– Skąd to masz? – zapytałam dziewczynkę.

Opuściła wzrok na podłogę i zaczerwieniła się.

– Dał mi to taki ładny chłopak.

Uśmiech zaigrał mi na wargach.

– Gdzie on jest?

Pokazała w głąb korytarza. Wstałam, zostawiając na stole to idiotyczne drzewko, i rozejrzałam się spokojnie, choć miałam ochotę puścić się biegiem. Jedna z terapeutek siedziała przy stoliku, rozmawiając z chłopcem, który ciągle się drapał, a inna dyżurowała za biurkiem w recepcji. Normalna, senna atmosfera, ale musiałam się mieć na baczności. Ostrożnie ruszyłam w stronę toalet. Znajdowały się w korytarzu, blisko wind. Jeśli Noah tam jest, zaraz go zobaczę.

Zaledwie skręciłam za róg, jakaś ręka delikatnie chwyciła mnie za przegub i wciągnęła do łazienki dla dziewcząt. Wiedziałam kto to, zanim zobaczyłam jego twarz.

Syciłam się widokiem szaroniebieskich oczu, które wpatrywały się w moje, i drobną, pionową zmarszczką ponad linią szlachetnego nosa. Moje spojrzenie powędrowało ku ustom, lekko rozchylonym, jakby zaraz miał przemówić. I włosy... Zapragnęłam wtulić się w jego ramiona i wsunąć

palce w gęstą czuprynę. Chciałam zgnieść wargami te pięknie wykrojone usta.

Zanim zdążyłam powiedzieć słowo, Noah położył mi na wargach długi, smukły palec.

– Mamy mało czasu.

Jego bliskość napełniła mnie ciepłem. Nie mogłam uwierzyć, że Noah naprawdę tu jest. Pragnęłam poczuć jego obecność jeszcze intensywniej, żeby upewnić się, że nie śnię.

Nieśmiało położyłam dłoń na jego wąskiej talii. Poczułam suchą, twardą rzeźbę mięśni, napiętych pod cienką, miękką bawełną markowej koszulki.

Nie powstrzymał mnie.

Nie mogłam przestać się uśmiechać.

– Jak zwykle ciągnie cię do damskich toalet, co? – spytałam, patrząc mu w oczy.

Kącik jego ust uniósł się lekko.

– Dobre pytanie. Pewnie chodzi o to, że są o wiele czystsze niż męskie i jakoś łatwo do nich trafić.

Wydawał się rozbawiony. Luzacki i arogancki. Takiego Noaha pragnęłam usłyszeć. Może nie powinnam się martwić. Może między nami wszystko jest dobrze.

– Daniel powiedział mi, co się stało – wyjaśnił Noah.

Jego ton się zmienił.

Popatrzyłam mu w oczy i zrozumiałam, że wie. Wiedział, co się ze mną stało i dlaczego znalazłam się tutaj. Wiedział, co myśli moja rodzina.

Poczułam falę gorąca pod skórą – nie wiem, czy za sprawą jego spojrzenia, czy wstydu.

– Czy powiedział ci, co... co mówiłam?

Noah przyglądał mi się spod długich rzęs.

– Tak.

– Jude tu jest.

Noah odpowiedział cichym, ale mocnym głosem:

– Wierzę ci.

Dopiero teraz, kiedy padły te słowa, zdałam sobie sprawę, jak bardzo pragnęłam je usłyszeć.

– Nie mogę tu zostać, kiedy on jest...

– Pracuję nad tym. – Noah zerknął na drzwi.

Wiedziałam, że nie może zostać dłużej, ale nie chciałam, żeby odszedł.

– Ja też. Myślę... myślę, że jest szansa, aby rodzice zgodzili się na mój

powrót do domu – powiedziałam, usiłując ukryć nerwowy ton. – Ale co będzie, jeśli każą mi tu zostać? Dla mojego bezpieczeństwa?

– Na ich miejscu nie robiłbym tego.

– Co masz na myśli?

– Słuchaj, zaraz...

Przeraźliwy dźwięk alarmu rozbrzmiał w budynku.

– Coś ty zrobił? – zawołałam, przekrzykując hałas, kiedy Noah pociągnął mnie do wyjścia.

– Ta dziewczynka, która przyniosła ci wiadomość...

– No?

– Zobaczyłem, że gapi się na moją zapalniczkę.

Zamrugałam.

– Dałeś zapalniczkę dzieciakowi z wariatkowa?

Uśmiechnął się samymi oczami.

– Wydała mi się osobą godną zaufania.

– Jesteś stuknięty! – zachichotałam.

– Nikt nie jest doskonały – skwitował pogodnie Noah.

Plan Noaha zadziałał. Dziewczynkę przyłapano na podpaleniu mojego rysunku, ale dopiero po chwili. W tym czasie zdążono już zarządzić ewakuację i w ogólnym zamieszaniu Noah bez przeszkód wymknął się ze szpitala. Wkrótce przyjechała moja mama i nie była zachwycona.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś z personelu mógł przyjść tu z zapalniczką – powiedziała z oburzeniem.

– Ja również – przytaknęłam zatroskanym tonem. – A tak się napracowałam nad tym rysunkiem – dodałam z udawanym żalem.

Mama zmęczonym gestem potarła czoło.

– Doktor West sądzi, że powinnaś zostać tu jeszcze tydzień na obserwacji. Powiedziała także, że jesteś dobrą kandydatką do ośrodka terapeutycznego, który realizuje program o nazwie Horyzonty...

Poczułam ucisk w dołku.

– Ośrodek znajduje się na wyspie No Name Key. Widziałam zdjęcia, jest naprawdę piękny i ma znakomitą reputację, choć istnieje dopiero od roku. Doktor Kells, która nim kieruje, powiedziała, że chętnie cię przyjmie, bo odpowiadasz ich profilowi, ale ja... – Mama przygryzła wargę i westchnęła.

– Wolałabym, żebyś była w domu – dokończyła.

Omam nie rozplakałam się z ulgi. Ale powiedziałam tylko:

– Chcę wrócić do domu, mamo.

Uścisnęła mnie.

– Tata już wyszedł ze szpitala. Jest na dole, w samochodzie. Nie może się doczekać.

Serce zabiło mi szybciej. Ja też nie mogłam się doczekać.

– Możemy zabrać twoje rzeczy?

Kiwnęłam głową i wzrok zamglili mi się ze wzruszenia. Miałam tylko parę rzeczy, więc głównie musiałam czekać, aż mama przebrnie przez plik formularzy. Jedna z lekarek, doktor Kells, podeszła do mnie, stukając obcasami drogich pantofli. Miała ten sam styl co moja mama: jedwabna bluzka, ołówkowa spódnica, perfekcyjny makijaż i perfekcyjnie uczesane włosy.

Szerokie, czerwone usta rozchyliły się w perfekcyjnym uśmiechu.

– Słyszałam, że idziesz do domu – powiedziała.

– Na to wygląda – odparłam ostrożnie.

– Życzę ci powodzenia, Maro.

– Dziękuję.

Nie odeszła. Stała i patrzyła na mnie.

Dziwne.

– Gotowa? – zawołała mama.

W samą porę. Pomachałam pani doktor i ruszyłam do windy. Kiedy zasunęły się drzwi, stłumiłam triumfalny okrzyk.

– Co o niej myślisz? – zapytała mama.

– O kim?

– O doktor Kells.

Zastanawiałam się, do czego zmierza.

– Jest w porządku, a co?

– Horyzonty mają również ośrodek realizujący program dzienny dla nastolatków, który rekomendowała mi doktor West. Prowadzi zajęcia terapii grupowej oraz terapie muzyczne i artystyczne.

– Okej...

– Myślę, że to byłoby dla ciebie dobre.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Program dzienny był z pewnością lepszą opcją niż zamknięty ośrodek, a ja muszę stwarzać pozory, że pragnę takiej pomocy. Jednak wyrzeczenie się szkoły było trudną decyzją. Musiałam sobie to wszystko przemyśleć.

Na szczęście nie w tym momencie. Drzwi windy rozsunęły się i zobaczyłam tatę. Wyglądał zdrowo i niezłomnie. Ale wiedziałam, że tak nie jest.

– Tato – powiedziałam, uśmiechając się od ucha do ucha. – Dobrze wyglądasz.

Nie kłamałam. Błada cera, którą po nim odziedziczyłam, nie była już śmiertelnie blada, a tata nie sprawiał wrażenia roztrzęsionego człowieka po traumatycznych przeżyciach. Jak na to, co przeszedł, prezentował się zupełnie nieźle. W spodniach khaki i białej koszulce polo robił wrażenie, jakby wybierał się na partyjkę golfa.

Zgiął rękę i pokazał na biceps.

– Człowiek ze stali.

Mama rzuciła mu zmęczone spojrzenie i całą trójką zanurzyliśmy się w duszny, uliczny upał.

Byłam szczęśliwa. Tak szczęśliwa, że prawie zapomniałam, z jakiego powodu trafiłam do tego szpitala. I z jakiego powodu tata wylądował w innym.

– No i co o tym myślisz? – zagadnęła mama.

– Słucham?

– O Programie Terapeutycznym „Horyzonty”?

Czy mówiła coś wcześniej? Czyżbym nie słyszała?

Nie miałam już pretekstu, żeby uniknąć odpowiedzi.

– Myślę... myślę, że jest w porządku – bąknęłam.

Mama musiała wstrzymać oddech, bo wypuściła powietrze z ulgą.

– W takim razie nie ma na co czekać. Bardzo się cieszymy, że wracasz do domu, ale...

Niestety, zawsze jest jakieś ale.

– Nie możesz siedzieć sama w domu – podjęła. – Dzienny program jest idealnym wyjściem. Ale nie chcę, żebyś jeździła sama samochodem.

Zamierzałam coś powiedzieć, lecz ugryzłam się w język.

– Możesz jeździć tylko z Danielem. Jeśli wrócisz bez niego, będzie za to odpowiadał.

To nie fair wobec Daniela. Jak mogła!

– Trzeba cię będzie codziennie tam wozić...

– Przez ile dni w tygodniu?

– Pięć.

Dobrze, że nie siedem.

– Kto będzie mnie woził? – spytałam i spojrzałam na mamę. – Przecież ty masz pracę.

– Ja, kochanie – zaoferował tata.

– A twoja praca?

– Na razie wezmę sobie wolne – oświadczył bez troski i zwichrzył mi włosy.

Kiedy skręciliśmy w naszą ulicę, zdziwiłam się, bo po raz pierwszy wkurzył mnie widok okolicy. Była obrazem podmiejskiej perfekcji: trawniki równo wykoszone, żywopłoty pieczołowicie wystrzyżone. Każdy kwiatek był na swoim miejscu, każdy krzak i drzewko, a nasz dom nie różnił się od innych. Może to właśnie mnie wkurzyło. Nasza rodzina przeszła przez piekło, w które ja ją wpędziłam, ale z zewnątrz widziało się tylko sielankowy obrazek.

Kiedy mama otworzyła drzwi, w holu pojawił się mój młodszy brat – w garniturze, z poszetką w kieszonce, niezwykle szykowny.

Uśmiech rozpromienił mu twarz. Joseph szeroko otworzył ramiona i chciał się na mnie rzucić, kiedy nagle zatrzymał się i zabujał na piętach.

– Zostajesz? – spytał ostrożnie.

Zerknęłam na mamę.

– Na razie tak – powiedziała.

– Hurra! – Chwycił mnie w objęcia, a kiedy chciałam odwzajemnić uścisk, odskoczył ode mnie.

– Hej, uważaj na garnitur – ostrzegł.

O, kurczę.

– Czyżbyś pod moją nieobecność został prezesem korporacji?

– Jeszcze nie. Po prostu zadano nam w szkole, żebyśmy przebrali się za postacie, które najbardziej podziwiamy, i napisali dla nich przemówienia. Mamy wygłosić je w klasie.

– A ty jesteś...

– Warrenem Buffettem.

– Nie wiedziałam, że jest fanem poszetek.

– Nie jest. – Z kuchni wyłonił się Daniel. W rękę trzymał opasły tom, którego tytułu nie zdołałam odczytać. – To taki specjalny styl Josepha.

– Zaraz, czy dzisiaj jest niedziela? – spytałam.

Daniel kiwnął głową.

– Owszem. I zaczęła się przerwa wiosenna, ale twój braciszek nie chce nosić nic innego.

Joseph dumnie zadarł brodę.

– Bo tak mi się podoba.

– Mnie też się podoba – powiedziałam i zwichrzyłam mu czuprynę, zanim zdążył mi umknąć.

Daniel uśmiechnął się do mnie.

– Fajnie, że wróciłaś, siostrzyczko.

W jego oczach pojawił się ciepły błysk. Jeszcze nigdy tak się nie cieszyłam, że jestem w domu.

Daniel przeczesał palcami gęste włosy, na poczekaniu tworząc fryzurę urągającą prawom grawitacji. Łypnęłam na niego podejrzliwie, bo taki gest był zupełnie do niego niepodobny. Już raczej do...

Noah wysunął się z kuchni, zanim zdążyłam dokończyć myśl. On też trzymał jakieś tomiszczce.

– Absolutnie nie masz racji co do Bachtina... – zaczął i nagle urwał.

Popatrzył na moich rodziców, na mnie, na Daniela i znów na mnie.

Cofam to, co powiedziałam. Teraz dopiero byłam zadowolona z tego, że jestem w domu.

– Cześć, Maro – rzucił Noah niedbałym tonem. – Fajnie cię widzieć.

Słowo „fajnie” nie oddawało moich uczuć. Zapragnęłam natychmiast

zaciągnąć Noaha do mojego pokoju i tam opowiedzieć mu wszystko, co leżało mi na sercu. Ale byliśmy pod obserwacją, więc odpowiedziałam tylko:

– Ciebie też.

– Panie Dyer – zwrócił się do mojego taty – nieźle pan wygląda.

– Dzięki, Noah. – Tata uśmiechnął się promiennie. – Kosz z jedzeniem, który przyniosłeś mi do szpitala, uratował mnie od śmierci głodowej. Szpitalne żarcie omal mnie nie zabiło.

Noah zerknął na mnie, zanim odpowiedział.

– Cieszę się, że mogłem uratować panu życie.

Noah mówił do taty, ale te słowa były przeznaczone dla mnie.

W ten mało subtelny sposób przypomniał mi, co zrobił dla mnie po tym, jak o mało nie uśmierciłam swojego ojca. Zabolało. Rodzina gadała dalej, ale przestałam ich słyszeć. Ocknęłam się, kiedy mama odciągnęła mnie na bok.

– Maro, czy możemy chwilę porozmawiać?

Odchrząknęłam.

– Jasne.

– Panowie, zastanówcie się, co chcecie na kolację – zawołała, prowadząc mnie długim korytarzem do mojego pokoju.

Mijałyśmy uśmiechnięte twarze z galerii rodzinnych zdjęć, które zdobiły ścianę. Kiedy przechodziłyśmy obok fotografii babci, popatrzyłam na nią zupełnie innymi oczami.

– Chciałabym porozmawiać z tobą o Noahu – powiedziała mama, kiedy znalazłyśmy się w pokoju.

Tylko spokojnie.

– A o co chodzi? – zagadnęłam niewinnie, siadając na łóżku i opierając się plecami o ścianę.

W swoim pokoju czułam się bardziej wyluzowana. Byłam bardziej sobą, na ile to możliwe.

– Noah spędzał u nas dużo czasu, o czym przecież wiesz, ale bywał tu również, kiedy odeszłaś.

Odeszłam. A więc tak to mamy nazywać...

– Zaprzyjaźnił się z Danielem i ma świetny kontakt z Josephem, ale wiem również, że... jesteście razem... i to mi daje do myślenia.

Nie tylko jej. Noah zjawił się dzisiaj w szpitalu, bo wiedział o Judzie. Wiedział, że mam kłopoty. Przyszedł, bo go potrzebowałam.

Ale czy zjawił się tam, bo tak chciał? Nie byłam pewna i jakaś częśćka mnie bała się dociekać prawdy.

– Denerwuję się – przyznała mama. – Żyjesz pod ogromną presją i... po prostu chciałabym porozmawiać z Noahem o twojej... sytuacji.

Zaczerwieniłam się. Nic na to nie mogłam poradzić.

– Chciałam zapytać, czy się zgadzasz.

No i masz babo placek. Jeśli powiem nie, może zabronić mi kontaktów

z nim. A Noah jest jedyną osobą na Ziemi, która zna prawdę, i nie wyobrażałam sobie, że mogę zostać od niego odcięta. Ponadto gdybym dostała szlaban, a on dalej chciałby się ze mną widywać, nie byłoby to łatwe.

No tak, ale moja mama rozmawiająca z Noahem? O moim stanie psychicznym? Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Zacisnęłam w palcach fałdę białej narzuty, mając nadzieję, że mama nie zauważyła moich rozterek.

– Chyba tak – bąknęłam.

Mama skinęła głową.

– Wszyscy go lubimy, Maro. Zrozum, chcę tylko ustalić dla was pewne ramy.

– Jasne...

Tyle tylko zdołałam powiedzieć, bo mama szybko wyszła, zostawiając mnie w stanie bliskim agonii. Z pewnością padną takie określenia jak: „zaburzenia schizotypiczne” czy „leki antypsychotyczne”. Normalny chłopak natychmiast by uciekł.

Po chwili uświadomiłam sobie, że ciągle słyszę głos mamy. Czyżby rozmawiali w pokoju Josepha?

Wstałam i wysunęłam głowę na korytarz, pilnie nasłuchując.

– Jesteś tego pewna?

To nie był głos mamy, tylko taty.

– Wolę mieć oboje tutaj, pod kontrolą – odpowiedziała. – Wiesz, jego rodziców praktycznie nie ma w domu i nikt by ich tam nie pilnował...

Mama nie rozmawiała z Noahem, tylko z moim ojcem – o Noahu. Cicho wysunęłam się na korytarz i wślizgnęłam się do łazienki braci, która znajdowała się za ścianą pokoju Josepha. Stamtąd było lepiej słyszeć.

– A jeśli zerwą ze sobą, Indi?

– Chyba mamy większe problemy – zauważyła gorzko mama.

– Nie chcę nawet myśleć, co by się wtedy działo z Marą. Ona naprawdę... czasami mnie przeraża – powiedział tata.

– Myślisz, że mnie nie?

Może jednak nie powinnam tego słuchać. Coraz bardziej utwierdzałam się w tym przekonaniu, ale miałam wrażenie, że wrosłam w podłogę i nie ruszę się stamtąd.

Mama podniosła głos.

– Pamiętam, co było z moją matką, więc tym bardziej się boję. Dzięki Bogu, że mama jakoś z tym funkcjonowała. Gdyby żyła dzisiaj, kiedy wiemy

o wiele więcej o chorobach psychicznych, może nie doszłoby do...

– Indi...

– Może załatwiłabym jej leczenie i miałaby lepsze życie... Ona była taka samotna, Marcus. Wtedy uważałam, że jest raczej zdziwaczała niż zaburzona.

– Przecież nie mogłaś wiedzieć – powiedział miękko tata. – Byłaś jeszcze dzieckiem.

– Później już nie. Byłam... – Głos się jej załamał. – Byłam zbyt z nią związana, żeby zdać sobie sprawę, jak poważna jest sytuacja. Kiedyś, raz, napomknęłam jej, że mogłaby z kimś porozmawiać o swoich problemach. Bardzo ją to poruszyło. Zaczęła się bardziej o mnie troszczyć i chciałam mieć nadzieję... łudziłam się, że jest lepiej, ale byłam zbyt zaabsorbowana swoimi sprawami. W trakcie studiów nie kontaktowałam się z mamą całymi miesiącami i nie...

Nastąpiła długa cisza. Domyśliłam się, że mama płacze, i poczułam ucisk w żołądku.

Po chwili znów zaczęła mówić.

– W każdym razie – ciągnęła, teraz już spokojniej – musimy brać to pod uwagę w kontekście Mary. Dlatego nie możemy jej traktować jak zwykłej nastolatki. Normalne zasady nie wystarczą. Teoretycznie wiedziałam o tym, a jednak... nie zorientowałam się, że wraca ten koszmar z Jude'em.

Tak mocno lgnęłam do ściany, że rozboleł mnie bark. Chciałam zmienić pozycję, ale nie mogłam się ruszyć.

– Ona jest... skomplikowana, bardzo skomplikowana – zakończyła mama.

„Ona jest skomplikowanym przypadkiem” – to pewnie chciała powiedzieć.

– Naprawdę myślisz, że obecność Noaha tutaj może pomóc Marze? – zapytał tata.

– Nie wiem. – Głos mamy był teraz ostry, napięty. – Ale boję się, że jeśli zechcemy ich od siebie odseparować, zjednoczą się przeciwko nam i Mara się zbuntuje.

To prawda.

– Obecność Noaha w naszym domu uspokoi ją. Poza tym łatwiej będzie ich obserwować.

Niestety, to również prawda.

– Mara nie chodzi już do szkoły i nie ma tu innych przyjaciół, a to nie jest normalne, Marcus. Natomiast normalne jest, że nastolatka ma chłopaka. Co

oznacza, że Noah jest teraz najbardziej normalnym elementem jej życia.

Och, jak oni mało wiedzieli!

– Mara dobrze się z nim czuje. Noah wyciągnął ją z depresji, kiedy miała urodziny, pamiętasz? Tylko on potrafi zatrzymać ją w domu, a o to przecież nam chodzi. Moja matka była odizolowana od świata i ludzi. – Głos jej zadrżał i znów nastąpiła długa cisza. – Nie chcę, żeby tak samo było z Marą. Dobrze, że ma rówieśnika, z którym może porozmawiać o swoich sprawach.

– Wolałbym, żeby miała przyjaciółkę – mruknął tata.

– Przy Noahu nie ma na to szans.

Och, czyżby?

– Rozmawiałam z nim – dodała mama.

Rany!

– Daj spokój, to tylko nastolatek. Po co go tym obciążać? W ogóle nie pojmuję, że jemu ciągle na niej zależy.

Dzięki, tato.

– Ja bym się zniechęcił na jego miejscu – ciągnął nieubłagane ojciec. – Mara praktycznie nie może wychodzić z domu, nie chodzi do szkoły...

Mama przerwała mu gwałtownie.

– Jeżeli spodziewasz się po ludziach najgorszego, dostaniesz od nich to, co najgorsze.

– Zastanawiam się, jak rodzina Noaha odnosi się do faktu, że chłopak spędza u nas tyle czasu.

Dyplomatyczna zmiana tematu. Dobrze rozegrane, tato.

– Wątpię, żeby cokolwiek zauważyli. Jego ojciec jest biznesowym potentatem i sądząc z tego, co mówi Noah, wyjątkowym bucem, niewidzącym świata poza swoimi interesami. A macochy nigdy nie ma w domu, więc nie ma o niczym pojęcia. Dzieciaki praktycznie chowają się same.

Poznałam macochę Noaha i zrobiła na mnie dobre wrażenie. Może była zaganiana, ale troskliwa. Natomiast ojciec, cóż...

– Powiedziałaś... potentat – czy to nie David Shaw?

– Nie pytałam o imię.

– Na pewno on – stwierdził tata i gwizdnął cicho. – A niech mnie!

– Znasz go?

– Ze słyszenia. Rok temu władze federalne wzięły pod lupę zarząd jednej ze spółek córek jego megakorporacji... chyba Aurora Biotech, tak się to nazywa. A może Euphrates International? Nie pamiętam w tej chwili, są ich dziesiątki.

- Nie potrzebuje przypadkiem zdolnego prawnika? – podchwyciła mama.
- Ha, dobre!
- Może byłoby to bezpieczniejsze niż twoje dotychczasowe sprawy?
- Zależy. – Ojciec mówił teraz głośniej, jakby stał w drzwiach i zamierzał wyjść.
- Od czego?
- Od układów.

Zaczekałam, aż kroki rodziców oddaliły się i ucichły. Sposób, w jaki rozmawiali o mnie, w jaki myśleli o mnie, był...

Zwłaszcza ojciec. Ciągle brzmiały mi w głowie jego słowa.

„W ogóle nie pojmuję, że jemu ciągle na niej zależy”.

Jego zdaniem nie byłam atrakcyjna dla Noaha. Uważał, że już dawno powinien mnie rzucić.

Choć te słowa budziły we mnie sprzeciw, jakaś zgnębiona częśćka mojej duszy zastanawiała się, czy jednak tata nie ma racji.

W końcu pozbierałam się na tyle, żeby wyjść z łazienki i powstrzymać płacz – przynajmniej do chwili, w której znajdę się znów w swoim pokoju. Ku mojemu zaskoczeniu, ktoś tam był.

Noah siedział, okraczywszy długimi nogami moje białe biurkowe krzeselko, leniwie podpierając podbródek dłonią. Nie uśmiechał się. Nie wyglądał na spiętego. Niczego nie było po nim widać. Po prostu pusta karta.

„Jesteś moją dziewczyną” – powiedział w sędzie.

Czy to nadal prawda?

Noah uniósł brwi.

– Wpatrujesz się we mnie.

Zaczerwieniłam się.

– I co?

– Czujnie.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale coś w chłodno-obojętnym tonie Noaha i niedbałej postawie powstrzymywało mnie przed zbliżeniem się do niego. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o ścianę.

– Co ty w ogóle robisz u nas?

– Dyskutowałam z twoim starszym bratem o Bachtynie, Benjaminie oraz poglądach na myśli *de se* i *de re* jako relewantnych do pojęcia jaźni.

– Wiesz, Noah, czasami mam ochotę zwyczajnie ci przywalić.

Arogancki uśmieszek pojawił się na jego ustach i szybko znikł.

– Lepiej mi nie podpadaj! – ostrzegłam.

Zerknął na mnie spod nieprzyzwoicie długich rzęs, ale nie wykonał najmniejszego ruchu.

– Mam wyjść?

„Wyjaśnij mi tylko, dlaczego tu jesteś – miałam ochotę powiedzieć. – Muszę to usłyszeć”.

– Nie. – Tylko na tyle się zdobyłam.

– Może powiesz mi, co cię gryzie? – zaproponował.

No, fajnie.

– Nie spodziewałam się, że zobaczę cię tutaj po... Nie byłam pewna, czy nadal...

Mój głos zanikł irytująco. Noah odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Rozumiem.

Zmrużyłam oczy.

– Rozumiesz?

Podniósł się leniwym ruchem, ale nie podszedł do mnie. Stał oparty o biurko, z dłońmi na lśniącym, białym blacie.

– Podejrzewasz, że ktoś, kto skrzywdził cię tak bardzo, iż próbowałaś go zabić, jednak żyje. Jesteś przerażona, w dodatku nikt ci nie wierzy, a ja zostawiłem cię samą z tym problemem. – Nadal był spokojny, ale mięśnie jego szczęki niedostrzegalnie się napięły. – Tak właśnie myślisz.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

– Tam, w sądzie, powiedziałaś, że...

– Pamiętam, co powiedziałem – przerwał mi beznamietnym tonem, lecz cień uśmiechu pojawił się na jego ustach. – Zanim się poznaliśmy, chętnie posługiwałem się kłamstwem, ale ty mnie tego oduczyłaś.

Nie do końca rozumiałam, o czym mówi, i pragnęłam wyraźnej odpowiedzi.

– I co, zmieniłeś zdanie?

– Ludzie, na których nam zależy, są dla nas warci więcej niż inni. Tak po prostu jest. – Tym razem jego słowa zabrzmiały szczerze. Nadal obserwował mnie ze spokojem. – Uważałem, że nie musiałaś wtedy dokonać wyboru, o którym mi mówiłaś. Z drugiej strony, gdybym ja sam miał wybierać pomiędzy kimś, kogo kocham, a obcym, wybrałbym tego pierwszego.

Zamrugałam. Wybór, o którym mówiłam?

Nie byłam pewna, czy Noah chce powiedzieć, że nie ma pretensji o to, co zrobiłam, czy przestał już wierzyć, że naprawdę to zrobiłam. Z jednej strony chciałam wyjaśnień, a z drugiej...

Z drugiej strony wolałam nie wiedzieć.

Zanim zdążyłam się zdecydować, Noah znów zaczął mówić.

– Ale nie wierzę, że masz moc przeciwdziałania czyjejs wolnej woli. Nawet gdybyś bardzo chciała.

Ach, zatem sądził, że jeśli nawet w jakiś sposób udało mi się zmaterializować broń w ręku tamtej kobiety, nie mogłam jej zmusić, żeby nacisnęła spust. Dlatego w pojęciu Noaha nie byłam odpowiedzialna za ten wypadek.

A jeśli się myli? A jeśli byłam odpowiedzialna?

Poczułam słabość w nogach i oparłam się mocniej o ścianę, przymykając oczy.

– A gdybym jednak miała taką moc?

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Noah postąpił krok ku mnie.

– Nie masz – powiedział z przekonaniem.

– Skąd wiesz?

Jeszcze dwa kroki.

– Bo to nie ma znaczenia.

Pokręciłam głową.

– Nie rozumiem...

– Bardziej się martwiłem, jakie skutki twój wybór będzie miał dla ciebie niż dla kogoś innego.

Jeszcze jeden krok i będę miała go na wyciągnięcie ręki.

– A teraz? – zapytałam.

Noah się nie poruszył. Badawczo patrzył mi w oczy.

– Nadal się martwię.

Odwróciłam wzrok.

– Cóż, mam teraz większe problemy – powiedziałam, cytując słowa mamy.

Nie kłamałam. Jedno spojrzenie na nagle zeszywniałą postać Noaha upewniło mnie, że wie, o czym mówię.

– Nie pozwolę, żeby Jude cię skrzywdził.

Na dźwięk tego imienia momentalnie zaschło mi w gardle. Przypomniałam sobie zatrzymany kadr w szpitalnym telewizorze, rozmazany obraz Jude'a na ekranie. I zegarek na jego przegubie.

Zegarek.

– Nie chodzi tylko o mnie – powiedziałam i serce zaczęło mi łomotać. – Jude miał na ręku zegarek, taki sam, jaki widziałeś w swojej... w...

„Wizji” – dokończyłam w myśli. Ale nie potrafiłam wypowiedzieć tego głośno.

– Miał taki sam zegarek jak Lassiter – powiedziałam. – Taki sam. – Napotkałam spojrzenie Noaha. – Czy to możliwe?

Milczał przez chwilę.

– Myślisz, że Jude porwał Josepha.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, ale przytaknęłam.

Głos Noaha był cichy, lecz stanowczy.

– Nie pozwolę mu krzywdzić twojej rodziny, Maro.

Powoli wypuściłam powietrze z płuc.

– Nie mogę nawet ostrzec rodziców, żeby uważali. Pomyśleliby, że mam paranoję, jak moja babcia.

Noah zmarszczył brwi.

– Babcia popełniła samobójstwo – wyjaśniłam.

– Co? Kiedy?

– Zaraz po moim urodzeniu. Mama powiedziała mi o tym wczoraj. Tym bardziej się o mnie martwi, skoro mieliśmy w rodzinie przypadek choroby psychicznej.

– Załatwię ludzi do pilnowania waszego domu.

Noah wydawał się taki spokojny. Wręcz zrelaksowany. To tylko wzmagało moją frustrację.

– Rodzice mogą coś zauważyć, nie sądzisz?

– Nie ma opcji. Ci ludzie pracują w prywatnej firmie ochroniarskiej, bardzo, bardzo dobrej. Mój ojciec ich zatrudnia.

– Czemu twój ojciec potrzebuje ochrony?

– Groźby śmierci i tak dalej. Normalka.

Teraz ja się zmieszałam.

– Czy on działa w branży biotechnologicznej?

Na ustach Noaha pojawił się cierpki uśmiech.

– Biotechnologia, czyli „odgrywanie Boga”, jak twierdzą ultrareligijne i ekologiczne grupy, które nienawidzą jego spółek. Widziałas nasz dom. Ojciec nie kryje się zbyt z jego statusem i majątkiem.

– Nie skojarzy, że podbierzesz tych ludzi?

Noah wzruszył ramionami.

– Nie wszyscy pracują dla niego, więc wątpię. Zresztą gdyby nawet, oleje to.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Zdumiewające.

– Co?

– Twoja wolność.

Zanim to się zaczęło, jeszcze przed zawaleniem się szpitala, przed śmiercią Rachel, moi rodzice musieli wiedzieć wszystko o moim życiu. Dokąd wychodzę, z kim, kiedy wracam. Gdy jechałam na zakupy, mama

zawsze sprawdzała, co kupiłam, a jeśli byłam w kinie, prosiła, żebym opowiedziała film. Noah wychodził ze swojego pałacu i wracał, kiedy chciał, jak wolny duch. Mógł szastać forszą lub demonstracyjnie odmawiać jeżdżenia luksusową bryką i nikogo to nie interesowało. Mógł robić, co chciał, kiedy chciał i nikt go o nic nie pytał.

– Rodzice się o ciebie troszczą – powiedział Noah.

Głos miał łagodny, ale brzmiał w nim gorzki ton, który mnie zmroził. Choć nie powiedział nic więcej i choć jego spojrzenie nadal było spokojne i nieodgadnione, usłyszałam słowa, które nie padły: „Ciesz się, że ich masz”.

Miałam ochotę palnąć się w swój głupi łeb. Matka Noaha została zasztyletowana na jego oczach, kiedy był jeszcze dzieckiem. Powinłam się dziesięć razy zastanowić, zanim powiedziałam, że mu zazdroszczę. Oczywiście byłam wdzięczna losowi, że mam takich rodziców, choć trzęśli się nade mną straszliwie i nie chcieli uwierzyć, kiedy wyznałam im szczerze okropną prawdę. Głupio powiedziałam i żałowałam swojej uwagi. Chciałam przytulić się do Noaha, wyszeptać słowa przeprosin, ale odsunął się ode mnie.

Wyciągnął się wygodnie na moim łóżku i powrócił do tematu Jude’a.

– Jeśli dowiemy się, gdzie mieszka...

Usiadłam na krześle, które zajmował przed chwilą, i oparłam łokcie o biurko.

– Jak to, gdzie mieszka? Przecież on oficjalnie nie żyje. Nie może tak po prostu iść do pracy i wynająć sobie mieszkania.

Noah wzruszył ramionami.

– Co?

– To jest Miami – stwierdził, jakby sprawa była oczywista.

– Czyli?

– Czyli można tu na wiele sposobów zarobić kasę i wynająć mieszkanie, nie mając numeru ubezpieczenia społecznego. Zastanawiam się jednak, czy...

– No, mów!

– Czy po wypadku nie zamieszkał u rodziców? – Noah wpatrzył się w sufit.

– Czyli wiedzą, że żyje?

Pokręcił głową.

– Jednak nie. Gdyby tak było, nie ukrywaliby przecież wspaniałej nowiny. Wszyscy by się dowiedzieli o cudownie ocalałym synu.

Teraz mój głos był spokojny.

– Daniel powiedział, że znaleziono tylko jego rękę.

– Wiem, mówił mi.

Zacisnęłam palce na krawędzi biurka.

– To nie ma sensu. Jak mógł ocaleć? Jak to byłoby możliwe?

W pokoju zaczęło się robić ciemno, a temat przejmował mnie grozą. Wyszłam zza biurka i nieśmiało przysiadłam na łóżku. Chciałam być bliżej Noaha.

Przyglądałam mu się kątem oka. Niecały tydzień temu leżałam przytulona do tego pięknego chłopaka i pod policzkiem czułam bicie jego serca. Pragnęłam go znów, ale bałam się ruszyć.

Nie pozostało mi nic innego, jak kontynuować rozmowę.

– Myślisz, że on jest żywy i cały jak my?

– Możliwe. Nie jest powiedziane, że to były jego szczątki.

Pokręciłam głową.

– Nie robili badań DNA?

Noah zmrużył oczy, wpatrując się intensywnie w przestrzeń.

– Zrobiliby, gdyby nie mieli pewności, że to jego szczątki. Poza tym wyniki badań można sfałszować. – W jego głosie pojawiła się nuta napięcia, której wcześniej nie było.

– Kto miałby...?

Przerwał mi Daniel – który zawołał nas z dołu.

– Zaraz schodzimy! – odkrzyknęłam.

Noah opuścił nogi na podłogę i usiadł, starannie unikając kontaktu z moim ciałem i wzrokiem.

– Nie mam pojęcia, ale nie dowiemy się tego, siedząc w twoim pokoju.

– Niestety, nie mogę się ruszyć z domu bez niańki. – Mój głos zabrzmiał gorzko, choć tego nie chciałam. – Sam musisz się dowiedzieć.

Noah wreszcie popatrzył na mnie.

– Nie zostawię cię więcej samej, chyba że naprawdę będę musiał. – Znów był spięty. – Na pewno nie teraz.

Szkoda, że chodziło mu o pilnowanie mnie, a nie o samą potrzebę bycia ze mną.

– A... jak długo tu zostaniesz? – spytałam z nadzieją, której nie powinnam ujawniać.

Odpowiedzią był mój ulubiony półuśmieszek.

– Jak długo byś chciała?

„Jak długo mogę cię mieć przy sobie?” – pomyślałam.

Daniel znów nas zawołał.

– Szkoda – mruknął Noah, zerkając na drzwi. – No nic, na mnie już pora. Twój tata chce spędzić swój pierwszy wieczór w domu, ciesząc się rodziną.

Powstrzymałam westchnienie.

– Jednak twoja mama wie wszystko o moim zimnym, pustym życiu domowym i żal jej pól sieroty, który stoi tu przed tobą.

– Zaiste, jesteś kupką nieszczęścia – przyznałam, niezdolna powstrzymać uśmiechu.

– Pozaliłem się jej, że moje monstrualne domostwo będzie wyjątkowo puste w czasie ferii, więc spodziewam się, że będę tu często bywał. Chyba że masz coś przeciw?

– Nie.

– W takim razie widzimy się jutro – powiedział i ruszył do drzwi. – Do tego czasu zastanowię się, jak pograć z twoim ojcem.

– Z moim ojcem?

Uśmiechnął się.

– Zbliżyliśmy się nieco w szpitalu i myślę, że on po prostu lubi się uważać za dobrego tatusia. Rozumiesz, sam kiedyś byłem chłopcem i pamiętam, jak było.

Nie mówił tego z kpina, tylko z uczuciem.

– Ty ich lubisz – oświeciło mnie.

Noah pytająco uniósł brwi.

– Tak po prostu, po ludzku, przyznaj.

– A nie jak... meble?

– Są moimi rodzicami.

– Tak, wiem.

Zrobiłam minę.

– To dziwne.

– Co?

– Sama nie wiem. – Usiłowałam dobrać odpowiednie słowa. – Dziwna jest świadomość, że rozmawiasz z nimi beze mnie.

– Jeżeli obawiasz się, że Indi pokazuje mi twoje zdjęcia jako gołego bobasa, to niesłusznie.

Dzięki Bogu.

– Już je widziałem – dodał.

Cholera.

– Jestem fanem twoich fryzur z podstawówki – zaznaczył, dobijając mnie do reszty.

– Zamknij się.

– A bo co?

– Dorośnij wreszcie!

– Nigdy – odpowiedział z wyzywającym uśmiechem, a ja uśmiechnęłam się mimo woli. – Poza tym to ich odpręża – dodał. – Zaspokaja. Tak długo, jak ty robisz postępy.

Uniosłam brwi.

– Chcesz mi powiedzieć, żebym wzięła się w garść?

Wreszcie przestał się dystansować. Pochylił się i musnął wargami moje ucho. Puls mi przyspieszył i przymknęłam oczy, sycąc się dotknięciem niedogolonego zarostu na swoim policzku.

– Chcę ci powiedzieć, że nie mogę patrzeć na swoje łóżko, kiedy ciebie w nim nie ma – szepnął Noah, wprawiając mnie w drżenie. – Dlatego rób wszystko, żeby uniknąć zamknięcia, Maro.

Poczułam, że się odsuwa, i otworzyłam oczy.

– Zrobię wszystko – obiecałam.

Pożegnalny, pokrętny uśmieszek.

– I tak trzymaj.

Po odjeździe Noaha zasiedliśmy do kolacji. Tata opowiadał kiepskie dowcipy, Joseph wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, mama obserwowała mnie zbyt wnikliwie, a Daniel trwał w swoim zwykłym, gładkim i spokojnym wcieleniu. Czułam się, jakbym nigdy nie opuszczała domu.

Niemal.

Kiedy skończyliśmy, mama dopilnowała, żebym zażyła swoje liczne psychotropy, a potem wszyscy grzecznie rozeszli się do swoich sypialni. Mijałam pierwsze z rozsuwanych, przeszklonych drzwi w korytarzu, kiedy nagle stanęłam jak wryta, zobaczywszy jakiś cień za nimi.

Całe powietrze uszło mi z płuc.

Jaskrawe światło ulicznych lamp oświetlało ogród, zasnuty gęstą mgłą. Nie wydawało się, żeby ktoś tam się krył, ale widoczność była kiepska.

Serce waliło mi tak głośno, że słyszałam jego uderzenia. Jeszcze tydzień wcześniej zlekceważyłabym sprawę, kładąc wszystko na karb swojego zmaconego umysłu. Pobiegłabym do sypialni i zagrzebałabym się w pościeli, szepcząc do siebie w ciemnościach, że to tylko omamy. Wtedy bałam się tylko o siebie – o to, co mogę zobaczyć i co jestem zdolna zrobić. Teraz zagrożenie było jak najbardziej realne.

Teraz w okolicy krążył Jude.

Ale jeśli chciał mnie zaatakować, czemu w Croyden pokazał się tylko z daleka i zaraz znikł? Tak samo w kubańskiej restauracji – mignął mi tylko i ulotnił się w ułamku sekundy. Powiedzmy, że to on porwał Josepha – ale w sumie nie zrobił mu krzywdy. A komisariat? Wszedł tam i zbliżył się do mnie na tyle, żebym mogła go zobaczyć, nawet dotknąć, i po chwili wyszedł.

O co tu chodziło? Czego chciał?

Drżałam w bezpiecznym wnętrzu domu, gorączkowo łapiąc oddech i wypatrując Jude'a za szybą. Teraz, kiedy wiedziałam, że czai się w pobliżu, nie będę mogła spokojnie wejść pod prysznic i zaciągnąć zasłony, z obawy, że Jude będzie za nią czyhał. Nie będę mogła przejść ciemnym korytarzem, nie umierając ze strachu, że się za mną skrada. Każdy szmer na zewnątrz może być jego krokami. Będę wyobrażała sobie, że jest wszędzie, choćby mi się tylko wydawało.

Tego właśnie chciał. O to mu chodziło – pojęłam nagle.

Dlatego rozsunęłam szklane drzwi i wyszłam na zewnątrz. Jak na Miami noc była wyjątkowo chłodna; deszcz, który padał wcześniej, zmienił się w mgłę i ciemne chmury wisiały na niebie. Gdyby nie działo się to w marcu, na Florydzie, pomyślałabym, że zaraz spadnie śnieg.

Wciągnęłam w płuca wilgotne powietrze; poryw wiatru strząsnął na mnie grad kropel z drzew. Ktoś mógł być w ogrodzie – może Jude – ale przecież w pobliżu są domownicy. Nic mi nie może zrobić.

– Nie boję się ciebie – powiedziałam w ciemność.

Wiatr poniósł moje słowa i włoski zjeżyły mi się na skórze. Dostyc, nie będę wiecznie żyła w strachu przed nim. Jeśli chce mnie sterroryzować, nie uda mu się to. Nie ma mowy!

Komar zabrzęczał mi przy uchu. Odpędziłam go i nagle wdepnęłam w coś mokrego i śliskiego.

W coś miękkiego.

Zawróciłam do drzwi i włączyłam zewnętrzne oświetlenie.

Groza zdławiła mi gardło.

Nieruchome ciało szarego kota leżało o kilkanaście centymetrów od miejsca, gdzie przed chwilą stałam. Zwierzę miało rozcięty brzuch i futro nasiąknięte krwią, która splamiła moje stopy.

Zakryłam dłonią usta, tłumiąc krzyk.

Nie mogę krzyczeć. Nie mogę wydać żadnego dźwięku. Jeśli to zrobię, natychmiast przybiegną rodzice, pytając, co się stało. A potem zobaczą kota. I mnie.

Zaraz będą chcieli wiedzieć, co robię w ogrodzie.

W myślach usłyszałam głos matki.

„Miała osobowość paranoidalną, była podejrzliwa”.

Tak właśnie by o mnie pomyśleli, gdybym powiedziała, że widziałam kogoś pod domem. Pomyśleliby, że mam paranoję. Jestem podejrzliwa. Chora. I jeszcze bardziej by się zmartwili. Jeśli chcę zostać w domu i zachować tę resztkę wolności, która mi została, muszę milczeć.

Zgasiłam światło i wróciłam do domu, zamykając za sobą szklane drzwi. Zostawiłam krwawe ślady w korytarzu. Zdjęłam buty, wzięłam papier toaletowy z łazienki braci i starannie wszystko wytarłam. Na koniec jeszcze raz sprawdziłam, czy wszystkie drzwi do ogrodu są zamknięte.

Wreszcie uciekłam do swojego pokoju.

Dopiero tam zobaczyłam, że cała się trzęsę. Spojrzałam na swoje stopy. Ciągle czułam dotyk miękkiego, mokrego futerka...

Wpadłam do łazienki i zwymiotowałam gwałtownie.

Wilgotne włosy lepiły mi się do głowy, a ubranie ziębiło skórę. Osunęłam się na podłogę i usiadłam na chłodnych kafelkach, przyciągając kolana do piersi. Powoli zamknęłam oczy.

Może jakieś zwierzę zabiło tego kota? Na przykład inny kot albo szop.

To możliwe. A nawet bardzo prawdopodobne.

Wstałam i umyłam zęby. Obmyłam twarz. Zmusiłam się, żeby pójść do łóżka. Powtarzałam sobie, że wszystko jest w porządku, i w końcu nawet zaczęłam w to wierzyć.

Dopóki nie obudziłam się rano i nie spojrzałam w lustro.

Na którym krwią napisano dwa słowa:

DLA CLAIRE

Łazienka zawirowała wokół mnie. Chwyciłam się umywalki, żeby nie upaść.

Krzyknęłam.

Jude wiedział, co się stało tamtej nocy. Wiedział, że to ja spowodowałam zawalenie się budynku. Że zabiłam Claire. Dlatego tu krążył.

Chciałam zawołać rodziców. Pokazać im kota i napis na dowód, że Jude żyje i jest w pobliżu.

Ale ten dowód pewnie by im nie wystarczył. Ręce mi się trzęsły. Mocniej ścisnęłam krawędź umywalki i zamrugałam, odpędzając łzy. Usiłowałam za wszelką cenę zignorować objawy paniki, gotowej wybuchnąć w każdej chwili i pogrzebać moje starannie obmyślane kłamstwa. Zmusiłam nogi, żeby zaprowadziły mnie z powrotem do pokoju. Obejrzałam okno, zajrzałam pod łóżko, a potem sprawdziłam drzwi na korytarzu. Były zamknięte.

Od wewnątrz.

Rozpaczliwie zacisnęłam powieki. Jeśli pokażę rodzicom napis na lustrze, pomyślą, że sama go zrobiłam.

Może nawet pomyślą, że zabiłam kota – uświadomiłam sobie ze zgrozą. Prędzej uwierzą w takie rzeczy niż w to, że Jude żyje.

Ta myśl zabrała mi resztki nadziei. Jude był w mojej sypialni. Zostawił zabitego kota przed domem i krwawy napis na lustrze, a ja muszę milczeć jak grób. Nie mogę powiedzieć o tym rodzicom, bo zamknęliby mnie w psychiatryku, gdzie Jude straszylby mnie zza krat.

Bez Noaha musiałabym radzić sobie sama, całkowicie zdana na siebie.

Tata miał zapewne rację. Jeśli stracę Noaha, mogę stracić zmysły.

W ten szary poranek ciągnęłam na adrenalinie. Musiałam ciągle mieć jakieś zajęcie, bo bałam się, że jeśli choć na chwilę przestanę, to się rozsypię. Zmyłam krew z lustra. Zmusiłam się do zjedzenia śniadania. Uśmiechałam się do rodziców, kiedy szykowaliśmy się do wyjazdu. Powietrze było duszne i ciężkie; w nocy znów padało i teraz wszystko parowało w ciepłe. Zanim wsiedliśmy do samochodu, wyrzałam na patio, szukając śladów stóp wiodących od kota do domu.

Kot zniknął.

Wnętrze samochodu zdawało się zaciskać wokół mnie i choć starałam się brać udział w rozmowie, nie pamiętałam, co mówili rodzice. Mdlilo mnie, choć niewiele zjadłam na śniadanie, i oblewałam się potem.

Nadludzkim wysiłkiem panowałam nad sobą, kiedy mama przepychała się przez korki, i jakoś udało mi się przetrwać tę jazdę. Zajechaliśmy na parking przed jakimś centrum handlowym w Południowym Miami i całą trójką ruszyliśmy do wejścia jednego z budynków. Mama lekko ścisnęła moje ramię, pragnąc zapewne dodać mi otuchy. Dopóki rodzice sądzili, że jestem po prostu spięta, nie było problemu.

Za drzwiami czekał na nas mężczyzna dziwnie podobny do Świętego Mikołaja.

– Marcus Dyer? – zapytał, patrząc na mojego tatę.

Tata kiwnął głową.

– Sam Robins?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Kiedy wyciągnął rękę na powitanie, czerwona koszulka polo opięła mu się na wydatnym brzuchu.

– Witajcie w Horyzontach – powiedział wesoło i zwrócił się do mnie: – Jestem terapeutą wprowadzającym. Jak się jechało?

– Nie najgorzej – odpowiedziała mama. – Czy jest doktor Kells?

– Tak, ale na razie jest zajęta. Ja zajmę się formalnościami. Proszę za mną.

Wnętrze było przyjemniejsze, niż się spodziewałam, i nawet całkiem nowoczesne. Ośrodek miał białe ściany i smukłe, modernistyczne meble. Wystrój urozmaicały abstrakcyjne obrazy w uspokajającej, niebieskiej tonacji. Choć trudno było ocenić to z hoku, budynek wydawał mi się całkiem duży. Być może w poprzednim wcieleniu był szkołą.

Po drodze pan Robins pokazywał nam przeszklone sale: świetlicę, pracownię sztuki, muzyki, jadalnię i inne pomieszczenia. Z wyraźną dumą opowiadał, że ich układ, łącznie z niewielkim ogrodem medytacyjnym zen w centrum, odzwierciedla cele i strukturę całego ośrodka. Mówił coś o „rodzinnej atmosferze” i „stałości”, ale słuchałam go z roztargnieniem. Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę Noaha i opowiem mu, co się stało.

Co zostawił dla mnie Jude.

Zauważyłam, że dorośli spoglądali na mnie wyczekująco, i zrozumiałam, że powinnam coś powiedzieć. Zapytałam o pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

– Gdzie są wszyscy?

Nie widziałam żadnych nastolatków, odkąd tu weszliśmy.

– Są na grupie – wyjaśnił pan Robins. – Rozumiem, że nie zdążyłaś się jeszcze zapoznać z naszymi materiałami?

Kiedy? Pomiędzy rozmowami z rodziną a znalezieniem kota?

– Niestety nie.

– Nie szkodzi, nic się nie stało. Zaraz nadrobimy zaległości. – Obejrzał się na mamę. – Jest pani psychologiem, doktor Dyer?

– Tak – odpowiedziała.

Szliśmy dziwnie klaustrofobicznym korytarzem. Bałam się, że sufit zwali nam się na głowę, ale ściany na szczęście stały mocno.

– Jaka jest pani specjalizacja?

– Głównie pracuję z parami.

– To cudownie! – Robins przerzucił się na tatę i jego również zapytał o pracę.

Pomyślałam, że pewnie już wie. Każdy, kto ogląda telewizję, powinien wiedzieć, kim jest mój ojciec.

Wreszcie pan Robins wprowadził rodziców do gabinetu, znajdującego się w odległej części budynku. Pokój najwyraźniej nie należał do niego. Szklany blat biurka zawały niedbale porozkładane papiery.

Mnie zaprosił na ławkę obok drzwi.

– Maro, zaczekaj tu, aż omówię parę spraw z twoimi rodzicami, dobrze? – Mrugnął do mnie wesoło.

Gdybym nie była taka spięta, wkurzyłby mnie ten protekcjonalizm. Miałam nadzieję, że więcej nie będę miała do czynienia z tym typkiem. Zawsze można mieć nadzieję, nie?

Drzwi zamknęły się za nimi i zostałam na twardej, okropnie niewygodnej drewnianej ławce. Nie było o co zaczepić wzroku i tępo wpatrzyłam się

w kable pod sufitem. Nagle coś trąciło mnie w ramię i upadło na podłogę.

Drgnęłam nerwowo, ale to był tylko zwinięty w kulkę kawałek papieru. Podniosłam go i rozłożyłam. Na kartce była z grubsza naszkicowana sowa z dymkiem wychodzącym z dzioba. A w dymku tylko:

!!!

Odwróciłam się szybko.

– A niech mnie skręci w precel! Toż to Mara Dyer!

Jamie.

Bez dredów, wyższy, ale stuprocentowo, z całą pewnością on. Uśmiechnęłam się tak szeroko, że aż zaboląła mnie twarz. Zerwałam się, żeby go uściskać, ale zasłonił się obronnym gestem.

– Nie dotykaj!

– Zgłupiałeś? – zachnęłam się, choć nadal promieniałam.

Jamie był równie radosny, choć usiłował to ukryć.

– Nie, mówię serio. Takie tu są zasady – wyjaśnił, taksując mnie spojrzeniem.

Zrobiłam to samo. Bez długich włosów jego kości policzkowe wydawały się bardziej wydatne, a rysy bardziej kanciaste. Teraz wyglądał na starszego. Dżinsy miał dziwnie dopasowane, podobnie jak T-shirt. Na koszulce miał nadruk przedstawiający paru gości, chyba starożytnych Greków, trzymających się szeregiem za ramiona i równo wymachujących nogami, jak Rockettes. Jamie zawsze był odlotowy i to się nie zmieniło.

Dokładnie w tym samym momencie zadaliśmy sobie pytanie:

– Co ty tu robisz?

– Dama pierwsza. – Jamie skłonił się krótko.

Zerknęłam na sufit, jakbym tam szukała odpowiedzi.

– PTSD – poinformowałam w końcu. – Od czasu do czasu halucynacje. Nic ciekawego. A ty?

– Och, moim starym wmówiono, że lepiej będzie zapuszkować mnie tutaj, bo nie daj Boże, mógłbym wysadzić szkołę.

Szczęka mi opadła.

– Chyba żartujesz?

– Niestety nie. Nasi kochani przyjaciele z Croyden zaszczepili wszystkowiedzącym dorosłym ten pogląd, podrzucając mi nóż do plecaka.

Anna i Aiden, ta zbójcka parka. Dobrze, że nie muszę już ich widywać. Szczęściara.

Szczęściarze.

Usiadłam na ławce i słuchałam opowieści Jamiego.

– Dorosli nie potrafili przyjąć do wiadomości, że wcześniej tylko żartowałam, grożąc Aidenowi wirusem eboli. Zakwalifikowano te obie sprawy jako podwójną groźbę karalną i kurator w swej niezgłębionej

mądrości uznał mnie za niebezpiecznego osobnika. I teraz mam to w papierach. – Jego kpiący ton nagle zniknął. – Słowa mogą zniszczyć. Co z tego, że jestem zdolny i mam IQ wyższe niż moi nauczyciele, kiedy ludzie patrzą na mnie i kogo widzą? Czarnego nastolatka. A dla większości nie ma nic bardziej groźnego niż wściekły, młody czarnuch. – Wsadził sobie gumę do ust. – No i tak. Oto jestem.

Uśmiechnęłam się nieznacznie.

– Przynajmniej znów się spotkaliśmy.

Jamie wyszczerzył białe zęby.

– Na to wygląda.

Spojrzałam na jego ostrzyżoną głowę.

– Co z twoimi włosami?

– Ach. – Przeciągnął dłonią po głowie. – Kiedy przejętym rodzicom uświadomiono, że ich dziecko podpada pod kategorię „niebezpieczny”, uznali, że muszę się pozbyć wszystkich atrybutów wzmacniających ten wizerunek. Żegnajcie, długie włosy. Żegnaj, buntownicza muzo. Żegnajcie, gry komputerowe, pełne cudownej przemocy. – Udał, że drży mu broda. – Generalnie pozwolono mi tylko na szachy i słuchanie smooth jazzu. Takie mam teraz życie.

Pokręciłam głową.

– Nienawidzę ludzi.

Porozumiewawczo trącił mnie łokciem.

– Dlatego jesteśmy przyjaciółmi. – Wydmuchał mały, turkusowy balonik i szybko wciągnął go z powrotem. – W zeszłym tygodniu widziałem Annę, kiedy mamuśka zaciągnęła mnie do Zdrowej Żywności. Nie poznała mnie.

– Zagadałeś do niej?

– Uprzejmie zasugerowałem, żeby zjechała w przepaść.

Zachichotałam. Od razu poczułam się lepiej, wiedząc, że Jamie jest tutaj i nie będę musiała sama znosić tych idiotyzmów. Już miałam mu to powiedzieć, kiedy drzwi biura uchyliły się i wyjrzał z nich pan Robins.

Popatrzył na mnie, na Jamiego i znów na mnie.

– Możesz wejść, Maro.

– Dobra, leczę, bo się spóźnię na elektrowstrząsy! – zawołał Jamie i dodał, puszczając do mnie oko: – Do zobaczenia, Maro Dyer. – Zasalutował panu Robinsowi, obrócił się na pięcie i odszedł.

Przygryzłam wargi, żeby się nie uśmiechnąć, i weszłam do biura z odpowiednio ponurą miną.

– Proszę, siadaj – powiedział pan Robins, zamykając za mną drzwi.

Usiadłam obok rodziców na niewygodnym plastikowym krzeselku i czekałam na wyrok.

– Najpierw chciałbym wyjaśnić ci parę spraw, a potem podpiszesz dokumenty.

– Dobrze.

– Program Terapeutyczny „Horyzonty” stanowi element generalnej terapii behawioralnej, której podlegasz za zgodą twoich rodziców. Będziesz przyjeżdżała tutaj przez pięć dni w tygodniu na zajęcia trwające od dziewiątej rano do trzeciej po południu, bez przerw. Nieobecności wymagają lekarskiego usprawiedliwienia. Warunkiem sukcesu będzie twoje zaangażowanie i aktywny udział w zajęciach i grupach terapeutycznych...

– A zajęcia szkolne?

Nie byłam takim miłośnikiem nauki jak Daniel, ale przecież myślałam o przyszłości i nie chciałam stracić roku. I tak już się martwiłam, czy te wszystkie przeżycia i psychoterapia nie upośledzą mojego umysłu.

– Będiesz przerabiała program szkolny z naszymi nauczycielami, ale musisz widzieć, Maro, że w Horyzontach kładziemy nacisk na rozwój osobisty, a nie naukowy.

Świetnie.

– Jak już mówiłem, twoje zaangażowanie będzie jednoznaczne z sukcesem. Po dwóch tygodniach będziemy mogli ocenić, czy jest to właściwe miejsce dla ciebie, czy też należy cię przenieść do ośrodka typu ambulatoryjnego.

A więc test. Chcą sprawdzić, czy poradzę sobie tutaj i czy nie będzie... żadnych problemów. Popatrzyłam na twarze rodziców, rozjaśnione nadzieją, i słowo „ambulatoryjny” odbiło się echem w moim umyśle.

Muszę zaliczyć ten test.

Pan Robins skończył zapoznawać mnie z zasadami terapii i podał mi długopis.

Rodzice wyjaśnili mi, że ta część procedury nazywa się „poinformowaną zgodą”. Muszę się zgodzić, gdyż tego wymagają Horyzonty. W sumie nie miałam nic przeciwko temu, a jednak siedząc w tym dziwnym miejscu na twardym, niewygodnym krześle, zawahałam się, spoglądając na długopis. Po kilkunastu nieznośnych sekundach zmusiłam się wreszcie, żeby go użyć.

– Świetnie! – powiedział pan Robins i zatarł ręce. – A teraz, kiedy formalności mamy już za sobą, przedstawię ci Phoebe Reynard, inną studentkę Horyzontów, która pokaże ci ośrodek. Tak – dodał, znacząco kiwając głową – każdy z was jest studentem. Tu się studiuje życie.

O, Boże.

– Każdy z was ma przypisanego kumpla lub kumpelkę – w twoim wypadku będzie nią Phoebe. Będziecie pracowały razem w czasie większości zajęć. W sumie tak samo jak w szkole, prawda?

Jasne.

– Phoebe zaraz tu będzie. Czy masz ze sobą torbę z rzeczami?

Miałam. Z rozpędu wzięłam swoją torbę listonosza, którą nosiłam do szkoły. Kiwnęłam głową.

– Mogę zobaczyć?

Podalam mu.

– Torba będzie sprawdzana co dzień rano, po przyjeździe do ośrodka. Wszystko zostanie spisane, a rzeczy zakazane trafią do depozytu.

– Zakazane?

– Czyli narkotyki, papierosy, alkohol, komórki, laptopy. Zezwalamy na MP4, o ile nie mają dostępu do internetu. To samo dotyczy iPodów – dodał, wskazując na słuchawki, zwisające z kieszeni na piersi mojej bluzy. – Zaraz dam twoją torbę do sprawdzenia i poproszę, żeby szybko ją oddano – powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. – Masz coś w kieszeniach, Maro?

Zamrugałam.

– Co ja mam w kieszeni?

– Słucham?

Uniosłam brwi.

– To tylko cytaty z *Hobbita*.

- Z czego? – Pan Robins miał skonsternowaną minę.
- Chodzi o książkę – wyjaśnił tata, puszczając do mnie oko.
- Masz książkę w kieszeni? – upewnił się pan Robins.

Powstrzymałam zniecierpliwione westchnienie.

- Chciałam tylko powiedzieć, że nie mam w kieszeniach kontrabandy.

- Aha. Czy mogłabyś jednak je opróżnić?

To nie była prośba. Trudno, trzeba się będzie przyzwyczaić. Wyciągnęłam parę drobnych monet, porcję cukru, receptę i oczywiście iPod'a.

- Proszę. – Wzruszyłam ramionami.

- Świetnie!

Dał mi znak, żebym schowała wszystko z powrotem.

Zaledwie to zrobiłam, do gabinetu zajrzała wysoka dziewczyna o prostych, farbowanych czarnych włosach.

- Panie Robins?

– O, jesteś, Phoebe. Maro Dyer, poznaj Phoebe Reynard, twoją nową kumpelkę.

Wyciągnęłam rękę. Dziewczyna przypatrywała mi się badawczo oczami osadzonymi głęboko w okrągłej jak księżyc twarzy. Długi, ostry nos zupełnie do niej nie pasował i miało się wrażenie, że przywędrował tu przypadkiem z zupełnie innego oblicza.

Po wnikliwej inspekcji, która zdawała się trwać w nieskończoność, Phoebe na ułamek sekundy ścisnęła mi rękę miękką, spoconą dłonią, po czym cofnęła ją, jakbym parzyła.

Dziwne. Phoebe zerknęła na Robinsa.

– Dobrze, możecie iść – powiedział. – Ja jeszcze przez chwilę porozmawiam z twoimi rodzicami, Maro, i przedstawię im resztę naszej załogi. Phoebe, wiesz, co masz robić, prawda?

Moja nowa kumpela kiwnęła głową i bez słowa wymaszerowała z gabinetu. Pokazałam rodzicom uniesiony kciuk i pospieszyłam za nią.

Poprowadziła mnie innym korytarzem, udekorowanym pozytywnymi, motywacyjnymi plakatami. Oczekiwałam, że objaśni mi coś, kiedy mijałyśmy różne pomieszczenia, lecz ona milczała zawzięcie. Dziwne zwiedzanie.

– Phoebe... – zaczęłam i urwałam. Jak przełamać lody? – Ehem, jak ci tu jest?

Zatrzymała się i popatrzyła na mnie.

- Co ci powiedzieli?

O, rany.

– Nic. Tak sobie chciałam pogadać.

Phoebe zgromiła mnie wzrokiem pełnym dezaprobaty. Już chciałam wrócić do rodziców, kiedy pojawił się Jamie.

– Przybywam na ratunek – oznajmił.

– Nie powinno cię tu być – wymamrotała Phoebe.

– Oj, oj, nie bądź taką służbistką – zbagatelizował.

Nie spuszczał z niej oka, ale jego następne słowa były przeznaczone dla mnie.

– Sam wysłał cię na zwiedzanie?

– Tak.

– Wobec tego mamy dziesięć minut. Chcesz, żebym odliczał?

Zerknęłam na Phoebe. Zdawała się nas ignorować. Jej wargi drgnęły, ale nie wyszedł z nich ani jeden dźwięk.

– To retoryczne pytanie?

Jamie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chcesz nam towarzyszyć, Phoebe?

– Jestem zajęta.

Jamie zmarszczył czoło.

– A czym, jeśli wolno spytać?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego osunęła się na podłogę i rozpląszczyła się na niej. Nerwowo zerknęłam na Jamiego, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Zostaw – powiedział. – Pamiętaj o grupie, Phoebe – dorzucił jakby nigdy nic.

Ruszyliśmy dalej korytarzem.

– Dokąd idziemy? – zapytałam.

– A czy to ważne?

Korytarz rozszerzył się w aneks, w którym stały wąskie, białe kanapy. Jamie pokazał je szerokim gestem.

– Wspólna przestrzeń. Tu dzielimy się naszymi odczuciami.

Usiadłam na kanapie. Przypomniałam sobie, jak pierwszy raz spotkałam Jamiego w Croyden. Było to niedawno, a wydawało się, jakby upłynęły wieki. Wtedy też mnie oprowadzał, wtajemniczając w zawłość szkolnej hierarchii. Bardzo się cieszyłam, że go poznałam.

– Hej, a co to za mina? – zapytał.

– Czyżbym zrobiła jakąś minę?

– Owszem, tęskną.

– Och, takie małe *déjà vu*.

Niespiesznie kiwnął głową.

– Wiem. Ja też to miewam.

Uśmiechnęłam się i jeszcze raz przyjrzałam się odlotowym antycznym Rockettes na jego T-shircie.

– Co to jest? – spytałam.

Spojrzał w dół i rozciągnął sobie koszulkę, tak żeby dojrzeć obrazek.

– Och, grecki chór.

– Aha.

Jamie z uśmiechem rozparł się na białej kanapie.

– Nie ma obaw, nikt tego nie skojarzy.

– Mmm. – Spojrzałam na niego z ukosa. – Dziwne, że oboje tu jesteście, nie?

Wzruszył ramionami.

– Ja w każdym razie się cieszę, że spośród wszystkich programów terapeutyczno-naprawczych Florydy trafiłam akurat na ten, w którym ty jesteś – powiedziałam i dodałam z uśmiechem: – To musi być zrządzenie losu.

Jamie pogładził podbródek.

– Ładna koncepcja, ale tych programów nie ma wiele. W każdym razie nie takich wydumanych jak ten. – Szerokim gestem ogarnął białą, sterylną przestrzeń. – Snobistyczni rodzice posyłają tutaj swoje pokręcone potomstwo, aby mieć pewność, że na terapii manualnej nie będzie kleić wyklejanek z ciasta. – Zrobił znaczącą pauzę. – Tu się tworzy sztukę z ricciolini, rozumiesz?

– Nic nie rozumiem.

– Och, to naprawdę zabawne, zobaczysz.

– Trzymam za słowo – powiedziałam, obserwując, jak zaczynają nadciągać pacjenci.

Jamie szeptem podrzucał mi informacje na temat kolejnych nastolatków.

– Phoebe to psycholka – powiedział, kiedy weszła. – Tara jest kleptomanką, Adam sadystą, a Megan ma fobie.

Uniosłam brwi.

– A ty?

Udał, że się zastanawia.

– Mądry błazen – zdefiniował się w końcu.

– To nie jest diagnoza.

– Ty tak uważasz.

– A ja?

Jamie przechylił głowę, taksując mnie wzrokiem.

– Jeszcze nie zdiagnozowałem twojego fatalnego zaburzenia.

– Nie zapomnij mnie poinformować, kiedy to zrobisz – poprosiłam, nie całkiem żartem. – A reszta?

Wzruszył ramionami.

– Depresja, niepokój, zaburzenia łaknienia. Nic specjalnego. Na przykład taka Stella. – Pokazał na dziewczynę o wyrazistych rysach i czarnych, kędzierzawych włosach. – Może uchodzić za normalną.

– Może? – podchwyciłam i usłyszałam, jak ktoś z tyłu wymawia moje imię.

– Tu jesteś, Maro! – zawołał pan Robins.

Zbliżał się do nas z moimi rodzicami i w asyście doktor Kells, ubranej jak zwykle w drogie i wytworne ciuchy.

– Maro, poznaj doktor Kells. Pani doktor prowadzi u nas sekcję psychologii klinicznej.

Uśmiechnęła się do mnie. Matowy puder pogłębił zmarszczki wokół jej ust.

– Miło znów cię widzieć, Maro.

– Mnie również – skłamałam.

Pan Robins wręczył mi torbę.

– Sprawdzona, w porządku – poinformował i ogarnął spojrzeniem salę.

– Phoebe pokazała ci wszystko?

„Zanim rozpląszczyła się podłódze czy potem?” – chciałam zapytać.

– Tak – skłamałam. – Bardzo dokładnie.

– I spotkałaś Jamiego – powiedział, przenosząc spojrzenie na mojego przyjaciela, który zdążył zamienić kanapę na fotel w najdalszym końcu sali.

– Znamy się ze szkoły – wyjaśniłam.

– Ach, tak. Cóż za zbieg okoliczności!

Mama pochyliła się i odgarnęła mi pasmo włosów z twarzy.

– Muszę jechać do pracy, koteńku.

– A ty, Maro, zaraz zaczynasz grupę – zaznaczyła z uśmiechem doktor Kells. – Nie mogę się doczekać, kiedy poznam cię lepiej.

Nie mogłam tego powiedzieć o sobie.

Rodzice uściskali mnie na pożegnanie, a pan Robins przeprosił i się oddalił. Doktor Kells zrobiła to samo, lecz na odchodnym dodała:

– Naprawdę się cieszę, że tu jesteś.

Zmusiłam się, żeby pożegnać ją uśmiechem, i zostałam sam na sam ze swoimi rówieśnikami.

Było nas czternaścioro. Większość rozsiadła się na kanapach, inni w fotelach, a reszta na podłodze. Ja usiadłam na krześle i powiesiłam torbę na oparciu. Dopiero teraz zauważyłam, że na poręczy jednej z kanap przysiadła piegowata, uśmiechnięta kobieta w rogowych okularach, w brązowej chustce na głowie. Bujne fałdy długiej, wielowarstwowej spódnicy spływały z kanapy. Władczo klasnęła w dłonie, aż zadzwoniły bransoletki na jej przegubie.

– Możemy zacząć? – zapytała newage’owa terapeutka.

– Tak – wymamrotali obecni.

– Świetnie! Dzisiaj pojawił się wśród nas ktoś wyjątkowy – oznajmiła, zwracając się do mnie z promienną miną. – Czy zechcesz przedstawić się grupie?

Uniosłam rękę w niezdarnym geście pozdrowienia.

– Jestem Mara Dyer.

– Cześć, Maro – odpowiedzieli chórem.

Co za cyrk!

– Cieszymy się, że jesteś z nami. Ja mam na imię Brooke. A teraz, Maro, chciałam cię prosić, żebyś powiedziała nam parę słów o sobie, abyśmy mogli się lepiej poznać – skąd jesteś, ile masz lat i jakie jest twoje największe, ukryte życzenie. Kiedy skończysz, inni po kolei przedstawią ci się w ten sam sposób, dobrze?

Fantastycznie.

– Pochodzę spod Providence – zaczęłam, czując na sobie spojrzenia trzynastu par szklistych oczu. – Z Rhode Island – uściśliłam. – Mam siedemnaście lat. Moim największym, sekretnym życzeniem jest wypisanie się stąd – zakończyłam.

Nie mogłam sobie darować, żeby tego nie powiedzieć.

Moje sekretne życzenie wywołało chichot Jamiego, ale reszta najwyraźniej nie miała poczucia humoru. Nikt się nawet nie uśmiechnął. A kit z nimi!

– Rozumiemy, co czujesz, Maro – powiedziała współczująco Brooke. – Pobyt u nas to dla ciebie niemałe wyzwanie. A teraz proszę, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Pokazała na chłopaka siedzącego na kanapie po mojej lewej stronie. Zaczął mówić, ale nie słuchałam go, bo Phoebe nagle przysiadła się do mnie i zionęła mi w twarz nieświeżym oddechem. Niedostrzegalnym ruchem wsunęła mi do ręki złożoną kartkę.

Czyżby list miłosny? Ładny początek!

To nie był list miłosny. Ani w ogóle list. Kartka okazała się wydrukiem zdjęcia. Przedstawiało mnie, leżącą w łóżku. W piżamie, jaką nosiłam wczoraj. Widać było moją twarz, ale nie miałam oczu.

Wydrapano je ze zdjęcia.

Strach odebrał mi siły i oklapłam, jakbym była marionetką, której Phoebe odcięła sznurki.

– To wypadło z twojej torby – szepnęła.

Wpatrywałam się tępo w fotografię, aż usłyszałam, jak ktoś wymawia moje imię. Wsunęłam zdjęcie do kieszeni i zapytałam, czy mogę wyjść do toalety. Brooke skinęła głową. Chwyciłam torbę i wybiegłam.

W toalecie zamknęłam się w kabinie i zaczęłam przeglądać zawartość torby. Była w niej stara książka w miękkiej oprawie, którą znalazłam w garażu, zapewne należąca do taty, mój szkicownik, w którym dawno nie rysowałam, oraz węgiel do rysowania i ołówki.

A także mój aparat cyfrowy. Ten, który dostałam na urodziny. Nie pamiętałam, żebym wkładała go do torby.

Puls mi przyspieszył, kiedy wyjęłam zdjęcie z kieszeni i jeszcze raz mu się przyjrzałam. Potem włączyłam aparat, wybrałam opcję w menu i czekałam.

Ostatnie zdjęcie wyświetliło się na ekranie. To samo, którego wydruk miałam w ręku.

Poprzednie było podobne – też ja, w łóżku, w piżamie, tylko ciało miało inną pozycję. Na wcześniejszym tak samo. I na jeszcze wcześniejszym.

Razem były cztery.

Kolana się pode mną ugięły i musiałam oprzeć się o ścianę. Nie mogłam zemdleć. Musiałam znaleźć coś, cokolwiek, co byłoby dowodem, że Jude zrobił te zdjęcia. Jude, który żył, był w mojej sypialni i patrzył na mnie śpiącą. Przeglądałam opcje aparatu, usiłując oddychać spokojnie.

Aparat miał timer.

Przeszukano moją torbę; ktokolwiek to robił, musiał trafić na wydrukowane zdjęcie, ale pewnie nie zwrócił na nie uwagi. Ktoś sfotografował mnie we śnie, i tyle. A oczy mogłam sama wydrapać, dla żartu.

Gdybym pokazała zawartość aparatu psychologom czy rodzicom, pomyśleliby pewnie, że sama zrobiłam te zdjęcia, posługując się statywem i samowyzwalaczem. Nie dociekaliby dlaczego. Przecież trafiłam tu z kliniki psychiatrycznej, więc o co pytać?

Słumiłam krzyk, który chciał wyrwać mi się z gardła. Schowałam aparat i wydruk do torby, a potem wróciłam na zajęcia. Nikt już mnie o nic nie

pytał, więc siedziałam cicho. Psycholka Phoebe gapiła się na mnie bez przerwy.

Ignorowałam ją. Z rozmysłem. Przecież mnie testowano. Jak powiedział pan Robins, oceniano, czy pasuję do świata dziennego pobytu. Musiałam im udowodnić, że tak.

Kiedy sesja wreszcie się skończyła, dopadłam Jamiego. Potrzebowałam chwili oddechu.

– Tęsknisz za Croyden? – zagadnęłam z udawaną swobodą.

– Jasne. Zwłaszcza za tymi motywującymi gadkami na przerwach i za *Rydwanami ognia* ryczącymi z głośników.

Dzięki, Jamie.

– Powiedz, że żartujesz!

– Chciałbym. Tam przynajmniej była dobra stołówka – powiedział, kiedy stanęliśmy w kolejce po lunch.

Chciałam zapytać, czym tu karmią, kiedy nagle na przodzie kolejki rozległ się przeraźliwy wrzask. Byłam tak spięta, że sama omal nie wrzasnęłam. Zmartwiała patrzyłam, jak jasnowłosa dziewczyna o twarzy porcelanowej lalki w panice odbiega spod bufetu.

– Megan – szepnął mi do ucha Jamie. – Biedulka boi się wszystkiego. To się jej często zdarza.

Megan przylgnęła do przeciwległej ściany, pokazując na coś z przerażeniem.

Mocno zbudowany „student” o wyglądzie komiksowego przystojniaka podążył w kierunku, który wskazywała jej ręka. W pewnym momencie przykucnął, a ja wspięłam się na palce, żeby lepiej widzieć.

– To zaskroniec – oznajmił głośno i wziął węża w dłonie.

Z ulgą wypuściłam powietrze. Na szczęście...

Megan znów wrzasnęła, kiedy chłopak rozerwał węża na pół.

Przez moment byłam jak sparaliżowana. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Najpierw ten kot w nocy, a teraz to. Gniew wezbrał we mnie i nie stłumiłam go. To było lepsze niż strach. Nie mogłam nic zrobić w sprawie kota, ale tu mogłam zadziałać.

Przepchałam się do chłopaka, który teraz przypominał mi neandertalczyka. U jego stóp, na białej wykładzinie, leżały krwawe szczątki. Prymityw spoglądał na nie z satysfakcją.

Był dużo wyższy ode mnie, ale spojrzałam mu prosto w oczy.

– Coś jest z tobą nie tak?

– Po co ta napinka? – odparł obojętnie. – To tylko wąż.

– A ty jesteś tylko draniem i dupkiem.

Jamie stanął przy mnie.

– Widzę, że poznałaś Adama, naszego dyżurnego sadystę.

Adam jednym ruchem ręki rozpląszczył go na ścianie.

– Ja przynajmniej nie jestem dyżurną ciotą – warknął.

Publika zaczęła klaskać i dopingować przeciwników na różne sposoby:

– Dołóż mu! Nie daj się! Wal go!

Euforię przerwał ostry, rozkazujący głos terapeuty:

– Przestańcie! Ale już!

Jamie niewiele się tym przejął. Uśmiechał się, patrząc w oczy przeciwnikowi, który przyciskał go do ściany.

– No, wal! – prowokował.

Głos miał niski, wibrujący groźbą.

Wydawało się, że Adam tylko na to czekał. Ochoczo cofnął pięść do ciosu, ale krzepki terapeuta w pogniecionej, opiętej koszuli zdążył wykręcić mu rękę do tyłu. Żył nabrzmiały chłopakowi na karku i napięły się na przedramionach; tatuaże, które tam miał, poruszyły się jak żywe. Skóra głowy, wystrzyżonej na rekruta, zrobiła się czerwona. Szczerze mówiąc, wyglądało to dosyć komicznie.

– Wayne – powiedziała do terapeuty Brooke – pomóż Adamowi się wyciszyć. Jamie, my sobie później porozmawiamy.

– O czym mamy rozmawiać? – zapytał niewinnie Jamie. – Ja nic nie zrobiłem.

Kolejny z dorosłych, facet z kucykiem, doniósł Brooke:

– On to sprowokował.

Jamie odwrócił się do niego.

– Niczego nie sprowokowałem, mój drogi Patricku. Po prostu stałem sobie spokojnie, choć niewolny od oburzenia, patrząc, jak Adam niepotrzebnie pozbawia życia biednego gada.

– Już druga – wtrąciła Brooke. – Jedzcie szybko, bo spóźnicie się na terapię teatralną.

– Och, cóż to by była za strata!

Przewróciłam oczami. Ludzie wokół nas szeptali i popatrywali na Jamiego. Miałam wrażenie, że go to cieszy.

– Nieźle pograłeś – skomentowałam, kiedy ponownie ustawiliśmy się w kolejce.

– W którym momencie?

– Kiedy prowokowałeś go do ciosu.

Jamie zamyślił się na moment.

– Faktycznie go prowokowałem. Zabawne, ale odkąd trafiłem tutaj, stałem się bardziej bojowy.

– Hmm... – mruknęłam.

– Co?

– Przypomniały mi się słowa mojego taty.

Pytająco uniósł brwi.

– Powiedział, że wystarczy wsadzić drobnego przestępcę do więzienia o zaostrozonym rygorze, a wyjdzie stamtąd jako spec od przemocy i rozboju.

– Dokładnie tak – przytaknął Jamie. – Moja chęć walenia w mordę jest wprost proporcjonalna do pacyfistycznego nastawienia tutejszego personelu. A ostatnio wszystko doprowadza mnie do szału. I wszyscy.

Dochodziliśmy już prawie do lady. Patrzyłam, jak Wayne podsuwa pacjentom przed nami małe, papierowe kubeczki. Zerknęłam pytająco na Jamiego.

– Najpierw prochy, potem szama – wyjaśnił.

– Dla wszystkich?

– To element całości – wyjaśnił, przesuwając się grzecznie do przodu. – Farmakoterapia w połączeniu z terapią dyskusyjną, i tak dalej, i tak dalej.

Nadeszła jego kolej. Bez wahania wziął dwa kubeczki od terapeuty, który jeszcze przed chwilą usiłował go spacyfikować.

– Jak się masz, Wayne? – pozdrowił go radośnie.

– Cześć, Jamie.

– Twoje zdrowie. – Jamie trzącał się kubeczkiem z innymi pacjentami.

Wayne przeniósł wzrok na mnie.

– Teraz ty.

– Ja jestem tu nowa i...

– A, Mara Dyer – skojarzył i wręczył mi dwa kubeczki.

W jednym była woda, a w drugim pigułki. Wyglądały inaczej niż te, które dotychczas zażywałam. Rozpoznałam tylko jedną.

– Co to jest? – spytałam.

– Twoje leki.

– Ja takich nie biorę.

– Jeżeli chcesz, możesz o tym później porozmawiać z doktor Kells, ale na razie musisz to łyknąć.

Spojrzałam na niego spod zmrużonych powiek.

– Takie są zasady – wyjaśnił, wzruszając ramionami. – Pospiesz się, bo jest kolejka – dodał, podsuwając mi leki.

Zawahałam się, usiłując przemóc opór w gardle.

– Otwórz buzię – polecił.

Posłuchałam.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił.

Czyżbym zasłużyła na medal? Miło by było. Wzięłam jedzenie i odeszłam z Jamiem do stołu. Gadaliśmy sobie i nawet się śmiałam.

Dokładnie w chwili, kiedy doszłam do wniosku, że Horyzonty nie są aż tak straszne, w drzwiach stołówki pojawiła się doktor Kells i wywołała mnie.

– Powodzenia – życzył mi na pożegnanie Jamie.

Nie potrzebowałam wsparcia. Choć miałam za sobą fatalną noc i jeszcze gorszy poranek, znałam swój scenariusz i wiedziałam, że będę się go trzymać.

Kiedy wyszłam ze stołówki, jakieś palce chwyciły mnie za przegub i wciągnęły za róg. Uniosłam wzrok i zobaczyłam Phoebe. Obejrzałam się przez ramię. Nikt nas nie widział.

– Możesz mi podziękować – powiedziała.

Wyszarpnęłam rękę.

– Za co?

Jej twarz była jak maska bez wyrazu.

– Za to, że poprawiłam ci oczy.

A więc to psychotyczna Phoebe wydrapała mi oczy. Nie Jude.

Poczułam jednocześnie ulgę i wściekłość. Jude zrobił zdjęcia i postarał się, żebym zobaczyła je dzisiaj. Żebym się przeraziła.

A jednak ucieszyłam się, że nie on wydrapał mi oczy. Nie bardzo rozumiałam, skąd to uczucie, ale tak było.

Phoebe oddaliła się, zanim zdążyłam coś jeszcze powiedzieć. Wzięłam głęboki wdech i ruszyłam za doktor Kells długim korytarzem. Miałam wrażenie, że ściany napierają na mnie. Phoebe wytrąciła mnie z równowagi i musiałam szybko odzyskać kontrolę nad sobą.

Droga dłużyła mi się w nieskończoność, aż wreszcie dotarłam do drzwi w samym końcu korytarza. Doktor Kells była już w gabinecie.

Pokój był biały jak inne, a jedyne umeblowanie stanowiło biurko z jasnego drzewa i dwa białe krzesła, zdominowane przez pustą przestrzeń. Doktor Kells siedziała przy biurku, a obok niej stał jakiś mężczyzna.

Uśmiechnęła się do mnie i gestem zachęciła, żebym usiadła. Posłuchałam, ale nie trafiłam w krzesło i omal nie klapnęłam na podłogę. Dziwne.

– Jak tam po zajęciach? – zagadnęła.

– Dobrze – skłamałam.

– To cudownie. Poznaj doktora Vargasa.

Mężczyzna uśmiechnął się. Był młody, pewnie jeszcze przed trzydziestką. Miał kędzierzawe włosy i okulary. Trochę przypominał mi Daniela.

– Doktor Vargas jest neuropsychologiem. Pracuje z tą częścią naszych studentów, którzy zmagają się z konsekwencjami urazów głowy i innych poważnych chorób.

– Miło mi pana poznać – powiedziałam.

– Mnie też, Maro – odparł i nie przestając się uśmiechać, wstał i ruszył do drzwi. – Dziękuję, doktor Kells.

– Nie ma za co.

Oddalił się i zostałyśmy same. Pani doktor wyszła z biurka i usiadła na krześle naprzeciwko mnie. Uśmiechała się. Nie miała notesu i długopisu ani dyktafonu. Po prostu... patrzyła.

Powietrze stało się nagle duszne i moje myśli spowolniły. Mijały dręczące minuty, jak gdyby czas płynął inaczej w tym wielkim, pustym pomieszczeniu. Rozejrzałam się w poszukiwaniu zegara, ale go nie było.

– Cóż – powiedziała wreszcie doktor Kells – powinniśmy najpierw porozmawiać o tym, dlaczego się tutaj znalazłaś.

Pora na przedstawienie. Przywołałam w pamięci symptomy zespołu stresu pourazowego, żeby wszystko, co powiem, podpadało pod tę diagnozę, a nie pod schizofrenię czy coś jeszcze gorszego.

– Jestem tutaj – zaczęłam ostrożnie – gdyż przeżyłam traumę. Moja najlepsza przyjaciółka zginęła. – Teraz wymowna pauza i jedziemy dalej: – Było to dla mnie straszliwym wstrząsem. Ciągłe o tym myślę. Miałam halucynacje. I dziwne przebiegi pamięci. – Urwałam. Może wystarczy?

– I dlatego twoja rodzina przeprowadziła się na Florydę – podsumowała doktor Kells.

Właśnie.

– Tak.

– Jednak nie tylko z tego powodu uczestniczysz w naszym programie.

Przełknęłam ślinę.

– Myślę, że nie zdołałam jeszcze przepracować wszystkiego.

Miało to zabrzmieć niewinnie, a zabrzmiało nerwowo.

Pani doktor kiwnęła głową.

– Nikt nie oczekuje od ciebie, że szybko się z tym uporasz, Maro. Mnie jednak chodzi o coś innego – chcę wiedzieć, czy rozumiesz, dlaczego znalazłaś się tutaj. Właśnie teraz.

Aha, chciała usłyszeć o Judzie. O tym, iż wierzę, że on żyje. Muszę jej odpowiedzieć, ale to będzie stąpanie po kruchym lodzie. Jeśli zacznę starannie ważyć słowa, domyśli się, że chcę nią manipulować. Jeśli będę zbyt szczerą, może uznać, że jestem bardziej zaburzona, niż się jej wydawało.

Odpowiedziałam, udając, że jestem bardzo poruszona:

– Mój ojciec został postrzelony. I... i myślałam, że umrze. Załamalam się. Pojechałam na policję i zaczęłam krzyczeć. Ja... po prostu nie byłam sobą. Chyba mnie to przerosło.

Poczułam ucisk w żołądku. Miałam nadzieję, że teraz ona zacznie mówić.

Nie zaczęła.

– Wspomniałaś policjantom o swoim chłopaku, Judzie.

Nienawidziłam samego dźwięku tego imienia.

– Eks.

– Słucham?

– Eks. Były chłopak.

– Były chłopak – powtórzyła i popatrzyła na mnie tak samo jak doktor

West parę dni temu. – Dobrze, więc wspomniałaś o swoim byłym chłopaku. Powiedziałaś, że Jude tam był.

Słowa DLA CLAIRE, wypisane krwawymi literami, pojawiły się na białej ścianie za głową doktor Kells. Wstrząsnął mną dreszcz grozy, zanim odpędziłam je mruganiem.

– Z informacji w twojej kartotece wynika, że twój chłopak, Jude – przepraszam, były chłopak – oraz twoje przyjaciółki Rachel i Claire, zginęli w wyniku zaważenia się gmachu nieczynnego szpitala psychiatrycznego Tamerlane na Rhode Island.

– Tak. – Mój głos był ledwie słyszalnym szeptem.

– Tymczasem twierdzisz, że Jude żyje i jest tutaj.

Milczałam.

– Czy widziałaś go od czasu tamtego wypadku, Maro?

Znów ogarnął mnie kamienny spokój. Odpowiedziałam, starannie modulując głos:

– To przecież niemożliwe.

Doktor Kells oparła łokieć na biurku i podparła dłonią policzek. Teraz patrzyła na mnie ze współczuciem.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

A to mnie zaskoczyła!

– Tak.

– Myślę, że obwiniasz siebie o śmierć przyjaciółek. I swojego chłopaka.

– Eks! – zawyłam.

Cholera.

Doktor Kells nie zareagowała. Jej głos był spokojny.

– Czy coś wydarzyło się pomiędzy tobą a Jude’em, Maro?

Nawet nie zauważyłam, że oddycham z wysiłkiem. Przymknęłam oczy. Panuj nad sobą!

– Proszę, powiedz mi prawdę – poprosiła łagodnie.

– Jakie to ma teraz znaczenie?

Łza spłynęła mi po policzku. O, do licha.

– Łatwiej będzie ci pomóc, jeśli powiesz prawdę. A przecież wiesz, że bardzo chcę ci pomóc, Maro.

Milczałam.

– Dobrze, więc posłuchaj. – Doktor Kells odchyliła się na oparcie krzesła.

– Niektórzy twoi rówieśnicy uczestniczą w naszym programie od lat; zaczynali tutaj, a potem przechodzili do ośrodka ambulatoryjnego i są tam do dzisiaj. Sądzę, że nie będziesz potrzebowała takiej formy leczenia. Myślę,

że to miejsce spełni swoje zadanie. Pomoże ci wrócić do siebie. Wydarzenia ostatnich sześciu miesięcy po prostu cię przerosły i trudno się dziwić. Przeżyłaś koszmarne wypadek.

To nie był wypadek.

– Zginęła twoja najlepsza przyjaciółka.

Zabiłam ją.

– Zmieniłaś miejsce zamieszkania.

Żeby spróbować zapomnieć o tym, co zrobiłam.

– Umarła twoja nauczycielka.

Bo tego chciałam.

– Twój ojciec został postrzelony.

Bo zmusiłam kogoś, żeby nacisnął spust.

– Przeżyłaś więcej traumy, niż przeciętny człowiek doznaje w całym swoim życiu, a wszystko w ciągu zaledwie pół roku. Moim zdaniem nasze rozmowy mogą ci bardzo pomóc. Wiem, że spotykałaś się wcześniej z innymi terapeutami.

I o wiele bardziej mi się podobali.

– Niemniej jednak czeka cię pobyt u nas i choć wiem, że najchętniej byś się wypisała, szybko przekonasz się, że nie będzie to czas stracony.

Już nie hamowałam łez. Płynęły strumieniem.

– Co pani chce wiedzieć?

– Co wydarzyło się pomiędzy tobą a Jude'em?

W gardle mnie piekło i nos swędział od płaczu.

– On... całował mnie. Nie chciałam tego.

– Kiedy?

– Tamtej nocy. Kiedy...

„Zginął” – omal tego nie powiedziałam. Ale przecież nie zginął. Żył.

– Czy coś jeszcze robił?

– Próbował.

Opowiedziałam doktor Kells o tamtej nocy i o zachowaniu Jude'a.

– Zgwałcił cię? – spytała.

Pokręciłam głową.

– Nie.

– Jak daleko się posunął?

Twarz płonęła mi gorącem.

– Przycisnął mnie do ściany, ale...

– Ale co?

Ale go powstrzymałam.

– Budynek zawalił się, zanim zdążył mi coś zrobić – wyjaśniłam.

Doktor Kells zerknęła na mnie z ukosa.

– I on zginął, a ty przeżyłaś.

Milczałam.

Lekko wychyliła się w przód.

– Czy Jude wcześniej chciał od ciebie czegoś, na co nie miałaś ochoty, Maro?

Miałam ochotę nią potrząsnąć. Zupełnie jakby sądziła, że jakiś wymagowany demon siedzi mi na ramieniu i podszeptuje do ucha złe myśli.

– Czy myślisz, że Jude żyje? – spytała znów.

Z trudem się powstrzymałam, żeby nie chwycić tej baby za kołnierz perfekcyjnie wyprasowanej, jedwabnej bluzki i nie wrzasnąć jej prosto w twarz: „On żyje!”. Nadludzkim wysiłkiem zmusiłam się, żeby odpowiedzieć krótko:

– Nie.

Doktor Kells westchnęła.

– Maro, jeśli będziesz kłamać, zmusisz mnie, żebym zmieniła twój sposób leczenia. Nie chcę traktować cię jak patologicznej kłamczuchy. Postaraj się, żebym mogła ci ufać.

Nie ufałaby mi nawet wtedy, gdybym powiedziała jej prawdę, więc musiałam kłamać dalej.

– Nie myślę, że Jude żyje – powiedziałam z naciskiem. – Wiem, że to nieprawda. Ale czasami...

– Czasami...

– Czasami mnie to przeraża, rozumie pani? – brnęłam. – Sama możliwość, że tak mogłoby być. Jakby potwór krył się w mojej szafie albo pod łóżkiem.

Właśnie tak. Szczerość i rozsądny dystans. Może wreszcie ją zaspokoiliam, nie bredząc przy tym jak szalenciec.

Kiwnęła głową.

– Absolutnie rozumiem. Takie lęki mogą wystąpić i będziemy pracować na tym problemem w trakcie twojego pobytu u nas.

Odetchnęłam z ulgą.

– Cieszę się – zełgałam.

– Założmy jednak, oczywiście hipotetycznie, że Jude nie zginął pod gruzami szpitala – podjęła.

Nie spodziewałam się, że pracę nad problemem zaczniemy już dzisiaj.

– Dobrze...

– I założmy, że jest na Florydzie.

– Dobrze...

– Jak myślisz, co miałby tu robić? Czego się lękaasz?

Wkroczyłam na niebezpieczny teren, ale nie mogłam zignorować jej pytania.

– Boję się, że on... prześladowałby mnie w jakiś sposób.

Nie musiałam kłamać, tak było.

– Dlaczego miałby lecieć aż na Florydę, żeby cię prześladować?

Zamordowany kot. Słowa wypisane krwią na moim lustrze. Zdjęcia. Puls przyspieszył mi na samo wspomnienie.

– Żeby mnie zastraszyć – powiedziałam.

– Czemu miałby to robić?

Bo próbowałam go zabić. Bo zabiłam jego siostrę.

Takie odpowiedzi przyszyły mi do głowy. Oczywiście nie mogłam ich ujawnić. Zamiast tego pokręciłam głową i zapytałam:

– Dlaczego na mnie napadł?

– To są dwa różne pytania, Maro. Gwałciciele...

– Nie zgwałcił mnie – przerwałam jej.

Doktor Kells patrzyła na mnie odrobinę za długo.

– Nie zgwałcił mnie, bo...

Bo nie dopuściłam do tego, dodałam w myślach.

– Nie zrobił tego – dodałam tylko. – Co pani chciała powiedzieć?

– Że w gwałcie chodzi przede wszystkim o poczucie władzy, dominacji, a nie o seks. O użycie siły bądź groźby dla przejęcia kontroli nad drugą osobą.

– Jednym słowem, gdyby Jude żył, choć to oczywiście nieprawda, prześladowałby mnie, aby pokazać, że ma nade mną władzę. Że może mnie zastraszyć – powiedziałam.

Tak, to by pasowało.

Doktor Kells wpatrywała się we mnie intensywnie.

– Powiedziałaś mi dzisiaj wiele rzeczy, Maro. Teraz muszę je sobie przemyśleć. Ale jeśli to cię interesuje, mogę ci powiedzieć, co wstępnie o tym sądzę.

Jej wnioski interesowały mnie tak jak, powiedzmy, lewatywa.

– Jasne – przytaknęłam.

– Na policji wyznałaś detektywowi, że to ty zabiłaś Claire i Rachel.

O, rany.

– Sądzę, że powiedziałaś tak, bo czujesz się głęboko winna,

odpowiedzialna za wszystko. Za śmierć przyjaciółki. Za przymusową przeprowadzkę twojej rodziny na Florydę. Za to, co ich potem spotkało. Moim zdaniem doświadczyłaś dwojakiej traumy – z powodu seksualnej napaści Jude’a, a potem katastrofy. Przy czym, paradoksalnie, w jakiś sposób dało ci to poczucie mocy. Na tyle, abyś zaczęła sobie wyobrażać, że powstrzymałaś Jude’a od zrobienia tego, co twoim zdaniem zamierzał. I potem, przy każdym kolejnym, negatywnym zdarzeniu czy zbiegu okoliczności, utwierdzałaś się w przekonaniu, że sama je wywołałaś. A to z kolei umocniło w tobie błędne poczucie, że potrafisz w jakiś sposób kontrolować rzeczywistość. Jednak podświadomie nie wierzysz w swoje moce i stąd twój strach, że Jude żyje i może cię prześladować.

Dziwiłam się, jak udaje mi się zachować normalną psychikę, kiedy bez przerwy wmawia mi się, że jestem nienormalna.

– Bardzo interesujące – stwierdziłam.

– Czy mogę cię o coś zapytać, Maro?

A czy mam wybór?

– Oczywiście.

– Czego tak naprawdę chcesz?

Przechyliłam głowę w zadumie.

– W tej chwili?

– Nie, ogólnie.

– Chcę... chcę...

Usiłowałam pomyśleć. Czego ja chcę? Powrotu? Do czasów, kiedy moim największym problemem był fakt, że Claire chce mi ukraść przyjaciółkę? Czy nawet jeszcze wcześniejszych, zanim poznałam Claire? I Jude’a?

Ale wtedy nie byłoby Noaha.

Zobaczyłam go w wyobraźni, klęczącego u moich stóp. Wiążącego mi sznurowadła. Patrzącego na mnie z dołu tymi szaroniebieskimi oczami, z półuśmiechem, który tak kochałam.

Nie chciałam powrócić do czasów, kiedy jeszcze go nie było. Nie chciałam go stracić. Chciałam po prostu...

– Wyzdrowieć – powiedziałam w końcu.

Dla mojej rodziny. Dla Noaha. Dla siebie samej. Chciałam mieć zwyczajne zmartwienia, jak dostanie się na studia. Pewnie nigdy nie będę całkiem normalna, ale może nauczę się prowadzić prawie normalne życie.

– Bardzo się cieszę, że to powiedziałaś. – Doktor Kells wstała. – Pomożemy ci w powrocie do zdrowia, Maro, ale musisz sama tego chcieć. Inaczej nie zdołamy ci pomóc.

Kiwnęłam głową i też chciałam wstać, ale się zachwiałam. Usiłowałam oprzeć się o biurko, ale moje odruchy były tak spowolnione, że nie trafiłam ręką na blat i stałam tak, schylona, ledwo trzymając się na nogach.

Doktor Kells położyła mi rękę na ramieniu.

– Źle się czujesz?

Usłyszałam echo jej słów, ale w głosie kogoś innego.

W swojej głowie.

Zamrugałam. W oczach doktor Kells były troska i niepokój. Usiłowałam skinąć głową, ale ten ruch jeszcze bardziej zaburzył moje myśli. Co się ze mną dzieło?

– Co się dzieje? – zapytała.

Teraz wpatrywała się we mnie z wyraźnym zainteresowaniem. Dziwne. Jakby czekała, aż coś się wydarzy.

Czułam się paranoidalnie. Podejrzliwie.

Chciałam coś powiedzieć, ale twarz doktor Kells odpłynęła z zasięgu mojego wzroku.

– Może wody? – spytała i znów usłyszałam echo, z bardzo daleka.

Musiałam jednak kiwnąć głową, bo doktor Kells pomogła mi usiąść i powiedziała, że zaraz wróci. Usłyszałam, jak drzwi za moimi plecami otwierają się i zamykają.

A potem straciłam przytomność.

PRZEDTEM
Kalkuta, Indie

Z głową opartą na rękach, trzymając się burty powozu, spoglądałam zza zasłonki na mięsiste, kremowe kwiaty, którymi osypane były drzewa, i gęsty zielony bluszcz, oplatający pnie. Liany zwisały z konarów nad nami i mogłam ich dotknąć, ale było mi to obojętne. Znałam ten świat – zielony świat omszałych skał i błyszczących liści; mieniący się barwami klejnotów świat bujnych kwiatów dżungli i zachodów słońca. Już mnie nie interesował. Teraz nowy i fascynujący był maleńki świat tego powozu.

– Źle się czujesz?

Słyszałam słowa białego człowieka, jego pytający ton, ale nie rozumiałam, co mówi. Głos brzmiał cicho w tapicerowanym wnętrzu powozu. Nie zadałam sobie trudu, żeby spojrzeć na jego twarz.

Pojazd podskoczył na wyboju i moje małe palce wczepiły się odruchowo w pluszowe siedzenie. Welwet, powiedział ten człowiek, kiedy pierwszy raz musnęłam palcami to чудо. Nigdy nie dotykałam czegoś tak miękkiego; takie rzeczy nie istniały w świecie skór i futer.

Posuwaliśmy się naprzód powoli, o wiele wolniej niż słonie, lecz wytrwale pełziliśmy przed siebie, od kilkunastu dni i nocy. W końcu wilgotne lasy ustąpiły miejsca wyschniętej ziemi, a krajobraz nie był już zielony, tylko czarny i brunatny. Ostra woń dymu wypełniła atmosferę, mieszając się z zapachem drewna sandałowego, unoszącym się w powozie.

Konie zwolniły i znów wyjrzałam na zewnątrz. Byłam wstrząśnięta tym, co zobaczyłam.

Ogromne, nieruchome bestie – większe niż wszystko, co dotąd znałam – wynurzały się z wody. Ich wąskie ciała wznosiły się do nieba, a na nich roiły się tłumy mężczyzn, choć same stwory trwały w bezruchu. Słyszałam dziwne, obce, nieznane mi głosy. Smak przypraw pojawił się na moim języku, a nozdrza wypełniła woń mokrej ziemi.

Biały człowiek wyciągnął rękę i pokazał na bestie. „Statki” – powiedział i jego drżąca ręka opadła. Mięśnie miał słabe i sflaczałe. Osunął się w ciemny kąt kabiny, z wysiłkiem łapiąc oddech.

Powóz stanął. Ktoś otworzył drzwiczki. Mężczyzna o miłej twarzy,

w jasnyniebieskim stroju, wyciągnął do mnie rękę.

– Chodź – powiedział w języku, który rozumiałam.

Jego głos był ciepły i gładki jak nagrzana słońcem woda. Nie obawiałam się go i śmiało wysiadłam. Oczekiwałam, że biały człowiek dołączy do mnie, jak zwykle kiedy wychodziliśmy z powozu w trakcie podróży, jednak tym razem został w środku. Przesunął się tylko do okna, ale jego twarz kryła się w cieniu. Słabą, trzęsącą się z wysiłku ręką podał mały, czarny worek człowiekowi w niebieskim ubraniu.

– Wracaj tutaj w każdy ostatni dzień tygodnia, a mój sekretarz będzie ci płacił, dopóki będziesz miał ze sobą dziewczynkę.

Niebieski Człowiek przyjął worek i kornie skłonił głowę.

– Raj jest hojny.

Biały zaśmiał się. Dźwięk jego śmiechu był cichy, słaby.

– To Kompania Wschodnioindyjska jest hojna – powiedział i dał mi znak, żebym się zbliżyła.

Podeszłam do powozu. Gestem nakazał, żebym nadstawiła dłoń.

Posłuchałam i włożył mi do ręki coś zimnego i błyszczącego. Poczułam niemiły dotyk jego suchej skóry.

– Niech kupi sobie coś ładnego – polecił Niebieskiemu Człowiekowi.

– Tak, panie. Jak jej na imię?

– Nie wiem. Moi przewodnicy zagadywali ją, ale nie chciała z nimi rozmawiać.

– Może nie rozumiała języka?

– Potakuje albo kręci głową w odpowiedzi na pytania zadawane w sanskrycie i hindi, więc myślę, że rozumie. Poza tym ma bystre spojrzenie. Sądzę, że szybko nauczy się angielskiego.

– Będzie piękną narzeczoną.

Biały roześmiał się, tym razem żywiej.

– Myślę, że moja żona poczułaby się dotknięta. No, dziewczyno, nie przynieś mi wstydu.

– Kiedy po nią wrócisz, panie?

– Dzisiaj odpływam do Londynu. Interesy zatrzymają mnie tam na dobre pół roku. Ale mam nadzieję, że potem szybko wrócę, być może z żoną i synem. Mężczyzna rozkaszłał się.

– Może wody?

Kaszel nasilił się, ale biały człowiek odmownie machnął ręką.

– Czy czujesz się na siłach do podróży, panie?

Biały odczekał, aż atak kaszlu się skończy.

– To gorączka rzeczna – powiedział. – Potrzebuję tylko świeżej wody i odpoczynku.

– Moja żona może przygotować leczniczą nalewkę, panie.

– Nie, dzięki, to wkrótce minie. Studiowałem medycynę po ukończeniu szkoły wojskowej w Croydon. No, pora na mnie. Uważaj na siebie i na nią.

Niebieski Człowiek kiwnął głową, a biały wycofał się w głąb powozu, zamykając drzwi.

Niebieski Człowiek podszedł do koni i zagadał do woźnicy siedzącego na koźle. Mówił swoim językiem. Naszym.

– Zrób dla niego miksturę z suszonego czosnku, soku cytrynowego, miodu, soku z tamaryndowca i dzikiej kurkumy. Dawaj mu do picia cztery razy na godzinę.

Wręczył mężczyźnie dwa błyszczące krążki, wyjęte z sakiewki. Stangret – bo tak biały nazywał woźnicę – skinął głową i zebrał lejce.

– Zaczekaj. – Niebieski Człowiek powstrzymał go gestem.

Stangret zczekał.

– Byłeś przy tym, jak znaleźli tę dziewczynę?

Czarne oczy stangreta na moment spoczęły na mnie, a potem odwrócił wzrok. Z wolna pokręcił głową.

– Nie, ale mój przyjaciel, tragarz z ich wyprawy, przy tym był.

Nie powiedział nic więcej, tylko wyciągnął rękę do Niebieskiego Człowieka. Ten z westchnieniem włożył mu w nastawioną dłoń jeszcze dwa srebrne krążki.

Stangret uśmiechnął się, pokazując szczerbate dziąsła. Znów zerknął na mnie.

– Nie chcę, żeby ona słuchała.

Niebieski Człowiek odwrócił się do mnie.

– Idź, pooglądaj sobie – powiedział, pokazując na statki.

Kiwnęłam głową, ale po paru krokach umknęłam za powóz i przylgnęłam do jego burty, gdzie nie mogli mnie zobaczyć. Zamieniłam się w słuch.

– Mów, co ci opowiadał – polecił Niebieski Człowiek.

Stangret zaczął mówić ściszym głosem:

– Tropili tygrysa, o parę dni drogi od Prayangi. Podążali za nim przez dżunglę na grzbietach słoni, aż nagle słonie stanęły i żadna siła nie była w stanie ruszyć ich z miejsca – ani smakołyki, ani kije. Ale ten szaleniec – stuknął w dach powozu – uparł się, żeby dalej iść na piechotę. Tylko trzech ludzi zgodziło się pójść z nim. W tym jeden obcy, pewnie przewodnik białego. Drugim był kucharz, a trzecim – łowca, brat tragarza, mojego

przyjaciela.

– Mów dalej.

– Trop tygrysa zaprowadził ich w wysokie trawy. Każdy myśliwy wie, że w takiej trawie czai się śmierć, i łowca nalegał, żeby zawrócić. Z kolei obcy obstawał, żeby iść dalej, i biały człowiek go posłuchał. Kucharz też poszedł z nimi, więc łowca został sam. I więcej go nie widziano.

– No i co się stało?

W głosie Niebieskiego Człowieka brzmiała ciekawość, a nie groza.

– Tych trzech godzinami szło tropem tygrysa przez morze traw, aż natrafili na kałużę krwi.

– Tygrys coś upolował?

– Nie – odpowiedział stangret.

Konie zatupały i zachrapały niespokojnie.

– Gdyby tygrys coś upolował, widać by było ślady prowadzące od kałuży. Poza tym wałyby się resztki kości, mięsa i skóry. A tam niczego nie było. Tylko ta krew. I żadnych much na niej. Nie znaleźli też zakopanych resztek. Obeszli kałużę i przyjrzeni się trawie. Wtedy zobaczyli ślady stóp. Dziecięcych stóp uwalanych krwią.

– Te ślady prowadziły do dziewczynki?

– Tak – powiedział stangret. – Leżała skulona między korzeniami drzewa. Spała. A w garści zaciskała ludzkie serce.

Otworzyłam oczy. Biel ścian zmyła żywe kolory koszmarnego snu.

Leżałam na łóżku i patrzyłam w sufit. Ale to nie było moje łóżko i nie byłam w domu. Skórę miałam mokrą od potu, a serce biło mi gwałtownie. Szybko wróciłam pamięcią do snu, żeby mi nie umknął.

– Jak się czujesz?

Ten głos całkowicie przywrócił mnie do rzeczywistości. Powoli wypuściłam powietrze i oparłam się na zeszywniałych łokciach, żeby zobaczyć mówiącego. W polu mojego widzenia pojawił się mężczyzna o kasztanowych włosach, związanych w kucyk. Rozpoznałam go, ale nie mogłam sobie przypomnieć jego imienia.

– Kim jesteś? – zapytałam czujnie.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Mam na imię Patrick. Zemdlałaś, Maro. Jak się czujesz? – powołał pytanie.

Przymknęłam oczy. Byłam chora od tego chorowania.

– Dobrze – powiedziałam.

U boku Patricka pojawiła się doktor Kells.

– Przestraszyłaś nas, Maro. Czy cierpisz na hipoglikemię?

Moje myśli były ciągle spowolnione, ale serce biło szybko.

– Co?

– Hipoglikemia – powtórzyła.

– Nic o tym nie wiem.

Usiadłam powoli na wąskiej, niewygodnej leżance. Pokręciłam głową i ból jeszcze się zwiększył.

– Nigdy mi się to nie zdarzyło.

– Rozumiem. Dowiemy się, kiedy przyjdą wyniki badania krwi.

– Badanie krwi?

Spojrzała na moją rękę. W zgięciu łokcia miałam watkę. Zobaczyłam, że ktoś zwinął moją bluzę i położył ją w nogach łóżka. Przycisnęłam wacik dłonią, starając się ukryć zdenerwowanie.

– Musieliśmy działać szybko. Martwiliśmy się o ciebie.

Doktor Kells najwidoczniej pragnęła się wytłumaczyć. Co oznaczało, że musiałam naprawdę kiepsko wyglądać.

– Dzwoniliśmy do twojej mamy – dodała. – Powiedziała, że tata zaraz po

ciebie przyjedzie. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze, ale lepiej, żebyś dzisiaj odpoczęła.

Czekałam w milczeniu, aż pojawi się tata. Gdy wszedł do sali, uśmiechnął się szeroko na mój widok, ale przygarbione ramiona wskazywały, jak bardzo jest zgnębiony.

– Jak się czujesz?

Wkurzyło mnie, że pobrali mi krew. I że zemdlałam. Ciągle się bałam, że to znów się stanie, bo przecież zdarzało mi się wcześniej.

Na przykład na wystawie w Centrum Sztuki, na którą zawiózł mnie Noah, gdzie miałam wizję i straciłam przytomność. I po tym, jak wypiąłam krew kurczaka w ośrodku kultu Santerii, który już nie istnieje. Za każdym razem, gdy nadchodził atak, kontury rzeczywistości zacierały się i czułam narastający lęk. Dezorientację. Niepewność, co jest realne, a co nie. Przystawałam sobie ufać i to było jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Oczywiście nie zamierzałam zwierzać się z tego, ale tata czekał na odpowiedź. Powiedziałam tylko:

– Pobrali mi krew.

– Nieźle ich wystraszyłaś, Maro. Okazało się, że miałaś niski poziom cukru. Może w drodze do domu wstąpimy na lody?

Pytał z taką nadzieją, że kiwnęłam głową, udając entuzjazm.

Momentalnie się rozpromienił.

– Fantastycznie – powiedział i pomógł mi wstać z leżanki.

Wzięłam bluzę i ruszyliśmy do wyjścia. Po drodze wypatrywałam Jamiego, ale nigdzie nie było go widać.

Kiedy doszliśmy do drzwi, tata wyjął parasol.

– Leje jak z cebra – powiedział, pokazując ruchem głowy na szklaną tafłę.

Strumienie deszczu zalewały asfalt. Drzwi rozsunęły się i stanęliśmy pod okapem. Tata walczył z parasolem, a ja szybko założyłam bluzę i skrzyżowałam ramiona na piersi. Zastanawiałam się, która może być godzina, bo jedynym samochodem na parkingu – oprócz wozu taty – był stary, biały pikap.

Tata zerknął na mnie z troską.

– Niestety, będziemy musieli podbiec, bo tak zacina, że parasol niewiele pomoże.

– Możesz biegać? – zapytałam z równą troską.

Poklepał miejsce pod żebrami.

– Jestem jak nowy. A ty dasz radę?

Kiwnęłam głową.

– Może dam ci parasol?

– Nie, nie trzeba – mruknęłam, spoglądając na ścianę deszczu.

– Okej, w takim razie liczę do trzech i lecimy. Raz... – Ugiął kolano, przyjmując pozycję startową. – Dwa... Trzy!

Wyskoczyliśmy spod daszka. Tata próbował trzymać nad nami parasol, ale to było bez sensu. I tak dobiegliśmy do auta mokrzy.

Ojciec pokręcił głową, aż krople spadły na deskę rozdzielczą. Jego śmiech był zaraźliwy. Uznałam, że lody są jednak fajnym pomysłem.

Kiedy ruszyliśmy, spojrzałam na swoje odbicie w bocznym lusterku.

Włosy oblepiały mi twarz i byłam blada, ale poza tym wyglądałam całkiem nieźle. Co najwyżej trochę wymizerowana. Zmęczona. Ale normalna.

Nagle odbicie mrugnęło do mnie, choć nie poruszyłam powieką.

Przycisnęłam dłoń do oczu. Jestem w stresie, dlatego mam wizje. Lęki. Nic się nie dzieje. Wszystko jest dobrze.

Uczepiłam się tej ostatniej myśli. Kiedy otworzyłam oczy, oślepił mnie odbity w lusterku blask reflektorów.

To tylko światła auta jadącego za nami. Odwróciłam się i zerknęłam do tyłu, ale ulewa była tak gęsta, że widziałam tylko rozmazane, jasne kręgi.

Tata wyjechał z parkingu na drogę, ale światła nie znikły. Trzymały się nas. Teraz zobaczyłam, że to reflektory pikapa. Białego pikapa.

Tego samego, który stał na parkingu.

Wzdrygnęłam się i naciągnęłam na głowę kaptur bluzy, a potem podkręciłam ogrzewanie.

– Zimno ci?

Kiwnęłam głową.

– W naszej zimnej Nowej Anglii byłaś bardziej zahartowana – zauważył ze śmiechem.

Odpowiedziałam mu nikłym uśmiechem.

– Wszystko dobrze, mała?

Nie. Znów zerknęłam w zalane wodą boczne lusterko. Pikap ciągle trzymał się za nami. Spojrzałam jeszcze raz, ale nie było widać, kto siedzi za kierownicą.

Samochód wjechał za nami na autostradę.

Znów poczułam się chora. Otarłam dłonią spocone czoło i mocno zacisnęłam powieki.

– Czy to nie ten pikap z parkingu?

Musiałam zadać to pytanie. Nie chciałam zdradzać swojej paranoi, ale

musiałam się upewnić, że ojciec widzi to samo co ja.

– He?

– Tam, za nami.

Zerknął w tylne lusterko.

– Z jakiego parkingu?

– Horyzontów – odpowiedziałam, pokonując opór zaciśniętych zębów. – Z którego wyjechaliśmy dziesięć minut temu.

– Nie mam pojęcia.

Jeszcze raz spojrział w lusterko. Najwyraźniej niczego nie skojarzył i nie uznał mojej uwagi za istotną.

Pewnie słusznie. Możliwe, że napięcia i stres wywołany widokiem zdjęć doprowadziły mnie do omdlenia, a wszystko razem wywołało halucynację ożywionego odbicia w lusterku. Miałam nadzieję, że pikap za nami jest zwykłym, przypadkowym samochodem, jakich wiele na szosie.

Kolejny raz sprawdziłam w lusterku. Przysięgłabym, że światła są jeszcze bliżej.

Nie myśl o tym, nakazałam sobie. Wpatrzyłam się w drogę przed nami, wsłuchana w hipnotyczny, rytmiczny szmer wycieraczek. Ojciec prowadził spokojnie. Kiedy sięgnął do radia, żeby je włączyć, usłyszeliśmy pisk opon.

Gwałtownie unieśliśmy głowy, kiedy kabinę zalało ostre światło reflektorów. Ojciec gwałtownie skreślił kierownicę w lewo, kiedy pikap przemknął obok nas po prawej, niemal ocierając się o nasz tył.

Ojciec coś krzyczał. Nie, coś do mnie mówił. Ale nie słuchałam go, bo kiedy samochód przesuwał się z boku, mój umysł skupił się wyłącznie na widoku Jude'a za kierownicą.

Wrzasnęłam do ojca. Niech spojrzy. Musi zobaczyć. Ale on też krzyknął.

– Trzymaj się!

Stracił kontrolę nad autem. Czarna fala paniki wezbrała nade mną, kiedy wóz sunął poślizgiem po mokrej nawierzchni. Pikap wyrwał do przodu, przecinając kilka pasów, i znikł w zasłonie deszczu. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe. Jedną ręką kurczowo trzymałam się deski rozdzielczej. Gula rosła mi w gardle i zbierało mi się na wymioty. Zaraz się rozbijemy. Jude jechał za nami, a teraz się rozbijemy...

W chwili kiedy to pomyślałam, zapadła cisza.

– Skurwysyn! – warknął ojciec.

Spojrzałam na niego. Na czole miał krople potu i żyły nabrzmiały mu na szyi.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że się nie poruszamy.

Silnik zgasł. Stoimy.

Nie rozbiliśmy się.

Staliśmy na skrajnym lewym pasie, przeznaczonym dla taksówek i ludzi nawzajem podwożących się do pracy. Samochody omijały nas, trąbiąc.

– Jak oni jeżdżą w tym cholernym mieście?

Tata z furią walnął pięścią w kierownicę, aż podskoczyłam.

– Przepraszam – dodał szybko. – Maro... Maro? – W jego głosie zabrzmiał niepokój. – Wszystko w porządku?

Musiałam okropnie wyglądać, bo niepokój przeszedł w panikę. Kiwnęłam głową, niepewna, czy zdołam wydobyć głos.

Tata go nie widział. Nie widział Jude'a. Tylko ja go widziałam.

– Jedziemy do domu – mruknął do siebie.

Włączył silnik i przez resztę drogi włókł się niemiłosiernie. Nawet emeryci w swoich bladoniebieskich buickach trąbili na nas niecierpliwie. To już było przegięcie.

Zaparkowaliśmy na naszym pustym podjeździe i tata podbiegł do moich drzwi z otwartym parasolem. Biegiem ruszyliśmy do domu. Tata jeszcze przez chwilę grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy.

– Zrobię gorącej czekolady. Musi ci wystarczyć zamiast lodów – powiedział z uśmiechem, ale jego oczy patrzyły poważnie.

Był naprawdę zmartwiony.

Zmusiłam się do mówienia.

– Gorąca czekolada, super – bąknęłam.

Potałam ramiona, kiedy nagły poryw deszczu uderzył w wielkie okno salonu i przestraszył mnie.

– I przykręcę klimatyzację, bo w domu jest lodowato – dodał tata.

Udawany uśmiech.

– Dzięki.

Chwycił mnie w objęcia i ścisnął tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. Jakimś cudem udało mi się odwzajemnić uścisk. Wreszcie tata puścił mnie, poszedł do kuchni i zaczął hałasować naczyniami.

Nie ruszyłam się. Dalej stałam w holu. Spojrzałam w lustro przy staroświeckim, orzechowym wieszaku, znajdującym się przy wejściu. Piers unosiła mi się w rytm gorączkowego oddechu. Nozdrza falowały, a usta były blade, bezkrwiste.

Telepało mną. Ale nie ze strachu.

Z wściekłości.

Mój ojciec mógł uciepieć. Zginąć. I tym razem to nie była moja wina.

Tylko Jude'a.

Po paru minutach, a może sekundach odwróciłam się od lustra i poszłam do swojego pokoju. Kiedy otworzyłam drzwi, poraził mnie widok oczu patrzących na mnie.

Na moim biurku siedziała lalka – szmaciana, oparta o stos starych szkolnych podręczników. Wyhaftowane usta uśmiechały się radośnie. Czarne, niewidzące oczy patrzyły na mnie.

Była to lalka mojej babci. Mama powiedziała mi o tym, kiedy byłam mała. Dała mi tę lalkę, ale nigdy się nią nie bawiłam. Nawet nie nadałam jej imienia. Nigdy jej nie polubiłam i w mojej skrzyni z zabawkami szmacianka leżała zawsze na samym dnie. Kiedy dorosłam, wrzuciłam lalkę w najciemniejszy kąt szafy i tam tkwiła, zasłonięta butami i starymi ubraniami.

A teraz siedziała na moim biurku. Nieruchomo.

Zamrugalam. Czemu miałyby się ruszać? Przecież to tylko lalka. Lalki się nie ruszają.

Chociaż nie, zmieniła swoje miejsce. Ostatnio widziałam ją w kartonie z książkami i starymi zdjęciami, który przyjechał z nami z Rhode Island. Nie otwierałam go od czasu...

Od czasu balu przebierańców.

Cofnęłam się pamięcią do tamtego wieczoru. Wróciłam z imprezy i weszłam do garderoby, żeby zdjąć szmaragdowozieloną sukienkę babci. Nagle zobaczyłam na podłodze otwarte pudło. Nie przypomniałam sobie, żebym je tam zostawiła. Ani tego, że zdjęłam je z góry. A tym bardziej tego, że je otwierałam.

Przewinęłam pamięć odrobinę do przodu. Teraz widziałam siebie wychodzącą z garderoby; podziwiałam pantofle na obcasach, które pożyczyła mi mama. Patrzyłam na strumień wody z kranu napełniający wannę...

Tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłam lalkę, poparzyłam się.

Dreszcz przeszedł mi po skórze. To był okropny wieczór. Stresowałam się Anną, czułam się upokorzona przez Noaha i dlatego uciekłam z imprezy na długo przed końcem. W pamięci wyświetlił mi się moment, kiedy zajechałam pod dom i już miałam włożyć klucz do zamka, gdy...

Drzwi wejściowe same otworzyły się przede mną.

Myślałam wtedy, że mam halucynacje – i rzeczywiście miałam. Wydawało mi się, że kolczyki babci wpadły do wanny, a przecież nie zdjęłam ich z uszu. I pewnie zapomniałam, że wyjęłam to pudło.

Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Jude żyje. Jeśli był w moim pokoju wczoraj, równie dobrze mógł być i wtedy.

Dłonie same zacisnęły mi się w pięści. To on wyjął karton z szafy. I otworzył go.

Chciał, żebym o tym wiedziała. Że grzebie w moich rzeczach. Obserwuje mnie śpiącą. Plugawi mój pokój. Plugawi mój dom.

A teraz jeszcze poluje na mnie i na mojego ojca.

Jeszcze przed chwilą trzęsło mnie z zimna, a teraz byłam rozpalona jak w gorączce. Traciłam kontrolę nad sobą i nie chciałam, żeby tata zobaczył mnie w takim stanie. I tak panikował. Stłumiłam gniew i strach, zdjęłam z siebie przemoczone ubranie i wrzuciłam je do umywalki. Odkręciłam prysznic i stanęłam pod strumieniami wody, wdychając gorącą parę. Liczyłam, że zmyję z siebie złe myśli.

Niestety, nie zadziało.

Powtarzałam sobie, że nie jestem z tym wszystkim sama. Że Noah we mnie wierzy. Że zaraz przyjedzie i opowiem mu wszystko.

Powtarzałam te zaklęcia bez końca, mając nadzieję, że przywrócą mi spokój. Stałam pod prysznicem, aż woda zrobiła się chłodna. Kiedy wróciłam z łazienki i spojrzałam na swoje biurko, lalka już się nie uśmiechała.

Łypała na mnie złowrogo.

Skóra mi ścierpła. Stałam jak wrośnięta w ziemię, owinięta ręcznikiem, a serce biło mi jak szalone.

„To”. Jak z horroru.

Ruszyłam się wreszcie, chwyciłam lalkę i wepchnęłam ją do jednego z pudeł w szafie. Byłam pewna, że jej mina się nie zmieniła. To tylko umysł płatał mi figle, bo byłam zdołowana, spanikowana i wściekła – tak jak chciał Jude.

Otworzyłam szufladę biurka, wyjęłam taśmę klejącą i dokładnie zalepiłam pudło, zamykając lalkę w środku. Nie, nie uwięziłam jej. Spakowałam ją. Po prostu spakowałam. Potem ubrałam się i zeszłam na dół do taty, jak gdyby nic się nie stało. Nie miałam innego wyboru.

Czas podobno leczy rany, ale jak to robi, skoro Jude ciągle je rozdrapuje?

Daniel, Joseph i mama właśnie wrócili do domu. Usiedli w kuchni i gadali jedno przez drugie.

– Maro!

Mama na mój widok zerwała się od stołu i chwyciła mnie w objęcia.

Daniel odstawił szklanke. Nasze spojrzenia spotkały się ponad ramieniem mamy.

– Dzięki Bogu, że już wszystko dobrze – szepnęła. – Dzięki Bogu!

Trzymała mnie w objęciach o wiele za długo, a kiedy wreszcie puściła, oczy miała wilgotne. Szybko otarła łzy i podeszła do lodówki.

– Na co masz ochotę, kochanie?

– Co podasz.

– Może tosty?

– Nie jestem aż tak głodna.

– Albo ciasteczka?

Wyjęła paczkę z gotowymi do upieczenia ciasteczkami.

– Hurra, ciasteczka! – zawołał Joseph.

Daniel zrobił minę, która nakazywała mi: „Powiedz tak”.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– O, tak, cudownie.

Zaledwie to powiedziałam, Joseph wyjął blachę z szuflady pod piekarnikiem, zabrał mamie paczkę i ustawił temperaturę.

– A herbaty? – zapytała mama, najwidoczniej szukając zajęcia.

Daniel spojrzał na mnie znacząco i kiwnął głową.

– Chętnie – powiedziałam posłusznie.

– Zrobiłem czekoladę na gorąco – przypomniał tata.

Mama potarła czoło.

– Dobrze.

Wyjęła kubek z szafki, wlała do niego czekolady z rondelka i wręczyła mi.

– Dzięki, mamó.

Nerwowym gestem założyła za ucho pasmo krótkich, prostych włosów.

– Cieszę się, że dobrze się czujesz.

– W Miami są najgorsi kierowcy świata – mruknął ojciec.

Usta mamy, zajętej teraz robieniem kawy, zacisnęły się w wąską kreskę. Zerknęłam ukradkiem przez kuchenne okno na podwórko zalane deszczem.

Wypatruję Jude’a, uświadomiłam sobie i zrobiło mi się głupio. Wpędzał mnie w paranoję. Nie mogłam mu na to pozwolić.

– Mamó? – zagadnęłam.

– Tak?

– Czy brałaś moją lalkę?

Była szansa, że ona to zrobiła, nie Jude. Musiałam się upewnić.

Mama uniosła głowę znad ekspresu, wyraźnie zdziwiona.

– Jaką lalkę?

Wypuściłam powietrze przez nos.

– Tę szmaccianą, którą mam od dziecka.

– A, lalkę babci? Nie, kotku. Od dawna jej nie widziałam.

Więc miałam odpowiedź. Nie brała jej. Zrobił to ktoś inny. Tak dłużej być nie mogło.

Spojrzałam na zegar w kuchence mikrofalowej, zastanawiając się, czy Noah przyjedzie. Do tego czasu muszę jakoś się trzymać.

– Jak tam pierwszy dzień ferii wiosennych? – zapytałam Daniela, sącząc powoli czekoladę.

Była gorąca, ale mnie nie rozgrzała.

– Pojechaliśmy do oceanarium w Miami.

Omiał się nie zakrztusiłam.

– Co?

Daniel wzruszył ramionami.

– Joseph chciał koniecznie zobaczyć orkę.

– Lolitę – powiedziałam, odstawiając kubek.

– No i jak? – zapytała mama.

Joseph pokręcił głową.

– Raczej smutne.

– Dlaczego? – zainteresował się tata.

– Współczuję zwierzętom w niewoli.

Moja kolej.

– Noah był z wami?

Tak naprawdę mnie to nie interesowało; po prostu chciałam uzyskać inną informację, nie pytając wprost. Krótko mówiąc, byłam ciekawa, czy dzisiaj go zobaczę.

– Nie, nie był, ale powinien się tu zjawić w ciągu godziny – powiedział Daniel. – Mamo, będzie mógł zostać na kolację? – dodał, mrugając do mnie zza pleców mamy.

Dzięki, Daniel.

– Czemu pytasz ją, a nie mnie? – naburmuszył się tata.

– Tato, czy Noah może zostać na kolację?

Tata odchrząknął z powagą.

– A może jego rodzice woleliby, żeby zjadł kolację z nimi?

Daniel zrobił minę.

– Bardzo w to wątpię.

– Kto chce ciasteczek? – zapytała mama.

Dostrzegłam, że wymieniła spojrzenia z ojcem, zanim otworzyła piekarnik i słodki zapach wypełnił kuchnię.

Tata westchnął.

– W takim razie się zgadzam – powiedział i podał mi swoją komórkę. – Zadzwoń do niego.

Powoli wyszłam z kuchni, a potem popędziłam do swojego pokoju i wpisałam numer.

– Halo?

Głos miał ciepły, głęboki, taki domowy. Z ulgą przymknęłam oczy.

– Cześć. Mam ci powiedzieć, że zostałeś zaproszony na kolację.

– Hej, czy...?

– Coś się stało. – Zniżyłam głos prawie do szeptu. – Jak szybko możesz tu być?

– Już wychodzę.

– Noah?

– Tak?

– Zaplanuj noc u nas.

Minęła godzina i Noaha ciągle nie było. Nosiło mnie i nie miałam ochoty tkwić w swoim pokoju, zbezczeszczonym przez Jude'a.

Daniel zajrzał do salonu. Siedziałam tam, udając, że czytam jedną ze starych książek taty, których skład znalazłam w garażu. Nie chciałam sprawiać wrażenia, że z utęsknieniem wyczekuję Noaha.

– No i co tam, siostrzyczko?

– Nic – burknęłam, gapiąc się tępo na połówkę stronicę.

Daniel zbliżył się, wyjął mi książkę z rąk i odwrócił, bo trzymałam ją do góry nogami.

Cholera.

– Miałaś piekielny dzień – powiedział łagodnie.

– Bywało gorzej – mruknęłam.

– Chcesz o tym pogadać?

Chciałam, ale nie mogłam. Nie z nim. Pokręciłam głową, zaciskając zęby.

Daniel usadowił się w fotelu z czarno-złotym obiciem, stojącym przede mną.

– Przy okazji, nie martw się o klucz – rzucił obojętnym tonem.

Uniosłam głowę znad książki.

– Jaki klucz?

– No mój, od domu. Ten z mojego wisiora, który wzięłaś bez pozwolenia. Nie pamiętasz? Pytałem cię o niego, kiedy... zanim wróciłaś do domu.

– Twój zgubiony klucz – skojarzyłam po chwili.

– To właśnie chciałem powiedzieć. Na szczęście tata dorobił mi drugi, więc nie ma sprawy. A przy okazji, dlaczego zdjęłaś go z kółka?

Już go nie słuchałam. Myślałam o zdjęciach zrobionych moim aparatem. O lalce na moim biurku wyciągniętej z pudła. O napisie na lustrze.

I o drzwiach zamkniętych od wewnątrz.

Nie ja zabrałam Danielowi klucz, tylko Jude. Dlatego mógł sobie wchodzić i wychodzić, nie musząc się włamywać do naszego domu. I robić w nim, co chciał. Kiedy ta straszna myśl eksplodowała mi w głowie, groza musiała się odbić na mojej twarzy, bo Daniel zapytał, czy dobrze się czuję.

Sposób, w jaki zadał to pytanie – jakby chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby mi pomóc – nieomal mnie załamał. Był moim wspaniałym,

starszym bratem; zawsze mnie wspierał i bardzo żałowałam, że nie mogę się do niego zwrócić. Daniel był najmądrzejszą osobą, jaką znałam. Jego pomoc byłaby bezcenna.

Zobaczyłam, że twarz brata przybiera osobliwy wyraz. Dziwnie nieśmiały. Niepewny. Jakby nie wiedział, co ma mi powiedzieć. Jakby miał poczucie, że go zwodzę.

To do reszty pozbawiło mnie nadziei.

– No, jasne – powiedziałam z wymuszonym uśmiechem. – Kompletnie zapomniałam o tym kluczu. – Z zakłopotaniem wzruszyłam ramionami. – Sorki.

Nienawidziłam go okłamywać, a jednak po tych słowach wyraźnie mu ulżyło. Chciało mi się płakać. Daniel pytająco przechylił głowę.

– Na pewno nie chcesz porozmawiać?

Chcę!

– Wybacz, może innym razem.

– Okej, w takim razie nie przeszkadzam – powiedział lekkim tonem.

Otworzył swój notes i zaczął go wertować, szeleszcząc kartkami.

Ja nuciłam sobie pod nosem. Wreszcie gwałtownym ruchem zamknęłam książkę.

– Przeszkadzam ci? – zapytał niewinnie Daniel.

Tak.

– Nie, skąd.

– To dobrze.

Zabrał się do pisania. Z furią skrzypiał długopisem po papierze.

Najwyraźniej nie chciał pozwolić, żebym zamknęła się w swoim świecie.

– Co tam piszesz?

– Esej.

– O czym?

– O samoreferencyjnych aspektach *Don Kichota*.

– Przecież są ferie.

– W przyszłym tygodniu się kończą – powiedział i uniósł głowę znad notesu. – A poza tym mnie to bawi.

Przewróciłam oczami.

– Tylko ciebie bawi praca domowa.

– Cervantes uprawia narrację w narracji. Myślę, że to zabawne.

– Hmm – mruknęłam i znów otworzyłam książkę. Tym razem tak jak trzeba.

– Czego nie czytasz? – zagadnął.

Pokazałam mu okładkę.

– *Wyznania usprawiedliwionego grzesznika przez niego samego spisane* Jamesa Hogga? Nie słyszałem o tym.

– Ty o czymś nie wiesz? Dziwne.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

– Faktycznie – przyznał.

Wyjął mi książkę z rąk i zaczął ją oglądać. A potem na głos przeczytał tekst z okładki. „Skrzyżowanie powieści gotyckiej z psychologiczną zagadką; postmodernistyczna metafikcja i zarazem studium myśli totalitarnej. *Wyznania...* eksplorują wczesne psychologiczne teorie podwójnej świadomości... bla, bla, bla... teoria predestynacji... bla, bla, bla – arcydzieło Jamesa Hogga, zgłębiające potęgę zła; przerażający obraz wyrafinowanej strategii diabła, nastającego na duszę człowieka przekonanego o własnej nieomyślności”. Skąd to wytrzasnęłaś?

– Znalazłam w garażu. Zainteresowało mnie, więc wzięłam.

– Jesteś nieźle zakręcona. – Wstał, oddając mi książkę. – Ale to nie jest lektura dla ciebie.

– Nie?

– Nie. Zaczekaj.

Poszedł do swojego pokoju i po chwili wrócił z inną książką. Wręczył mi ją.

Przeczytałam na głos tytuł i teraz ja zrobiłam minę.

– *Tysiąc nieznanych słów z testu przydatności szkolnej.*

– Lepiej się z tym zapoznaj – powiedział. – To już tylko parę miesięcy.

– Żartujesz? Właśnie przerwałam naukę.

– Chwilowo. Ze względów zdrowotnych. A przy okazji, tata wymógł na dyrektorze, żeby zmienił ci stopień F z hiszpańskiego na zadowalający. Jak widzisz, te Horyzonty na coś się przydały. Możesz śmiało uczyć się do egzaminów. Przypadają w czerwcu, ale masz jeszcze dodatkowy termin w październiku.

Milczałam. Szkolne stopnie czy testy wydawały mi się kompletną abstrakcją wobec problemów, z którymi obecnie musiałam się zmagać. I nie podobało mi się, że mówimy o nich tak swobodnie – tak normalnie – jakby tylko one były na tapecie, a nie to, co naprawdę dzieje się ze mną. Patrzyłam, jak mój brat pisze, szybko, gładko formułując zdania. Wystarczy podrzucić Danielowi jakiś teoretyczny problem, a rozwiąże go w parę sekund.

To nasunęło mi pewną myśl.

– Wiesz co? – powiedziałam z udawanym namysłem. – Jednak jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

Daniel pytająco uniósł brwi i odłożył notes.

– Zaczekaj – rzuciłam.

Pobiegłam do swojego pokoju, zgarnęłam z biurka notes, długopis i szybko wróciłam do salonu. Nie mogłam opowiedzieć bratu o moich realnych problemach, bo przecież nie wierzył, że są realne.

Ale jeśli przedstawię te problemy jako czysto hipotetyczne, może będzie mógł mi pomóc.

Wyrzłałam przez wielkie, panoramiczne okno salonu. Nadal nie było widać samochodu Noaha. Pewnie już nie przyjedzie.

Usiadłam na kanapie i z namaszczeniem położyłam sobie notes na kolanach.

– Otóż – zaczęłam informacyjnym tonem – w Horyzontach zadali nam pewną pracę domową.

Kłamstwo zostało zapoczątkowane i szybko nabrało rozpędu.

– Chodzi o to, żeby... hm... opisać swoje problemy w fikcyjnej formie. – Nieźle to zabrzmiało. – Rozumiesz, pisanie jako forma katharsis.

To było ulubione słowo mamy. Wyzwolenie się od uczucia strachu.

Brat popatrzył na mnie z uśmiechem.

– To ma być... zabawne?

Uniosłam brwi.

– Dobra, „zabawne” nie jest dobrym określeniem – przyznał.

– Powiedzmy raczej, że jest głupie – powiedziałam, znacząco wznosząc oczy do sufitu. – Po prostu chcę, żebyśmy przepracowali swoje problemy w bezpieczny, twórczy sposób. Tak przynajmniej sędzę.

Daniel przytaknął niespiesznie i z powagą.

– Całkiem słusznie. Coś jak terapia lalkami dla małych dzieci.

– Wszystko jedno, jak to zwał. Cieszę się, że mam jakieś zadanie.

Daniel zachichotał.

– Mama kiedyś mi o tym wspominała. Terapeuta posługuje się marionetkami, odwołując się bezpośrednio do uczuć dziecka, lecz w sposób bezosobowy. A dziecko transponuje swoje uczucia na lalkę. Po prostu zasada projekcji. Twoje zadanie to taka wersja dla nastolatków.

Jasne.

– Dobra, w każdym razie mam napisać opowiadanie o sobie, ale nie o sobie. I potrzebuję twojej pomocy.

– Z przyjemnością ci pomogę.

Daniel wychylił się w fotelu i złożył dłonie w daszek, jak Sherlock Holmes przystępujący do dedukcji. Wkręcił się totalnie w temat.

– Dobra, od czego zaczniemy?

Od czego zaczniemy?

– Hmm... coś dziwnego przytrafiło się pewnej dziewczynie...

Daniel pogładził się dłonią po policzku i wpatrzył się w sufit.

– Użyteczny schemat – powiedział. – Znajomy – dodał z uśmiechem.

– Ona nie wie, co się z nią dzieje.

– Okej. Czy to ma być coś nadnaturalnego, czy tylko dziwnego?

– Dziwnego i nadnaturalnego – uściśliłam.

– Ile ona ma lat?

– Nastolatka.

– No jasne – potwierdził ze znaczącym mrugnięciem. – Czy ktoś jeszcze wie, co się z nią dzieje?

Tylko Noah, ale on jest równie zagubiony jak ja.

– Próbowала opowiadać o tym innym, ale jej nie uwierzyli.

Daniel przytaknął z mądrą miną.

– Efekt Kasandry. Przeklęta przez Apolla, mająca profetyczne, sprawdzające się wizje, w które nikt nie chciał uwierzyć.

Ciepło, ciepło...

– Zgadza się.

– I wszyscy sądzą, że twoja „protagonistka” jest szalona – podsumował.

Właśnie.

– Prawie wszyscy – powiedziałam.

Uśmiech zaigrał na wargach Daniela.

– Niemniej jednak pozostaje ona wiarygodnym narratorem, który dziwnym trafem mówi prawdę?

Niezły trop.

– Tak.

– Dobra – podjął z ożywieniem. – Co więc naprawdę działo się z tobą... to znaczy z nią?

– Tego nie wie, ale musi się dowiedzieć.

– Dlaczego?

Bo jest morderczynią. Bo oszalała. Bo prześladowe ją ktoś, kto nie powinien żyć.

Przyglądałam się bratu. Był zrelaksowany. Ręce swobodnie spoczywały na wzorzystych poręczach fotela. Daniel nigdy nie uwierzy, że dziwne rzeczy, które mi się przytrafiają, i moje przerażające zdolności są realne. Nie jest Noahem. Muszę wyrobić w nim przekonanie, że ja też nie wierzę w swoją fikcję. Nie mogę dopuścić, żeby nabrał podejrzeń.

Odchyliłam głowę i utkwiałam spojrzenie w suficie. Spokojnie, wyluzuj.

– Ktoś ją prześladowe... – zaczęłam.

– Dobry początek.

– I to ją wykańcza. Dlatego musi dojść, o co w tym wszystkim chodzi.
Daniel podparł brodę dłonią i uniósł brwi.

– Proponuję włączyć w to Obi-Wana, Gandalfa, Dumbledore’a albo Gilesa, do wyboru.

– Gilesa?

Daniel z naganą pokręcił głową.

– Fatalnie, że nie zdołałam cię przekonać, żebyś obejrzała *Buffy, postrach wampirów*.

– Dodaj do listy.

– Tak czy owak – podjął – warto wprowadzić mądrą i tajemniczą postać, która mogłaby ci pomóc... to znaczy twojej bohaterce, wspierając ją w poszukiwaniach bądź przyjmując ją na swoją uczennicę.

Och, jak bardzo przydałby mi się ktoś taki.

– Tylko nie Dumbledore – zaznaczyłam.

– Możesz przyjąć opcję oldskulową i wprowadzić Tyrezjasza – powiedział, przytakując samemu sobie. – To z *Króla Edypa*, gdybyś nie wiedziała.

Spiorunowałam go spojrzeniem.

– Wiem, kim był Tyrezjasz – warknęłam.

Daniel już mnie nie słuchał. Wyraźnie wkręcił się w tę historię.

– Niech będzie ślepy, a jednocześnie zdolny zobaczyć więcej niż ona.
Lubię takie klimaty.

– Dobra, Daniel, rozumiem, ale nie będzie żadnej tajemniczej postaci.

Zbył mnie machnięciem ręki.

– Dopiero zaczęłaś, Maro. Pomyśl o tym.

Zacisnęłam zęby.

– Zaczekaj – powiedział szybko Daniel, zacierając dłonie. – Chcesz, żeby była sierotą?

– Czemu?

– Bo jeśli nie, możesz wciągnąć do pomocy rodzinę – wyjaśnił z uśmiechem. – Wykreuj dla niej wnikliwego i mądrego starszego brata.

Och, świetnie, ale pod warunkiem, że ten wnikliwy i mądry starszy brat zechciałby mi uwierzyć.

– Myślę, że to byłoby zbyt dosłowne – stwierdziłam i moja frustracja wzrosła. – Tu chodzi o kreatywne pisanie, a nie o pamiętnik.

– Oj tam, oj tam – mruknął i przewrócił oczami. – Skoro tak, to wprowadź na scenę doktora Google’a.

Od razu sobie to wyobraziłam: wrzucenie w wyszukiwarke hasła „dzieci mocy” owocuje milionami haseł o X-Menach, *Gwiezdnym Wojnach* i temu

podobnych hitach.

– Ona może nie wiedzieć, czego szukać w Google’u – powiedziałam z rezygnacją.

Rozmowa skręcała w złym kierunku.

Daniel potarł podbródek i zastanowił się chwilę.

– A co byś powiedziała na wieszczy, złowróżbny sen?

O, jasne, mam takie na zawołanie.

– Nie uważasz, że to zbyt... łatwe?

– Ależ skąd. Czyż ona nie jest rodzajem wampira lub innej mrocznej istoty, choć jeszcze o tym nie wie?

Miałam nadzieję, że nie.

– Nie wydaje mi się. Ona raczej... posiada pewne zdolności.

– Jak telepatia?

– Nie.

– Telekineza?

Ciekawe... Pokręciłam głową.

– Jasnowidztwo?

– Nie.

Nie chciałam wtajemniczać go w to, co zrobiła... co zrobiłam.

– Tego jeszcze nie może wiedzieć.

– Więc przetestuj ją. Poddaj różnym próbom.

– To może być niebezpieczne.

– Hmm... bo okaże się na przykład, że ma laserowy wzrok?

– Coś w tym stylu.

– Słowem, może być superbohaterką albo superprzestępczynią. Hmm. – Zmienił pozycję i podwinął pod siebie nogę. – Czy chodzi o coś w stylu Petera Parkera, czy Clarka Kenta?

– Nie rozumiem.

– No wiesz, czy twoja bohaterka ma wrodzone zdolności, jak Superman, czy nabyła je, jak Spider-Man?

Znakomite, po prostu znakomite pytanie. Gdybym tylko znała na nie odpowiedź!

– Dziwne zjawiska zaczęły się...

No właśnie, kiedy? Na pewno nie w moje siedemnaste urodziny, kiedy po raz pierwszy zaczęłam sobie przypominać, co zrobiłam.

Co zrobiłam w psychiatryku.

Czyli początkiem był stary szpital? Kiedy zginęła Rachel? Kiedy ją zabiłam?

W myślach usłyszałam jej głos.

„Jak ja umrę?”

Włosy zjeżyły mi się na karku.

– Wywoływała duchy z pomocą tabliczki ouija.

– Bingo! – wrzasnął Daniel. – Twoja bohaterka jest opętana.

Poczułam ucisk w gardle.

– Co?

– Powinnaś mi od razu powiedzieć. Tabliczka ouija zmienia wszystko.

Potałam czoło.

– Nie kapuję.

– Tabliczka ouija jest kanałem komunikacji ze światem duchów – wyjaśnił Daniel. – Używanie takich tabliczek jest bardzo niebezpieczne. Jeśli twoja bohaterka bawiła się w seans spirytystyczny i potem zaczęło się z nią dzieć coś dziwnego, to znak, że jest opętana. Chyba widziałeś Egzorcystę? Kochana, masz gotowy horror! – powiedział z entuzjazmem.

Pokręciłam głową.

– Nie sądzę, żeby była opętana...

– Jest opętana – stwierdził z absolutnym przekonaniem. – I to mi się podoba. Zanim jej się polepszy, przeżyje niejeden koszmar, o ile w ogóle z tego wyjdzie. Idealna okazja, żeby wprowadzić typowe dla gatunku tajemnicze wątki i zwroty akcji. Mocnym akcentem byłoby starcie superbohatera z superwrogiem.

Światła reflektorów przesunęły się po szybie i Daniel podniósł się z fotela.

– Co masz na myśli? – zapytałam szybko.

Bardzo chciałam usłyszeć odpowiedź.

– Jeśli ona stoi po stronie dobra, użyje swoich mocy dla jego obrony. Jeśli po stronie zła, będzie zwalczać dobro. W tym przypadku bohater, kimkolwiek by był, będzie starał się ją powstrzymać. – Wziął swój notes i wsadził sobie pod ramię. – Moim zdaniem powinnaś prowadzić narrację z punktu widzenia pozytywnego bohatera, bo inaczej terapeuci zaczną się o ciebie martwić.

Zerknął przez okno.

– Zdaje się, twój bohater nadjechał – oznajmił z nieznacznym uśmiechem, kiedy rozdzwoniła się jego komórka.

Odebrał.

– Halo?

– Zaczekaj... – Zerwałam się z kanapy.

– To Sophie. Pogadamy później, dobra? – Daniel ruszył do drzwi.

– Dziewczyna ważniejsza od siostry?

Mrugnął do mnie, pomachał mi na pożegnanie i wyszedł.

Stałam jak sparaliżowana, usiłując poskładać w myślach wszystko, co usłyszałam od brata, kiedy Daniel wetknął głowę w drzwi salonu.

– Pisz w pierwszej osobie czasu teraźniejszego, dobrze ci radzę – powiedział. – Wówczas czytelnik do końca nie będzie wiedział, czy bohaterka przeżyła swoje opętanie. Choć przyznam, że nie jest to najłatwiejszy sposób narracji – dodał i znów zniknął.

– Ale ona nie jest opętana – powiedziałam głośno.

– W takim razie jest wampirem! – odkrzyknął ze swojego pokoju.

– Nie jest wampirem!

– No to wilkołakiem. One też są trendy!

– ONA NIE JEST WILKOŁAKIEM!

– KOCHAM CIĘ! – wrzasnął, zamykając drzwi.

Patrzyłam, jak Noah zmierza do wejścia lekkim, niespiesznym krokiem mimo lejącego deszczu. Byłam przy drzwiach, zanim zdążył zapukać, i nieomal wciągnęłam go do środka.

Stał przede mną w holu. Mokre kędziory opadały mu na oczy; krople wody skapywały na koszulkę i na lśniący parkiet.

– Co się stało?

Nie odpowiedziałam, tylko od razu zaprowadziłam go do swojego pokoju. Tam otworzyłam torbę i wręczyłam mu zdjęcie, które zrobił mi Jude. A potem zaczęłam mówić.

Noah słuchał w coraz większym napięciu; widać było, jak mięśnie sztywnieją mu pod moką koszulką. Wpatrywał się w wydruk, raz po raz przeczesując palcami czuprynę. Włączyłam aparat i razem przejrzelśmy zdjęcia. Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie zabrzmiała złowroga nuta.

– Kiedy to odkryłaś?

– Dzisiaj, w Horyzontach. Aparat był w mojej torbie. Wydruk też.

– To zdjęcia z wczorajszej nocy? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Tak.

– Drzwi i okna były zamknięte? Twoje też?

Skinęłam głową.

– Ale on ma klucz.

– Jakim cudem?

Opuściłam wzrok.

– Tamten dzień prawie cały wypadł mi z pamięci – przyznałam. – Na policji miałam ze sobą klucze Daniela, ale dalej nic nie pamiętam. – Byłam coraz bardziej zła na siebie. – Jude mógł odczepić z kółka klucz od domu, kiedy jechałam do szpitala, a może w szpitalu... nie wiem.

Noah jeszcze raz przyjrzał się fotografiom.

– To zdjęcie zrobiono od głowy twojego łóżka – stwierdził rzeczowo. – Musiał stać tam. – Pokazał mi miejsce.

Przysunęłam się, a Noah przeszedł do następnego ujęcia. Tym razem sfotografowano mnie z profilu. Rękę trzymałam za głowę, okrycie było zsunięte do pasa.

– To zrobił, stojąc przy oknie – powiedziałam.

Moje własne słowa i myśli zmroziły mi żyły lodem. Jak długo Jude tam stał? I obserwował mnie?

Noah otworzył drzwi sypialni i pokazał mi przeszklone drzwi w korytarzu, wychodzące na ogród, znajdujące się dokładnie naprzeciwko moich.

– Zapewne tędy wszedł... Maro?

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego. W oczach miał troskę.

– Nic ci nie jest?

Uświadomiłam sobie, że prawie nie oddycham. Miałam uczucie, jakby ktoś wyciskał mi powietrze z płuc.

Noah popchnął mnie z powrotem do pokoju i zamknął drzwi. Ustawił mnie przy nich i ujął w pasie mocnymi dłońmi.

– Oddychaj – nakazał szeptem.

Próbowałam, ale dotknięcie jego palców, spojrzenie szarych oczu wpatrzonych w moje, to całe ciepło i bliskość Noaha nie ułatwiały mi zadania. Normalnie też straciłabym oddech w takiej sytuacji.

Wreszcie mnie puścił.

– Wczoraj, po wyjściu od was zadzwoniłem do agencji ochrony, ale detektyw, o którego mi chodziło, będzie wolny dopiero jutro. Teraz widzę – dodał, z wściekłością zaciskając powieki – że w ogóle nie powinienem się stąd ruszać.

– To nie twoja wina – zapewniłam, bo tak przecież było. – Ale cieszę się, że zostaniesz dzisiaj na noc.

Popatrzył na mnie i jego spojrzenie nabrało twardości.

– To chyba oczywiste, nie? Po tym, co mi powiedziałaś?

Wzruszyłam ramionami.

– Martwi mnie twoje niezdecydowanie, Maro. Powiedziałem, że nie dopuszczę, żeby Jude cię skrzywdził, i zrobię wszystko, by tak się nie stało. Jeśli nie chcesz, żebym był w domu, prześpię się w samochodzie.

Te słowa zmroziły mnie jeszcze bardziej.

– Ależ chcę, tylko nie wiem, jak przekonasz moich rodziców, żeby pozwolili ci zostać?

– Jutro rano zabieram Josepha na ryby. Wszystko już ustalone.

– Serio?

– Tak, o wpół do szóstej.

Spojrzałam na niego przeciągle.

– Jestem pod wrażeniem.

– Z powodu?

– Owinąłeś sobie moją mamę wokół małego palca.

– Fakt, mam podejście do starszych kobiet.

– Reszta rodziny też cię uwielbia.

Noah milczał przez chwilę.

– Mam wrażenie, że twój tata z każdym dniem mniej mnie lubi.

– Nie wie, że ocaliłeś mu życie.

Nie odpowiedział. Sięgnął po wydruk zdjęcia i znów się w nie wpatrzył.

– Twoje oczy tutaj...

Ach, Phoebe.

– To nie Jude – wyjaśniłam. – W Horyzontach jest taka dziewczyna,

naprawdę stuknięta. Nie żadna tam nerwicowa, tylko normalna psycholka. Podała mi to zdjęcie, twierdząc, że wypadło mi z torby.

Noah podsunął kartkę do światła padającego z żyrandola babci.

– Jesteś pewna, że ona wydrapała oczy?

Kiwnęłam głową.

– Przyznała się. Powiedziała, że je „poprawiła”.

– Brzmi niefajnie – stwierdził. – Tam musi być okropnie, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

– Na szczęście jest Jamie.

– Zaraz... Jamie? Roth?

– Aha. Skierowano go tam.

– Ciekawe – mruknął Noah.

Na moment zapadła cisza, a potem zaczęłam mu opowiadać, co się jeszcze wydarzyło. Patrzyłam mu w oczy, mówiąc o zabitym kocie, napisie na lustrze, incydencie na autostradzie i o lalce. Dziwne, bo o ile wcześniej żywo zareagował na zdjęcia, teraz słuchał beznamiętnie.

Lub tylko udawał.

Kiedy doszłam do rozmowy z Danielem i jego konkluzji, że jestem nawiedzona, Noah znów się ożywił.

– Nawiedzona... emocjonalnie? – zapytał z namysłem.

– Nie, po prostu nawiedzona! – prychnęłam. – Opętana, jak wolisz.

– I on w to wierzy? – Noah zrobił krok w stronę łazienki. – Mogę użyć ręcznika?

– Jasne – powiedziałam i klapnęłam na łóżko. – Praktycznie powiedziałam mu, co się ze mną dzieje – dodałam głośno.

Po chwili wyłonił się z łazienki, pochylony, wycierając głowę. Kiedy się wyprostował, zobaczyłam, że jest bez koszulki.

Wyrazista rzeźba jego silnego, szczupłego ciała przyciągała moje spojrzenie jak magnes. Dżinsy nisko opinały biodra, odsłaniając dół płaskiego brzucha w ramie kształtnych kości. Zapraǳnęłam go dotknąć.

– Ustaliliśmy chyba, że będziesz unikała zbytnej szczerości, aby nie wpadli na pomysł zamknięcia cię w ośrodku? – Powiesił ręcznik na klamce drzwi łazienki. – Dasz mi jakąś koszulkę?

Potrzebowałam dobrych paru sekund, żeby pozbierać się i odpowiedzieć.

– Moja będzie za ciasna – stwierdziłam, niezdolna oderwać od niego wzroku. – Może poprosisz Daniela?

Noah zerknął w stronę wyjścia.

– Mógłbym, ale nie chcę tak paradować po domu.

Racja.

– Racja – przyznałam.

Wyszłam i po chwili wróciłam z T-shirtem brata. Kiedy włożył go i obciągnął, smukłe mięśnie zagrały pod cienką, napiętą bawełną.

– Jednym słowem – powiedział, opierając się o biurko – wyznałaś bratu, co się stało.

– Coś w tym stylu. Przedstawiłam sprawę w ten sposób, że w Horyzontach zadano mi głupie wypracowanie. Mam opisać swoje problemy w formie zbeletryzowanej, z fikcyjną bohaterką.

– No, tak. – Noah pokręcił głową. – Obawiałem się, że przedstawiś to w sposób zbyt oczywisty.

Wzniosłam oczy do sufitu.

– Właśnie dlatego Daniel kupił moją bajkę, że była zbyt oczywista, rozumiesz? Terapia poprzez pisanie nie jest niczym nowym. Skoro bohaterka jest fikcyjna, może mieć dowolne zdolności. W tym zdolność do zabijania ludzi myślą.

– Racja – przyznał.

– W każdym razie – ciągnęłam – Daniel podsumował, że jestem nawiedzona. Myślę, że coś w tym jest, Noah.

Przejechał palcami po zmierzwionych włosach.

– Maro, nie jesteś nawiedzona.

– Mogę być, bo używałam tabliczki ouija.

– Nigdy nie wywoływałem duchów – przyznał.

– A ja tak. I tabliczka przepowiedziała śmierć Rachel.

Przepowiedziała także, że ją zabiję.

Noah usiadł na krześle przy biurku i słuchał uważnie.

– Rachel zapytała, jak umrze, na sześć miesięcy przed katastrofą szpitala – wyjaśniłam. – Wtedy pojawiło się moje imię. Trochę się zdziwiłam, ale niespecjalnie się tym przejęłam.

– Niezły suspens, jak w horrorze.

Spojrzałam na niego spod zmrużonych powiek.

– Maro – powiedział, przeciągając się leniwie. – Mogę podać tysiące wyjaśnień dla scenariusza, który mi opisałaś.

– Tysiące?

– No dobra, mniej. Konkretnie dwa. Po pierwsze, jest możliwe, że to nie ty, lecz Claire albo Rachel, lub obie naraz wpłynęły na ruchy wskaźnika.

– Myślę, że raczej Claire...

– Po drugie, że wskaźnik posłuchał tylko ciebie.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Czemu tylko mnie?

Noah wzruszył ramionami.

– Myślałaś intensywnie o Rachel, miałaś do niej żal, że woli Claire, i podświadomie wywołałaś swoje imię.

Milczałam, ale musiałam mieć straszną minę, bo Noah dodał szybko:

– Tak czy owak, coś tu śmierdzi, ale moim zdaniem nie jesteś nawiedzona.

– Skąd ta pewność?

– Z różnych względów, z których najważniejszy jest ten, że dziwne jazdy zdarzają się nam obojgu, choć w różny sposób. A skoro ja nie bawiłem się tabliczką ouiija i nie jestem opętany, to ty także nie. Logiczne?

Uniosłam głowę i popatrzyłam na niego.

– Okej, jaka jest w takim razie twoja teoria?

– Rozważam kilka opcji.

– Wal!

Noah zaczął wyliczać znudzonym tonem:

– Mutacje genetyczne, toksyczne odpady, izotopy promieniotwórcze, hormony w mleku...

– Wszystko, tylko nie opętanie? – podchwyciłam i uniosłam brwi. – A reinkarnacja?

– Maro, wyluzuj.

– I kto to mówi? Ten, który chce mi wmówić, że opętały mnie hormony z mleka!

– Nie twierdzę, że moje teorie są słuszne. Ale na pewno bardziej prawdopodobne niż twoje.

Opadłam na plecy i wpatrzyłam się w sufit.

– Kto by pomyślał, że Daniel okaże się bardziej pomocny od ciebie?

Milczeliśmy chwilę, nasłuchując deszczu dudniącego po dachu.

– Dobra – powiedział wreszcie Noah. – Co jeszcze ci mówił?

Odwróciłam głowę i popatrzyłam na niego.

– Zasugerował, że powinnam wymyślić tajemniczego, mądrego obrońcę, który pomógłby mojej bohaterce w wyjaśnieniu zagadki.

– Niezłe, tylko skąd wziąć kogoś takiego? Co dalej?

– Zaczekaj – powiedziałam, bo zaświtała mi pewna myśl.

Wspomnienie zabawy z tabliczką ouiija w urodziny Rachel przypomniało mi, co robiłam w swoje urodziny. Pamiętałam, że...

– Lukumi – powiedziałam powoli.

- Ten kapłan? Kapłan Santerii? Myślałem, że to zamknięta sprawa.
- Brzmi to sceptycznie.
- Nie żądaj, żebym przyjmował wszystko na wiarę. Z drugiej strony powinienem się spodziewać, że ten gość jeszcze wypłynie.
- Pamiętam to, co chcę pamiętać. Tak mówił.
- To można wytłumaczyć efektem placebo.
- Wytrzymałam jego spojrzenie.
- Myślę, że powinniśmy go poszukać.
- Już to zrobiliśmy, Maro – przypomniał mi spokojnie. – Pojechaliśmy do Małej Hawany i nie znaleźliśmy niczego.
- Pamiętam – powiedziałam, coraz bardziej podekscytowana. – Sklep zniknął, a więc coś było na rzeczy.
- Sam się nad tym zastanawiałem – przyznał Noah, leniwie wyciągając przed siebie długie nogi. – I trochę pogrzebałem w tych sprawach. Takie dziwne miejsca, które są przykrywką dla różnych rodzajów kultów, to zwykle imprezy na jeden wieczór, gdyż łatwo ich właściciele oskarżyć o dręczenie zwierząt. Jeśli tylko widzą oni, że robi się gorąco, zwijają interes i znikają. A potem po okolicy włóczą się bezpieczeństwa kury.
- Zadowolona?
- Pokręciłam głową, coraz bardziej sfrustrowana.
- Uparcie trzymasz się racjonalnych wyjaśnień.
- A ty uparcie trzymasz się magii.
- Powinniśmy go poszukać – powtórzyłam prosząco.
- Santeria to nie kościół katolicki, Maro. Wyobrażasz sobie, że mamy wypytywać mieszkańców: „Przepraszamy, nie wiedzą państwo, gdzie znaleźć znikający lokal pana szamana?”. Bez sensu.
- Już miałam zripostować, kiedy do sypialni zajrzał Daniel i powiódł spojrzeniem ode mnie do Noaha.
- Ekhem... Sophie i ja chcielibyśmy zaprosić was na kolację w mieście, ale nie wiem, czy dobrze trafiłem. Wszystko gra?
- A dokąd? – zapytałam szybko.
- Nie chciałam dłużej siedzieć w tym domu.
- Sophie ma ochotę na opcję kubańską – wyjaśnił ostrożnie Daniel.
- Na naszych twarzach pojawiły się bliźniacze uśmiechy. Nasze spojrzenia się spotkały.
- Znam jedno fajne miejsce – powiedział Noah.

Zanim wyszliśmy, mama kazała Danielowi i Noahowi przysiąc, że będą mnie pilnowali jak oka w głowie. Dla pewności kazała mi wziąć komórkę taty. Gdyby mogła, zapięłaby mi na kostce bransoletkę monitorującą, ale i tak byłam szczęśliwa, że wychodzę.

Po drodze zgarnęliśmy Sophie. Jednym susem wskoczyła do samochodu i z rozpędu cmoknęła Daniela w policzek. Zaczerwienił się jak piwonia. Sophie promieniała. Tworzyli bardzo fajną parę, musiałam to przyznać.

Idealna para przez pół drogi rozmawiała o koncercie jakiegoś sławnego skrzypka, który miał odbyć się w przyszłym tygodniu w Centrum Sztuki. Siedziałam w milczeniu, z policzkiem opartym o chłodną szybę hondy civic Daniela.

Deszcz ustał i jezdnie zaczęły wysychać. Uliczne lampy rzucały stożki żółtawego światła, wydobywając z mroku domy, przechodzące stopniowo od eleganckich willi w enklawie Sophie do obskurnego otoczenia kubańskiej dzielnicy. Kiedy zatrzymaliśmy się na światłach, dostrzegłam kota obserwującego nas z dachu jednego z zaparkowanych aut. Kiedy mnie zobaczył, syknął, obnażając zęby.

A może tylko mi się wydawało.

Na drzewach przed restauracją lśniły sznury białych światełek, a smakowita woń smażonego ciasta rozchodziła się w wilgotnym powietrzu.

– Cokolwiek tak pachnie – powiedziała Sophie, kiedy weszliśmy do środka – muszę to zamówić.

– *Churros* – wyjaśnił Noah. – Taki deser.

Sophie założyła za uszy pasma krótkich, jasnych włosów.

– Wszystko jedno, pachnie obłędnie.

– Ale kolejka – westchnął Daniel, spoglądając na kłębiący się tłum.

Dziesiątki ludzi stało, gadając i śmiejąc się w oczekiwaniu na miejsca.

– Tu zawsze jest tłoczno – wyjaśniłam.

– Byłaś tu już? – spytała Sophie.

– Dwa razy.

Raz w moje urodziny. A potem na swojej pierwszej randce z Noahem. Uśmiechnęłam się na to wspomnienie, kiedy Noah rzucił:

– Zaraz wracam – i oddalił się.

Ludzka fala poniosła nas do baru.

– O, Boże – pisnęła Sophie, kiedy zobaczyła gablotę z firmowymi koszulkami w biało-zielonych barwach lokalu. – Ale fajne!

– Kupić ci? – zapytał Daniel.

– Nie będzie nadużyciem, jeśli powiem „tak”?

– Będzie – odpowiedział i uśmiechnął się.

Zabawnie zmarszczyła nosek.

– Może być ta z serem. Uwielbiam ser.

Ja też uwielbam, choć nie aż tak.

Dyskretnie przesunęłam się w stronę menu. Ale nie chodziło mi o jedzenie, tylko o tablicę z ogłoszeniami wiszącą obok. Tam zesłłym razem zobaczyłam ulotkę Abła Lukumi. Może znów mi się poszczęści.

W pośpiechu przebiegałam wzrokiem dziesiątki anonsów, kiedy podszedł do mnie Daniel.

– Mamy stolik – powiedział. – Chodź.

– Za momencik.

Brat westchnął i zawrócił do Sophie. Ale jak obiecał, nie zostawił mnie samej.

– Znalazłaś coś?

Głos Noaha, aksamitny i ciepły, pieścił mi ucho. Pokręciłam głową, gdy nagle mój wzrok przyciągnęły cztery ostatnie litery z napisu zakrytego inną ulotką.

„...kumi”.

Wróciła mi nadzieja. Szybkim ruchem odchyliłam ulotkę.

Rzeczywiście, słowo brzmiało „Lukumi”, ale kiedy wczytałam się w drobny druk, stwierdziłam, że mój nieużywany hiszpański zdążył mocno zarzewieć. Prawie nic z tego nie rozumiałam.

– Chodzi o kościół – wyjaśnił Noah, zerkając ponad moim ramieniem. – Kościół Lukumi.

Przygryzłam wargę.

– No dobrze, skoro jest kapłanem... może to jego kościół?

Noah wyciągnął iPhone’a i wstukał coś szybko.

– Taa, jasne – mruknął z rezygnacją.

– Co jest?

Pokazał mi ekran. Było tam setki pozycji – głównie odnoszących się do Kościoła Lukumi i sprawy w Sądzie Najwyższym, w której występował ktoś o tym nazwisku.

– To inna nazwa religijnego kultu Santerii – powiedział Noah. Nasze spojrzenia się spotkały. – Nie wiem, jak nazywa się ten człowiek, ale na

pewno nie Abel Lukumi.

Przedstawił się nam fałszywym nazwiskiem.

Usiadłam przy stole, usiłując ukryć rozczarowanie, choć nie było to łatwe. Sophie na pewno niczego nie zauważyła. Daniel mógł tylko udawać. Po uczcie wyszliśmy przed budynek, obładowani styropianowymi pojemnikami z pozostałym jedzeniem, którego nie zdołaliśmy przejeść.

– To było niesamowite – powiedziała z rozmarzeniem Sophie. – Nie do wiary, że mieszkam dwadzieścia minut drogi stąd i nie miałam pojęcia o tym cudownym lokalu.

– Świetny wybór – pochwalił Daniel, klepiąc Noaha po ramieniu.

Wsiedliśmy do auta i Sophie położyła swojego iPoda na desce rozdzielczej. Koniecznie chciała, żeby Daniel i Noah posłuchali jej ulubionego kawałka, ciężkiego i mrocznego. Kiedy muzyka rozbrzmiała crescendo, jakiś niewielki przedmiot uderzył w przednią szybę i zsunął się po niej.

Sophie krzyknęła. Daniel zahamował gwałtownie.

Samochód wpadł w lekki poślizg i zatrzymał się w kręgu światła ulicznej latarni. W jej blasku zobaczyliśmy krwawą plamę, rozmazywaną przez wycieraczki.

Jeszcze nie wyjechaliśmy z Calle Ocho. Dzielnica była raczej podejrzana, ale o tej porze ulice były puste, więc Daniel postanowił wysiąść i sprawdzić. Noah zrobił to samo.

Silnik zgasł i wokół panowała cisza, ale krew szumiała mi w uszach jak górski potok. Po niecałej minucie chłopcy wrócili na miejsca.

– To był ptak – powiedział Noah.

Poszukał mojej dłoni i splótł swoje palce z moimi. Zaczęłam się uspokajać.

– Wrona – uściślił Daniel.

Jego wesoły nastrój wyparował.

Sophie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nic się nie stało – powiedziała pocieszająco.

Ale Daniel siedział nieruchomo za kierownicą, wpatrzony przed siebie.

– W życiu nie zabiłem...

Nie dane mu było dokończyć, bo znów coś uderzyło miękko w samochód – tym razem w dach.

Ale tym razem samochód się nie poruszał.

– Co to... – zaczął Daniel.

Nie dokończył, bo nastąpiła istna kanonada. Coś spadało jak grad nie

tylko na nasz wóz, ale na ulicę i inne zaparkowane przy niej auta.
Zamarliśmy w szoku, patrząc, jak deszcz martwych wron spada z nieba.

Kiedy odwieźliśmy Sophie, Daniel i Noah przez resztę drogi przerzucali się teoriami mającymi wyjaśnić upiorne zjawisko. Burza. Ptasi pomór. Inne naukowe wyjaśnienia, które do mnie nie przemawiały.

Miałam poczucie, że chodzi o coś zupełnie innego.

Sekundy dłużyły się jak wieki, kiedy czekałam, aż Noah przyjdzie do mojej sypialni. Ciągle zerkałam na zegarek na nocnej szafce, ale mijały godziny i się nie pokazał. Z drugiej strony nie obiecywał, że przyjdzie, jednak liczyłam na to.

Może niepotrzebnie.

Może już dawno zasnął.

Odrzuciłam okrycie i cicho wyszłam na korytarz. Pokój gościnny znajdował się po przeciwnej stronie domu. Miałam nadzieję, że nikogo nie obudzę. Chciałam tylko sprawdzić, czy Noah jeszcze nie śpi. Tak dla porządku.

Stanełam pod drzwiami i zaczęłam nasłuchiwać. Cisza. Pchnęłam drzwi. Zaskrzypiały.

– Tak? – zapytał Noah. Całkiem rozbudzony.

Pchnęłam drzwi i weszłam do pokoju. Snop światła małej lampki stojącej na stoliku w rogu wycinał z ciemności jasny krąg, ale Noah pozostawał w cieniu. Był w ubraniu i czytał; twarz miał zasłoniętą książką. Na mój widok opuścił ją na tyle, żebym zobaczyła jego oczy.

– Cześć – powiedziałam.

– Hej.

– Hej.

Odłożył książkę.

– Wszystko w porządku?

Zamknęłam za sobą drzwi.

– Chciałam powiedzieć ci dobranoc.

– Dobranoc.

Sięgnął po książkę i powrócił do lektury.

Nie rozumiałam, co się dzieje. To nie było fajne. Zawróciłam do wejścia, ale zatrzymałam się w połowie drogi. Popatrzyłam na Noaha.

Uniósł brew.

– Co?

Zaraz to powiem.

– Zaraz to powiem.

Czekał.

– Myślałam, że przyjdiesz do mnie.

– Dlaczego miałbym przyjść do ciebie?

Zabolało. Położyłam rękę na klamce.

Noah westchnął ciężko.

– Nie mogę, Maro.

– Czemu?

Tym razem naprawdę odłożył książkę. Wstał, ale nie podszedł do mnie, tylko wpatrzył się w okno. Podążyłam za jego wzrokiem.

Z tego miejsca widać było śmiesznie długi korytarz prowadzący do mojej sypialni, z trzema parami przeszklonych drzwi po jednej stronie. Był oświetlony, więc wydawało się niemal niemożliwe, aby ktoś mógł przemknąć tędy niepostrzeżenie. Noah musiałby go zauważyć.

I dlatego się nie pojawił?

– Z mojego łóżka lepiej widziałabyś mnie i mój pokój – stwierdziłam.

Noah musnął dłonią mój policzek. Niespodziewany gest sprawił, że mój oddech przyspieszył. Delikatnie zsunął kciuk do brody i uniósł mi głowę, zmuszając, abym patrzyła mu w oczy.

– Twoja mama mi ufa – powiedział spokojnie.

Uśmiechnęłam się kąśliwie.

– Aż za bardzo.

– Nie, Maro, po prostu mi ufa. Gdyby zastała mnie w twoim łóżku, zabroniono by mi tu przychodzić. A ja muszę być blisko ciebie.

Przypomniałam sobie, co mówiłam do Noaha niecały tydzień temu, zanim okazało się, że Jude żyje. W czasach, kiedy obawiałam się wyłącznie o siebie.

„Potrzebuję chłopaka, a nie niańki”.

Okoliczności się zmieniły, ale nie moje nastawienie.

– Nie musisz tu wysiadywać – powiedziałam. – Nie powinieneś się zmuszać, żeby robić to, na co nie masz ochoty.

– Chcę tu być.

– Po co?

Zacisnęłam powieki, udręczona frustracją. Noah nie zrozumiał, co chciałam powiedzieć, albo to ignorował.

– Mam sobie iść? – zapytał.

Ciągle czułam miękki dotyk jego palców na twarzy.

– Powinieneś.

Nie miałam zamiaru błagać. Odsunęłam się od Noaha i ruszyłam do drzwi.

– Nie zrobię tego – powiedział spokojnie.

Zawróciłam do pokoju. Noah zamknął za mną drzwi. Oparłam się o framugę, czując jego bliskość.

Wstałam, żeby poszukać Noaha, przekonana, że znajdę go śpiącego. Stało się inaczej i krew pulsowała mi w żyłach, podgrzewając atmosferę.

Kącik pięknych ust podjechał w górę i zapragnęłam posmakować jego uśmiechu. Zapragnęłam wsunąć rękę pod koszulkę i powędrować wzdłuż linii włosów znikającej pod dzinsami. Chciałam leciutko kąsać jego skórę i poczuć dotyk niegolonego policzka na swojej szyi.

A jednak, choć Noah był przy mnie i nic nie mogło nas powstrzymać, nie poruszyłam się.

– Chcę cię pocałować – szepnęłam.

Przysunął twarz do mojej twarzy, ale nie do ust, tylko do ucha.

– Zezwalam – powiedział.

Musnął wargami moją skórę i nagle tamy puściły. Chwyciłam go garścią za koszulkę i przyciągnęłam do siebie – blisko, ale nie do końca. Pożądanie zapierało mi dech. Drżałam.

Noah stał nieruchomo.

Do chwili kiedy z miękkim, zdławionym jękiem wypowiedziałam jego imię. Wtedy chwycił mnie za biodra i przyciągnął do siebie. Poczułam jego usta na skórze i wtopiłam się w niego. Stałam, oparta plecami o drzwi, czując ekscytujący ucisk metalowych guzików jego dzinsów. Dotyk szorstkiego policzka przeszył prądem delikatną skórę w zagłębieniu szyi. Odchyliłam głowę, poddając się pieścizocie. Noah objął mnie w pasie i lekko unióś w górę, aż poczułam muśnięcie jego warg na ustach. Miękkie. Czułe. Zapraszające do pocałunku.

W przebłysku pamięci zobaczyłam nas razem w łóżku, splecionych ciałami, włosami, językami. Noah zamykał mnie w uścisku i zarazem otwierał pocałunkiem. Nasze usta porozumiewały się płynnie w naszej tajemnej mowie, umysły zlały się w jeden i nawet oddech był wspólny. Aż Noah przestał oddychać. I omal nie umarł.

Ale to Jude powinien umrzeć.

To jemu życzyłam śmierci.

Wzdrygnęłam się z ustami na ustach Noaha i serce dziko załomotało mi w piersi. Znów zaczęłam się bać, że to zdarzy się ponownie.

Noah puścił mnie i cofnął się o krok.

Zachwiałam się, z trudem łapiąc oddech.

– Co się stało? – wykrztusiłam.

– Nie jesteś gotowa – odpowiedział.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

– Tak, pomyślałam o tym. I w tym momencie... się wycofałeś.

– Twoje serce zaczęło szaleć.

– To normalne w takich momentach.

– Niekoniecznie. Szalało, bo nie jesteś gotowa. A ja nie zamierzam niczego przyspieszać.

Milczeliśmy przez długą chwilę.

– Boję się – wyznałam w końcu.

Noah spokojnie czekał, co dalej.

– Boję się całować ciebie. Boję się, że zrobię ci krzywdę.

Łagodnym ruchem odgarnął mi włosy z twarzy.

– Nie musisz mnie całować.

– Ale chcę.

Jeszcze nigdy nie byłam tak szczerą.

Spojrzenie miał miękkie, łagodne.

– Chcesz mi powiedzieć, czego się obawiasz?

Mój głos był mocny i dźwięczny.

– Boję się, że cię zabiję, Noah.

– Jeśli mnie pocałujesz?

– Tak.

– Z powodu tego snu?

Zacisnęłam powieki.

– To nie był sen.

Czułam, jak znów obejmuje mnie w talii.

– A jeśli nie sen, to co?

– Już ci mówiłam.

– Jak to ma działać?

Wpatrzyłam się w jego twarz, szukając jakiegokolwiek oznaki niewiary czy rozbawienia. Ale Noah był wyjątkowo poważny.

– Nie wiem. Może tylko jakaś cząstka... mnie – powiedziałam niepewnie i pojęłam, że Noah już się domyśla.

– Chodzi tylko o pocałunki?

Wzruszyłam ramionami.

– A nie o seks?

– Nie uprawiałam z nikim seksu.

– Wiem. Jednak, o ile sobie przypominam, tamtej nocy w moim pokoju nie przejmowałam się tym zbytnio.

Ślad uśmiešku pojawił się w kąciку jego ust.

Wiedziałam aż za dobrze, o jakiej nocy mówi. Po tym jak ostatecznie przekonał się, co potrafię. Kiedy pozbawiłam życia każde żyjące stworzenie w sali z insektami w zoo, oszczędzając tylko nas dwoje.

Pomyślałam wtedy, że powinnam z nim zerwać, dla jego własnego bezpieczeństwa. I tak samo powinnam porzucić innych, których kocham. Jednak Noah nie pozwolił mi na to i byłam mu wdzięczna, bo nie chciałam z nim zrywać. Przeciwnie, pragnęłam jego bliskości, totalnej bliskości. Nie potrafiłam wtedy myśleć jasno. W ogóle nie potrafiłam myśleć.

– Nie wiem – powiedziałam bezradnie i usiadłam na łóżku. – Skąd mam wiedzieć?

Noah położył się obok i pociągnął mnie na materac. Leżałam wtulona plecami w jego pierś, czując, jak srebrny wisiołek, który zawsze nosił, wpija mi się w skórę. Jego serce biło równo, spowalniając rytm mojego niespokojnego serca.

Noah delikatnie wziął mnie za rękę.

– Nie musimy nic robić, Maro – powiedział miękko i ogarnęła mnie nagła senność.

Zamknęłam oczy. Zapagnęłam skulić się w bezpiecznych objęciach jego ramion i pozostać tam na zawsze.

– Tyle wystarczy.

Ostatnia myśl przemknęła mi przez głowę, zanim zapadłam w sen.

„Nie mnie”.

Powóz ruszył i oddalił się w tumanie pyłu. Niebieski Człowiek spojrział na mnie.

– Jak się nazywasz?

Patrzyłam na niego w milczeniu.

– Rozumiesz, co mówię?

Kiwnęłam głową.

– Nie wiem, co powiedział ci twój opiekun, ale teraz ja się tobą zajmuję. Musimy nadać ci jakieś imię.

Milczałam.

Mężczyzna westchnął.

– Mamy przed sobą długą drogę. Dobrze się czujesz?

Ponownie kiwnęłam głową. Ruszyliśmy przed siebie. Zaczął się kolejny etap podróży.

Szkoda mi było statków, których nie zdążyłam obejrzeć. Szliśmy pieszo, a potem jechaliśmy na słoniach przez dżunglę, aż wreszcie, tuż przed zmrokiem, dotarliśmy do jakiejś wioski. Ziemia pod moimi stopami była wyschnięta, a powietrze stało nieruchomo, nieporuszone najmniejszym powiewem. Poczułam zapach dymu; po obu stronach drogi stały małe chaty, ale nie było widać żywej duszy.

– Wejdz – powiedział Niebieski Człowiek, pokazując gestem drzwi do jednej z chat.

W środku było ciemno i przez chwilę nic nie widziałam.

Poczułam koło siebie ruch i z mroku wychynęła jakaś postać. Dostrzegłam gładką, śniadą skórę, pokrywającą smukłe ciało dziewczynki. Była wyższa ode mnie, ale nie widziałam jej twarzy. Pasma czarnych włosów zwisały na ramiona.

– Córko – powiedział do niej Niebieski Człowiek. – Mamy gościa.

Dziewczynka zbliżyła się do wejścia i wreszcie mogłam zobaczyć ją dokładnie. Nie była ładna, ale miała w sobie ciepło i urok, które dodawały jej urody. Uśmiechnęła się do mnie.

Odwzajemniłam uśmiech.

Niebieski Człowiek położył dłoń na ramieniu córki.

– Gdzie mama?

– Kobieta rodzi.

Niebieski Człowiek spojrział na nią dziwnie.

– Kto?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie stąd. Obca. Jej mąż przyszedł do mamy po pomoc. Powiedziała, że postara się wrócić jak najszybciej.

Niebieski Człowiek zmrużył oczy.

– Muszę z tobą pomówić – powiedział do córki. I do mnie: – Zaczekaj tutaj. Nie wychodź na zewnątrz. Zrozumiałaś?

Kiwnęłam głową. Dał znak dziewczynce i odeszli kawałek od chaty. Słyszałam, jak rozmawiali szeptem, ale nie rozumiałam słów. Chwilę potem dziewczynka wróciła. Sama.

Nie odezwała się do mnie. Nie od razu. Zrobiła krok w moją stronę, a potem wysunęła przed siebie ręce dłońmi do góry. Nie poruszyłam się. Zbliżyła się jeszcze trochę i mogłam poczuć jej zapach – naturalny, intensywny. Podobał mi się i podobało mi się jej ciepło. Wyciągnęła rękę i pozwoliłam się jej dotknąć. Potem przycupnęła w kącie i gestem zachęciła, żebym zrobiła to samo. Coś mnie do niej ciągnęło, choć z drugiej strony irytowała mnie ta pewność kogoś, kto z góry narzuca mi swoją wolę. Poruszyłam się niecierpliwie, usiłując poradzić sobie z tym odczuciem.

– Siedź i nie ruszaj się stąd – powiedziała, źle rozumiawszy moje zamiary.

Znieruchomiałam.

– Dlaczego?

– Tak trzeba – odpowiedziała z nieznacznym uśmiechem. – Żeby było bezpiecznie – dodała.

– Czemu tu jest tak cicho? – zapytałam.

– Ludzie są chorzy. Hałas im przeszkadza.

Nic z tego nie rozumiałam.

– Jak to, chorzy?

– Nigdy nie byłaś chora?

Pokręciłam głową.

Uśmiechnęła się i zerknęła na mnie chytrze.

– Każdy kiedyś zachoruje. Jesteś pełna złej woli.

Znów nie rozumiałam, o co jej chodzi, więc zapytałam:

– Niebieski Człowiek jest twoim ojcem?

– Niebieski Człowiek? – W jej oczach pojawił się błysk. – Tak go nazywasz?

Nie odpowiedziałam.

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Tak, to mój ojciec. Ale możesz nazywać go wujkiem, a moją mamę ciocią. Poznasz ją, jak wróci. A ja mogę być dla ciebie siostrą, jeśli zechcesz.

– Czy moi rodzice zachorowali? – zapytałam, choć nie pamiętałam mamy ani taty. Nie pamiętałam, żebym ich kiedykolwiek miała.

– Możliwe – odparła spokojnie i znów przyciągnęła mnie do siebie. – Ale teraz jesteś z nami.

– Dlaczego?

– Bo my się tobą zajmujemy.

Jej głos był łagodny i miły. Nagle zaczęłam się o nią bać.

– Ty też jesteś chora?

– Jeszcze nie – powiedziała, wstając.

Ja też szybko wstałam. Była inna niż wszyscy ludzie, których znałam. Chciałam, żeby została ze mną.

Odwróciła się do mnie.

– Nie odchodzę – zapewniła.

– Wiem – powiedziałam, ale poszłam za nią.

Rzeczywiście, pozostała w chacie. Przeszliśmy tylko do innej, mniejszej izby, gdzie na klepisku wysypanym słomą leżały maty do spania. Dziewczynka uniosła jedną z nich i wyciągnęła spod niej kawałek tkaniny oraz igłę i nitkę. Następnie wzięła słoik z jakimś ciemnym proszkiem, wysypała porcję na materiał i zaczęła go składać, nucąc przy tym prostą melodię, złożoną z paru dźwięków. Potem nawlekła igłę i zaczęła zszywać to dziwne zawiniątko.

Hipnotyzowały mnie jej ruchy.

– Co to ma być?

– Prezent. Żebyś miała się czym bawić i nie czuła się samotna.

Ogarnął mnie nieokreślony lęk.

– Chcę się bawić z tobą.

Uśmiechnęła się ciepłym, jasnym uśmiechem.

– Możemy się bawić razem.

To mnie uspokoiło. Usiadłam na macie i obserwowałam, jak szyje, ukołysana jednostajną melodią i rytmicznymi ruchami palców dziewczynki. Wkrótce bezkształtna forma zaczęła w jej rękach nabierać życia i przekształcać się w coś innego. Najpierw zobaczyłam głowę, a potem ręce

i nogi. Następnie pojawiły się oczy, rzęsy i wąskie, czarne, lekko uśmiechnięte usta. Rzędy równych ściągów stały się włosami. Na koniec z pozostałej części materiału dziewczynka uszyła prostą sukienkę i założyła ją na szmaciane ciało.

Kiedy skończyła, przytuliłam się do niej.

– Podoba ci się twoja lalka?

Podniosła ją do smugi światła padającej z małego okienka. Dostrzegłam czerwoną plamkę na przegubie lalki, tam, gdzie dziewczynka ją trzymała.

Nie odpowiedziałam.

– Co to jest, to czerwone? – spytałam.

– Och. – Wręczyła mi lalkę i obejrzała swój palec. – Ukłułam się.

Włożyła palec do ust i zaczęła go ssać.

– Boli? – spytałam z troską.

– Nie, nie martw się o mnie.

Przycisnęłam do siebie lalkę.

– Jak ją nazwiesz? – zapytała łagodnie dziewczynka.

Milczałam przez chwilę, zanim powiedziałam:

– Ty to zrobiłaś, więc ty musisz nadać temu imię.

– Nie temu, tylko jej – poprawiła mnie. – Nie mogę wybrać za ciebie.

– Czemu?

– Bo lalka jest twoja. A w imieniu jest moc. Ale nie musisz wybierać teraz. Zrobisz to, kiedy lepiej ją poznasz, dobrze?

Kiwnęłam głową i starsza dziewczynka wstała, a ja razem z nią. Głośno zaburczało mi w brzuchu.

– Jesteś głodna.

Znów kiwnęłam głową.

Pieszczotliwym gestem pogładziła mnie po gęstych, czarnych włosach.

– Wszyscy jesteśmy głodni – powiedziała miękko. – Mogę dolać wody do zupy. Zjesz trochę przed kolacją?

– Tak.

Skinęła głową i otaksowała mnie spojrzeniem.

– Masz siłę, żeby przynieść wodę ze studni?

– Jestem bardzo silna.

– Cebrzyk jest bardzo ciężki.

– Nie szkodzi.

– A studnia jest bardzo głęboka.

– Dam radę – zapewniłam.

Chciałam wyjść z tej dusznej, ciemnej chaty, choćby tylko do studni.

– Powiem ci w sekrecie, gdzie to jest, ale musisz mi obiecać, że nie pójdziesz dalej niż za drzewa.

– Obiecuję.

– I obiecaj, że jeśli spotkasz kogoś, nie powiesz mu, dokąd idziesz.

– Dobrze.

Dziewczynka uśmiechnęła się i wcisnęła mi lalkę do ręki.

– Zawsze miej ją ze sobą, dokądkolwiek pójdziesz.

Przycisnęłam lalkę mocno do piersi. Dziewczynka wyszła ze mną przed chatę i pokazała drogę. Patrzyła za mną, kiedy pobiegłam prosto w zachodzące słońce. Woń przypalonego mięsa uderzyła mnie w nozdrza, ale nie był to niemiły zapach. Gryzący dym unosił się wśród drzew i oczy zaczęły mnie piec.

Szłam ścieżką, którą mi wskazała. Studnia znajdowała się dosyć daleko, wśród gęstych zarośli. Cembrowina była tak wysoka, że musiałam stanąć na palcach, żeby zajrzeć do środka. Zobaczyłam mroczną głębię. Bez dna. Nagle zapragnęłam wrzucić tam lalkę.

Ale nie zrobiłam tego. Posadziłam ją na ziemi, oparłam o cembrowinę i zabrałam się do pracy. Kiedy wyciągnęłam napełniony cebrzyk i dźwignęłam go, natężając chude ramiona, ktoś nagle zakaszał.

W pobliżu.

Drgnęłam z przestachu i wypuściłam pałąk z ręki. Chwyciłam lalkę i ściskając ją kurczowo, lękliwie wyjrzałam zza studni.

Zobaczyłam starą kobietę, która siedziała oparta o pień palmy daktylowej. Twarz miała poorly głębokimi zmarszczkami, a spojrzenie jej czarnych, załzawionych oczu było mętne i nieprzytomne. Musiała być bardzo słaba.

I nie była sama.

Ktoś siedział przy niej w kucki – mężczyzna o bujnych, wijących się, czarnych włosach i gładkiej, pięknej skórze. Przytykał kubek do ust starej kobiety; woda spływała jej po brodzie. Znów zakaszła i znów drgnęłam ze strachu.

Oczy mężczyzny były czarne i nieprzeniknione, jakby zrobione z obsydianu. Kiedy napotkały moje spojrzenie, pojawił się w nich błysk, sygnalizując coś, czego nie znałam albo nie rozumiałam.

Kobieta podążyła za jego spojrzeniem i wpatrzyła się we mnie. Jej wzrok, teraz ostry i skupiony, zdawał się przyszpilać mnie do ziemi. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie, aż błysnęły białka. Mężczyzna uspokajającym gestem położył kobiecie dłoń na ramieniu i popatrzył na mnie.

Poczułam falę mdłości zalewającą mi żołądek i zgięłam się wpół. Czerwone plamy zawirowały mi pod powiekami i zakreśliło mi się w głowie. Kurczowo łapiąc oddech, wyprostowałam się powoli... bardzo powoli.

Kobieta zaczęła się trząść i szeptać coś do siebie. Mężczyzna – zaskoczony, zaciekawiony, ale nie przestraszony – pochylił ku niej głowę i słuchał. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, podeszłam bliżej.

Stara szeptała coraz głośniej i głośniej. Powtarzała ciągle to samo słowo, gorączkowo i bez końca. Uniosła słabą, drżącą rękę i oskarżycielskim gestem wycelowała we mnie palec.

– Mara – szeptała raz po raz, aż wreszcie szept przeszedł w krzyk.

– Mara – powiedział ktoś, owiewając moją skórę ciepłym oddechu.

Otworzyłam oczy, ale nie było już drzew. Znikł zachód słońca. Została tylko ciemność.

I Noah, tuż przy mnie, z palcami na moim policzku.

Koszmar. To był tylko senny koszmar. Powoli wypuściłam powietrze i uśmiechnęłam się z ulgą, W następnej chwili uświadomiłam sobie, że nie jesteśmy w łóżku.

Staliśmy przy drzwiach pokoju gościnnego. Musiałam przed chwilą je otworzyć, bo moja dłoń obejmowała klamkę.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał łagodnie Noah.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, był moment, w którym zasnęłam u jego boku, choć nie powinnam tego robić. Mój dom był skalany, ale przy Noahu czułam się bezpiecznie.

A jednak tej nocy porzuciłam azyl jego ramion. Odeszłam od niego.

Lunatykowałam.

Szczegóły snu snuły się na dnie mojego umysłu niczym duszne opary, ale nie zamąciły rozumowania. Nie wiedziałam, dokąd zmierzałam w tym śnie ani o co tam chodziło, ale teraz, kiedy już się obudziłam, poczułam, że koniecznie muszę coś sprawdzić, zanim zdążę zapomnieć.

– Idziemy do mnie – odpowiedziałam Noahowi trzeźwym, stanowczym tonem.

Muszę zobaczyć tę lalkę.

Pociągnęłam Noaha za sobą i cicho przemknęliśmy do mojego pokoju. Pomógł mi wyjąć lalkę z pudła, gdzie ją uwięziłam. Nie zadawał pytań, a ja w milczeniu zaczęłam ją oglądać. Dotyk lalki mroził mi skórę.

Czarny uśmiech był nieco wyblakły – nie wiedziałam, czy od starości, czy od prania. Sukienka wydawała się w lepszym stanie, choć też zniszczona. Niewątpliwie uszyto ją ręcznie. W sumie całość wyglądała podobnie do lalki z mojego snu.

Może nawet bardziej niż podobnie.

Wtem przypomniałam sobie o czymś.

Dostrzegłam czerwoną plamkę na przegubie lalki, tam, gdzie dziewczynka ją trzymała.

Podwinęłam rękawek sukienki.

– *Co to jest, to czerwone?* – spytałam.

– *Och.* – *Wręczyła mi lalkę i obejrzała swój palec.* – *Ukłułam się.*

Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam brunatną plamkę pod ramieniem lalki. Tam, gdzie powinna mieć przegub.

Miałam wrażenie, że moja skóra jest martwa w miejscu, w którym stykała się ze szmacianym ciałem. Nadal nie wiedziałam, co miał znaczyć mój sen, ale w tym momencie było mi wszystko jedno.

– Wyrzucę to – szepnęłam do Noaha.

Patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc. Wytłumaczę mu wszystko rano. Nikt nie może nas zobaczyć, a im dłużej będziemy gadać, tym bardziej ryzykujemy.

Noah przyglądał się, jak zakładam buty, wychodzę na podwórko i rzucam lalkę na stos worków ze śmieciami, wypełniających pojemnik, który tata wystawił przy bramie. Wkrótce przyjadą śmieciarze i nie będę już musiała o tym myśleć ani śnić. I Jude nie będzie mnie tym prześladował.

Wróciliśmy do łóżka Noaha. Historia z koszmarnym snem i z lalką tak wytrąciła mnie z równowagi, że nie chciałam spać sama. Ułożyłam głowę na jego ramieniu, zamknęłam oczy i dałam się ukołysać równemu, spokojnemu oddechowi. Kiedy ponownie się obudziłam, było jeszcze ciemno. Na szczęście Noah nadal był przy mnie i nadal byliśmy w łóżku.

Czułam się zmęczona, ale odprężona.

– Która godzina?

– Nie wiem – odpowiedział głosem, który nie był zaspany.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego.

– W ogóle nie spałeś?

Udał, że się przeciąga.

– Co? Skądże.

Uśmiechnęłam się.

– Oczywiście, że nie spałeś. Patrzyłeś, jak ja śpię.

– Nie, to by było za nudne. Co innego patrzeć na ciebie pod prysznicem...

Dałam mu kuksańca w bok i wsunęłam się głębiej pod kołdrę.

– Serio – dodał i przewrócił się na brzuch. – Marzę o tym – dodał, patrząc mi w oczy z łobuzerskim uśmieszkiem. – Niestety, musisz już iść.

Pokręciłam głową.

– Jeszcze jest ciemno.

– Pamiętaj, że mam jechać na ryby z Josephem. Musisz wrócić do siebie, zanim się obudzi.

Westchnęłam dramatycznie.

– Rozumiem – powiedział z rozkosznym uśmiechem – mnie też by było szkoda, że nie śpię ze mną.

Przewróciłam oczami.

– Wszystko zepsułeś!

– Taki miałem zamiar – przytaknął bezczelnie, odprowadzając mnie wzrokiem, kiedy szłam do drzwi.

– Mara?

– Noah?

– Włóż jeszcze kiedyś tę piżamę.

– Dupek – prychnęłam i wyszłam.

Szłam do swojego pokoju, mijając rozsuwane szklane drzwi, za którymi ciągle była noc. Przyspieszyłam kroku, nie chcąc myśleć, co bym mogła za nimi zobaczyć.

Albo kogo.

Zbliżał się świt. Jude nie zaryzykowałby najścia o tej porze. Pokrzepiona tą myślą, wsunęłam się do łóżka i zamknęłam oczy. Zasnęłam bez trudu.

Problemy zaczęły się po obudzeniu.

Około ósmej tata zapukał do drzwi, sprawdzając, czy już nie śpię. Leniwie wstałam z łóżka i poszłam do garderoby. Nie chciałam się spóźnić do Horyzontów.

Kiedy otworzyłam dolną szufladę, zobaczyłam lalkę.

Byle nie krzyżeć. Wycofałam się rakiem z garderoby i zamknęłam się w łazience. Tam bezsilnie oparłam się o ścianę i osunęłam na zimne płytki podłogi, przyciskając pięść do ust.

Czy Jude był u nas tej nocy? Czy widział, jak to wyrzucam? Czy włożył lalkę z powrotem do szafy, kiedy spałam u Noaha?

Włoski stanęły mi dęba na skórze mokrej od potu. Nie mogę dopuścić, żeby tata nabrał podejrzeń. Muszę się ubrać i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Jakbym była zdrowa na umyśle, jakby Jude dawno nie żył.

– Rusz się – szepnęłam do siebie.

Siedziałam jeszcze przez chwilę na podłodze, a potem wstałam chwiejnie. Odkręciłam kran, nabrałam wody w złożoną dłoń i podsunęłam ją do ust. Wyprostowałam się i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze.

Zamarłam. Zarys mojej twarzy był dziwny. Obcy. Kości policzkowe zrobiły się bardziej wyraziste, wargi były nabrzmięte jak od pocałunku, miałam rumieńce, a włosy były gładko szesane na tył głowy.

Stałam jak sparaliżowana, a woda wyciekała mi spomiędzy palców.

Szum wody lecącej z kranu przywrócił mnie do rzeczywistości. W gardle mi zaschło, więc znów nabrałam wody w garść i wypięłam łąpczywie. Jej chłód działał kojąco. Ponownie spojrzęłam w lustro.

Nadal byęłam odmieniona, ale czuęłam się już lepiej. Jednocześnie byęłam wyczerpana, wścikęła i sfrustrowana. Moęże zachorowaęłam i stęąd ten dziwny wyęględ? Pomasowaęłam sobie kark, przecięgnęęłam się i znów napięłam się wody. Skóra na karku lekko mi ścierpęła, jakbym czuęła się obserwowana.

Przeszęłam do garderoby i zajrzęłam do szuflady. Lalka nadal tam byęła.

– Gotowa? – zawoęłaęł tata z holu.

– Taak! – odkrzyknęęłam.

Ubraęłam się szybko i wyszęłam, po raz ostatni spojrzęawszy na szufladę.

Muszę się pozbyć tej lalki.

– Dzień dobry, Maro – powitał mnie tata, kiedy wreszcie pojawiłam się w kuchni.

– Dobry – mruknęłam.

Wzięłam z szafki dwa batoniki zbożowe i butelkę wody, której połowę wypiałam duszkiem, zanim tata zdążył skończyć swoją kawę. Razem wyszliśmy do samochodu.

Wsiedliśmy i od razu opuścił szyby. Pogoda była idealna – bezchmurne, błękitne niebo i przyjemne ciepło, bo powietrze jeszcze się nagrzało. Mimo to miałam wrażenie, że skóra płonie mi od środka.

– Jak się czujesz, mała?

Zerknęłam na tatę.

– Czemu pytasz?

– Bo sprawiasz wrażenie zmęczonej.

– Dzięki...

– Och, rozumiesz, co mam na myśli. A wiesz, jaki film wypożyczyłem?

– Eee... nie.

Tata na moment zawiesił głos, dla lepszego efektu.

– Uwielbiasz ten film, oglądaliśmy go wiele razy, pamiętasz?

Kiedy miałam sześć lat.

– A teraz Joseph nakręcił się na niego i fascynują go orki, więc pomyślałam, że moglibyśmy urządzić sobie rodzinny seans. Założę się, że Noahowi też się spodoba – dodał.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Tata bardzo się starał.

– Dobrze, tato.

– To zremasteryzowana wersja.

– Tak, tato.

– Poszerzona o dodatkowe sceny i...

– Fajnie, tato.

Uśmiechnął się szeroko i włączył stację nadającą klasycznego rocka. Dalej jechaliśmy w milczeniu. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że ciągle zerkam w boczne lusterko. Wypatruję białego pikapa.

Wypatruję Jude'a.

Przez całą drogę do Horyzontów bałam się, że znów zobaczę go za nami. Niepotrzebnie. Tata wysadził mnie na parkingu. W szkole zajęła się mną

Brooke. Przywitała mnie ciepło i zaprowadziła do specjalistki od terapii sztuką, z którą miałam odbywać zajęcia parę razy w tygodniu. Terapeutka poprosiła, żebym narysowała dom, drzewo i swoją rodzinę. Ewidentnie był to rodzaj testu. Chętnie spełniłam jej prośbę, bo dzięki temu nie musiałam iść na grupę i jak połowa uczniów w tej szkole spowiadać się publicznie ze swoich lęków.

Cieszyłam się, że należę do tej drugiej połowy.

Phoebe przez cały dzień trzymała się ode mnie z daleka. Jamie jak zwykle mnie rozśmieszał. Czas mijał szybko, ale złapałam się na tym, że przy każdej okazji zerkam na parking, sprawdzając, czy nie pojawił się tam biały pikap.

Nie pojawił się.

Kiedy wróciłam z tatą po południu, samochód mamy stał przed domem. A także, co ważniejsze, wóz Noaha.

Poczułam niewymowną ulgę. Bardzo chciałam powiedzieć mu o lalce, którą rano znalazłam w pokoju, i o domniemanej wizycie Jude'a w nocy. Tak się spieszyłam, że omal nie wyskoczyłam z auta w ruchu.

– Przekaż mamie, że jadę zrobić zakupy, tak jak kazała – powiedział tata, kręcąc głową. – Wrócę niedługo.

Kiwnęłam głową i z trzaskiem zamknęłam drzwi. Nie odjechał, dopóki nie upewnił się, że weszłam do domu.

Salon huczał od serii z pistoletów maszynowych. Weszłam i zobaczyłam Noaha z Josephem, siedzących na podłodze z joystickami w rękach, wpatrzonych w ekran.

Nasza rozmowa musiała poczekać.

– Jak tam było na rybach? – zagadnęłam pogodnym głosem, który przeczył mojemu nastrojowi.

Przeszłam do aneksu kuchennego i otworzyłam lodówkę. Byłam głodna, ale nie było tam nic, na co miałabym ochotę.

– Prawdę mówiąc, nie byliśmy na rybach – odpowiedział Noah, nie odrywając oczu od ekranu.

– Co? Dlaczego?

Joseph wychylił się do przodu i jak szalony śmigał joystickiem. Nie odezwał się.

– Joseph stwierdził, że nie będzie zabijać ryb... choć teraz zabija seriami, drań.

Rozległa się głośna eksplozja. Joseph puścił joystick i triumfalnie

wyrzucił ramiona w górę.

– Mistrz jest niepokonany! – zawołał, śmiejąc się, do Noaha.

– Brawo!

Noah rzucił mi spojrzenie.

– To ma być lojalność?

– Och, przecież to tylko gra. Poza tym należy mu się uznanie za ryby.

Z uśmiechem przybiłam bratu piątkę.

– Jesteście oboje pokręcani – skomentował Noah.

– Zamierzam zostać wegetarianinem – oznajmił Joseph.

– Mama pomyśli, że ja cię do tego namówiłam.

Nie jadłam mięsa od czasu swoich pamiętnych urodzin i obrzędu Santerii.

Wystarczyło, żebym na nie popatrzyła, a już czułam smak krwi w ustach.

Usiadłam na kanapie.

– Co w takim razie robiliście, chłopcy, skoro nie byliście na rybach?

– Pływaliśmy łodzią i obserwowaliśmy delfiny – powiedział Joseph.

– Zazdroszczę. Widzieliście jakieś?

Noah skinął głową.

– Parę. Ale trzeba było daleko wypłynąć.

– Łódka jest super – dodał Joseph. – Następnym razem musisz się z nami zabrać.

– Co za zaszczytna propozycja! – Uśmiechnęłam się.

– No, dobra. – Noah wstał i przeciągnął się, niemal dotykając sufitu czubkami palców.

– Nie wiem jak wy, ale po tej przegranej w strzelance zrobiłem się strasznie głodny – powiedział.

Joseph zerknął na niego z ukosa.

– Kłamca.

– Mogę to udowodnić – odparował Noah.

– Ja mogę udowodnić.

– Hej, przestańcie się znowu nakręcać – ostrzegłam. – Tak, Noah, też jestem głodna.

– W takim razie wybac, pogromco – powiedział Noah do Josepha. – Odegram się przy najbliższej okazji.

– Nie ma opcji.

Noah uśmiechnął się kącikiem ust i poszedł do kuchni. Dołączyłam do niego i przyglądałam się, jak szpera w lodówce.

– Masz ochotę na... ogórka? – zapytał, wyjmując jeden.

– Kiepska propozycja.

– Dobra, sama sobie wybierz.

Popatrzyłam w stronę korytarza.

– Gdzie moja mama?

Noah pokręcił głową.

– Zdaje się, że przyjaciółka wyciągnęła ją do miasta na kawę.

– A Daniel?

– Jest z Sophie. Mam nad wami czuwać, dopóki nie wróci.

– Mam nadzieję, że Pan Bóg też będzie czuwał – zażartowałam, choć cieszyłam się, że Noah mnie pilnuje. Zniżyłam głos. – Słuchaj, wczoraj w nocy...

– Pizza! – zawołał z salonu Joseph.

– Na pewno pizza? – odkrzyknął Noah. – A ty co byś chciała? – spytał.

– Żadnej pizzy. Jestem za gruba.

– Doprawdy? Co w takim razie mogłabyś zjeść, żebyś nie przytyła?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo ja wiem... zupę?

– Z zielonego groszku?

– Nienawidzę cię.

– Zupa nie tuczy. Chińszczyznę?

Potrząsnęłam głową i popatrzyłam przez okno. Było mi naprawdę wszystko jedno. Po prostu chciałam porozmawiać.

– Ciężka sprawa z tobą. Joseph? – zawołał.

– Co?

– Gdzie są Daniel i Sophie?

– W Avigdorze!

Noah popatrzył na mnie pytająco.

– Może być.

– Co to za kuchnia? – zapytał.

– Izraelska!

– Mają zupy?

– Sushi też! – wydarł się Joseph.

– Nie drzyj się! – wrzasnęłam.

Usiadłam przy stole w kuchni i oparłam głowę na rękach. Noah esemesował do Daniela, żeby wziął dania na wynos i przywiózł nam, kiedy będzie wracał. Josephowi znudziła się w końcu gra i poszedł do swojego pokoju.

Nareszcie sami. Otworzyłam usta, ale Noah odezwał się, zanim zdążyłam powiedzieć słowo.

- Co dzisiaj robiliście w Horyzontach?
 - Dzieliliśmy się naszymi łękami. Posłuchaj, wczoraj...
 - Brrr, brzmi paskudnie.
 - Na szczęście nie musiałam w tym uczestniczyć, bo podzielili grupę na pół. Moja kolej jutro...
 - Daniel byłby zachwycony. – Noah znów wszedł mi w słowo. – Powiedział, że za parę dni zaczyna terapię rodzinną. Boskie, co?
 - Tak – odpowiedziałam machinalnie, choć byłam na nie. – Noah, zostaniesz dzisiaj?
 - Chciałem, żebyś poznała dzisiaj swojego nowego anioła stróża. A czemu pytasz?
 - Chodzi mi o to, czy mógłbyś spać w moim pokoju?
- Noah rzucił mi przebiegłe spojrzenie.
- Nie żebym miał coś przeciwko, ale skąd ta propozycja?
- Słowa „Jude w moim pokoju” uformowały mi się na języku. Kiedy w końcu je wypowiedziałam, mój głos brzmiał inaczej. Byłam przerażona. Nienawidziłam tego.
- Nienawidziłam myśli, że boję się Jude’a. Nienawidziłam napięcia, które usztywniło Noaha, gdy zobaczył, co się ze mną dzieje.
- Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.
- Zostawił mi mały prezent w dolnej szufladzie szafy – powiedziałam, siląc się na niedbały ton.
- Noah przez cały czas patrzył mi w oczy i tylko nieznacznie się uspokoił.
- Powiesz mi, jaki?
 - Lalkę – wyjaśniłam. – Musiał widzieć, jak ją wyrzuciłam.
 - Maro...
- Pokręciłam głową.
- Pewnie śledził mnie, ukryty w krzakach, albo coś w tym stylu.
 - Maro – powtórzył głośniejszym głosem Noah.
 - Żywopłot sąsiadów jest naprawdę wysoki – ciągnęłam. – Dlaczego on mnie prześladowa?
- Maro.
 - Co?
 - To nie był Jude – powiedział spokojnie.
 - Dlaczego tak uważasz?
 - Lalka była w twoim pokoju. On jej tam nie położył.
- Zamrugłam, nie rozumiejąc, do czego zmierza.
- Więc kto?

Minęła wieczność, zanim odpowiedział.
– Ty.

– Co ty mówisz? – Głos miałam spokojny, choć drżący. – Przecież ją wyrzuciłam.

Noah kiwnął głową.

– Owszem, ale potem wstałaś z łóżka i wyszłaś z pokoju. Nic nie mówiłaś, więc pomyślałam, że idziesz się czegoś napić albo do toalety. Jednak nie wróciłaś, więc poszedłem za tobą. Wyszłaś tylnymi drzwiami.

Niewidzialne palce zacisnęły się na moim gardle.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Nie zdawałem sobie sprawy, że lunatykujesz – wyjaśnił spokojnie. – Zapytałem, co robisz. Odpowiedziałaś, że wyrzuciłaś coś przez pomyłkę i musisz przynieść to z powrotem. Zachowywałaś się zupełnie normalnie. Wyszłaś na podwórze i widziałem, jak wyjmujesz lalkę ze śmietnika. Kiedy wróciłaś, zasugerowałem, żebyś umyła ręce. Zaśmiałaś się tylko i pomaszerowałaś prosto do łóżka. Momentalnie zasnęłaś. Niczego nie pamiętasz?

Pokręciłam głową, bo nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. Owszem, miewałam koszmary, parę razy traciłam przytomność, ale ta sytuacja była nowa.

Inna.

Jak moje odbicie w lustrze.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

– Czy twoim zdaniem wyglądam inaczej?

Noah zmarszczył brwi.

– W jakim sensie?

– Dziś rano, po tym... po tym jak znalazłam lalkę w szufladzie – zaczęłam. Czy raczej po tym, jak ją tam wsadziłam, ale tego nie powiedziałam głośno. – Rozumiesz, pytam, bo spojrzałam w lustro i miałam wrażenie... że wyglądam inaczej.

Popatrzyłam na Noaha, ciekawa, czy zauważył zmianę, ale pokręcił głową.

– Przyjrzyj mi się dokładniej – poprosiłam.

Noah ujął moją twarz w dłonie i przyciągnął ją do siebie. Tak blisko, że zobaczyłam niebieskie, zielone i złote iskry w jego oczach, wpatrujących się w moje. Spojrzenie miał wnikliwe. Intensywne.

– I co? – spytałam bez tchu.

Noah nie odpowiedział.

Nie odpowiedział, gdyż miałam rację.

– Mam rację, tak?

Zmrużył powieki, aż zostały tylko niebieskie szparki.

– Nie wyglądasz inaczej – powiedział wreszcie. – Tylko...

– Po prostu jestem inna.

Odsunęłam się od niego. Byłam sfrustrowana. Wściekła. Spojrzałam w stronę sypialni. Tam była lalka.

– Coś się ze mną dzieje, Noah.

Jego milczenie było dołujące.

Wiedział, że wyglądam inaczej, tylko nie chciał tego głośno powiedzieć. Nie miałam pojęcia dlaczego i w sumie było mi to obojętne. W głowie kołatała mi się stale ta sama myśl. Wstałam.

– Gdzie masz kluczyki do auta?

– Czemu pytasz?

– Chcę spalić lalkę.

Rodzice byliby co najmniej zdziwieni, gdyby zobaczyli, że rozpałam na podwórku ognisko i palę w nim lalkę, którą miałam od dzieciństwa. Trzeba załatwić to inaczej.

– Masz kominek, nie? – spytałam Noaha.

– Mam, nawet parę, ale nie możemy wyjechać.

Zacisnęłam powieki.

– Joseph.

Cholera.

– I ty. Jeżeli twoi rodzice wrócą i nie zastaną nas... chyba nie muszę ci przypominać o Horyzontach?

Jak mogłabym zapomnieć!

Noah pogładził brodę.

– Pozwalają mi być tutaj czy nawet zabierać Josepha na jakiś czas, ale ciebie zabrać nie mogę.

– Więc jestem więźniem we własnym domu.

– Chyba że...

– Że co?

– Chyba że my ich zabierzemy.

Popatrzyłam na Noaha, zastanawiając się, co ma na myśli.

Nagle zrozumiałam.

– Chyba nie mówisz serio?

– Dlaczego nie? Zaproszenie do domu Shawów powinno ucieszyć twoją mamę. Od dawna chciała poznać moją rodzinę. Ruth ją zagada, a my rozpalimy sobie ognisko i pośpiewamy.

– To nie jest śmieszne.

Półuśmieszek pojawił się na ustach Noaha.

– Zgoda, nie jest. No, może trochę – dodał, widząc moje spojrzenie spod zmrużonych powiek. – Jeśli nie chcesz tego spotkania, mogę spalić lalkę za ciebie.

– Nie. – Stanowczo pokręciłam głową.

Noah nic nie rozumiał i mało to dla niego znaczyło. Co najwyżej mogło być zabawne. A ja musiałam zobaczyć na własne oczy, że lalka została zniszczona.

– Chcę przy tym być.

– W takim razie nie ma innego sposobu – stwierdził, wzruszając ramionami.

– Nie boisz się, że stracisz status pokrzywdzonego?

– Słucham?

– Jeżeli twoi rodzice oczarują moich rodziców, możesz utracić przywilej ciągłego przebywania w moim domu.

Twarz Noaha przybrała wyraz, którego nie potrafiłam rozszyfrować.

– Twoja matka jest bystra – powiedział niskim, dziwnie poważnym głosem. – Widzi rzeczy takimi, jakie są naprawdę.

Wstał i wyjął komórkę z tylnej kieszeni dżinsów.

– Powiem Ruth, żeby jutro ją zaprosiła. Na babską herbatkę.

– Twojego taty nie będzie?

Noah wyjął usta.

– Poważnie wątpię, żeby się zjawił. A jeśli się zjawi, będę musiał przenieść spotkanie na inny termin.

– Chciałabym go poznać.

– Lepiej nie – powiedział, przewijając ekran iPhone'a.

– Dlaczego? To dla ciebie kłopotliwe?

W uśmiechu Noaha pojawił się gorzki podtekst.

– Oczywiście.

Czułam się coraz bardziej niekomfortowo.

– Ze względu na mnie?

– Na niego.

– Aż tak źle?

– Nawet nie przypuszczasz, jak bardzo.

Kiedy mama wróciła do domu, zgodnie z instrukcją Noaha zapytałam, czy mogę z nim iść na spacer. Niepewnie przestąpiłam z nogi na nogę pod jej badawczym spojrzeniem.

– Dobrze, ale wróćcie za pół godziny – powiedziała w końcu.

Uśmiechnęłam się zaskoczona.

– Okej.

– I nie oddalajcie się za bardzo.

– Okej.

Mama dała mi swoją komórkę.

– Ufam ci – powiedziała spokojnie.

Skinęłam głową i wyszliśmy. Noah szedł długim, miękkim krokiem; musiałam dreptać pospiesznie, żeby za nim nadążyć.

– Dokąd naprawdę idziemy?

– Na spacer – odpowiedział, nie odwracając głowy.

– Dobra, to wiem. Ale dokąd?

Noah pokazał na czarny samochód zaparkowany pod ogromnym dębem.

– Chciałbym, żebyś kogoś poznała.

Zbliżyliśmy się i zobaczyłam, że z auta wysiada kierowca – mężczyzna o przeciętnym wyglądzie. Uśmiechnął się zdawkowo na powitanie.

– John – powiedział Noah ze skinieniem głowy. – Poznaj swoją klientkę.

John wyciągnął do mnie rękę.

– Maro Dyer, miło mi cię poznać. – Uścisnął mi dłoń.

Noah zwrócił się do mnie.

– John pracuje w firmie ochroniarskiej, tak dyskretnej, że od początku powstania nie miała swojej nazwy. Jak dawno to było, John?

– Dawno, zanim jeszcze pomyślano o tobie – odparł mężczyzna, ciągle się uśmiechając.

Jego odpowiedź mnie zdziwiła. Nie wyglądał aż tak staro. W ogóle nie wyglądał na ochroniarza. Nie był wysoki ani napakowany mięśniami. Wszystko w nim było nijakie, trudne do zapamiętania, od przeciętnego ubioru po równie przeciętną twarz.

– Będzie pilnował cię na zmianę ze swoim partnerem – powiedział Noah.

– Razem ochraniaли sześciu prezydentów, siedmiu członków angielskiej rodziny królewskiej i dziewięcioro saudyjskich książąt.

– A teraz ciebie, Maro – dodał John.

Noah objął mnie ramieniem w talii, a drugą ręką pogładził mnie po szyi,

potem po policzku, aż podniósł kciukiem mój podbródek, zmuszając, żebym spojrzała mu w oczy.

– Nie pozwolę, żeby coś ci się stało – zapewnił.

Ja, Noah, nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało – to zapewne miał na myśli.

I tak by pewnie było, gdyby moim jedynym problemem był Jude. Niestety, nikt nie jest w stanie obronić mnie przed samą sobą.

Noah zaczął się zastanawiać nad pretekstem, żeby zostać na noc, ale nie chciałam nadużywać dobrej woli moich rodziców. Nie mógł nocować u nas codziennie; poza tym chciałam się przekonać, czy dam sobie radę bez niego.

Tej nocy poradziłam sobie. Zasnęłam i spokojnie spałam do rana. Nic nie zmieniło się w pokoju, kiedy się obudziłam. Zwyczajny poranek poprawił mi nastrój. Noah zabrał ze sobą szmacianą lalkę i dzisiaj mieliśmy ją unicestwić. John pilnował domu i mnie. Noah mu ufał, a ja ufałam Noahowi. Z niechęcią musiałam przyznać, że po raz pierwszy ośmieliłam się poczuć bezpiecznie bez niego.

W drodze do Horyzontów tylko raz upewniłam się, że nie jedzie za nami Jude. W ośrodku wyjątkowo ufnie i pogodnie poddawałam się terapeutycznym procedurom. Dzień minął mi olśniewająco normalnie, choć moja sytuacja była daleka od normalności. Po raz pierwszy mogłam pozwolić sobie na luksus martwienia się o coś prawie przyziemnego. A konkretnie o spotkanie mojej mamy z macochą Noaha.

Miał rację, jeśli chodzi o zaproszenie – moja mama naprawdę nie mogła się doczekać chwili, w której pozna Ruth. Kiedy po południu jechałyśmy do domu Noaha, przez całą drogę paplała o jego rodzicach. Nie uszło mojej uwagi, że jest jeszcze bardziej wytworna i zadbana niż zwykle. Zrobiło mi się przykro, że używam jej w roli zasłony dymnej.

No, prawie.

Kiedy zbliżałyśmy się do celu, mama ucichła, jak było do przewidzenia. Tak podziałał na nią widok dzielnicy, w której mieszkał Noah.

Rozszerzonymi z wrażenia oczami zerknęła na kolejne mijane rezydencje, z których żadna nie była podobna do drugiej. Kiedy zatrzymała się przed kutą żelazną bramą, broniącą dostępu do domu Shawów, powiedziałam, żeby wjechała śmiało. Mała kamera obróciła się w naszym kierunku.

Mama zerknęła na mnie niepewnie.

– Tu mieszka Noah?

Dopóki wielka brama nie otworzyła się, żeby wpuścić nas do środka, dom ledwie majaczył ze drzewami.

– Wow! – powiedziała bez tchu, kiedy sunęłyśmy podjazdem.

To było właściwe słowo. Pośrodku szmaragdowego trawnika, otoczonego przez białe posągi, królowała imponująca fontanna z greckim bożkiem,

oblapiającym dziewczynę, zmieniającą się w drzewo. Niskie, subtelne żywopłoty tworzyły wymyślny labirynt na murawie.

Wreszcie dom objawił się przed nami w całej okazałości. Wielki, dostojny, o pięknej, wyrafinowanej architekturze. Wyraźnie urzekł mamę, ale na mnie nie robił już takiego wrażenia, gdyż wiedziałam, że Noah go nie cierpi.

Zajechałyśmy na podjazd, gdzie Albert, odźwierny albo lokaj Shawów, czy jak go tam zwano, powitał nas z nienagannym uśmiechem, pasującym do jego nienagannej liberii. Spodziewałam się, że Noah będzie czekał przy wejściu, a tymczasem, proszę, proszę, powitała nas Ruth we własnej osobie.

– Doktor Shaw – powiedziała moja mama, uśmiechając się szeroko.

Macochoa Noaha pokręciła głową.

– Proszę, mów do mnie Ruth. Cieszę się, że mogę cię poznać – nawijała, cała w uśmiechach.

Wygładziła lnianą sukienkę na swoim szczupłym ciele i zaprosiła nas do środka, uprzejmie słuchając zapewnień mamy, że cała przyjemność jest po jej stronie.

Na szczęście potok formalności urwał się gwałtownie, bo kiedy moje stopy, odziane w tenisówki, stanęły na marmurowej posadzce holu, zaatakowała mnie Ruby, wredna mopsica Shawów. Warcząca, zjeżona parówa kompletnie zignorowała moją mamę i wyraźnie uwzięła się na mnie. Kiedy Noah podbiegł i wziął Ruby na ręce, suka wrywała mu się, warcząc i poszczekując.

– Niedobra dziewczynka – skarcił ją czule i pocałował w czoło, nie zważając na drobne, szczerzące się zęby.

Stałam bez ruchu, starając się utrzymać bezpieczny dystans.

– A gdzie Mabel? – spytałam.

Bardzo chciałam ją zobaczyć, szczęśliwą, zdrową i bezpieczną.

– Chwilowo jest zajęta – odpowiedział lekkim tonem.

Czyli schowana. Schowana przede mną.

Mama na szczęście niczego nie zauważyła, nawet tego, że pies rwał się, żeby mnie ugryźć. Dom Shawów i jego wspaniałości całkowicie ją zaabsorbowały.

– Dużo o tobie słyszałam – powiedziała do Ruth, kiedy przechodziliśmy pod wielkim żyrandolem, skrzącym się kryształkami.

Ruth uniosła brew.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy?

Poprawiła piękne białe róże w wazonie stojącym na ozdobnym

kamiennym stole, który ważył chyba tonę.

– Zresztą nieważne. Nie musisz na to odpowiadać.

Mama roześmiała się.

– Oczywiście – skłamała gładko, nie przymierzając jak ja. Zdumiewające.

– Cieszę się, że wreszcie poznam rodzinę Noaha. Bardzo go polubiliśmy. Czy będę miała okazję zobaczyć twojego męża? – zapytała niewinnie.

Dobrze wiedziała, że go nie ma.

Uśmiech Ruth utrzymał się, ale pokręciła głową.

– Niestety, David jest teraz w Nowym Jorku.

– Cóż, może innym razem.

– Z pewnością będzie mu miło – odparła Ruth.

Łgała nie gorzej od Noaha.

Noah znacząco zerknął na moją mamę.

– To już się staje regułą.

– Noah, proszę.

– Dobrze. Myślę, że panie mają ochotę pogawędzić sobie na osobności, prawda?

Ruth spojrzała pytająco na moją mamę.

Mama odprawiła nas gestem.

– Nie przejmujcie się nami.

Noah przekazał Ruth wiercącego się mopsa.

– Chodź, pokażę ci dom – powiedziała do mojej mamy, biorąc ją pod łokieć.

Nie miałam pojęcia, jak długo może potrwać zwiedzanie i picie herbatki, więc niecierpliwym gestem popchnęłam Noaha ku schodom i po chwili znaleźliśmy się w jego pokoju.

Nie zwracałam uwagi na atrakcje po drodze, ale ten pokój jak zwykle skupił moją uwagę. Proste, modernistyczne łóżko pośród uładzonego morza książek. Wysokie okna, siejące bursztynowym światłem na półki ze zbiorami literatury. Kochałam ten widok i tęskniłam za nim.

– Co jest? – zapytał Noah, widząc, że stoję bez ruchu.

Weszłam do środka.

– Chciałabym tu mieszkać – powiedziałam.

Chciałabym tu zostać.

– Nie możesz.

– Jasne. – Wpatrywałam się w książki. – Chciałabym mieć taki pokój.

– Dzięki za słowa pocieszenia.

– Chciałabym wylądować w tym łóżku.

Noah westchnął.

– Ja też, ale obawiam się, że groziłoby ci spalenie na stosie.

– Zawsze są jakieś „ale”.

– Może przystąpimy do rzeczy? – zaproponował i wyjął lalkę z szuflady biurka.

Niechętnie oderwałam wzrok od książek, gotowa do zadania. Noah poprowadził mnie przez amfiladę kilkunastu, na oko nieużywanych, saloników. W końcu zatrzymaliśmy się w jednym z nich, który miał ściany w kolorze mięty, zdobione mosiężnymi kinkietami. Były tam jakieś meble, ale zakrywały je białe pokrowce.

Noah wręczył mi lalkę i zaczął się rozglądać. Natychmiast odłożyłam ją na poręcz czegoś, co powinno być fotelem. Nie chciałam jej dotykać.

– Co robisz? – spytałam.

– Zamierzam rozpalić ogień w kominku.

W pośpiechu przeszukiwał szuflady.

– Nadal palisz?

– Nie przy rodzicach – odpowiedział zajęty szperaniem. – Ale owszem, tak.

– Nie masz zapalek?

– Zapalniczkę, jak zwykle. – Przykucnął i popatrzył na mnie od dołu. – Ojciec kazał przerobić kominki na gaz i zamontować zapalniki. Szukam pilota.

Ta wyrafinowana koncepcja zaburzyła moją wizję przytknięcia do lalki płonącej zapalki. Zyskałam nową nadzieję, kiedy podeszłam do kominka. Bierwiona wyglądały niezwykle realistycznie.

– Noah?

– Co?

– Jesteś pewien, że to gaz?

Podszedł do kominka i odsunął ekran.

– Cholera, nie.

– Więc co?

– Nie wiem, przecież musi być jakiś ogień. Do licha, chyba nie są elektryczne.

Zaczęłam mieć tego dosyć. Obojętnie jak, lalka musi spłonąć! Sięgnęłam po nią dwoma palcami i podsunęłam ją Noahowi.

– Po prostu ją podpal.

Noah zastanawiał się przez moment, ale pokręcił głową i zawrócił do

drzwi.

– Zaczekaj moment.

Upuściłam lalkę na podłogę. Na szczęście nie musiałam długo czekać. Noah wrócił po chwili z gazem do zapalniczek i dużą paczką kuchennych zapalek.

– Dobra – powiedział.

Prysnął gazem na bierwiona i podpalił je zapałką. Powietrze przeniknęło zapach siarki.

– Dawaj – powiedział, kiedy ogień zapłonął.

Nareszcie. Zgarnęłam lalkę z podłogi i cisnęłam ją w ogień, z ulgą patrząc, jak zachłannie liżą ją płomienie. Wtem powietrze wypełnił ostry, dziwnie znajomy odór.

Noah skrzywił się.

– Co to jest?

– Śmierdzi jak... – Zastanawiałam się przez moment. – Jak palące się włosy.

Umilkliśmy. Wpatrywaliśmy się w ogień, czekając, aż lalka zamieni się w popiół. Wtem zauważyłam coś zwijającego się wśród płomieni. Nie wyglądało na szmatkę.

– Noah...

– Widzę – odpowiedział zrezygnowanym głosem.

Podeszłam bliżej.

– Czy to...

– To papier.

Noah potwierdził moje obawy.

Zakląłam.

– Trzeba go wyciągnąć!

Noah leniwie wzruszył ramionami.

– Spali się, zanim zdążę przynieść wodę.

– Leć! Jezu!

Noah wybiegł, a ja przykucnęłam przy kominku, usiłując wypatrzeć coś wśród płomieni. Papier z wnętrza lalki jeszcze płonął. Przysunęłam się bliżej, aż żar zaczął palić mi skórę, i poczułam, że pieką mnie policzki... jeszcze bliżej...

– Odsuń się – powiedział Noah.

Chlusnęłam wodą na palenisko i kłęby pary buchnęły z głośnym sykiem.

Szybko sięgnęłam pomiędzy dogasające bierwiona w nadziei, że wyszarpnę choć kawałek papieru, ale Noah stanowczo chwycił mnie za

przegub.

– Ostrożnie – powiedział, odciągając mnie od kominka.

– Ale...

– Cokolwiek to było, już tego nie ma – uciął.

Poczułam ukłucie żalu. A jeśli to było coś ważnego? Coś od babci?

Coś związanego ze mną?

Przymknęłam oczy, tłumacząc sobie, że nie mogę się obwiniać. Nie dało się uratować tej kartki, ale przynajmniej lalka została zniszczona. Nie będę już musiała na nią patrzeć i Jude nie będzie już mnie nią straszyć. To był mój zysk.

Duży zysk.

Wreszcie ogień wypalił się do końca. Patrzyłam na palenisko, zadowolona, że nic nie zostało. Wtem coś przyciągnęło moje spojrzenie. Coś srebrnego, połyskującego w popiele.

Pochyliłam się nad kominkiem.

– Co tam jest?

Noah też to zauważył i podszedł do mnie.

– Guzik?

Pokręciłam głową.

– Lalka nie miała guzików.

Sięgnęłam po tę dziwną rzecz, ale Noah znów przytrzymał mi rękę.

– Możesz się oparzyć – powiedział.

Przykucnął przy kominku i sięgnął do paleniska.

Zrobiłam ruch, próbując go powstrzymać.

– Przed chwilą mnie ostrzegałeś.

Noah obejrzał się przez ramię.

– Już zapomniałaś?

Że ma moc uzdrawiania? Nie.

– Będzie bolało.

Obojętne wzruszenie ramion było jedyną reakcją. Noah wsunął rękę w gorące popioły. Grzebał w nich i nawet się nie skrzywił.

Po chwili ostrożnie wyjął błyszczący przedmiot. Położył go sobie na otwartej dłoni, zdmuchnął z niej popiół i wstał.

Tajemniczy, podłużny przedmiot mógł mieć najwyżej trzy centymetry. Srebrny trzon był z jednej strony ptasim piórem, a z drugiej – sztyletem. Ozdoba była oryginalna i piękna, tak jak chłopak, który ją nosił.

Noah stał nieruchomo, kiedy sięgnęłam do jego szyi i wyjęłam mu spod koszulki wisiołek, którego nigdy nie zdejmował. Porównałam srebrny

przedmiot z tym, który miał na dłoni.
Były identyczne.

– O co tu chodzi, Noah? – spytałam.

Głos miałam dziwnie spokojny.

Nie odpowiedział. Ciągle wpatrywał się w wisiorki. Nagle poczułam, że muszę usiąść. Nie obejrzałam się za krzesłem. Podłoga wystarczy.

Noah się nie poruszył.

– Noah?

Żadnego ruchu. Żadnej odpowiedzi.

– Noah!

Wreszcie na mnie spojrział.

– Skąd masz swój amulet?

Głos miał niski, zimny.

– Znalazłem go. W rzeczach mamy.

– Ruth? – spytałam, choć znałam odpowiedź.

Noah pokręcił głową, tak jak się spodziewałam. Jego spojrzenie znów powędrowało do wisiorka.

– To było zaraz po tym, jak się tu wprowadziliśmy. Wybrałem bibliotekę na swój pokój i właśnie szedłem po schodach, niosąc gitarę, kiedy... sam nie wiem. – Pogładził palcami podbródek. – Po prostu nagle poczułem, że muszę zejść na dół i koniecznie coś rozpakować, choć byłem zmęczony po długim locie, oszołomiony zmianą stref czasowych i marzyłem tylko o odpoczynku. Od razu podszedłem do jednego z kartonów. W środku była kasetka na sztuce należąca do mojej mamy, Naomi. Zacząłem wygarniać sztuce z przegródek, nie mając pojęcia, dlaczego to robię. W przegródce z nożami znalazłem to. – Gestem głowy pokazał wisiołek. – Od tamtego czasu go nie zdejmuję.

Noah schylił się, aby jak sądziłam, wręczyć mi wisiołek, ale zamiast tego podniósł mnie i posadził na kanapie. Podał mi amulet. Mimo woli zacisnęłam go w garści.

– Skąd masz tę lalkę? – spytał.

– Należała do mojej babci – odpowiedziałam, spoglądając na swoją zacisniętą pięść.

– Ale skąd ta lalka pochodzi?

– Nie...

Już miałam odpowiedzieć, że nie wiem, kiedy przypomniałam sobie

zamgloną wizję ze snu. Ściszone glosy. Ciemna chatynka. Miła dziewczynka, która szyła mi przyjaciółkę.

Opowiedziałam Noahowi sen, choć wydawało mi się to nieprawdopodobne.

Słuchał uważnie, zerkając na mnie spod zmrużonych powiek.

– Ale we śnie nie widziałam wisiora – zakończyłam. – Nie widziałam, żeby wkładała coś do lalki.

– Może zaszyto go później – odpowiedział beznamiętnym tonem.

Pewnie z tym kawałkiem papieru, cokolwiek tam napisano.

– Czy... czy sądzisz, że to zdarzyło się naprawdę?

Noah milczał.

– Jeśli tak, jeżeli naprawdę się zdarzyło... – Głos mi zamarł, lecz Noah dokończył za mnie zdanie.

– To nie był sen – powiedział jakby do siebie. – Tylko wspomnienie.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Próbowałam przyjąć tę koncepcję do wiadomości.

Była bezsensowna. Aby coś pamiętać, najpierw trzeba to przeżyć.

– Rzadko podróżuję – powiedziałam. – Nigdy nie widziałam dżungli. Jak mogę pamiętać coś, czego nie widziałam?

Noah powoli przesunął palcami po włosach, wpatrzony w przestrzeń. Głos miał bardzo spokojny.

– Pamięć genetyczna.

Genetyczna.

W myślach usłyszałam głos mamy.

– *Przyczyny mogą być natury chemicznej, behawioralnej czy nawet genetycznej...*

– *Czy ktoś w naszej rodzinie miał...*

– *Moja matka – przerwała mi spokojnie. – Czyli twoja babcia.*

Chwilę wcześniej wyliczyła mi objawy choroby babci.

Choroba babci. Lalka babci.

Pamięć babci?

– Nie. – Noah pokręcił głową. – To nonsens.

– Co?

Przymknął oczy i zaczął mówić, jakby cytował z pamięci:

– Istnieje koncepcja, że pewne doświadczenia mogą być magazynowane w naszym DNA i przekazywane następnym pokoleniom. Niektórzy uważają to za wyjaśnienie teorii nieświadomości zbiorowej Junga. – Otworzył oczy i kącik jego usta lekko drgnął. – Ja odziedziczyłem chyba coś po Freudzie.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Czytałem.

– Gdzie?

– W książce.

– W jakiej książce? – spytałam szybko.

Noah wziął mnie za rękę i zaprowadził do swojego pokoju.

Podszedł do regałów i zaczął je przeglądać.

– Nie widzę jej – powiedział, przesuając się od półki do półki.

– Jaki ma tytuł?

– *Nowe teorie w genetyce*.

Wyjął jakiś gruby tom i wsunął go z powrotem.

– Armina Lenaurda.

Przyłączyłam się do poszukiwań.

– Książki nie stoją w kolejności alfabetycznej – zauważyłam, sunąc spojrzeniem po grzbietach.

– Zgadza się.

Na oko tomy nie stały w żadnym porządku, a przynajmniej nie potrafiłam go określić.

– Jak możesz tu cokolwiek znaleźć?

– Po prostu pamiętam.

– Po prostu pamiętasz...

Było tu tysiące tomów.

– Jak?

– Mam dobrą pamięć.

– Fotograficzną? – zagadnęłam, spoglądając na niego z ukosa.

Wzruszył ramionami.

To dlatego nigdy nie robił notatek na lekcjach.

Kontynuowaliśmy poszukiwania. Minęło pięć minut, dziesięć, aż wreszcie Noah zrezygnował i usiadł na swoim nienagannie zasłanym łóżku. Wziął gitarę ze stojaka i zaczął na niej cicho brzdąkać. Ja jednak chciałam dowiedzieć się czegoś więcej i wkurzała mnie jego obojętność. Kiedy plecy na dobre mnie rozboleły od przykucania i wstawania przy regałach, znalazłam wreszcie tę książkę.

– Bingo – szepnęłam.

Zahaczyłam tom palcem i wysunęłam z ciasnego rzędu książek. Był zdumiewająco ciężki. Na płóciennym grzbiecie i okładce widać było wyblakłe złote litery tytułu.

Noah zmarszczył czoło.

– Dziwne – powiedział, patrząc, jak wstaję z książką w ręku. – Nie przypominam sobie, żebym wstawił ją tutaj.

Usiadłam obok niego na łóżku, trzymając grube tomiszczce na podołku.

– To nie jest lekka lektura, co?

– Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– Czyli?

– To była jedyna książka, jaką przywiozłem z Londynu do Stanów.

– Kiedy?

– W czasie ferii wiosennych. Poleciliśmy do Anglii odwiedzić moich dziadków. Ze strony ojca – dodał. – Zapomniałem spakować do bagażu podręcznego książkę, którą wtedy czytałem, ale znalazłem to w kieszeni fotela przede mną.

– Dziwne, że taka kobyła zmieściła się w kieszeni – skomentowałam.

– Leciałem pierwszą klasą.

– Jasne.

– Ojciec wynajął odrzutowiec.

Zrobiłam minę.

– W pełni podzielał twoje opinie na temat takich fanaberii, ale spośród wszystkich bzdur, na które mój stary wydaje kasę, ta akurat jest pożyteczna. Wyobraź sobie: żadnych kolejek. Przepraw na bramkach bezpieczeństwa. Żadnego pośpiechu.

Nie mogłam nie przyznać mu racji.

– Nie musisz zdejmować spodni czy marynarki ani...

– Ani być macanym przez nadgorliwego funkcjonariusza. Nie musisz się nawet legitymować, bo mój ojciec wynajmuje pilotów i załogę. Po prostu przyjeżdżamy na prywatne lotnisko i wchodzimy na pokład. Super.

– Rzeczywiście – mruknęłam i otworzyłam książkę.

– Może kiedyś polecimy razem.

Usłyszałam śmiech w jego głosie, co tylko zwiększyło moją frustrację.

– Chyba żartujesz. Nie mogę się nawet ruszyć z domu bez nadzoru.

– Zawsze trzeba mieć nadzieję.

Westchnęłam.

– Łatwo ci mówić.

Zaczęłam przewracać strony, ale naukowy żargon był wykańczający.

– Co jeszcze wymyślił pan Lenaurd?

– Nie starczyło mi cierpliwości, żeby przeczytać całość. To strasznie nudna cegła. Po prostu twoje słowa przypomniały mi jego główne tezy. Autor sądzi, że pewne doświadczenia, których nie doświadczyliśmy, mogą

być przekazywane genetycznie.

Zamrugałam z wolna i element łamigłówki nagle wskoczył na swoje miejsce.

– Superman – powiedziałam do siebie.

– Słucham?

Spojrzałam na Noaha znad książki.

– Kiedy skłamałam Danielowi, że mam napisać wypracowanie dla Horyzontów, a on usiłował mi pomóc, zapytał, czy zdolności mojej fikcyjnej bohaterki, czyli mnie, są wrodzone, czy nabyte. Rozumiesz, Spider-Man albo Superman – powiedziałam, z trzaskiem zamykając książkę. – Jestem Supermanem.

Noah uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Muszę przyznać, że koncept jest ładny, choć obawiam się, że nasze nadnaturalne zdolności są raczej nabyte.

– Czemu tak uważasz?

Odłożył gitarę i nasze spojrzenia się spotkały.

– Ile razy podświadomie życzyłaś komuś śmierci, Maro? Na przykład komuś, kto zajechał ci drogę na autostradzie czy coś w tym stylu?

Pewnie więcej razy, niż mogłam przypuszczać.

– Hmm – mruknęłam.

– A kiedy byłaś mała... czy nie zdarzyło ci się choć raz, w chwili złości, życzyć sobie, żeby rodzice umarli?

Możliwe. Wzruszyłam ramionami.

– Pewnie tak, a jednak żyją. Gdybym ja z kolei przejawiał swoje zdolności już w dzieciństwie, zostałyby na pewno zauważone. Każdy dzieciak rozbija sobie nos czy kolana, prawda? Szybko wyszłoby na jaw, że potrafię się uzdrowić.

– Właśnie. – Wychyliłam się ku niemu. – Kiedy zorientowałeś się, że potrafisz uzdrawiać?

Zmiana w zachowaniu Noaha była bardzo subtelna. Jego luzacka poza usztywniła się, choć leżał teraz wyciągnięty na łóżku. Spojrzenie miał lekko nieobecne.

– Skaleczyłem się, a następnego dnia nie było po tym śladu – odpowiedział znudzonym tonem. – Jednak – dodał – zrozumienie nie przyszło od razu. Inaczej dawno bym o tym wiedział.

– Mówiłeś, że nigdy nie chorowałeś – drażyłam.

– Do licha, nie uważasz, że powinniśmy się raczej zastanowić, czemu jakieś dziwne wisiorki znalazły się pomiędzy sztucami mojej mamy

i w upiornej lalce twojej babci?

Twarz Noaha przekształciła się w gładką, nieprzeniknioną maskę, którą rezerwował zwykle dla świata. Czułam, że nie chce mi czegoś powiedzieć, lecz wiedziałam, że nie ma sensu go naciskać, bo i tak nic nie wskóram.

– Okej – powiedziałam. – Zatem twoja mama i moja babcia miały takie same wisiorki.

– I obie je ukryły – dodał.

Wyjęłam swój amulet z tylnej kieszeni džinsów i położyłam go na wyprostowanej dłoni. Trzeba przyznać, że był bardzo precyzyjnie wykonany, zważywszy jego małe rozmiary.

Spojrzałam na Noaha.

– Mogę zobaczyć twój?

Zawahał się na ułamek sekundy, po czym zdjął czarny, cienki rzemyk przez głowę. Położył wisiorek na mojej dłoni; metal był ciepły od dotyku jego skóry.

Porównałam oba przedmioty okiem artystki – linie piór, kontury sztyletu. Wisiorki wydawały się identyczne, ale coś nie dawało mi spokoju. Odwróciłam mój wisiorek na drugą stronę i wtedy skojarzyłam.

– To lustrzane odbicia.

Noah pochylił się nad moją dłonią, przyglądał się chwilę ozdobom, po czym łypnął na mnie spod długich rzęs.

– Istotnie.

– Ale nie są identyczne – powiedziałam, pokazując mu subtelne szczegóły różniące obie wersje. – Wyglądają na ręcznie robione. Wzór jest... nieco prymitywny, nie uważasz? Przypomina mi druk drzeworytowy albo miedziorytowy, jaki widzi się na ilustracjach w starych książkach. Zaś symbole...

– Cholera – mruknął Noah.

Przymknął powieki i pokręcił głową opartą o zagłówek.

– Symbole. Powinienem od razu na to wpaść.

– Co?

– Nie przyszło mi do głowy pomyśleć o nim w tym kontekście.

Usiadł na łóżku i podałam mu jego amulet.

– Kiedy znalazłem wisiorek, uznałem go za pamiątkę po mamie i nosiłem, bo należał do niej. Ale masz rację, to może być znaczące, zwłaszcza że wisiorki są dwa.

Wstał i ruszył w stronę wnęki, gdzie stało biurko.

– Skojarzyło mi się to jeszcze z symbolami na rodowych herbach –

dorzuciłam.

Noah zatrzymał się w pół kroku, a potem bardzo powoli odwrócił się ku mnie.

– Nie jesteśmy spokrewnieni.

– Wiem, ale...

– Nawet o tym nie myśl.

– Po prostu wypróbuję różne koncepcje – wyjaśniłam, patrząc, jak Noah zdejmuje laptopa z biurka i przenosi na łóżko.

Jak mówił Daniel? „Wprowadź na scenę doktora Google’a”.

– Wyniki poszukiwania „pióro symbol” nawiązują w większości do egipskiej bogini Maat – poinformował po chwili Noah. – Osądzała dusze zmarłych, kładąc na jednej szali wagi ich serca, a na drugiej swoje pióro. Jeśli serce okazywało się cięższe od pióra, niegodną duszę rzucano na pastwę Pożeracza Dusz dziwnego skrzyżowania krokodyla, lwa i hipopotama.

Przewinął ekran, żebym mogła zobaczyć tego stwora. Rzeczywiście był dziwny.

– Jeśli twoja dusza była dobra i czysta, gratulacje, trafiałaś do raju.

Wpisał w wyszukiwarkę coś jeszcze.

– A sztylet jako symbol?

– Tak, uruchomiłem nowe wyszukiwanie, ale niewiele mi wyszło.

– Próbowałaś „pióro i sztylet symbol”?

– Aha, zaraz. Nie... tu też nic.

Noah z trzaskiem zamknął laptopa.

– Ile wyników wyszło ci przy piórze?

– Dziewięć milionów albo coś koło tego.

Westchnęłam.

– Ale większość odnosiła się do egipskiej bogini. To też coś.

– Bo ja wiem...

– W każdym razie wiemy więcej niż wczoraj.

Uniosłam brwi.

– Wczoraj rano dowiedziałam się, że lunatykowałam w nocy.

– Fakt.

– Wczoraj byłam gotowa oskarżyć mojego teoretycznie nieżyjącego prześladowcę o incydent z lalką w szufladzie.

– Na szczęście widziałem, co robisz.

– Dobrze – powiedziałam, wręczając mu wisiorek babci. – A już się martwiłam, że nic cię nie interesuje.

– Przykro mi, że tak myślisz – powiedział chłodno. – Dlaczego mi to dajesz?

– Bo nie chcę go zgubić. – Poza tym nie chciałam go nosić.

Noah wpatrywał się we mnie wnikliwie, ale wziął wisiołek.

– Zatrudniłem człowieka, który rozpracowuje dla mnie sprawę Jude'a – oznajmił jak gdyby nigdy nic. – Prywatny detektyw, który pracuje dla mojego ojca. Próbuje się dowiedzieć, gdzie Jude mieszka, co jest trudne, gdyż nie ma śladu tego gościa w żadnym systemie. Najwyraźniej okazał się na tyle sprytny, by wykorzystać kanały dla nielegalnych imigrantów.

Potarłam czoło.

– Jude nie był zbyt bystry.

– Jego zachowanie temu przeczy.

– Może ktoś mu pomaga?

Noah kiwnął głową.

– Też się nad tym zastanawiałem, ale kto oprócz ciebie może wiedzieć, że on żyje?

– Kolejne pytanie bez odpowiedzi – westchnęłam.

Popatrzyłam na Noaha.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że go poszukujesz?

– Nie mówię ci wszystkiego – odparł obojętnie.

Zabolały mnie jego słowa, a jeszcze bardziej ton, jakim je wypowiedział.

– W każdym razie, wracając do amuletu – podjął – wiemy przynajmniej, że drogi twojej babci i mojej matki w jakiś sposób się skrzyżowały. Przejrzę rzeczy mamy i zobaczę, czy znajdę tam coś jeszcze.

Milczałam.

– Maro?

Pokręciłam głową.

– Nie powinnam palić tej lalki, Noah. Powinnam sprawdzić szwy czy coś podobnego.

– Nie mogłaś wiedzieć.

– I ten kawałek papieru...

– Wiem.

– Być może mógłby nam wszystko wyjaśnić.

Noah zgarnął mi kosmyk włosów za ucho.

– Nie martw się tym teraz.

– A kiedy mam się martwić?

Spojrzał na mnie.

– Wyluzuj, proszę.

Przygryzłam wargę i powoli wypuściłam powietrze.

– Przepraszam – powiedziałam, wpatrując się w sufit. – Po prostu... martwię się, co będzie dzisiaj. – W moim głosie pojawiło się napięcie. – Boję się zasnąć.

Bałam się, ponieważ nie wiedziałam, gdzie będę, kiedy się obudzę.

Noah podniósł się nagle, podszedł do drzwi i zamknął je od środka.

– Ryzykowne – stwierdziłam.

Nie odpowiedział.

– A twoi rodzice?

– Nieważne. – Wrócił do łóżka i stanął przy nim, spoglądając na mnie. – Nie obchodzą mnie. Powiedz, co mam robić, Maro, a zrobię to. Powiedz mi, czego chcesz, a spełnię twoją prośbę – oświadczył uroczyście.

Chcę zamknąć oczy wieczorem i nie bać się, że otworzę je i zobaczę Jude'a.

Chcę obudzić się rano bezpieczna w swoim łóżku i nie myśleć, że w nocy byłam w zupełnie innym miejscu.

– Nie wiem – powiedziałam; w moim głosie brzmiała zniechęcona nuta desperacji. – Boję się... boję się, że tracę kontrolę.

Boję się, że tracę siebie.

Ta myśl tkwiła w mojej głowie jak zadra. Zawsze obecna, dręcząca, nawet wtedy, kiedy nie byłam jej świadoma. Nawet wtedy, kiedy o tym nie myślałam.

O nim. O Judzie.

Noah patrzył mi prosto w oczy.

– Nie dopuszczę do tego.

– Nie uda ci się – powiedziałam ze ściśniętym gardłem. – Możesz się tylko przyglądać.

Upłynęło parę chwil, zanim przemówił.

– Cały czas to robię, Maro.

W jego głosie brzmiała wściekła bezsilność.

Zniechęcone łzy napłynęły mi do oczu.

– Powiedz, co widzisz? – poprosiłam.

Ja, patrząc na siebie w lustrze, widziałam obcą osobę. Przerażoną, sterroryzowaną i słabą. Czy on również ją widzi?

Zebrałam się w sobie.

– Powiedz mi – zażądałam twardo. – Powiedz mi, co widzisz. Sama już nie wiem, co jest rzeczywistością, a co nie; co jest nowe albo dziwne. Nie mogę ufać sobie, ale tobie ufam.

Noah zacisnął powieki.

– Maro.

– Albo nie – powiedziałam, krzyżując ramiona na piersi i zamykając siebie w mocnym uścisku. – Nic mi nie mów, bo mogę nie zapamiętać. Napisz to i kiedyś, pewnego dnia, jeśli jakimś cudem poczuję się lepiej, daj mi do przeczytania. Bo inaczej będę się zmieniać niedostrzegalnie, dzień po dniu, i przestanę to wreszcie zauważać. A wówczas będzie za późno.

Noah nadal miał zamknięte oczy i jego rysy były gładkie, ale zauważyłam, że zacisnął dłonie w pięści.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak cierpię, nie mogąc ci pomóc.

Nie wyobrażał sobie, jakich cierpień przysparza mi sam fakt, że oczekuję jego pomocy. Kiedyś powiedział, że nie jestem zepsuta, ale przecież byłam, a on pojął, że nie potrafi mnie naprawić. Z drugiej strony nie chciałam być ptaszkiem ze złamanym skrzydełkiem, który potrzebuje ratunku, ani skrzywdzoną dziewczynką, która potrzebuje współczucia. Noah też był dziwadłem, nie mniejszym ode mnie, ale nic nie było w stanie go złamać. Nigdy nie był chory, nie panikował. Był silny. Wszystko kontrolował. I choć znał moje najgorsze wcielenia, nigdy się mnie nie bał.

Chciałabym nie bać się siebie. Chciałabym się czuć inaczej.

Noah stał obok łóżka, zeszywniały z napięcia.

Chciałam poczuć, że panuję nad rzeczywistością. Chciałam poczuć jego.

– Pocałuj mnie – poprosiłam.

W moim głosie nie było wahania.

Noah otworzył oczy, ale się nie poruszył. Usiłował mnie rozgryźć. Ocenić, czy wiem, co mówię. Nie chciał na mnie naciskać, dopóki nie będę gotowa.

Muszę mu pokazać, że jestem gotowa.

Pociągnęłam go ku sobie, na łóżko. Nie protestował. Wsunęłam się pod niego, a Noah objął mnie, zamykając w bezpiecznej klatce swoich ramion.

Nasze czoła się stykały. Z tej odległości nie mogłam ignorować jego obłędnie długich rzęs i sposobu, w jaki muskały policzki, kiedy mrugał. Nie można było nie wpatrywać się w jego usta wymawiające moje imię.

Nie sposób było ich nie pożądać i nie posmakować.

Wygięłam się w łuk, napierając na niego biodrami, lecz Noah uspokajająco położył mi dłoń na brzuchu i pchnął z powrotem na materac.

– Powoli – powiedział.

Jego słowa wibrowały mi w ciele.

Pochylił głowę, ale tylko trochę, i musnął wargami moją szyję. Puls mi przyspieszył. Noah cofnął głowę.

Musiał to słyszeć. Przypomniałam sobie. Każde uderzenie mojego serca.

Każde przyspieszenie oddechu. Pewnie myśli, że serce wali mi ze strachu, a nie z podniecenia.

Muszę pokazać mu, że się myli.

Uniosłam głowę z poduszki, przysunęłam usta do jego ucha i szepnęłam:

– Nie przestawaj.

Byłam w szoku, bo mnie posłuchał.

Sunął ustami wzdłuż linii mojej szczęki. Zahaczył palcem wycięcie koszulki przy szyi i ściągnął je w dół, odsłaniając trójkąt skóry. Pocałował dołek pod gardłem. A potem miejsce poniżej. Raz.

Drżałam. Leżałam na materacu, desperacko pragnąc, aby zamknęła się przestrzeń pomiędzy nami; desperacko pragnąc poczuć jego usta na swoich.

– Teraz?

– Nie – odszepnął, owiewając moją skórę gorącym oddechem.

Jego usta wywoływały ból, słodką błogość i furję. Nie potrafiłam leżeć spokojnie, ale kiedy moje ciało instynktownie przylgnęło do niego, odsunął się.

– Teraz? – wyszeptałam bez tchu.

– Jeszcze nie.

Znów poczułam, jak muska wargami moją skórę, tym razem za uchem.

Kiedy pomyślałam, że dłużej nie wytrzymam, Noah zsunął usta do zagłębienia obojczyka i leciutko skubnął mnie zębami.

Zapłonęłam, porwana falą gorąca i byłam gotowa błagać.

Wydawało mi się, że widzę cień półuśmieszku na jego wargach, ale zaraz znikł. Spojrzenie Noaha powędrowało od moich oczu do ust i nasze wargi się zetknęły.

Pocałunek był tak leciutki, że prawie bym go nie zauważyła, gdybym nie wpatrywała się tak intensywnie w jego usta. Chciałam poczuć je bardziej, mocniej, goręcej. Zburzyłam palcami piękną czuprynę Noaha i objęłam go za szyję. Trzymałam go. Nie puszczałam.

A jednak uwolnił się z moich objęć. Odsunął się i wycofał na koniec łóżka.

– Jestem z tobą.

– Wiem – odpowiedziałam bez tchu, totalnie sfrustrowana.

W kąciku jego ust pojawił się leniwy, subtelny uśmiech.

– To dlaczego masz taką wściekłą minę?

– Bo... Bo zawsze się kontrolujesz.

A ja nigdy. Nie przy nim.

Czułam się i pewnie wyglądałam jak jakaś dzika istota, a Noah klęczał na

łóżku z miną aroganckiego księcia. Jakby ten świat należał do niego, jakby mógł czerpać z niego wedle uznania.

– Jesteś taki spokojny – powiedziałam. – Jakbyś tego nie potrzebował.

„Jakbyś mnie nie potrzebował” – dodałam w duchu. Ze sposobu, w jaki jego wyniosły uśmiezek zmieknął, domyśliłam się, że wie, co mam na myśli.

Przysunął się do mnie.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak strasznie pragnę poczuć cię pod sobą i usłyszeć, jak wykrzykujesz moje imię – oznajmił zwyczajnym tonem.

Rozdziawiłam usta i gapiłam się na niego.

„Więc dlaczego nic nie robisz?” – chciałam zapytać.

– Dlaczego? – zapytałam po prostu.

Noah przesunął palcem wzdłuż mojego kręgosłupa, aż wyprężyłam się jak struna pod jego dotykiem.

– Ponieważ jakaś część ciebie ciągle się tego obawia. Nie chcę, żeby tak było. Dlatego nie mogę.

Chciałam zaprzeczyć, zapewnić, że już się nie boję. Przecież całowaliśmy się wcześniej i Noah dalej jest ze mną, żywy i zdrowy. Może tylko mi się śniło, że omal nie umarł od pocałunku. Tak, to był tylko sen. A jednak nie powiedziałam tego głośno, gdyż nie do końca wierzyłam we własne argumenty.

Ten pocałunek był inny. Kiedy całowaliśmy się wcześniej, wiedziałam zbyt mało, żeby bać się siebie i tego, co mogłabym zrobić Noahowi. Teraz wiedziałam wystarczająco wiele.

Teraz byłam świadoma; świadoma do bólu. I więził mnie strach.

Noah o tym wiedział.

– Kiedy się boisz, twój puls się zmienia – powiedział. – Oddech. Bicie serca. Głos. Nie mogę i nie chcę tego ignorować, choćbyś mnie błagała.

To połączenie pożądania i strachu było nieznośne. Ogarnęło mnie poczucie beznadziei.

– A jeśli zawsze będę się bała?

– Wciąż będę czekał.

Gwałtownie pokręciłam głową.

– Nie. Nie będziesz.

Noah odgarnął mi włosy z twarzy i upewnił się, że patrzę na niego, zanim ponownie przemówił.

– Przyjdzie moment, kiedy niczego nie będziesz bardziej pragnęła niż nas. Razem. Kiedy uwolnisz się od wszystkich strachów i nic już nie będzie stało nam na drodze.

Mówił szczerze i minę miał poważną. Chciałam mu wierzyć.

– A wtedy sprawię, że będziesz wykrzykiwała moje imię.

Uśmiechnęłam się.

– Albo ja sprawię, że ty będziesz wykrzykiwał moje.

Leniwy, arogancki uśmiech pojawił się na wargach Noaha.

– Rękawica została rzucona. – Wstał i otworzył drzwi. – Uwielbiam takie wyzwania.

– Szkoda, że to niejedyne wyzwanie.

– Racja. – Wyjrzał na korytarz. – Chodź.

Podniosłam się z łóżka, ale po drodze sięgnęłam po książkę.

– Mogę pożyczyć?

– Możesz – powiedział, przytrzymując przede mną drzwi. – Tylko pamiętaj, że ja usnąłem na trzydziestej czwartej stronie.

– Mam silną motywację.

Noah poprowadził mnie długim korytarzem. Miękki, orientalny chodnik tłumił kroki. Parę razy skręcaliśmy, aż wreszcie zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, wyjął z tylnej kieszeni dzinsów coś długiego i cienkiego, a potem wsunął ten wytrych w staroświecki zamek.

– Poręczna rzecz – skomentowałam, słysząc kliknięcie.

Noah otworzył drzwi.

– Mam swoje sposoby.

Za drzwiami znajdował się niewielki pokój, który przypominał ogromny schowek. Wzdłuż ścian stały proste regały i stosy pudeł.

– Co to jest? – zapytałam, przyglądając się kartonom.

– Rzeczy mojej mamy – wyjaśnił Noah i pociągnął za linkę zwieszającą się spod sufitu. Światło ze starego, mlecznego klosza zalało pomieszczenie. – Wszystko, co po niej zostało.

– Czego szukamy?

– Sam nie wiem. Ale zostawiła mi wisiorek, a twoja babcia zostawiła taki sam tobie. Liczę, że znajdziemy coś, co wyjaśni nam ich pochodzenie... nie wiem, listy, zdjęcia, cokolwiek. Jeśli istnieje związek pomiędzy twoimi zdolnościami a twoją babcią, to może...

Nie dokończył zdania. Nie musiał. Zrozumiałam.

Podobny związek może istnieć pomiędzy nim a jego matką. Widać było, że Noah na to liczy.

Otworzył jedno z pudeł i wręczył mi plik papierów. Zaczęłam je przeglądać.

– Co wy tu robicie?

Drgnęłam, słysząc obcy głos mówiący z angielskim akcentem. Papiery upadły na podłogę.

– Katie – powiedział Noah, uśmiechając się do dziewczyny. – Pamiętasz Marę, prawda?

Ja dobrze pamiętałam Katie. Była równie efektowna jak jej brat: ta sama grzywa ciemnych włosów, te same regularne, eleganckie rysy. Te same rzęsy i do tego obłądne nogi. Porażająca uroda, tak to określiłam.

Katie otaksowała mnie spojrzeniem, po czym zwróciła się do brata:

– A więc to tam spędzasz nocę.

Rysy mu stwardniały.

– Co się z tobą dzieje?

Katie zignorowała go i zwróciła się do mnie.

– Jesteś w psychiatryku albo czymś w tym stylu?

Zaniemówiłam.

– Jak możesz? – oburzył się Noah.

– Co tu robisz? – odparowała bez mrugnięcia okiem.

– A jak myślisz?

– Widzę, że grzebiesz w szpargałach mamy. Tata cię zabije.

– Żeby to zrobić, musiałby tu być, nie uważasz? – odparł Noah zdegustowanym tonem. – Idź coś zjeść, potem pogadamy.

Katie przewróciła oczami. Zanim wyszła, pomachała do mnie.

– Miło było znów cię zobaczyć.

– Wow – powiedziałam, kiedy odeszła. – To było...

Noah z zakłopotaniem przeciągnął ręką po włosach.

– Przepraszam. Często bywa niemila, ale od paru tygodni jest po prostu nieznośna.

„A więc to tam spędzasz nocę”.

– Ostatnio dużo byłeś poza domem – zauważyłam.

Może nie tylko ja potrzebuję Noaha.

Zignorował moje wyjaśnienie.

– Ostatnio Katie spędza wiele czasu z Anną, twoją starą przyjaciółką. Nie przypadkiem – wyjaśnił beznamiętnym tonem. – Na pewno nie chodzi jej o to, że jestem z tobą.

A jednak miałam poczucie winy.

– Moja rodzina jest... inna niż twoja – dodał.

– Co przez to rozumiesz?

Milczał przez chwilę, zanim odpowiedział, starannie ważąc słowa.

– Jesteśmy jak obcy ludzie, którzy przypadkiem zamieszkali pod jednym

dachem, Maro.

Powiedział to gładko, ale wyczułam ból ukryty w słowach. Jakby nie dość było sytuacji rodzinnej, musiał się jeszcze mierzyć z innymi problemami. I, jakkolwiek by zaprzeczał, oboje wiedzieliśmy, że ja byłam ich przyczyną.

– Powinieneś zostać dzisiaj w domu – powiedziałam.

Noah pokręcił głową.

– To nie jest powód.

– Nawet przez parę najbliższych dni – upierałam się.

Z trudem wydusiłam z siebie te słowa.

Noah przymknął oczy.

– Niedługo koniec ferii i twoja mama nie pozwoli mi nocować u was, kiedy zacznie się szkoła.

– Coś wymyślimy – zapewniłam, choć nie do końca w to wierzyłam.

W tym momencie usłyszałam tak dobrze znany mi głos, wołający z dołu:

– Maro, jesteś gotowa? Musimy wracać!

Nie byłam gotowa. I nie miałam wyboru.

W drodze powrotnej mama milczała, co było dla mnie ogromnie frustrujące, gdyż po raz pierwszy od długiego czasu chciałam z nią porozmawiać. Każde moje pytanie zbywała w sposób najbardziej lakoniczny, jaki można sobie wyobrazić:

– Czy babcia zostawiła mi coś jeszcze poza lalką?

Przeczący ruch głową.

– Czy zostawiła coś tobie?

– Pieniądze.

– A... inne rzeczy? – zapytałam oględnie.

– Tylko szmaragdowe kolczyki. Trochę ubrań.

I wisiorek, który oddałam na przechowanie Noahowi. Wydawało się, że mama nic o nim nie wiedziała.

– Żadnych listów, nic? Pamiętnika, notatek?

Kolejny ruch głową. Mama prowadziła, nie odrywając wzroku od drogi.

– Nic.

– A zdjęcia?

– Nienawidziła zdjęć – odparła miękko mama. – Nie pozwoliła mi się fotografować. Zdjęcie w holu jest jedynym, jakie mam.

– Zrobione w dniu ślubu – dodałam i coś zaczęło mi świtać.

– Tak.

– Kiedy wyszła za dziadka.

Chwila milczenia.

– Tak.

– Czy naprawdę zginął w wypadku samochodowym?

Mama gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Tak.

– Kiedy?

– Kiedy byłam małą.

– Nie miałaś innej rodziny? Cioć, wujków?

– Nie. Tylko ja i mama.

Usiłowałam sobie to wyobrazić. Słowo „samotna” nasunęło mi się natychmiast.

Dziwne, jak mało wiedziałam o życiu mojej mamy, zanim nas urodziła. Zanim poznała tatę. Poczułam się winna, bo myślałam o niej wyłącznie jak o matce. Teraz chciałam wiedzieć więcej, nie tylko z powodu tajemniczych spraw babci, choć to ona była katalizatorem.

„Jesteśmy jak obcy ludzie, którzy przypadkiem zamieszkali pod jednym dachem” – powiedział Noah o swojej rodzinie.

Nagle mama wydała mi się też trochę obca. Nie chciałam, żeby tak było.

Otwierałam usta, żeby zadać następne pytanie, kiedy mama definitywnie ucięła rozmowę.

– To był długi dzień, Maro. Możemy porozmawiać o tych sprawach innym razem?

– Dobrze – odparłam spokojnie i spróbowałam z innej beczki. – Co myślisz o macosze Noaha? – zagadnęłam.

– Oni są... smutni.

Tylko tyle. Nie podjęła tematu.

Moja ciekawość rosła, lecz mama wyraźnie nie była w nastroju do rozmów. Nieprzyzwoicie ciężka książka o genetyce gniotła mi kolana. Usiłowałam czytać ją w samochodzie, ale szybko poczułam objawy choroby lokomocyjnej. Trudno, lektura będzie musiała poczekać. Poza tym wszystko było w porządku.

Naprawdę, to był dziwnie dobry dzień. Owszem, Katie zachowała się po chamsku. Owszem, sprawa z wisiorkiem była tajemnicza. Ale całowałam się z Noahem.

Całowaliśmy się.

Nie będzie dzisiaj u nas nocował, ale zobaczymy się jutro, po Horyzontach. A potem zacznie się weekend i zajmiemy się szukaniem odpowiedzi.

I może pocałunkami.

Kiedy wjechaliśmy w naszą ulicę, w ostatniej chwili zauważyłam Johna spacerującego z terierem mieszańcem. Ten widok jeszcze bardziej poprawił mi humor.

Jude chciał mnie przestraszyć i zrealizował swój zamiar, ale więcej mu się to nie uda. Będzie musiał znaleźć sobie inny cel w swoim drugim życiu.

– Zaczynamy – powiedziała Brooke i dwa razy klasnęła w ręce. – Dzisiaj kończymy rundę wyznań z Marą, Adamem, Jamiem, Stellą i Megan. Wyjmijcie swoje dzienniki lękowe.

Brak entuzjazmu wśród moich współtowarzyszy z Horyzontów był ewidentny, ale to ja byłam królową apatii. Noah miał dzisiaj pokręcić się po Małej Hawanie, żeby spróbować się czegoś dowiedzieć, a potem dokończyć przegląd rzeczy mamy. Marzyłam, żeby być z nim, a nie tkwić tutaj. To było wkurzające.

Niektórzy wyjęli notesy z toreb i plecaków. Inni podeszli do półek, gdzie zostawili je na poprzednich zajęciach. Phoebe należała do tych ostatnich. Usiadła obok mnie.

W pierwszym odruchu chciałam się odsunąć.

– Kto pierwszy? – zapytała Brooke i popatrzyła po nas.

Umknęłam spojrzeniem w bok.

– Och, zdecydуйте się wreszcie! I tak każdy musi zaliczyć ten punkt.

Cisza.

– Może ty, Maro? – zachęciła.

Och, jasne.

– Ja... jeszcze nie bardzo się orientuję w... zakresie tego zadania – wybąkałam.

Brooke skinęła głową.

– Oczywiście, to wymaga czasu, ale ostatnio robisz fantastyczne postępy! Nie martw się, pomogę ci. Chodzi o stworzenie listy sytuacji, które wywołały w tobie lęk lub niepokój. Potem uszeregujemy je w skali od lekkiego niepokoju do skrajnego lęku.

Terapeutka wstała, podeszła do niskiego regału w rogu sali i wyjęła stamtąd notes.

– W trakcie terapii ekspozycyjnej konfrontujemy się stopniowo z naszymi lękami. Dlatego prowadzimy dzienniki, opisując nasze odczucia i niepokoje. Dzięki temu możemy ocenić postępy terapii i w trakcie naszych grupowych spotkań poszukać punktów wspólnych z innymi uczestnikami – zakończyła Brooke.

Popatrzyła na moją torbę listonoszkę zawieszoną na krześle i dokładnie przeczesaną podczas porannej rewizji.

– Gdzie masz swój dziennik?

Pokręciłam głową.

– Nigdy go nie miałam.

– Ależ tak, miałaś. Od pierwszego dnia, nie pamiętasz?

– Hm... nie.

– Sprawdź w torbie.

Zrobiłam to. Znalazłam tylko niewielki szkicownik, którego używałam na zajęciach z terapii sztuką oraz parę zeszytów, ale nie zapis lęków.

– Na pewno nie masz?

Przytaknęłam i dla pewności ponownie przeszukałam torbę. Znalazłam jeszcze luźną kartkę walającą się pomiędzy zeszytami.

Brooke westchnęła.

– Dobrze, w takim razie pisz dzisiaj w tym.

Wręczyła mi notes razem z długopisem.

– Ale poszukaj jeszcze, dobrze?

Ponownie zwróciła się do grupy.

– Dobrze, kochani – kontynuowała. – Otwórzcie wasze dzienniki na ostatnich zapiskach. Maro, ty zrób teraz spis swoich lęków i uszereguj je w sposób, o jakim mówiłam, dobrze? Macie pięć minut na przejrzenie notatek i zastanowienie się, co jeszcze moglibyśmy przedyskutować.

Adam zakaszał. Zabrzmiało to jak „pierdoły”.

– Czy chcesz nam coś powiedzieć, Adamie?

– Powiedziałem, że to pierdoły. Robiliśmy coś takiego w Lakewood. Kompletna głupota.

Brooke wstała i ruchem głowy dała do zrozumienia, że Adam powinien pójść za nią. Posłuchał. Odeszli na stronę. Tam Brooke zaczęła tłumaczyć mu coś cierpliwie i spokojnie, ale nie słyszałam, co mówi.

Szkoda, że Jamie nie siedział koło mnie, bo zapytałabym go, co to jest Lakewood. Niestety, siedział w drugim końcu sali.

Za to Stella była blisko.

„Może uchodzić za normalną” – powiedział o niej Jamie.

Zatem musi być bardziej normalna niż ja. Może uda mi się z nią zaprzyjaźnić.

Pochyliłam się do Stelli i zapytałam:

– Co to jest Lakewood?

– Więzienie – wyjaśniła, wyłamując palce.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Zamknięty ośrodek psychiatryczny? – upewniłam się.

Cisza.

Westchnęła.

– Wiesz, w jaki sposób to miejsce uzupełnia Horyzonty? – spytała.

– Nie. W jaki?

– Wsadzają tu ludzi na program dzienny, a potem pytają rodziców, czy ich zdaniem dziecko jest wystarczająco zdrowe na umyśle, żeby po zajęciach wrócić do domu, czy też sądzą, że jego stan jest tak poważny, że wymaga odosobnienia w specjalnym ośrodku. – Zwinęła pasmo włosów na palcu. – Horyzonty są ośrodkiem terapeutycznym typu zamkniętego, ale masz tu jednak swobodę: chodzisz bez przeszkód po salach, po zajęciach wracasz do domu, rozumiesz. Czyli normalnie. W ośrodku o zaostrowym rygorze jesteś praktycznie zamknięta w swoim pokoju i musisz czekać, aż po ciebie przyjdą. Ani na chwilę nie zostawią cię samej, ciągle ktoś cię pilnuje. Lakewood znajduje się na kompletnym odludziu – jak zwykle takie instytucje – i na darmo będziesz tam marzyć o dobrym jedzeniu i terapeutach, którzy się o ciebie troszczą. W gruncie rzeczy to ostatni przystanek przed państwowym ośrodkiem dla trudnej młodzieży. – Przechyliła głowę i popatrzyła na mnie. – Jesteś nowa w tym niemiłym nastoletnim świecie, co?

Teraz popatrzyłam na Adama nowymi oczami.

– Najwyraźniej tak.

– Ja jestem weteranką – powiedziała Stella, wzruszając ramionami.

Ciekawiło mnie, z jakiego powodu tam trafiła, ale nie podjęła tematu, a ja nie chciałam pytać.

– Cóż, Adamie – powiedziała głośno Brooke – skoro nie chcesz uczestniczyć w grupie, będę musiała zawiadomić doktor Kells i ona zadecyduje, co dalej z tobą zrobić.

– On tu nie pasuje – szepnęła Stella, kiedy Adam i Brooke wrócili do kręgu.

Chciałam zapytać, o co jej chodzi, ale terapeutka powróciła do zajęć.

A konkretnie do mnie.

Szczęśliwie udało mi się nie wspomnieć o moich realnych (i znaczących) lękach przed Jude'em oraz różnymi paranormalnymi przejawami. Zastąpiłam je katalogiem standardowych strachów, jak robale czy lęk przed zastrzykami. Jamie testował cierpliwość Brooke odpowiedziami w typie „bankructwo intelektualne” czy „morska małpa”, a Megan szczerze przyznała się do wszystkich możliwych fobii, o których istnieniu w większości nie miałam pojęcia (na przykład dorafobia, czyli lęk przed

futrem).

Adam wrednie skomentował wyznanie Jamiego, a ten z kolei oskarżył go o strach przed „fizycznym upośledzeniem” bardzo osobistej natury. Brooke zareagowała bardzo ostro, moim zdaniem zbyt ostro, co tylko podgrzało atmosferę. Kibicowałam Jamieemu z nadzieją, że palnie Adama w tę arogancką gębę, ale burza skończyła się, zanim zrobiło się ciekawie. Dzięki tym incydentom Stelli udało się wymiksować od spowiedzi. Szczęściara. Mimo woli zerknęłam do jej dziennika lęków, ale zdążyłam zobaczyć tylko jedno słowo („głosy”).

Hmm...

Wreszcie skończyliśmy i oddaliśmy nasze dzienniki Brooke. Teraz zarządziła terapię „zalewania” i szukała ochotnika. Dzięki Bogu zgłosiła się Megan. Z przykrością patrzyłam, jak wielkie, brązowe oczy dziewczyny rozszerzają się z przerażenia, kiedy terapeutka realizowała z nią kolejne scenariusze, w których dziewczyna musiała natykać się na ciasne, zamknięte przestrzenie, a potem w wyobraźni wchodzić do nich. Brooke przez cały czas mówiła do niej, przeprowadzając Megan przez ten trudny proces i zalewając ją potokiem lęków. Najpierw biedaczka musiała sobie wyobrazić, że podchodzi do szafy. Potem wchodzi do niej. Realistycznie zagłębiała się w ciemność i ciasnotę, aż wreszcie lęk stał się nie do zniesienia i Megan wypowiedziała hasło bezpieczeństwa, co było sygnałem dla Brooke, że muszą się wycofać. Po chwili spróbowały jeszcze raz. Trzeba przyznać, że Megan była zdeterminowana; szczerze wierzyła w potęgę terapii i pragnęła postępów. Imponujące.

Kiedy sesja dobiegła końca, nagrodziliśmy Megan oklaskami i słowami wsparcia.

– Świetna robota! Oby tak dalej! Ale jesteś silna!

Po zajęciach ruszyliśmy na drugie śniadanie – jak w przedszkolu! Korzystając z chwili przerwy, postanowiłam popracować nad idiotycznym zadaniem, które mi zlecono: narysowaniem dowolnego uczucia. Miałam ochotę narysować fuckersa, ale uznałam, że lepiej będzie, jeśli to będzie kociak. Normalni ludzie kochają kotki.

Kiedy sięgnęłam do torby po szkicownik, natrafiłam palcami na kartkę, którą zobaczyłam tam wcześniej.

Wyjęłam ją i rozwinęłam. Przeczytałam, co było napisane, i włosy zjeżyły mi się na karku.

„Widzę cię”.

– Jude – podszeptał mi umysł, a w żyłach rozlał się strach.

Rozejrzałam się w panice, szukając wzrokiem swojego prześladowcy.

Nie było go tu.

Nie mogło być. Podobnie jak w moim domu tej nocy, ponieważ pilnował mnie John.

W tym momencie przypomniałam sobie swój pierwszy dzień w Horyzontach. Phoebe ukradła mi z torby fotografię i wydrapała z niej oczy.

Dzisiaj siedziała obok mnie na grupie.

Jude tego nie napisał. Ona to zrobiła.

Ale dlaczego?

Och, olać to. Phoebe jest świruską. Oto dlaczego.

Gniewnie wcisnęłam kartkę do tylnej kieszeni dzinsów i czekałam na drugą część zajęć, skulona na krześle, z głową w dłoniach. Moje życie było wystarczająco pokręcone, no i jeszcze te kretyńskie zagrania! Pojawił się Wayne, przynosząc leki. Połknęłam swoją porcję, popijając ją łykiem wody z papierowego kubka. W ustach został mi gorzki posmak, ale nie spłukałam go. Patrzyłam na zegar i odliczałam sekundy, czekając, aż Phoebe nawinie mi się pod rękę.

Brooke zwawym krokiem wkroczyła do holu, niosąc dzbanek z kawą, zapewne organiczną, pochodzącą z upraw ekologicznych, oraz plik wydrukowanych zestawów zadań. Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, rozdała je nam. Phoebe weszła, rozejrzała się i postarała się usiąść jak najdalej ode mnie.

Nieco zbyt gwałtownie wyszarpnęłam arkusz z ręki Brooke. Był zadrukowany rzędami schematycznych półpostaci prezentujących przesadne miny. Obok wypisano odpowiadające im „uczucia”. Zezowaty, cwane uśmiechnięty dzieciak ze sterzącą strzechą włosów, oblizujący kącik ust czubkiem języka, miał być „przebiegły”; jasnowłosej dziewczynce z końskim ogonem, o spokojnej twarzy i przymkniętych oczach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi przypisano określenie „bezpieczny”. Dalej prezentowano cały katalog wystawionych języków i wybałuszonych oczu. Brooke zaczęła rozdawać markery.

– Chcę, żebyście zaznaczyli kółkami miny i odczucia, które najlepiej

opisują wasz dzisiejszy nastrój – powiedziała i spojrzała na mnie. – Ten rodzaj ćwiczenia nazywamy odczytywaniem emocji. Przerabiamy je dwa razy w tygodniu.

Zdjęłam zakrywkę z markera i szybko zaznaczyłam: szalony, podejrzliwy, wściekły, zirytowany, po czym oddałam arkusz.

Wymienione uczucia musiały wyraźnie malować się na mojej twarzy, gdyż większość spojrzeń skupiła się na mnie. Tylko nie Phoebe. Ta gapiała się w sufit.

– Widzę, że masz dzisiaj wiele interesujących odczuć, Maro – powiedziała zachęcająco Brooke. – Czy chcesz podzielić się nimi jako pierwsza?

– Jak najbardziej. – Energicznie wstałam z krzesła, wyciągnęłam kartkę z tylnej kieszeni dżinsów i wręczyłam ją Brooke. – Ktoś podrzucił mi to dziś rano do torby – powiedziałam do terapeutki, wymownie spoglądając na Phoebe.

Brooke przeczytała wiadomość i zapytała, nie zmieniając spokojnego tonu:

– Jakie masz odczucia w związku z tą wiadomością, Maro?

Popatrzyłam na nią spod zmrużonych powiek.

– A może ty mi powiesz, co o tym myślisz? – odparowałam.

– Cóż, Maro, myślę, że to cię wyraźnie wzburzyło.

Zaśmiałam się ponuro.

– Tak, dokładnie.

Adam podniósł rękę. Brooke zwróciła się do niego:

– Tak, Adamie?

– Co tam jest napisane?

– „Widzę cię” – wyjaśniłam. – Po prostu „widzę cię”.

– I co o tym myślisz, Maro? – nalegała Brooke.

Skoro Phoebe nie chce się przyznać, zmuszę ją do tego.

– Myślę, że Phoebe napisała to i wsunęła mi do torby.

– Czemu tak myślisz?

– Bo ona jest ześwirowana do kwadratu, Brooke.

Jamie zaklaskał głośno.

– Jamie, to nie jest konstruktywny głos w dyskusji – upomniała go spokojnie terapeutka.

– Wyraziłem uznanie dla Mary za wyjątkowo trafne określenie „ześwirowana do kwadratu”.

Brooke zaczęła tracić cierpliwość.

– Czy chciałbyś się czymś z nami podzielić, Jamie?

- Nie, uważam, że podzieliłem się wystarczająco.
- Łokieć mnie boli – poskarżył się Adam.
- Dlaczego to napisałaś, Phoebe? – zapytałam.

Łypnęła na mnie, jak to ona.

- Nie napisałam.
- Nie wierzę ci.

– Nie napisałam tego! – wrzasnęła, a potem usiadła na podłodze i zaczęła się kiwać.

Fantastyczne. Przesunęłam ręką po twarzy, patrząc, jak Brooke podchodzi do ściany i naciska guzik, którego dotąd nie zauważyłam. Phoebe wciąż się kiwała, ale kiedy terapeutka odwróciła się do niej plecami, spiorunowała mnie wzrokiem.

A potem się uśmiechnęła.

- Ty mała świnió – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.
- Mówiłaś coś do mnie, Maro? – zapytała niewinnie.

Moje spojrzenie ciskało gromy. Phoebe zakryła uszy. Zjawił się Patrick, pielęgniarz z kucykiem, i próbował podnieść Phoebe z wykładziny.

- Ona udaje – powiedziałam, nie spuszczając z niej wzroku.

Brooke popatrzyła na Phoebe, ale widać było, że mi nie wierzy. Zerknęła na zegar.

– Mamy mało czasu. Patrick, czy możesz zaprowadzić Phoebe do doktor Kells? – I dodała ciszej: – Mogę wezwać Wayne’a, jeśli uważasz, że trzeba ją uspokoić.

Jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, Phoebe zdmuchnęło z podłogi. Istna magia.

– A wy weźcie notesy i zapiszcie swoje odczucia – powiedziała Brooke. – Daję wam parę minut. Później omówimy sobie dzisiejsze wydarzenia, dobrze? I pamiętajcie, że jutro jest dzień rodziny. Pomyślcie o liście dziesięciu rzeczy, których wasza rodzina nie wie o was, a chcielibyście, żeby wiedziała.

Wszyscy wstali jak na komendę i wzięli z półek swoje notesy. Ja tylko udawałam, że piszę. Nadal rozpierała mnie wściekłość. Phoebe może sobie bajerować Brooke, doktor Kells i całą resztę – z doświadczenia wiedziałam, że nie jest to trudne – ale nie mnie. Napisała tę wiadomość i zmuszę ją, żeby przyznała się do winy.

Pod koniec dnia nadarzyła się wreszcie okazja.

Natrafiałam na Phoebe, siedzącą w małym holu. Pisała coś w swoim zeszyt, mechanicznie jak robot.

Rozejrzałam się. Wokół było pusto, ale lada chwila mógł ktoś nadejść.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytałam zniżonym głosem.

Spojrzała na mnie z miną niewiniątka.

– Co zrobiłam?

– Napisałaś wiadomość, Phoebe.

– Nie.

– Czyżby? – wycedziłam, a moja furia rosła. – Nie zamierzasz się przyznać? Słuchaj, wiem, że masz swoje problemy, i chcę tylko, żebyś wreszcie wydusiła to z siebie.

– Nie napisałam tego – odpowiedziała mechanicznie.

Z całej siły zacisnęłam palce na framudze drzwi.

„Teraz albo nigdy” – pomyślałam.

– Nie napisałam tego – powtórzyła Phoebe.

Jakiś ton w jej głosie kazał mi spojrzeć na nią. Patrzyła mi prosto w oczy skupionym, rozumnym wzrokiem.

– To już mówiłaś.

Phoebe opuściła spojrzenie na swój notes. Uśmiech zaigrał jej na wargach.

– Ale to ja podrzuciłam ci wiadomość.

Miałam wrażenie, że krew ścina mi się w żyłach.

– Co powiedziałaś?

Phoebe zaczęła nucić coś pod nosem.

Podeszłam do niej i przykucnęłam, żeby popatrzeć jej w oczy.

– Powtórz, co powiedziałaś. Bo pójdę do doktor Kells. Gadaj. No już!

– Mój chłopak mi to dał – zanuciła.

– Kto jest twoim chłopakiem, Phoebe?

– Jesteś moim słońcem, moim jedynym, przynosisz mi radość, kiedy świat jest szary – zaśpiewała i przeszła w mruzcando.

Miałam ochotę ukreścić jej łeb. Ręce same zacisnęły mi się w pięści. Ze wszystkich sił walczyłam, żeby jej nie rąbnać.

Prawie, prawie chciałam ją zamordować.

Zacisnęłam powieki. Po minucie paraliżu odwróciłam się i odeszłam. Nazwijmy to postępem.

Z trudem doczekałam do końca tego bezsensownego dnia. Kiedy wróciłam do domu, chciałam się zabrać do *Nowych teorii w genetyce* i zadzwonić do Noaha, żeby sprawdzić, czy dowiedział się czegoś w Calle Ocho. Zanim zdążyłam dojść do pokoju, Joseph zwabił mnie do salonu i wciągnął w swoją strzelankę. Gdy wreszcie dotarłam do siebie i w trzecim podejściu dodzwoniłam się do Noaha, zauważyłam, że jego głos brzmiał dziwnie.

Zapytał, czy wszystko w porządku. Odpowiedziałam, że tak, po czym zasypałam go gradem pytań. Ale Noah zgasił mnie od razu, mówiąc, że porozmawiamy jutro.

Rozłączyłam się i od razu poczułam się niepewnie. Nienawidziłam tego uczucia. Ostatnio przebywaliśmy ze sobą niemal bez przerwy i sama zasugerowałam, żeby więcej czasu spędzał w rodzinnym domu. Nie chciałam tego odkręcać. Głos Noaha był tak nieobecny, tak zmęczony i musieliśmy się zmagać z tyloma problemami, głównie moimi, że ta cząstka mnie, która ciągle obawiała się, że nakładam na niego zbyt ciężkie brzemie, kazała mi zostawić go w spokoju.

Kiedy nadszedł ostatni dzień mojego pierwszego tygodnia w Horyzontach, wbrew sobie zrzuciłam to brzemie na starszego brata. W piątek przypadał Dzień Terapii Rodzinnej i było mi naprawdę przykro,

że Daniel musi oglądać horror z psychosiostrzyczką na żywo i w kolorze. Przy wejściu powitał nas Wayne. W holu zostaliśmy podzieleni na mniejsze grupy i rozeszliśmy się do sal. Większość przyprowadziła rodziców, ale nieliczni, jak ja, przybyli z młodszym lub starszym rodzeństwem. Nagle zobaczyłam ze zdumieniem, że do sali wchodzi Jamie w towarzystwie starszej od siebie, piegowatej, bardzo efektownej dziewczyny, która musiała być jego niesławną siostrą. Przypomniała mi się opowieść Jamiego o tym, jak Noah poderwał ją z zemsty, a potem rzucił.

Zapowiadało się interesująco.

Jamie usiadł na plastikowym krzeselku, wyciągając przed siebie długie nogi. Jego siostra siedziała obok w identycznej pozycji. Uśmiechnęłam się do niego, ale Jamie uporczywie wpatrywał się w drzwi.

Grup było sporo i miałam nadzieję, że nasze zajęcia poprowadzi Wayne albo inna bezproblemowa osoba. Brooke była słodką idiotką, ale potrafiła być upierdliwa.

– Witam wszystkich! – zaćwierkała, wchodząc do sali.

Niefart. Szkoda.

– Studenci Horyzontów, cóż za piękny poranek, prawda? Serdecznie dziękuję waszym bliskim za przybycie. Usiądźmy w kręgu i przedstawmy się sobie. Dobra propozycja, prawda? Jesteśmy tutaj jak jednak wielka rodzina.

Zerknęłam na Daniela. Wydawało mi się, że uważnie taksuje Brooke spojrzeniem. Kochany Daniel.

Na pierwszy ogień poszedł Jamie.

– Zaczynamy! Proszę.

– Cześć, jestem Jamie – przedstawił się, parodiując jej entuzjazm.

– Cześć, Jamie! – odpowiedziała odruchowo Brooke.

Jego siostra, jeśli to rzeczywiście była ona, ssała wargi, jakby usiłowała się nie śmiać.

– Kogo dzisiaj do nas przyprowadziłeś, Jamie?

Dziewczyna odpowiedziała za niego, unosząc rękę niedbałym gestem.

– Stephanie Roth. Mam wielkie szczęście być siostrą Jamiego.

– Cześć, Stephanie – powitaliśmy ją chórem.

I tak to szło, aż wszyscy przedstawili się wszystkim. Brooke poprosiła, aby każdy z nas przeczytał listę rzeczy, które jego zdaniem rodzina powinna o nim wiedzieć, ale nie wie. Moja lista była krótka i napisana na kolanie, dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy Daniel zaczął czytać swoją wersję. Najwidoczniej naszym bliskim, bez naszej wiedzy, polecono wcześniej stworzyć własne wersje.

– Chciałbym, aby Mara wiedziała, że jestem o nią zazdrosny.

Odwrociłam się do niego gwałtownie.

– Chyba żartujesz?

Brooke pogroziła mi palcem.

– Nie przerywamy sobie, Maro.

Mój brat odchrząknął.

– Chciałbym, aby wiedziała, że uważam ją za najbardziej zabawną osobę na świecie. I że kiedy nie ma jej w domu, mam poczucie, jakbym stracił współniczkę przestępstwa.

Gardło mi się ścisnęło. Nie rycz. Tylko nie rycz.

– Chciałbym, aby wiedziała, że naprawdę jest dla mamy...

Pokręciłam głową.

– ...ukochaną księżniczką, której mama zawsze pragnęła. I że kiedy była mała, mama ubierała ją jak laleczkę i chwaliła się nią, jakby Mara była jej największym osiągnięciem. A ja wcale nie byłem zazdrosny, bo też uwielbiałem tę księżniczkę.

Broda mi drżała. Cholera.

– Chciałbym, aby wiedziała, że nie mam przyjaciół, tylko znajomych, bo po szkole głównie uczę się albo gram na pianinie. Chciałbym, aby wiedziała, że jest tak samo bystra jak ja. Jej IQ jest tylko o JEDEN PUNKT NIŻSZE – powiedział i poszukał wzrokiem moich oczu. – Wiem, bo mama zrobiła nam testy. Gdyby Mara nie była tak leniwa, mogłaby mieć równie dobre stopnie jak ja.

Skuliłam się na krześle, nie mogąc się zdecydować, czy mam obronnym gestem skrzyżować ramiona na piersi, czy nie.

– Chciałbym, aby wiedziała, że naprawdę jestem z niej dumny i zawsze będę... bez względu na wszystko.

– Chusteczkę? – Brooke podsunęła mi pudełko.

Nieeeee. Zamrugalam z furią, żeby odegnać łzy.

– Nic mi nie jest – szepnęłam ochryple.

Jasne, wszystko gra.

– Danielu, to było cudowne – powiedziała Brooke. – Oklaski dla Mary i Daniela!

Rozległy się niemrawe oklaski.

– A teraz zrobimy sobie małą przerwę, abyście mogli zastanowić się nad waszymi uczuciami.

KOSZMAR.. Wybiegłam do łazienki. Przemyłam twarz zimną wodą, a kiedy ją wycierałam, zobaczyłam obok siebie Stephanie Roth.

Uśmiechnęła się.

– Hej – powiedziała. – Jestem...

– Wiem, kim jesteś. – Mój głos ciągle był zachrypnięty. Odchrząknęłam. –
Wiem.

– Jasne, przedstawialiśmy się.

Nie tylko to.

– Wiele o tobie słyszałam – powiedziałam i natychmiast uświadomiłam
sobie, że: a) nie jest to prawda i b) to, co o niej słyszałam, nie było zbyt
pochlebne.

– A ty jesteś Mara Dyer – oznajmiła z tajemniczym uśmieszkiem. – Jamie
mówił, że chodzisz z Noahem.

Uniosłam brwi.

– Tak powiedział?

– Ścisłe mówiąc, wyraził się: „nowa zdobycz Noaha”.

Zachichotałam i cisnęłam do kosza zużyty ręcznik.

– To już bardziej w jego stylu.

– W każdym razie gratuluję.

Ups...

– Miałam na myśli Noaha.

Popatrzyłam na nią spod zmrużonych powiek.

– Czyżbym słyszała sarkazm?

Pokręciła głową. Minę miała poważną.

– Nie.

– Bo Jamie raczej go nienawidzi.

Związała jasne włosy w koński ogon.

– Wiem.

Zastanawiałam się, jak daleko mogę się posunąć, bo zżerała mnie
ciekawość.

– Nienawidzi Noaha za to, co... co zrobił tobie – powiedziałam w końcu.

Wyraz jej twarzy się zmienił. Stephanie nagle stała się czujna.

Wyprostowała się i zapytała:

– Czy Noah mówił ci, jak było?

– Nie. Jamie mówił.

– Ale Noah nie?

– Pytałam go, czy mam wierzyć Jamiemu, i powiedział, że tak.

Stephanie rzuciła mi przeciągłe spojrzenie.

– A ty nie uwierzyłaś.

Skrzyżowała na piersi atletyczne ramiona, świdrując mnie wzrokiem.

Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

Dlatego usiłowałam uciec.

– Widzimy się na sali – bąknęłam i zawróciłam do drzwi.

Stephanie powstrzymała mnie ruchem ręki.

– Usunęłam ciążę.

– Eem... – Musiałam mieć spojrzenie sarny oślepionej światłem reflektorów. – To chyba nie jest rozmowa...

– Noah poszedł ze mną.

Zamarłam.

– Czy...

Stephanie energicznie pokręciła głową.

– Nie, to nie był on. Ale w jakiś sposób... – Urwała i popatrzyła w sufit. – Wtedy wszystko się zaczęło.

Milczałam. Co miałam powiedzieć?

– Noah zaproponował, żebyśmy ze sobą chodzili. Miał tylko piętnaście lat, ale wyglądał na starszego, i pomyślałam, że jest zabawny, więc się zgodziłam, choć spotykałam się wtedy z chłopakiem z innej szkoły. Kiedy już byliśmy parą, Noah z totalną szczerością przyznał, że poderwał mnie, bo myślał, że Jamie zrobił kuku jego siostrze. Rozumiesz, ty się odgrywasz na mojej rodzinie, a ja na twojej, taka sprawa.

Przytaknęłam ostrożnie. To by się zgadzało.

– Poza tym uważałam, że Jamie nie powinien prowadzić się ze smarkulą z ósmej. Niby byli w tym samym wieku, ale jednak. Więc ciągnęłam tę grę, która w gruncie rzeczy polegała na zmuszaniu się, żeby ciągle paplać Jamiemu o Noahu i udawać, że świata poza nim nie widzę. W rzeczywistości cały czas byłam z tamtym chłopakiem. Powiedzmy, że miał na imię Kyle – dodała i w jej głosie pojawił się ostry ton. – Spotykaliśmy się w wielkiej tajemnicy przez jakieś pół roku. Rodzice by mnie zabili, gdyby się dowiedzieli – powiedziała ledwie słyszalnie. – I uprawialiśmy seks. Za to też by mnie zabili. – Zerknęła na drzwi. – Koniec końców musiałam zapomnieć o pigułce, okres zaczął mi się spóźniać, a potem bach! – i dwie różowe kreski. Powiedziałam o tym Kyle'owi, a ten stwierdził, że to nie jego problem, że jestem puszczalska i mam za swoje. – Przewróciła oczami. – Typowy samiec.

– Też tak sędzę – powiedziałam spokojnie.

Uśmiechnęła się blado.

– Wiedziałam, że nie jestem gotowa na dziecko i że nie ma mowy o oddaniu do adopcji; wiedziałam, czego chcę, i byłam pewna swojej

decyzji, ale czułam się w tym strasznie samotna. – Oparła się o ścianę i patrzyła na mnie. – Nie ufałam swoim przyjaciółkom i bałam się, że wszystko wypapłają, a o rodzicach w ogóle nie mogło być mowy. Z drugiej strony nie wyobrażałam sobie, że sama mam się zgłosić do Towarzystwa Planowania Rodziny. Przez to wszystko czułam się po prostu paskudnie. – Spojrzenie jej stwardniało i opuściła wzrok na podłogę. – Noah spotkał mnie w szkole przy automatach i zobaczył, że płaczę. Byłam w takiej rozsypce, że wylałam z siebie wszystko przed tym biednym dzieciakiem. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Ale zachował się wspaniale. Użył swoich chodów i załatwił mi wizytę u prywatnego ginekologa, a na dodatek pojechał tam ze mną. Potem strasznie płakałam – nienawidziłam poczucia, że mam wstrętą tajemnicę, choć przecież chciałam tego i w sumie mi ulżyło. – Jej wargi zacisnęły się w wąską linię. – Po paru dniach Noah spotkał mnie przed stołówką i zapytał, jak się czuję, a ja zwyczajnie się poryczałam. Nadszedł Jamie, więc Noah się zmył. Mój brat oczywiście zinterpretował to po swojemu. Pomyślał, że Noah mnie rzucił, a ja byłam zbyt roztrzęsiona, żeby to sprostować.

Nie mogłam już tego słuchać.

– I pozwoliłaś, żeby wszyscy myśleli, że Noah puścił cię kantem? Po tym, jak ci pomógł?

Stephanie pokręciła głową.

– Jeszcze tego dnia wieczorem zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że coś wymyślę, skłamię, żeby uspokoić Jamiego, ale Noah powiedział, że nie dba o to i niech tak zostanie. Wierzyłam mu. Zabawne – dodała bez uśmiechu. – Myślę, że jakaś część Noaha chce, żeby go nienawidzono. Pokazuje ci się taki, jakim chciałabyś go widzieć. Jest strasznie zamknięty w sobie. Nikt nie wie, jaki jest naprawdę.

– To prawda – przyznałam. – Ale dlaczego mi o tym opowiadasz? – zapytałam, choć byłam jej wdzięczna za te zwierzenia.

Znów ten uśmiech Mony Lizy.

– Czasami największą tajemnicę najłatwiej jest wyznać obcej osobie.

Oparła się o pomalowaną na szaro ścianę i przekrzywiła głowę, przyglądając mi się uważnie.

– Nie dbam o to, co sobie o mnie pomyślisz. Podjęłam słuszną decyzję i jej nie żałuję. Jeśli uważasz, że jestem zła, że jestem przestępczynią i pójdę do piekła, trudno. Pewnie nie zechcesz mnie już więcej widzieć. Ale moi rodzice byliby zrozpaczeni, gdyby poznali prawdę, a Jamie... on jest wspaniałym człowiekiem, najbardziej lojalnym, jakiego znam. A jednocześnie jest... –

Podrapała się w nos. – Bezkompromisowy. Kategoryczny w swoich osądach. Kocham go nad życie, ale ta czarno-biała wizja świata mnie przeraża. On cię bardzo lubi, ale wściekał się, kiedy zadałaś się z Noahem, bo bał się, że ciebie też wykorzysta. Jamie jest bardzo wyczulony na takie sprawy. Fakt, Noah bywa koszmarny i jest w nim coś mrocznego; słyszałam, że ma naprawdę popieprzone odjazdy. Być może złamie ci serce, ale nie jestem wyrocznią. – Wzruszyła ramionami. – Tak czy owak, w sprawie Stephanie Roth zachował się bez zarzutu.

Podeszła do drzwi i dodała z ręką na kłamce:

– Wiesz... obserwuję cię tutaj, razem z moim bratem, i... – Popatrzyła na mnie z troską i powagą. – Po prostu chcę, żebyś wiedziała.

– Zaczekaj – rzuciłam szybko.

Cofnęła rękę.

– Dlaczego nie powiesz o tym Jamiemu? Przecież minęło już dobrych parę lat.

– On ma teraz inne problemy i ciężko znosi te całe Horyzonty. A dokładniej mówiąc, musi zmierzyć się z faktem, że rodzice nigdy go nie zrozumieją.

Och, tak. Dobrze wiem, jak to jest.

– Poza tym jest adoptowany, co jeszcze pogarsza sprawę.

Potrząsnęłam głową.

– Nie sądzę. Myślę, że chciałby poznać prawdę.

– Nie ma żadnej prawdy – powiedziała tajemniczo Sophie. – Tylko teorie. Rozumiesz... poradnik, sto jeden problemów filozoficznych w pigułce – dodała, puszczając do mnie oko.

Powiedziała to lekkim tonem, ale widziałam, że skrycie zaciska zęby.

– Nie chcę, żeby wiedział, okej? – dodała po chwili. – Więc mu nie mów.

Z tymi słowami wymaszerowała z łazienki.

Popatrzyłam za nią w zamyśleniu. Jamie uważał, że nienawidząc Noaha, jest lojalny wobec siostry, choć Noah starał się jej tylko pomóc. A Stephanie nie miała wyrzutów sumienia w związku ze swoją decyzją; obawiała się jedynie, co by o tym pomyślał jej brat.

A czy ja byłam inna?

Przywykłam do myśli, że nie zmienię swojego obrazu w oczach rodziny. Nawet gdybym powiedziała im prawdę.

Tak musi być. Na zawsze zachowam dla siebie historie, których moi najbliżsi nigdy nie usłyszą.

Jakoś przetrwałam swój pierwszy tydzień w Horyzontach; nikogo nie zabiłam ani nie próbowałam zabić siebie i kiedy zbliżało się piątkowe popołudnie, byłam w całkiem niezłym nastroju. Zadzwoił Noah, pytając, czy chcę z nim spędzić weekend. Jasne, że odpowiedziałam twierdząco, choć nadal wyczuwałam w nim dystans. Namówił Ruth na wyjazd z miasta i sprawił, że zadzwoniła do mojej mamy z pytaniem, czy Noah może spędzić weekend u nas. Mama zgodziła się bez wahania. Byłam zaskoczona, ale nie dociekałam. Jak to mówią, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Nie wszyscy byli w domu, kiedy wróciliśmy z Danielem z Horyzontów po rodzinnej sesji. Nie miałam nic do roboty, więc sięgnęłam po *Nowe teorie w genetyce*, leżące na moim biurku, i poszłam z książką do salonu, aby oddać się lekturze.

– Maro?

Głos Daniela. Dłoń Daniela na moim ramieniu. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że mój policzek spoczywa na szóstej stronie.

Zasnęłam. Fantastycznie.

Otarłam usta na wypadek, gdybym zaśliniła się we śnie.

– Która godzina?

– Dochodzi piąta. Interesujący wybór poduszki. Co czytasz?

Podaliśmy mu książkę. Uniósł brwi i zerknął na mnie z ukosa.

– Co?

– Nic. Masz ciekawe zainteresowania.

– Jak na mnie, chciałeś powiedzieć?

– Nie przypuszczałem, że interesuje cię genetyka.

Usiadłam na kanapie po turecku.

– A co z twoim stwierdzeniem, że jestem równie inteligentna jak ty?

– Nic. Nadal obowiązuje. Ciekawi mnie, skąd to nagłe zainteresowanie genetyką?

– Noah wspomniał coś o pamięci genetycznej i to mnie zaintrygowało. Mówił, że czytał o tym w tej książce. – Ruchem głowy wskazałam na grubą tom. – Na razie trafiłam we wstępie na odwołania do euhemeryzmu i jungowskich archetypów...

– Wow, euhemeryzm. Czyżby to była inspiracja dla twojej nowej szkolnej kariery naukowej?

– Prawdę mówiąc...

– Pewnie mieliście zajęcia z O’Harą? Nie dała wam przypadkiem zadania, żeby wybrać jakiś mit i wymyślić jego „historyczną” interpretację?

– Owszem.

– O ile pamiętam, naskrobałem coś o Afrodycie i heteronormatywności... w każdym razie było to błyskotliwe, nawet jak na mnie – powiedział z uśmiechem. – Czemu wracasz do archetypów?

– Żeby oświecić się w kwestii pamięci genetycznej. Zostało mi jeszcze sześćset stron.

Daniel zrobił zagadkową minę i podrapał się po nosie.

– Co znowu?

– Wiesz, nie chcę cię zniechęcać, ale pamięć genetyczna to czyste science fiction, a nie teoria naukowa.

Rzuciłam mu zmęczone spojrzenie.

– Przykro mi, Maro, ale tak jest. Nie sposób naukowo tego udowodnić.

– Co nie znaczy, że takie zjawisko nie istnieje.

– Nawet jeśli istnieje, jest nie do udowodnienia.

Pomyślałam o wszystkim, przez co ostatnio przeszłam, i o tym, przez co jeszcze będę musiała przejść. Nie sposób było tego udowodnić.

– Fakt, że nie można czegoś udowodnić, nie oznacza jeszcze, że to nie istnieje.

Sięgnęłam po książkę.

Daniel uprzedził mnie i otworzył ją na pierwszej stronie.

– Dobra, może jednak przeczytam.

Przysunęłam książkę do siebie.

– Pożyczę ci, jak skończę.

– I tak jej nie przeczytasz. Śpisz na niej tylko. Umówmy się, że będzie leżała u mnie w pokoju i weźmiesz ją sobie, kiedy będziesz miała ochotę. Och, i zapytaj mamę o Junga. Będzie zachwycona.

– Daniel...

– W BASENIE MAKSA JEST ALIGATOR! – zawołał Joseph z holu.

Wpadł do salonu jak bomba, płonąc z podekscytowania.

– Jak duży? – zapytał Daniel, chowając grubą książkę za plecy.

– Duży – odpowiedział Joseph z błyskiem w oku. – Naprawdę wielki.

Teraz ja:

– Widziałeś go?

Pokręcił głową.

– Napisał mi w mailu. Wezwali tego faceta, żeby przyszedł i go zabrał.

– Jakiego faceta? – zapytał Daniel.

– Może tego z Animal Planet? – podsunęłam.

Joseph energicznie kiwnął głową.

– Zaprosili mnie, żebym popatrzył. Mama Maksa wychodzi z siebie, bo ich kot mieszka w ogrodzie i nie mogą go znaleźć.

Lód ściał mi krew w żyłach, bo przypomniałam sobie...

Nieruchome ciało szarego kota leżało o kilkanaście centymetrów od miejsca, gdzie przed chwilą stałam. Zwierzę miało rozcięty brzuch i futro nasiąknięte krwią.

W kuchni pojawiła się moja mama.

– Kot Maksa też zaginał?

Daniel uniósł brwi.

– Też?

Tylko spokojnie, upomniałam się. Udawaj, że nic się nie stało.

– Delaneyowie pytali mnie niedawno, czy nie widziałam ich kota. – Nasze posesje stykały się od tyłu. – Nie ma go od niedzieli.

Czyli od dnia, w którym wróciłam do domu.

Joseph zmarszczył czoło.

– W tym samym czasie uciekł pies Jenny.

„Kto to jest Jenny?” – spytałam bezgłośnie Daniela.

– Angelo – wyjaśnił. – Po drugiej stronie ulicy, z lewej.

Joseph popatrzył prosząco na mamę.

– Mamo, zawieszysz mnie do Maksa?

– Koteńku, jestem zmęczona.

Joseph przeniósł spojrzenie na Daniela, a potem na mnie. Jednocześnie odpowiedzieliśmy:

– Nie ma mowy.

Nasz braciszek złożył dłonie w błagalnym geście.

– PROSZĘ, niech mnie ktoś zawiezie! Już nigdy więcej nie będę o nic prosił, przysięgam!

– Mara musi zostać i pomóc mi przy kolacji – powiedziała mama.

Zrobiłam nieszczęśliwą minę, choć poczułam ulgę.

– Koniecznie ja?

– Danielu, czy możesz go zawieźć? – poprosiła mama.

Daniel już miał w ręku kluczyki.

– Dzięki.

Joseph obrócił się do mnie i triumfalnie wyrzucił w górę pięść.

– Przyjdiesz dzisiaj na festyn?

– Jaki festyn?

– Urządzają festyn, w Davie – wyjaśniła mama. – Pomyślałam, że fajnie by było, gdybyśmy wszyscy się tam wybrali.

– Niedługo wracam – powiedział Daniel.

Wyszedł, zostawiając na stoliku Nowe teorie. W drzwiach obejrzał się i rzucił mi pożegnalne spojrzenie typu: „Masz u mnie dług”.

Miałam u niego niejeden dług. Wspomnienie kota wytrąciło mnie z równowagi, choć wiedziałam, że John pilnuje domu. Od kiedy detektyw zaczął dyżurować, Jude się nie pojawił i zaginione zwierzęta nie musiały mieć z tym nic wspólnego, ale zrobiłam się nerwowa i...

I mama patrzyła na mnie uważnie.

Uśmiechnęłam się do niej. Szeroko.

– Co mam robić? – spytałam ochoczo i radośnie.

– Możesz nakryć do stołu?

– Jasne!

Zaczęłam szczękać talerzami w szafkach. Mama buszowała w lodówce.

– Jak ci idzie w Horyzontach? – zagadnęła.

Ach, to dlatego miałam zostać z nią w kuchni!

– Fantastycznie!

– Co konkretnie tam robisz?

Poza tym, że robię sobie nowych wrogów?

– Eem... na przykład wczoraj, na terapii teatralnej, wybieraliśmy monologi ze starych książek i odgrywaliśmy je.

– Podobało ci się?

Przytaknęłam z poważną miną.

– Tak.

– Naprawdę?

– Fajnie jest wcielać się w kogoś innego.

– Jaką książkę wybrałaś?

– Eee... *Doktor Jekyll i Pan Hyde*.

– Kogo grałaś?

Hyde'a.

– Jekylla.

Pochyliła się nad piekarnikiem i nie widziałam jej twarzy.

– A jak tam twoje sprawy z Noahem?

Ach, więc o to naprawdę chodziło.

– Dobrze. – Tak przynajmniej myślę. – Jak zwykle.

– Co zazwyczaj robicie, kiedy jesteście razem?

Jeśli nie palimy lalek i nie walczymy z moim prześladowcą?

– Rozmawiamy.

– O czym?

O pamięci genetycznej.

– O książkach.

O szaleństwie i opętaniu.

– O filmach.

O Judzie.

– O ludziach, których nie lubimy.

– Czy rozmawiacie o tym, co się z tobą dzieje?

Usiłowałam przypomnieć sobie rozmowę rodziców podsłuchaną po moim powrocie z kliniki psychiatrycznej. Mama powiedziała wtedy, iż cieszy się, że jest ktoś, z kim mogę porozmawiać o swoich sprawach.

– Noah jest dobrym słuchaczem, mammo.

– Rozmawiasz z nim o swoich sprawach?

Co?

– Co masz na myśli?

Wyprostowała się i spojrzała na mnie. Minę miała neutralną, a spojrzenie bystre. Usiłowała wypatrzyć coś w moich oczach, ale cokolwiek by to miało być, niczego nie znalazła.

– Rodzice Noaha wyjeżdżają na weekend, jego siostra w tym czasie będzie u przyjaciółki, więc zaprosiłam go do nas.

Kiwnęłam głową.

– Wiem...

Czekałam na dalszy ciąg.

– Chcę się po prostu upewnić, że nie muszę się o was martwić.

Żarliwie potrząsnęłam głową.

– Wcale nie musisz się martwić.

Zamieszała sałatkę w misce i postawiła ją na blacie.

– Jak poważna jest wasza znajomość?

– Nie na tyle poważna, żebyś musiała się przejmować – zapewniłam z beztroskim uśmiechem, kombinując, jak odciągnąć jej uwagę, zanim rozmowa zejdzie na niebezpieczne tematy. – Ach, mammo, miałam cię o coś zapytać – oznajmiłam żywo, przypomniawszy sobie o niedawnej dyskusji z Danielem. – Powiedz mi, co wiesz o jungowskich archetypach? Muszę przygotować referat dla Horyzontów.

(Nieżyły myk, nie?).

Zaskoczyłam ją, co było do przewidzenia.

– Och, nie wracałam do tego od czasu studiów... W sumie więcej mogę powiedzieć o Jacques’u Lacanie niż o Carlu Jungu... rozumiesz, Lacan był mi bliższy, ale spróbuję. – Przeciągnęła ostatnie słowa, przenosząc spojrzenie na sufit. – O ile pamiętam, chodziło tam o Ja i Cień – zaczęła wyliczać na palcach – a także o Personę... dalszych dwóch nie pamiętam... Są jeszcze inne archetypiczne figury, jak Wielka Matka, Diabeł, Bohater... – Przerwała na moment, po czym podjęła z nową energią: – Och! Jeszcze Stary Mędrzec i Błazen. Pamiętam też coś o Edypie, ale czy to jednak nie z Freuda? Może Apollo... – Urwała, bo rozległo się pukanie do drzwi.

Byłam już w przedpokoju, kiedy poprosiła, żebym poszła otworzyć.

W progu stał Noah w bluzie z długim rękawem, w ciemnych dżinsach i w ciemnych okularach. Był nienagannie rozmemłany i wyglądał tajemniczo.

„Pokazuje ci się taki, jakim chciałabyś go widzieć”.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał obojętnym tonem.

Wyrzuciłam z myśli słowa Stephanie.

– Mama jest w kuchni, a Daniel i Joseph pojechali zobaczyć akcję wyciągania aligatora z basenu Maksa.

Brwi Noaha uniosły się nad ciemnymi szklami.

– To wiem. – Westchnął. – Trudno, będę musiał poczekać.

– Na co?

Noah zerknął w stronę kuchni. Mama stała przy blacie.

– Dobra, pieprzyć to.

Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i wręczył mi jakąś kartkę.

Nie, nie kartkę. Zdjęcie. Wyblakła kolorowa fotografia dwóch dziewczynek: jednej jasnowłosej i wesołej, z półuśmiechem podobnym do uśmiechu Noaha, i drugiej...

– Jasny gwint – szepnęłam.

Ta druga była moją babcią.

– A, to ty, Noah – powiedziała mama, wyłaniając się z kuchni i wycierając ręce w fartuch. – Stęskniliśmy się za tobą.

Szybko wsunęłam zdjęcie do kieszeni džinsów.

– Dziękuję, że mogę u was bywać – odpowiedział. – Mam coś dla ciebie od moich rodziców. Zaraz przyniosę z samochodu.

Wyszedł, a ja pognałam do swojego pokoju, żeby schować bezcenne zdjęcie, zanim mama je zobaczy albo niechcący je zmoczę czy podpale.

Kiedy wróciłam, Noah rozmawiał z mamą w kuchni.

– Co zazwyczaj zwiedzałaś w Londynie? – zagadnął, ucierając coś w miseczce, zapewne sos do sałatki.

– Och, jak zwykle. – Mama wzruszyła ramionami nad zlewem. – Pałac Buckingham, Big Ben, te rzeczy.

– Twoja mama się tam wychowała?

Sto punktów dla Noaha Shawa. Omal nie przybiłam mu piątki.

Mama kiwnęła głową.

– A co robiła?

– Studiowała – odparła krótko Indi.

– Interesujące... na jakiej uczelni?

Mama postawiła przed nim miskę z sałatką.

– Cambridge.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Darwin College – ciągnęła mama. – Zaczęła doktorat, ale go nie skończyła. Myślę, że żałowała tego. Dobra, kochani – dodała z uśmiechem. – Dzięki za pomoc, jesteście wolni.

Chyba po raz pierwszy wolałabym pogadać z mamą niż pójść z chłopakiem do pokoju.

– Nie ma sprawy – powiedział Noah.

Musiał czuć to samo.

Mama wytarła ręce.

– Zrobione. Wszystko gotowe. Lećcie, już nie jesteście mi potrzebni.

Ponagliła nas gestem, ucinając rozmowę. Mogłaby wyczuć, że wyjątkowo mam potrzebę pogadania z nią, i kontynuować wymianę zdań. Tymczasem odprawiła mnie razem z Noahem. Jeśli nie odejdziemy, może nabrać podejrzeń.

Kiedy weszliśmy do pokoju, szybko zamknęłam drzwi i odwróciłam się do Noaha.

– Ja pieprzę!

– Dokładnie.

Usiadłam na łóżku i popatrzyłam na niego. Byłam naprawdę pod wrażeniem.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Wyszperałem w rzeczach mamy.

Potarłam czoło.

– Więc musiały się znać.

– Jak widać. Gdzie masz zdjęcie?

Podeszłam do biurka, otworzyłam szufladę i podałam fotografię Noahowi.

– Skąd wiedziałeś, że to moja babcia?

Popatrzył na mnie zakłopotany.

– Serio?

– No...

– Nie widzisz podobieństwa?

Po raz kolejny spojrzałam na zdjęcie. Coś mnie w nim intrygowało, ale nie podobieństwo.

– Kiedy zostało zrobione?

Odwrócił fotkę.

– W 1987. – Urwał na moment. – Moja mama wtedy studiowała. W Cambridge.

– Zaczekaj – powiedziałam, bo zaczęło mi świtać. – Twoi rodzice studiowali razem, prawda?

– Tak – odparł powoli.

– Może w takim razie zapytasz ojca? Powinien coś pamiętać.

– Nie zechce o niej rozmawiać.

Głos Noaha stał się bezbarwny.

– Ale...

– Nie zechce – powtórzył. – Ewentualnie mogę zapytać Ruth. Ona też tam studiowała.

Jedno spojrzenie na Noaha upewniło mnie, że nie powinnam dalej naciskać. Temat jego rodziny był najwyraźniej drażliwy.

Jeszcze raz zerknęłam na zdjęcie, które miałam w ręku, a potem wyszłam z nim na korytarz. Noah podążył za mną. Porównałam fotografię z portretem babci, wiszącym w rodzinnej galerii, i wreszcie pojęłam, co mi umknęło.

– Ona wygląda dokładnie tak samo – stwierdziłam.

Noah podążył za moim spojrzeniem. Długo milczeliśmy.

– Nie mogły studiować w tym samym czasie – powiedziałam, kiedy wróciliśmy do pokoju. Usiadłam na łóżku. – Kiedy twoja mama chodziła do szkoły, moja babcia mieszkała w Stanach.

– Ale przylatywała co roku do Londynu z twoją mamą, prawda? Może spotkały się przypadkiem, w czasie jednej z tych wizyt?

– Możliwe, ale one wydają się... bardzo bliskie sobie, nie uważasz? – powiedziałam, przyglądając się zdjęciu. – Jak przyjaciółki.

– Często się tak wychodzi na zdjęciach.

Potałam czoło w zamyśleniu.

– Po co robić sobie zdjęcie z kimś, kogo się prawie nie zna? To raczej dziwne.

Noah zmarszczył brwi.

– Może babcia bywała w Londynie częściej, tylko twoja mama o tym nie wiedziała?

Westchnęłam.

– Wszystko jest możliwe w tej sytuacji. – Urwałam na moment. – Może ona jest nieśmiertelna.

Noah skwitował moje słowa uśmiechem.

– Stąd już blisko do podróży w czasie, co?

Leniwie wyprężył ramiona nad głową, ukazując skrawek brzucha nad krawędzią dżinsów.

Tortura. Odchrząknęłam i spróbowałam się skupić na zdjęciu.

– Moja mama mówiła, że to jedyne zdjęcie babci, jakie posiada. Byłaby zachwycona, gdybyś pokazał jej twoje.

Uśmiech Noaha znikł. Jego mina nasunęła mi kolejny temat.

– Masz jeszcze wisiołek? – spytałam.

– Tak. – Rysy miał gładkie, spokojne. – Chcesz go z powrotem?

Nie chciałam.

– Lepiej, żeby był u ciebie. Mogłabym go zgubić. – „Albo wyrzucić” – dodałam w myśli. – Ciekawa jestem, czy znalazłeś jeszcze coś godnego uwagi?

Zaprzeczył krótkim ruchem głowy.

– Jakie jest panięskie nazwisko twojej mamy? – zapytał.

– Sarin, a co?

– Poproszę Charlesa, żeby spróbował dowiedzieć się czegoś więcej – powiedział, spoglądając na fotografię.

– Charles jest...

– Prywatnym detektywem.

– Czy znalazł coś na temat Jude'a?

Noah umknął spojrzeniem w bok.

– Nic, same ślepe zaułki. A ty znalazłaś w książce o genetyce odpowiedzi na swoje pytania?

– Nie miałam jeszcze okazji się w nią wczytać – odparłam nonszalancko.

Znajomy półuśmieszek zaigrał na ustach Noaha.

– Zasnęłaś, co?

Arogancko zadarłam brodę.

– Nie.

– Na której stronie?

Poddaję się.

– Na szóstej. Ale byłam naprawdę zmęczona.

– Nie przejmuj się. Sam ledwo przebrnąłem przez okropnie napuszony wstęp.

– A co z Lukumi? – spytałam, zmieniając temat. – Udało ci się czegoś dowiedzieć?

Noah ożywił się nieco.

– Kiedy byłaś w Horyzontach, pojechałem do Małej Hawany i powęszyłem trochę, jak prosiłaś.

– I...?

– No cóż... Możesz sobie wyobrazić, jacy się zrobili komunikatywni, kiedy zacząłem tam krążyć i zadawać pytania.

– Czemu? Przecież świetnie mówisz po hiszpańsku.

Noah uniósł brew.

– Wystarczyło jedno spojrzenie na mnie, a już dostawali szczękościsku. Jeden właściciel sklepiku myślał, że jestem z Departamentu Zdrowia, i pokazał mi zaplecze, powtarzając: „Żadnych kóz, żadnych kóz”.

Zachichotałam.

– Cieszę się, że poprawiłem ci humor.

– Wiesz, ostatnio chichram się, kiedy tylko mogę. A skoro mowa o Horyzontach, to omal... nie doszło do wypadku.

– Jakiego rodzaju? – zapytał czujnie Noah.

– Ta dziewczyna, Phoebe, prowokuje mnie. Dzisiaj z trudem nad sobą zapanowałam. – Samo wspomnienie o tym było frustrujące. – Co będzie, jeśli ktoś naprawdę mnie sprowokuje i każe mu skoczyć z mostu?

Noah pokręcił głową.

- Nie powiesz czegoś takiego.
- Naprawdę?
- Powiesz, żeby poszedł w diabły.
- Pociuszające. Dzięki.

Noah usiadł obok mnie na łóżku.

- Powiedziałem tak, bo nie bardzo rozumiem, jak to działa.
- Jak to działa? – powtórzyłam pytanie, zaciskając palce na kocu.

Nasze dłonie prawie się dotykały. Przeniosłam spojrzenie na twarz Noaha.

- A jak ty uzdrawiasz?

Wydawało mi się, że po jego twarzy przemknął wyraz zaskoczenia wywołany nagłym zwrotem w rozmowie, ale odpowiedział spokojnie:

- Wiesz, że każdy ma indywidualne odciski palców, prawda?
- Tak.

– A dla mnie wszystko ma swoją aurę. Indywidualny aspekt. I kiedy ktoś, albo coś, jest chory lub ranny, jego aura traci blask, kolory. Jakby została uszkodzona. Wówczas... instyktownie wiem, jak to naprawić.

- Nadal nie rozumiem.
- Bo nie jesteś muzykalna.
- Dzięki.

Wzruszył ramionami.

– To nie zarzut. Daniel by wiedział. Kiedy twojej mamy nie będzie w pobliżu, pokażę ci, o co chodzi.

- Jak?

– Macie w salonie pianino. Z grubsza sprawa polega na tym, że... – Zapatrzył się w przestrzeń, szukając właściwych słów. – Wyobraź sobie melodię piosenki, którą dobrze znasz. I wyobraź sobie, że ktoś zagrał fałszywie jeden dźwięk albo zagrał zamiast niego zupełnie inną nutę.

- Okej, ale jak to naprawiasz?

– Jeżeli zapytasz bejsbolistę, w jaki sposób wykonuje idealne uderzenie, nie będzie w stanie opisać ci fizjologicznego procesu, który je umożliwia. Po prostu... robi to.

Głęboko wciągnęłam powietrze.

- Ale wokół jest tylu ludzi.
- Tak.

– I zwierząt. Tworzy się szum.

– Owszem – przytaknął Noah. – Już ci kiedyś mówiłem, że potrafię się wyłączyć, odciąć się od codziennego szumu, chyba że zapragnę skupić się na

wybrany dźwięku czy aurze. – Uśmiechnął się. – Wolę – powiedział, przesuwając palcem po moim ramieniu – słuchać ciebie.

– Jak brzmi moja aura? – zapytałam z większym zainteresowaniem, niż zamierzałam okazać.

Boże, jestem beznadziejnie przewidywalna.

Przez moment rozważał odpowiedź.

– Dysonansowo.

– Czyli?

Kolejna długa pauza.

– Nieharmonicznie. Niestabilnie.

– Hmm...

Potrząsnął głową.

– To nie jest tak, jak myślisz. – Cień uśmiechu pojawił się na jego wargach. – W muzyce głównie występują konsonanse – zgodne, spokojne, łagodne współbrzmienia. Nie tworzą napięcia – tłumaczył cierpliwie. – Większość wpadających w ucho, popowych hitów na tym bazuje. Są chwytliwe, przewidywalne. Nudne. Tymczasem dysonanse brzmią ostro, tworzą napięcie – ciągnął, patrząc mi w oczy. – Nie można określić sposobu, w jaki się rozwiną. Nieskomplikowani ludzie odbierają dysonanse jako niemiłe zgrzyty, których sensu nie rozumieją. A jeśli ludzie czegoś nie rozumieją, nienawidzą tego. Są jednak tacy, którzy.... – uniósł dłoń do mojej twarzy – uważają je za fascynujące. Piękne. – Obwiodł kciukiem zarys moich ust. – Jak ty.

Jego słowa dodały mi otuchy, choć zaraz cofnął rękę. Musiałam mieć zawiedzioną minę.

– Twoi rodzice – powiedział, zerkając wymownie na drzwi.

Miał rację, ale nie poddawałam się.

– Opowiedz mi jeszcze o swoim darze – poprosiłam wpatrzona w jego usta. – Lubię o tym słuchać.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał.

Głos miał czujny, wyważony.

– Kiedy go odkryłeś?

Lekko zacisnął usta i uświadomiłam sobie, że już go o to pytałam. Znałam tę spiętą minę. Znów się dystansował. Zamykał w sobie.

Zamykał się przede mną.

Coś się z nim działo i nie miałam pojęcia, o co chodzi. Zwiększał dystans, lecz jeszcze całkiem się nie odciął. Dlatego powiedziałam szybko:

– Widziałeś mnie w grudniu, po katastrofie w psychiatryku, prawda?

– Tak.

– Kiedy cierpiałam.

– Tak – potwierdził znów.

Ktoś inny mógłby uznać, że Noah jest znudzony, ale ja ciągle się go uczyłam i wychwyciłam w jego głosie coś jeszcze. Coś, czego dotąd nie wyartykułowały te śmiałe, nonszalanckie usta.

Ostrożność.

Zmagałam się z czymś pierwotnym, podstawowym i bardzo chciałam wiedzieć, co to jest.

– Miałeś do czynienia z innymi ludźmi, którzy w jakiś sposób ucierpieli – ciągnęłam, utrzymując spokojny ton. – W sumie z czterema, prawda?

Noah kiwnął głową.

Utrzymać ten luz.

– Włącznie z Josephem.

Znów kiwnięcie głową.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Uszczypnęłam się w ramię, obserwując, czy Noah zareaguje. Nie zareagował, a przynajmniej nie stwierdziłam tego.

– Widziałeś, jak się uszczypnęłam?

– Trudno, żebym nie widział.

– Kiedy po raz pierwszy powiedziałeś mi, że widziałeś mnie w starym psychiatryku, w grudniu – zaczęłam z namysłem – mówiłeś, że patrzyłeś moimi oczami i widziałeś to, co ja widzę. Tymczasem kiedy porwano i uspioło Josepha, zobaczyłeś go cudzymi oczami – oczami osoby, która go porwała. A teraz nie masz żadnej... wizji, prawda? Dlatego musi chodzić o coś więcej niż uraz fizyczny – powiedziałam, uważnie wpatrując się w jego twarz. – Nie chcesz wiedzieć, o co?

– Oczywiście, że chcę – odparł obojętnie.

– Próbowaleś to sprawdzić?

Jego spojrzenie na moment się wyostrzyło.

– Jak miałbym to zrobić? Tylko ty wiesz o mnie.

Wytrzymałam wzrok Noaha.

– Możemy sprawdzić razem.

Noah zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie.

– Musimy.

– Nie.

Słowo miało twardy, bezdyskusyjny wydźwięk, podszyty czymś, czego nie potrafiłam określić.

– Nie zrobimy tego. Nie będę ryzykował dla zdobycia informacji.

– Przecież sam mówiłeś, że cokolwiek dzieje się ze mną, dzieje się również z tobą. Tym argumentem chciałeś mi udowodnić, że nie jestem opętana, prawda?

– Och, bo cała ta sprawa z opętaniem jest głupia.

Zignorowałam go.

– Uważam, że odkrycie sposobu, w jaki działają twoje zdolności, może mi pomóc w poznaniu moich. A ponieważ nikt nie ucierpiał...

Wyraz twarzy Noaha stał się bardzo poważny, a w jego głosie pojawił się niebezpieczny spokój.

– Oprócz ciebie.

– To naukowy eksperyment...

– To szaleństwo – uciał.

Był niezmiernie spokojny i zarazem straszliwie napięty.

– Nigdy nie żałowałem, że powiedziałem ci prawdę. Więc uważaj, bo mogę zmienić zdanie.

– Nie chcesz wiedzieć, czym naprawdę jesteśmy?

Jakiś błysk mignął w głębi jego oczu i znikł, zanim zdążyłam go

zinterpretować.

– Nieważne, czym jesteśmy. Ważne, co robimy. – Jego rysy stwardniały. – I nie pozwolę ci na to.

Nie pozwoli?

– Nie możesz mi niczego zabraniać.

Kiedy odezwał się po chwili, w jego głosie została tylko apatia.

– Wychodzę.

– Już to słyszałam.

Zanim zdążyłam wypowiedzieć te słowa, zapragnęłam je cofnąć. Wyraz twarzy Noaha był gładki i przezroczysty jak szyba.

– Przepraszam – zaczęłam, ale mina Noaha się nie zmieniła, więc powiedziałam twardo: – Nie, nie przepraszę. Chcesz odejść, bo się z tobą nie zgadzam? Proszę, drzwi są tam.

Dramatycznym gestem pokazałam mu wyjście.

Ale Noah nie wyszedł. Mój wybuch musiał zmiękczyć coś, co go usztywniało, bo powiódł po mnie spojrzeniem.

– Żałuję, że nie masz psa.

– Taak? – Uniosłam brwi. – A czemu?

– Poszedłbym z nim na spacer.

– Nie mogę mieć psa, bo psy albo się mnie boją, albo mnie nienawidzą, a ty nie chcesz mi pomóc w wyjaśnieniu...

– Zamknij się na moment. – Noah zacisnął powieki.

– Sam się zamknij – odparowałam.

– Nie, czekaj... powiedz to jeszcze raz.

– Co mam powiedzieć?

– O psach.

Ciągle miał zamknięte oczy.

– Że albo się mnie boją, albo mnie nienawidzą?

– Uciekaj albo walcz – powiedział, jakby nagle zrozumiał. – O to chodzi.

– Nie rozumiem.

– Instynktowny odruch, normalny u zwierząt, a u ludzi... no wiesz...

Kiedy poszliśmy do zoo, owady zginęły, bo niemal siłą zmusiłem cię, żebyś dotknęła tych, których najbardziej się obawiasz. Ale kiedy były już martwe, nie mogłem cię do niczego zmusić.

„Uciekaj”.

Noah przeciągnął dłonią po ustach.

– W Everglades bałaś się, że nie zdążymy uratować Josepha, więc eliminowałaś wszystko, co stało ci na przeszkodzie... reagowałaś

instynktownie, nie myśląc. – Przeczesał palcami włosy. – Byłaś pod presją i nieświadomie odpowiedziałaś tym samym.

Domyślałam się, co teraz powie, i uprzedziłam go.

– Ale w przypadku Morales...

– Nie bałaś się – powiedział.

– Byłam wściekła.

„Walcz”.

– Różne biochemiczne reakcje są odpowiedzią na różne emocje, jak stres...

– Wiem, adrenalina i kortyzol, hormony stresu – przerwałam mu. – Uczyłam się biologii.

Noah zdawał się nie słyszeć.

– I w różny sposób mózg je przetwarza. Powinniśmy więcej o tym poczytać.

– Dobra – zgodziłam się.

Wciąż byłam sfrustrowana. Noah po raz kolejny odbił piłeczkę, abym przestała drażnić.

Dlatego powiedziałam:

– Nadal uważam, że powinniśmy przetestować twoje zdolności.

Spojrzenie Noaha znów stało się ostre, co oznaczało, że czuje się zagrożony.

– Chcesz zrobić to naukowo? Proszę.

Wstał, przeszedł przez pokój i zdjął z półki butelkę z tylenolem. Położył ją na podłodze i powiedział:

– Posłużymy się metodą naukową. Stawiam hipotezę, że potrafisz poruszać rzeczy siłą swojego umysłu.

Znów ten zwód. Nie wierzył, że potrafię to zrobić, ale chciał odwrócić moją uwagę. Co mi szkodzi, mogę spróbować.

– Telekineza?

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, ale wiedza o tym, czego nie możesz zrobić, może nam pomóc w określeniu twoich zdolności. Zatem proszę, spróbuj to poruszyć.

– Siłą umysłu.

– Siłą umysłu. Tylko się postaraj.

Spiorunowałam go wzrokiem.

Dał mi znak ruchem głowy.

– Już.

Fajnie. Przejdę test i będę mogła zażądać tego samego od Noaha.

Usiadłam na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, pochyliłam się nad butelką i wpatrzyłam się w nią intensywnie.

Po dwudziestu sekundach jałowej ciszy do pokoju zapukał Daniel i otworzył drzwi na oścież, nie czekając na zaproszenie.

– Chciałem was zawiadomić, że mniej więcej za dwadzieścia minut wyruszamy na festyn – oznajmił.

Urwał. Czuję, że patrzy na mnie, przenosi spojrzenie na Noaha, a potem znów na mnie.

– Um... co robicie?

– Mara próbuje zakręcić butelką tylenolu siłą swojego umysłu – wyjaśnił niedbale Noah.

Sporunowałam go wzrokiem i znów wlepiłam spojrzenie w butelkę.

– A, tak – powiedział Daniel. – Też kiedyś tego próbowałem. Tylko nie z tylenolem.

– Czego użyłeś? – zainteresował się Noah.

– Pięciocentówki. Próbowałem także z kumplami wersji „lekki jak piórko, sztywny jak deska”, wiesz, tej zabawy w lewitację – wyjaśnił Daniel, patrząc na Noaha. – Tabliczka ouija też była w robocie – dodał, rzucając mi melodramatycznie znaczące spojrzenie.

– Bawiłeś się w wywoływanie duchów? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Jasne – potwierdził ochoczo. – Typowy dziecięcy rytuał przejścia.

– Z kim to robiłeś?

– Z Danem, z Joshem. – Wzruszył ramionami. – No wiesz, kumple.

– Tabliczka była twoja? – Nagle poczułam się dziwnie nerwowa.

– Chyba żartujesz? – obruszył się Daniel.

– O co chodzi? – spytał Noah.

– Nigdy nie trzymałem czegoś takiego w domu. – Daniel energicznie potrząsnął głową. – Portal do świata duchów, Maro. Niebezpieczna sprawa. Mówiłem ci.

Noah uśmiechnął się kpiąco.

– Chyba w to nie wierzysz, co?

– Och, nawet naukowci giganci, tacy jak my, mogą sobie od czasu do czasu pozwolić na paranormalne odjazdy. W każdym razie – Daniel z rozbawionym uśmiechem pokazał na butelkę tylenolu – miło mi widzieć, Maro, że hołdujesz starym, szkolnym tradycjom. Ja jednak mam większy mózg, więc już dawno...

– Spadaj – mruknęłam, znów skupiając się na butelce.

– A jak tam twoje wampiryczne opowiadanie?

– SPADAJ.

– Powodzenia! – powiedział wesoło.

– Nienawidzę cię – warknęłam, kiedy zamykał drzwi.

– Co to za wampiryczne opowiadanie? – zainteresował się Noah.

Nadal katowałam wzrokiem butelkę. Nieruchomą butelkę.

– Kolejna teoria na temat mojego fałszywego alter ego – wyjaśniłam. –

Alternatywa dla opętania.

– Cóż, jesteś bardzo blada.

Powoli wypuściłam powietrze. Nie chciałam unieść głowy.

Noah sięgnął do moich bosych stóp i ścisnął mi palce.

– I zimna – dodał.

Schowałam stopy pod siebie.

– To tylko złe krążenie.

– Możesz mnie ukąsić w ramach eksperymentu – zaproponował.

– Ciebie też nienawidzę. Zresztą wiesz.

– Jasne, wiem. Zasugerowałbym jeszcze rozładowanie napięcia seksem, ale...

– Szkoda, że masz skrupuły – powiedziałam.

– No, teraz już jesteś okrutna.

– Lubię naciskać twoje guziki.

– Lepiej byś się bawiła, gdybyś najpierw je rozpięła.

Rany!

– Mógłbyś iść i pomóc Danielowi.

– W czym?

– W czymkolwiek.

Noah wstał i oddalił się z tym swoim pokrętnym uśmiechem.

Jeszcze przez parę minut próbowałam zaczarować butelkę ze środkiem przeciwbólowym, wizualizując sobie, że się kręci, ale nabawiłam się tylko migreny. Otworzyłam ją, wyjęłam dwie tabletki i poszłam do kuchni. Usiadłam przy stole naprzeciw mamy, która rezydowała tam ze swoim laptopem. Oparłam głowę na rękach i westchnęłam dramatycznie.

– Co się stało? – spytała.

– Dlaczego chłopcy są tacy wkurzający?

Zachichotała.

– Wiesz, co mówiła w takich sytuacjach moja mama?

Pokręciłam głową, nie zmieniając pozycji.

– Chłopcy są głupi, a dziewczynki są nieznośne.

Święta prawda!

Radosne krzyki niosły się w powietrzu, a urządzenia wesołego miasteczka wirowały, śmigały i mrugały kolorowo. Szłam z moim starszym bratem, przepychając się przez tłum. Od lat nie byłam na festynie. Tata od razu zaciągnął mamę na diabelski młyn, a Joseph z moim chłopakiem urwali się na kolejkę górską, zostawiając mnie z Danielem. Woń pączków, kiełbasek, gwar i okrzyki. Fajnie było wyjść z domu. Tak normalnie.

– Tylko ty i ja, siostró – powiedział Daniel, kiedy krążyliśmy pomiędzy straganami. – Co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

Minęła nas dziewczynka z pękiem balonów tak wielkim, iż bałam się, że za chwilę uleci w niebo. Uśmiechnęłam się do niej, ale kiedy nasze spojrzenia się spotkały, mała umknęła w popłochu. Mój uśmiech zgasł jak zdmuchnięty.

Przechodziliśmy obok budy obwieszanej pluszowymi zwierzakami.

– Mogłabym wygrać dla ciebie misia – powiedziałam do brata.

Pod nogami chrobotał mi popcorn i omal nie wdepnęłam w kałużę, która została po niedawnym deszczu.

Daniel pokręcił głową.

– Oni oszukują.

Noah z Josephem wyłonili się nagle z tłumu. Mój młodszy brat był blady i drżący. Szaroniebieskie oczy Noaha błyszczały rozbawieniem.

– Jak tam jazda? – spytałam.

Joseph zadarł brodę i wzruszył ramionami.

– W porządku.

– Był bardzo dzielny – powiedział Noah, a kącik jego ust drgnął w uśmiechu.

Wędrowaliśmy dalej, aż Joseph zatrzymał się i zadarł głowę. Wielka, złowroga gęba klauna górowała nad wejściem do jaskrawo pomalowanego budynku.

– Gabinet luster! Tak!

Nie.

Daniel musiał dostrzec moją niechęć, bo otoczył ramieniem plecy brata.

– Ja z nim pójdę – powiedział do Noaha i do mnie. – Bawcie się dobrze.

– Tylko nie zaliczajcie tego, czego ja nie zaliczyłem! – krzyknął za nami Joseph i rozdzieliła nas ludzka masa.

Lekki, pokrętny uśmiezek pojawił się na wargach Noaha. Mój ulubiony.

– Wreszcie zostaliśmy sami.

Cudownie.

– Na to wygląda – powiedziałam.

– Co zrobimy z tą wolnością?

Rozbłyśki jaskrawych świateł uwydatniały jego wyraziste kości policzkowe. Kasztanowa czupryna była w cudownym nieładzie.

Na pewno coś wymyślimy. Już miałam to powiedzieć, kiedy usłyszałam za plecami jakiś głos.

– Czy zakochane ptaszki chcą poznać swój los?

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy kobietę w tradycyjnym stroju cygańskiej wróżki. Długa, kwiecista spódnica, zgadza się. Bluzka chłopka, zgadza się. Zbyt ostry makijaż, zgadza się. Przepisowe złote koła w uszach, zgadza się.

– Myślę, że nie – powiedziałam do Noaha. – Chyba że ty chcesz?

Pokręcił głową.

– Dziękuję, nie skorzystamy – rzuciłam i ruszyliśmy dalej.

– Nie możesz stąd odejść! – zawołała za mną kobieta.

Jej słowa zabrzmiały dziwnie znajomo. Musiałam je już kiedyś słyszeć.

– Co powiedziałaś?

Wróżka wpatrywała się we mnie czujnie, a minę miała tajemniczą.

– Chodź ze mną, a wszystko ci wyjaśnię.

Noah westchnął.

– Posłuchaj...

– W porządku – powiedziałam, uspokajając go spojrzeniem. – Chcę tam iść.

Noah uniósł brwi z ponurym rozbawieniem.

– Jak sobie życzysz.

Kobieta prowadziła nas, przemykając wśród tłumu, aż doszliśmy do niewielkiego, pasiastego namiotu. Odchyliła połę i naszym oczom ukazało się wnętrze migoczące od świateł i kryształów, z wzorzystymi okryciami i draperiami zdobiącymi tę niewielką przestrzeń. O dziwo, pozbawioną typowej, kiczowatej sztuczności. Weszliśmy do środka.

Wróżka ruchem głowy powstrzymała Noaha.

– Moja córka się tobą zajmie. Miranda! – zawołała.

Jakieś dziewczę o nadętej minie, z różowymi pasemkami we włosach, wyłoniło się zza naszywanej błyskotkami zasłony.

– Poczęstuj młodego pana herbatą. Pokaż mu, gdzie ma usiąść.

Dziewczynka, która mogła mieć najwyżej trzynaście–czternaście lat, na

widok Noaha od razu straciła swoją lekceważącą postawę. Jego przystojna, wysoka postać, oparta niedbale o ścianę przy wejściu, i lekki, sarkastyczny uśmiezek pięknie wykrojonych ust zrobiły swoje. Małolata od razu stanęła do pionu.

– Wejdz – zachęciła, odchylając przed nim zasłonę.

Noah popatrzył na mnie.

– Wszystko dobrze – zapewniłam. – Idź.

Odeszli. Wróżka zachęciła mnie gestem, żebym usiadła na plastikowym, składanym krzeselku przy okrągłym, karcianym stoliku przykrytym tanim obrusem. Usiadłam. Przede mną leżała talia kart. Zapewne tarota.

– Najpierw zapłać – powiedziała, wyciągając rękę.

Jasne. Sięgnęłam do kieszeni po bilon. Wsunęła pieniądze w fałdy spódnicy i zerknęła na mnie, jakby spodziewała się czegoś jeszcze.

Nie miałam pojęcia czego. Nie spuszczała ze mnie wzroku i powiedziałam w końcu:

– Czy mam przełożyć karty, pani...

– Madame.

– Madame... jaka?

– Madame Rose.

– Madame Rose – powtórzyłam z kpiącą powagą, patrząc na szklaną kulę leżącą na półce. – Rozumiem, że to pseudonim?

Madame miała śmiertelnie poważną minę.

– W imieniu jest moc.

Te słowa ścięły mi serce lodem i odbiły się echem w moich myślach, choć tam wypowiedział je ktoś inny. Zamrugałam i potrząsnęłam głową, żeby odzyskać jasność umysłu.

– Czy chcesz o coś zapytać? – zaczęła wróżka, przełamując ciszę.

Przełknęłam i skupiłam się na Madame Rose.

– W jakim sensie?

– Zadać pytanie, na które nie masz odpowiedzi.

Gorzki uśmiech wykrzywił moje wargi. Miałam całe tony pytań. Byłam jednym wielkim pytaniem. „Co się ze mną dzieje? Kim naprawdę jestem?”.

– Mam dużo pytań – powiedziałam w końcu.

– Zastanów się dobrze – zaznaczyła. – Jeśli zadasz złe pytanie, otrzymasz złą odpowiedź. – Ruchem głowy pokazała na karty.

Sięgnęłam po talię, ale znieruchomiałam, zanim jeszcze jej dotknęłam. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe.

Madame Rose dostrzegła moje wahanie i popatrzyła mi w oczy.

– Jeśli wolisz, mogę powróżyc inaczej.

– Jak?

– Daj mi ręce – poprosiła.

Podsunałam jej dłonie, wierzchem do góry. Kobieta potrząsnęła głową, aż złote koła zatańczyły jej w uszach. Szybkim ruchem odwróciła moje dłonie. Głowa jej zwisała, a długie włosy zakryły twarz jak welon. Nic nie mówiła. Cisza dłużyła się nieznośnie.

– Jak długo....

– Cii! – syknęła wróżka.

Powoli uniosła głowę i wpatrzyła się we wnętrze moich dłoni. Studiowała ich linie przez kilka chwil, po czym przymknęła umalowane powieki.

Siedziałam nieruchomo i czekałam, sama nie wiedząc na co. Po kolejnej długiej chwili kobieta rozchyliła karminowe usta. Jej powieki zadrgały. Lekko uniosła głowę i pochyliła ją w lewo, w skupieniu marszcząc czoło. Splotła swoje palce z moimi i zacisnęła je. Poczułam, że dłużej tego nie wytrzymam, i chciałam cofnąć ręce, ale zanim to zrobiłam, otworzyła oczy.

– Musisz go rzucić.

Jej słowa przecięły powietrze jak nóż.

Dopiero po długiej chwili odzyskałam głos.

– O czym pani mówi?

– O chłopaku z szarymi oczami. Z którym tu przyszedłeś.

– Dlaczego? – zapytałam podejrzliwie.

– Bo jego przeznaczeniem jest wielkość, ale z tobą czeka go niebezpieczeństwo. Jesteście ze sobą związani. Musisz go rzucić. Tak to widzę.

Moja frustracja rosła.

– Jest w niebezpieczeństwie z mojego powodu?

– Umrze przed czasem z tobą u boku, chyba że pozwolisz mu odejść. Los czy traf? Zbieg okoliczności czy przeznaczenie? Nie wiem. – Jej głos złagodniał.

I posmutniał.

Twarda dłoń ścisnęła mi serce. Już kiedyś chciałam go odrzucić. Nie zadziało.

– Nie mogę – powiedziałam całkiem spokojnie.

– W takim razie zniszczysz go swoją miłością – powiedziała i puściła moje ręce.

Wyrzebała pieniądze z kieszeni ukrytej w fałdach spódnicy i zwróciła mi należność.

– Nie mogę tego przyjąć od ciebie, a ty nie możesz mu zdradzić, co ci powiedziałam.

– Rozumiem – mruknęłam.

– Chyba że będziesz miała go rzucić, wtedy mu powiedz – dodała, wzruszając ramionami. – Ale tylko w przypadku, kiedy naprawdę zdecydujesz się na rozstanie. Bo jeśli twój luby pozna swoje przeznaczenie i dalej będziecie razem, to przypieczętuje jego los.

Wymownie pokazała na drzwi.

Nie poruszyłam się.

– To wszystko?

– Więcej nie mogę ci pomóc – powiedziała.

Nozdrza mi zadrgały.

– Wcale mi pani nie pomogła. – Mój głos był ostry, ale po chwili złagodniał. – Czy mogę coś z tym zrobić?

Wstała i w paru krokach znalazła się przy wyjściu.

– Tak. Możesz coś zrobić. Pozwól mu odejść. Jeśli naprawdę go kochasz, pozwól mu odejść.

Popatrzyłam na nią ze ściśniętym gardłem i w pośpiechu opuściłam namiot.

Noah, który czekał na zewnątrz, dołączył do mnie. Prawie biegłam, potykając się na nierównej ziemi.

– Złe wróżby? – zapytał wyraźnie rozbawiony.

Otarłam oczy wierzchem dłoni, nie zwalniając kroku.

– Zaczekaj – powiedział, chwytając mnie za rękę i obracając ku sobie. – Ty płaczesz?

Wyrwałam mu się.

– Nie.

– Stój.

Noah zastąpił mi drogę. Wyminęłam go i przyspieszyłam do truchtu. Zanim się obejrzałam, już biegłam.

Byliśmy już prawie na tyłach gabinetu luster, kiedy Noah mnie dogonił. Poczulałam dłoń na ramieniu i odwróciłam się gwałtownie.

– Maro – powiedział miękko. – Dlaczego uciekasz ode mnie?

Tamy puściły. Łzy popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. Noah chwycił mnie za rękę i pociągnął za jedną z budek. Tam wziął mnie w ramiona i zaczął gładzić mnie po głowie.

– Co ona ci mówiła?

– Nie mogę powiedzieć – wykrztusiłam, łkając.

– Ale przez to płaczesz, prawda?

Kiwnęłam głową z twarzą w miękkiej koszulce Noaha. Czułam pod policzkiem jego ciało, twarde jak opoka. Jak mogę pozwolić mu odejść?

Noah odstąpił krok w tył i ujął moją twarz w dłonie.

– Nie obraż się, ale coraz bardziej mi się to nie podoba.

– Mów, nie krępuj się – chlipnęłam.

– Jesteś zbyt łatwowierna, Maro – powiedział spokojnie, a jego głos był czuły. – Stanowisz łatwy cel. Parę tygodni temu na tapecie były hipnoza i Santeria. Teraz opętanie i tarot.

– Nie wróżyła z tarota.

Noah z westchnieniem pokręcił głową.

– Nieważne, z czego wróżyła. Ważne, w co ty wierzysz. Bardzo łatwo ulegasz sugestiom – usłyszysz coś i od razu kupujesz to jako sposób na twoje problemy, traktujesz jak wyrocznię.

Zgromiłam go spojrzeniem, ale bez przekonania.

– Przynajmniej próbuję znaleźć wyjaśnienie.

Noah przymknął oczy.

– Ja też próbowałam, Maro. Od lat. I zabrnąłem w ślepy zaułek. Posłuchaj – powiedział, otwierając oczy i splatając swoje długie palce z moimi. – Zaraz wrócimy do niej i zaoferuję jej podwójną stawkę za wyznanie prawdy. Niech się przyzna, że zmyśliła to wszystko dla lepszego efektu. Nie pozwolę, żeby zaszkodziła ci jakaś szarlatanka.

– Ona nie wzięła ode mnie pieniędzy – odparłam spokojnie. – Nie musiała oszukiwać dla zarobku.

– Nigdy nie wiadomo, jakiej korzyści ktoś się spodziewa. – Pociągnął mnie z powrotem na ścieżkę. – Idziemy.

Kiedy wróciliśmy do namiotu, była na nim wywieszka WRACAM ZA GODZINĘ. Noah zignorował ją i odsunął połę.

Córka wróżki siedziała w niewielkim, przesadnie wyściełanym fotelu, czytając kolorowy magazyn. Przed nią na stoliku leżała tabliczka do wywoływania duchów. Rozejrzałam się po namiocie.

– Gdzie jest twoja mama, Mirando? – zapytał Noah, omiatając wzrokiem ciasne wnętrze.

Dziewczyna spojrzała na mnie. Wydmuchała różowy balonik z gumy i wessała go z powrotem.

– Dogodziła ci, co? – spytała.

Noah uniósł brwi.

– Nie rozumiem – powiedziałam.

– Dałaś się nabrać na Madame Rose? – rzuciła kpiąco. – Ona naprawdę nazywa się Roslyn Ferretti i mieszka w Babylon, na Long Island. Lepiej sobie powróż z magicznej kuli 8 – poradziła i znów wetknęła nos w gazetę.

Noah przewrócił jej stronę palcem.

– Gdzie możemy znaleźć Roslyn?

Miranda wzruszyła ramionami.

– Pewnie łapie fazę gdzieś za Wrzeszczącym Truposzem.

– Dzięki – powiedział Noah i wyszliśmy z namiotu.

Parł naprzód, prowadząc mnie za rękę, jakby wiedział, dokąd zmierza.

– Widzisz? – powiedział łagodnie. – Dałaś się zwieść.

Nie odpowiedziałam. Nie ufałam własnemu głosowi.

Przed nami wyrosło zatrważająco wysokie rusztowanie, znajdujące się niedaleko od diabelskiego młyna. Mały samochodzik powoli pełził w górę; domyśliłam się, że gdy dotrze do szczytu, spadnie w dół jak kamień. Zaczęliśmy obchodzić wieżę, wypatrując kobiety. Noah poprowadził mnie wąską, wydeptaną ścieżką. Kiedy ścieżka zanikła w trawie, zobaczyliśmy wróżkę.

Roslyn Ferretti, ksywka Madame Rose, siedziała na kamieniu zakrytym jej rozpostartą, kolorową spódnicą. Jarała skręta, jak przewidziała jej córka.

– Hej! – zawołał Noah.

Kobieta zakaszlała i szybko wsunęła rękę za plecy. Oczy miała nabiegłe krwią, a wzrok rozkojarzony. Poznała mnie dopiero po chwili i pokręciła głową.

– Zwróciłam ci pieniądze.

– Dlaczego pani mi to wszystko powiedziała? – spytałam spokojnie.

Roslyn ogarnęła nas mętym spojrzeniem. Wsadziła sobie skręta do ust i chciwie się zaciągnęła.

– Bo to prawda – powiedziała, a słowa uleciały z jej ust razem z chmurą śmierdzącego dymu.

Powieki zaczęły jej opadać.

Noah głośno strzelił palcami przed samą jej twarzą. Kobieta odepchnęła jego rękę.

– Posłuchaj uważnie – powiedział. – Dam ci sto dolarów, jeśli przyznasz, że to zmyśliłaś.

Popatrzyła na mnie i jej spojrzenie nagle się wyostrzyło.

– Powiedziałaś mu?

Otworzyłam usta, aby zapewnić, że nie, ale Noah nie dał mi szansy.

– Tysiąc – zaoferował posępnie.

Kobieta popatrzyła na niego przeciągle.

– Nie wezmę tych pieniędzy.

– Nie próbuj ze mną grać, dobra? – ostrzegł. – Wiemy, że jesteś oszustką, Roslyn, więc bądź tak miła i przyznaj się.

Głowa jej opadła. Pokręciła nią powoli.

– To ta dziewczyna, przysięgam – mruknęła.

– Roslyn!

Z wysiłkiem uniosła głowę.

– Zapłacił mi, okej?

Włosy zjeżyły mi się na karku. Wymieniliśmy z Noahem spojrzenia.

– Kto ci zapłacił? – spytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Jeden gość.

– Jak wyglądał? – drażył Noah.

– Wysoki. Ciemny. Przystojny.

Uśmiechnęła się i chciała się zaciągnąć, ale Noah wyrwał jej skręta z palców i trzymał tak, żeby nie mogła po niego sięgnąć.

– Dokładniej – polecił.

Kobieta leniwie wzruszyła ramionami.

– Miał taki... kastet.

– Kastet? – podchwycił Noah. – Groził ci? O co chodzi?

– No... śmiesznie mówił.

Noah przewrócił oczami.

– Aha, akcent. Dobra. Jaki był ten akcent?

– Cudzoziemski – mruknęła i zaczęła chichotać.

– To beznadziejne – stwierdziłam.

Dobrze, że opis nie pasował do Jude'a. Niewielka pociecha, ale zawsze.

– Nie odejdzimy, dopóki nie powiesz nam, jak to było – powiedział twardo Noah. – Czy jego akcent był taki jak mój?

Pokręciła głową.

– Co ci powiedział?

Roslyn westchnęła.

– Powiedział, żebym zwabiła was do namiotu. – Uniosła głowę i popatrzyła na mnie. – Powiedział mi, co mam ci wywróżyć. – Przeniosła spojrzenie na Noaha. – Mówił, że będziesz proponował mi forszę i że mam jej nie przyjąć.

– Kiedy to było? – zapytałam.

– Jakies dziesięć minut wcześniej, zanim was zobaczyłam.

Noah pogładził brodę.

– Rozumiem, że się nie przedstawił?

Pokręciła głową.

– Na pewno? – naciskał. – Wymień sumę, za którą powiedziała byś mi wszystko.

Smutny, blady uśmiech pojawił się na ustach wróżki.

– Kochany, wiedziałabym, co zrobić z forszą, ale nie mogę przyjąć pieniędzy od żadnego z was.

– Dlaczego?

Jej spojrzenie odpłynęło w ciemność.

– Powiedział, że nie mogę.

– I co z tego? – zapytał Noah. – Nie musisz go słuchać.

Głos kobiety stał się bardzo spokojny.

– Wierz mi, to nie był ktoś, kogo można olać.

Wyciągnęła rękę i Noah oddał jej skręta. Wstała.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała do mnie, odchodząc i zostawiając nas samych.

Auto nad nami właśnie zaczęło zjazd w dół i choć pasażerowie spodziewali się tego, wrzeszczeli jak opętani.

Noah objął mnie w talii.

– Powiedz mi – poprosił.

Wyglądał nieludzko pięknie w kolorowej poświacie. Widok był niemal bolesny, ale ból byłby jeszcze większy, gdybym odwróciła wzrok.

– Powiedz mi – powtórzył.

W jego głosie było coś takiego, że nie mogłam mu odmówić.

– Powiedziała, że mam pozwolić ci odejść.

Przyciągnął mnie do siebie. Odgarnął mi kosmyk włosów z twarzy i przesunął palcami po szyi.

– Dlaczego?

Przymknęłam oczy. Słowa raniły mi gardło.

- Bo przy mnie umrzesz, jeśli nie odejdiesz.
Noah zamknął mnie w ciasnym uścisku.
- To tylko wymysł – szepnął w moje włosy.
Może i tak. Ale gdyby nawet...
- Jestem zbyt wielką egoistką, żeby cię zostawić – powiedziałam.
Noah odsunął się odrobinę, żeby móc zobaczyć jego uśmiech.
- A ja jestem zbyt wielkim egoistą, żeby ci na to pozwolić.

Kiedy dołączyliśmy do mojej rodziny, postarałam się o rozradowany wyraz twarzy. Ciągłe prześladowały mnie słowa Roslyn i myśl, że ktoś jej zapłacił, aby je wypowiedziała. Kiedy po powrocie do domu udało mi się wykraść chwilę sam na sam z Noahem, powiedział, że już przekazał sprawę swojemu nadwornemu detektywowi. A potem cmoknął mnie w czoło i więcej nie chciał o tym rozmawiać. Byłam zawiedziona, lecz nie zauważył tego.

Albo to zignorował.

Wiedziałam, że zrobi wszystko, aby dowiedzieć się, kto zapłacił Roslyn. Ufałam mu. Ale nie byłam pewna, czy on ufa mnie.

Łatwo ulegam sugestiom, powiedział. Sam był na nie odporny. Zadeklarowany sceptyk i arogant. Owszem, pomagał mi realizować różne pomysły, nawet najbardziej dziwaczne, jak sprawa z Santerią czy spalenie lalki. Albo dzisiejsze wróżby. Pomógł mi, choć uważał, że Roslyn jest na takim haju, że jej zeznania mają wartość gazetowego horoskopu. Noah wspierał mnie na każdym kroku, ale to mi nie wystarczało.

Żałowałam, że ograniczenie wolności nie pozwala mi na samodzielne poszukiwanie prawdy.

Z drugiej strony powinnam być wdzięczna, że jeszcze nie zamknięto mnie w psychiatryku. I byłam wdzięczna, choć miałam dojmujące poczucie, że stałam się więźniem we własnym domu. Nie tylko rodzice mnie nadzorowali – John także. Cieszyłam się, że pilnuje i mnie, i domu. A jednak, choć czułam się bezpieczniejsza, nie czułam się wolna. Nie była to oczywiście wina Johna ani Noaha.

To była wina Jude'a.

Noah prosił, żebym przyszła do niego, kiedy wszyscy zasną, i choć byłam sfrustrowana, zmęczona i przygnębiona swoim nieszczęsnym losem, spełniłam jego prośbę.

Kiedy weszłam do pokoju gościnnego, leżał w łóżku, kompletnie ubrany. Czytał książkę.

– Co czytasz? – spytałam, zamykając za sobą drzwi i opierając się o nie plecami.

Pokazał mi tytuł: *Zaproszenie na egzekucję*.

Uśmiechnęłam się samymi ustami.

– Ja ci to poleciłam.

– Zgadza się.

– I?

– Smutne – odparł, odkładając książkę na łóżko.

Ściągnęłam brwi.

– Myślałam, że jest zabawne.

– Cyncynat trafia do więzienia, bo jest inny niż wszyscy. To jest właśnie smutne.

Noah popatrzył na mnie z przechyloną głową.

– Nadal jesteś spięta – zauważył.

Przytaknęłam, choć było to stwierdzenie, a nie pytanie.

– W takim razie mam propozycję.

– Zamieniam się w słuch.

– W Horyzontach przerabiasz terapię ekspozycyjną, prawda?

– Tak...

– I próbujesz przemoc swoje lęki.

Skinęłam głową.

– Obawiasz się między innymi tego, że mnie skrzywdzisz.

– Że cię zabiję – uściśliłam spokojnie.

– Jeśli będziemy się całować.

Jeżeli stracę kontrolę nad sobą.

– Jeśli dalej będziemy ze sobą – powiedziałam, myśląc o słowach Roslyn.

– Pragniesz obu tych rzeczy? – zapytał zwykłym tonem.

Jeszcze jak.

– Owszem.

– W takim razie proponuję, żebyśmy przepracowali to tak jak inne twoje lęki. Najpierw będziesz musiała sobie wyobrazić konfrontację ze źródłem fobii.

Półuśmieszek pojawił się na jego wargach.

Pojęłam, do czego zmierza.

– Chcesz, żebym sobie wyobraziła, że cię całuję?

– Pomogę ci przez to przejść.

– I co dalej?

– Potem zbliżysz się do źródła lęku, ale to nie będzie jeszcze konfrontacja.

– Jak dokładnie ma wyglądać ta terapia?

– Zaraz coś wymyślę.

Tembr jego głosu zmobilizował mnie do działania.

– Kiedy zaczniemy? – spytałam.

Spojrzał na mnie z łóżka.

– Chodź tu.

Posłuchałam.

Noah posadził mnie tak, że patrzyliśmy sobie w oczy. Jego długie rzęsy niemal dotykały policzków. Przygryzł dolną wargę, a ja patrzyłam na niego, wstrzymując oddech.

Tylko spokojnie.

– Zamknij oczy – polecił.

Tak zrobiłam.

– A teraz wyobraź sobie nas w miejscu, które lubisz najbardziej.

Skinęłam głową.

– Gdzie czujesz się bezpiecznie.

Pokój wyparował i zniknął. Przewędrowałam przez korytarze mojego umysłu i otworzyłam drzwi domu dzieciństwa. Tam, gdzie bawiłam się swoimi zabawkami na podłodze. Gdzie Rachel nocowała u mnie i przez pół nocy chichotałyśmy, opowiadając sobie nawzajem swoje sekrety.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał łagodnie Noah.

– W moim dawnym pokoju.

– Opisz go.

– Są tam stare meble z ciemnego drewna, które należały jeszcze do mojej mamy, kiedy była młoda. Zabytkowe. Ładne, ale trochę obdrapane.

– Co jeszcze?

– Ściany są różowe, ale prawie ich nie widać, bo są obwieszane rysunkami, obrazkami i fotografiami.

– Co jest na tych zdjęciach?

– Ja. Moja rodzina. Rachel.

Głos zaczął mi się łamać. Wzięłam głęboki oddech.

– Krajobrazy i różne inne rzeczy. Wszystko wieształam na ścianach.

Dokładnie to zapamiętałam.

– Papiery fruwały, kiedy otwierałam i zamykałam drzwi, jakby ściany oddychały.

– Opisz mi swoje łóżko – poprosił Noah z cieniem uśmiechu w głosie.

– Jest podwójne – odparłam z takim samym ukrytym uśmiechem. – Dębowe, jak reszta mebli. Z baldachimem.

– Pościel?

– Ciężka kołdra. Puchowa, gruba. Należała do babci.

– Jakiego koloru?

– Brzydactwo. Dziwne brązowo-czarno-białe geometryczne wzory z lat 60. ubiegłego wieku, a przynajmniej tak mi się wydaje.

- W którym konkretnie miejscu jesteś?
- Po prostu... chyba stoję pośrodku pokoju.
- Dobrze. A gdybym ja się tam znalazł, gdzie bym był?

Zobaczyłam go zdumiewająco wyraziście: Noah stał w drzwiach.

- Stoisz w drzwiach – powiedziałam, choć nasze ciała niemal się stykały.
- Czyli jestem tam.

Głos miał ciepły, rozkosznie powolny, o miodowej słodyczy.

- Na zewnątrz jest noc. Czy u ciebie pali się światło?
- Tylko nocna lampka.
- W porządku. Wchodzę do pokoju. Mam zamknąć za sobą drzwi?

Tak.

- Tak – odpowiedziałam.

Mój oddech przyspieszył.

- Zamykam. Idę przez pokój i spotykamy się na środku. Co dalej?
- Przecież to ty miałaś mnie prowadzić.
- Myślę, że powinnaś wykazać inicjatywę.
- Jakie mam opcje?

– Możesz czytać mroczne wiersze, a ja będę grał na trójkącie. Albo wysmarujemy się masłem orzechowym i powyjmy do księżyca. Nie wiem, użyj wyobraźni.

- Fajnie. Bierzesz mnie za rękę i prowadzisz do łóżka.
- Świetny wybór. Co dalej?
- Siadasz i przyciągasz mnie do siebie.
- Gdzie jesteś?
- Posadziłeś mnie sobie na kolanach.
- Gdzie masz nogi?
- Oplotłam cię nimi w pasie.

– Hm. – Głos Noaha lekko spowaźniał. – To zaczyna być interesujące. Więc siedzę na skraju twojego łóżka. Trzymam cię na kolanach, a ty oplatasz mnie nogami. Obejmuję cię ramionami, podtrzymując, żebyś nie spadła. Co mam na sobie?

Uśmiechnęłam się.

- T-shirt, cały w dziurach.
- Serio?
- A czemu nie?

– Myślałem, że w twoich fantazjach będę nosił smoking albo coś w tym stylu.

- Jak James Bond? To brzmi raczej jak twoja fantazja – powiedziałam,

wyobrażając sobie Noaha w nienagannym smokingu, z artystycznym nieładem na głowie i rozluźnioną muszką zwisającą na szyi. Krew zawrzała mi w żyłach.

– Katie go nie znosi.

– Twojego T-shirta?

– Aha.

– Jest twoją siostrą.

– Więc mam go nosić?

– Tak.

– Dobra. Jestem w T-shircie. Co mam pod nim?

– W czym zwykle sypiasz? – zapytałam.

Noah milczał. Otworzyłam oczy. Zobaczyłam uniesioną brew i pokrętny uśmiezek.

O, Boże.

– Zamknij oczy – polecił.

Uśluchałam.

– Na czym skończyliśmy?

– Że obejmuję cię nogami.

– Racja. A ja mam na sobie...

– Wiązane spodnie.

– One są cienkie, jak pewnie wiesz.

Wiedziałam.

– Hej – powiedział i poczułam nacisk jego dłoni na barkach.

Otworzyłam oczy.

– Zachwiałaś się – wyjaśnił i cofnął ręce. – Bałem się, że spadniesz z łóżka.

Zaczerwieniłam się.

– Może powinniśmy przenieść się na podłogę – zaproponował, wstając.

Przeciągnął się. Nie sposób było nie widzieć jego muskularnego ciała prężącego się tuż przy mnie. Wstałam zbyt pospiesznie i zachwiałam się lekko.

Noah, szczerząc zęby, zdjął poduszkę z łóżka i położył ją na podłodze, dając mi znak, żebym usiadła. Usiadłam.

– Okej – powiedział. – Co ty masz na sobie?

– Nie wiem. Kombinezon kosmiczny. Wszystko jedno.

– Musisz sobie wyraźnie wyobrazić. Ty musisz – dodał.

Zachichotałam.

– Zamknij oczy – przypomniał mi. – Jeszcze chwila, a będę musiał

ustanowić karę za niesubordynację.

- Na przykład jaką? – zapytałam wyzywająco.
- Nie prowokuj. Dobra, jeszcze raz, co masz na sobie?
- Bluzę z kapturem i wiązane spodnie, jak ty. Chyba.
- Masz coś pod spodem?
- Zwykle noszę bieliznę.
- Zwykle?
- Z wyjątkiem specjalnych okazji.
- Chryste, pytałem tylko, co masz pod bluzą.
- Powiedzmy, że koszulkę bez rękawów.
- Kolor?
- Białą. Bluza czarna. Spodnie szare. Jestem gotowa pójść dalej.

Poczułam go bliżej przy sobie. Prawie mówił mi do ucha.

- Do momentu, w którym ja kładę się na plecach i pociągam cię za sobą?

Tak.

- Jesteś nade mną – uściślił.

Cholera.

– Do momentu, w którym mówię, że chcę poczuć miękkie włosy na twojej szyi? Poczuć skórę twojego brzucha pod wargami? – szeptał z ustami przy mojej skórze. – Utrwalić sobie w pamięci krajobraz twoich bioder i brzucha, łuk szyi i wypukłość twoich... i tak dalej?

Czułam dotyk jego ciepłych dłoni na barkach. Otworzyłam oczy. Musiałam nieświadomie przyłgnąć do Noaha, kiedy miałam zamknięte oczy, bo byłam już prawie na jego kolanach.

- Powinnaś zostać na poduszce – powiedział.

Nie pasowało mi to.

- Nie chcę – odpowiedziałam.

Palce mnie świerbiły, żeby go dotknąć.

- Nie ma potrzeby tego przyspieszać.

Miałam ogromną potrzebę.

- Dlaczego nie?

Popatrzył na mnie. Na moje usta.

– Ponieważ znów pragnę cię całować – wyjaśnił. – Ale tylko pod warunkiem, że całkowicie przestaniesz się bać. Czy jest jeszcze jakaś część ciebie, która się boi?

Czego się boi? Że go skrzywdzę? Zabiję? Jeśli się pocałujemy? Jeśli nadal będziemy razem?

- Nie boję się o ciebie, Noah – powiedziałam głośno.

– W każdym razie nie świadomie.

– Wcale się nie boję – zapewniłam, odsuwając się i siadając ze skrzyżowanymi nogami.

Przechylił głowę i spoglądał na mnie, ale milczał.

– Boję się o... siebie – wyjaśniłam. – Nie mam... mam poczucie, że przy tobie przestaję się kontrolować.

Pomiędzy brwiami Noaha pojawiła się pionowa zmarszczka. Niemal widziałam, jak obracają się tryby jego umysłu.

– O czym myślisz? – zagadnęłam.

– O niczym specjalnym.

– Kłamiesz. Zawsze o czymś myślisz.

– Zastanawiam się, czemu masz tak silne poczucie utraty kontroli nad sobą. I co można zrobić, żebyś przy mnie mogła ufać sobie.

– Jakieś pomysły?

– Powiem ci, jeśli się pojawią.

– Fajnie. – Spojrzałam na zegarek. – Mamy jeszcze parę godzin dla siebie.

– Powinniśmy zasnąć – powiedział, ale nawet nie spojrzał w stronę łóżka.

Uśmiechnęłam się szelmowsko.

– Powinniśmy wrócić do mojego pokoju.

Noah wstał.

– Który znajduje się pomiędzy pokojami Josepha i twoich rodziców. Chyba już ci mówiłem, że nie powinniśmy niczego przyspieszać?

Przewróciłam oczami.

– Miałam na myśli swój pokój z dzieciństwa.

– Ach.

Wstałam również i splotłam palce z jego palcami.

– Noah – powiedziałam miękkim głosem.

Popatrzył na mnie z góry. Cień uśmiechu przemknął mu po wargach.

– Jutro, Maro.

Najwyraźniej nie udało mi się ukryć rozczarowania, gdyż Noah uniósł mi podbródek palcem.

– Jutro – powtórzył dobitnie i usłyszałam obietnicę w jego głosie.

Kiwnęłam głową. W moich żyłach zaczął się odpływ adrenaliny, kiedy Noah pocałował mnie w czoło i zaprowadził do łóżka. Marzyłam usilnie, żeby zasnąć i śnić jego bliskość. Tymczasem leżałam w jego ramionach, patrząc w ciemność, i słowa Roslyn bez końca powtarzały się w moich myślach.

„Zniszczysz go swoją miłością”.

Jeśli tak, to zniszczę nas oboje.

Zamrugałam i otworzyłam oczy. Nie mogłam skupić wzroku i sufit, który widziałam nad sobą, rozplątał mi się w oczach. Nie sufit naszego gościnnego pokoju. Sufit u Noaha.

Byłam w domu Noaha. Leżałam w jego łóżku.

Nie, chyba śnię. Wtem obok mnie ugiął się materac.

Słowo „koszmar” nieproszone wdarło się w moje myśli i nagle ogarnął mnie strach.

Ale to był tylko Noah – z odwróconą głową wpatrywał się w rzędy książek na regałach zajmujących całą ścianę. W słabej poświacie, przesączającej się przez zasłony, jego piękna twarz nabrała ostrych konturów.

Noah nie mógł być sennym koszmarem.

Uniosłam się i ostrożnie uklęknęłam na łóżku, bojąc się, że wystarczy gwałtowniejszy ruch, a sen uleci. Sięgnęłam i delikatnie odgarnęłam mu włosy z czoła. Był realny, żywy i ciepły, choć nie poruszył się, nie zareagował na moje dotknięcie. Przeczesałam mu palcami włosy, gdyż bałam się, że jeśli się obudzę, już nie odważę się tego zrobić.

Na szczęście nie byłam w realu i nie było się czego obawiać. Przeciągnęłam dłonią po jego szczęce, ciesząc się szorstkim dotknięciem. Dotykanie Noaha traktowałam jako naturalny, lecz zaborczy odruch i nie byłam pewna, jak daleko mogę się posunąć.

Najwyraźniej niezbyt daleko. Noah popatrzył na mnie spojrzeniem przezroczyстым jak woda. W oczach miał beznadziejną pustkę.

– Co się dzieje? – wyszeptałam, ale nie odpowiedział.

Wyraz jego twarzy mnie przerażał. Wpatrywałam się w niego, usilnie pragnąc dostrzec jakieś inne uczucia.

Ze śmiałością, której nie miałabym na jawie, ujęłam jego twarz w dłonie, przyciągnęłam do siebie i pocałowałam w usta. Pocałunek nie był głęboki. Był leciutki. Delikatny. Miękki.

Nie poruszył się, a przynajmniej nie od razu. Zamknął oczy i zacisnął je, jakbym zadała mu ból. Zaczerwieniłam się i zawstydzona odsunęłam się od niego.

A jednak. Noah odgarnął mi włosy z twarzy, zsunął je na plecy. Płaską dłonią, bardzo delikatnie pchnął mnie na materac i pochylił się nade mną,

znacząc moją skórę szlakiem ulotnych pocałunków, pieszcząc mnie wargami. Słyszałam, jak szepcze mi coś do ucha, ale nie rozróżniałam słów. Głuszył je mój oddech. Wsunął swoje dłonie w moje i ostatni raz lekko pocałował mnie w usta. A potem odsunął się, zostawiając coś na mojej rozwartej dłoni.

To coś było ciężkie, ale miękkie. Idealnie mieściło się w mojej ręce. W ciemności nie mogłam dostrzec, co to jest, więc przycisnęłam dar do serca i ruszyłam za Noahem na balkon.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, poczułam, że mam pustkę pod stopami. Unosiłam się w powietrzu, jakbym nic nie ważyła. Odwróciłam się i spojrzałam na dom Noaha, ale pochłaniały go czarne pnącza. Drzewa wystrzelały z ziemi, przebijając dach.

Nie chciałam na to patrzeć. Zamknęłam oczy. „Obudź się – powtarzałam sobie. – Obudź się”.

Otworzyłam oczy tylko po to, żeby zobaczyć, jak wody zatoki podtapiają teren. Budynki w ułamku sekundy zapadały się i rozsypywały pod naporem dżungli. Wpuszczono tu dżunglę i nic nie mogłam na to poradzić.

Zacisnęłam powieki, spinając się wewnątrz. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

Wtedy usłyszałam głosy. Kroki. Zbliżały się, ale powieki miałam jak z ołowiu; nie chciały się otworzyć. Dopóki nie poczułam, jak piórko muska mój policzek. Moje płuca wypełniły się powietrzem, a oczy otworzyły się i świat nasycił się kolorami. Kiedy się obudziłam, nie byłam sobą.

Jakiś mężczyzna klęczał przy mnie; wyglądał znajomo, lecz nie znałam jego imienia. Odsunął piórko od mojego policzka i położył mi je na dłoni. Przesunęłam kciukiem po jego krawędzi. Była taka miękka.

– Pokaż mi, co masz w drugiej ręce – poprosił uprzejmie.

Posłuchałam. Rozwarłam palce, żeby pokazać, co tam trzymam.

To było serce Noaha.

Obudziłam się w kuchni. Siedziałam przy stole, wpatrzona w ciemne okno nad zlewem. Noah siedział obok. Znów musiałam lunatykować, ale poczułam ulgę, kiedy spojrzałam na jego pierś – była nienaruszona, a on sam był cały i żywy.

Koszmar nie wydarzył się naprawdę. Noahowi nic się nie stało.

Ale kiedy spojrzałam mu w oczy, była w nich rozpacz i pustka. Beznadzieja. Tak patrzył na mnie we śnie, zanim dał mi swoje serce.

– Co się stało? – zapytałam spanikowana.

– Nic – odpowiedział i jego dłoń odszukała moją. – Wracaj do łóżka.

Noah obudził mnie po paru godzinach, nagłąc, żebym wróciła do swojej sypialni, zanim reszta domowników się obudzi. Posłuchałam, choć byłam niespokojna i nie chciałam być sama.

Czułam się okropnie. Mięśnie miałam napięte i obolałe. Zatrzeszczało mi w karku, kiedy się prostowałam. Skóra mnie paliła i ubranie ocierało się o nią boleśnie. Miałam poczucie, że nie jestem sobą, jakby ktoś w nocy wsączył w moje ciało inną osobowość.

Co się ze mną działo?

Weszłam do łazienki i zapaliłam światło. Widok w lustrze był dla mnie szokiem.

Zobaczyłam siebie w przyszłości, jakbym w ciągu godziny postarzała się o cały rok – to nadal byłam ja, ale nie ta sama. Policzki mi się zapadły, a spojrzenie było puste.

Czy tylko ja to widziałam?

Czy Noah też to widział?

– Wystarczy, że popatrzysz – powiedziałam do niego, samotnego w swoim łóżku.

– Patrzyłem, Maro.

Jeżeli widział, jak się zmieniam, muszę wiedzieć, co zobaczył. Kiedy ocknęłam się w kuchni, Noah był przerażony; wcześniej też lunatykowałam, ale nigdy tak na mnie nie patrzył.

Czułam się nieznośnie. Położyłam się do łóżka, ale długo trwało, zanim w końcu zasnęłam.

– Dzień dobry, śpiochu! – zawołała mama, wsuwając głowę w drzwi. – Już prawie południe.

Miałam wrażenie, jakby ktoś skleił mi powieki. Z jękiem oparłam się na łokciu.

– Dobrze się czujesz?

Kiwnęłam głową.

– Jestem po prostu zmęczona.

– Chcesz jeszcze poleżeć?

Chciałam, ale nie mogłam.

– Nie, zaraz wstanę.

– Zrobić ci obiad? A raczej śniadanie?

Nie byłam głodna, jednak powinnam coś zjeść.

– Fajnie, dzięki.

Mama uśmiechnęła się do mnie i wyszła. Powoli podniosłam się z łóżka i przez chwilę stałam, oparta o szafkę.

Ciągle widziałam Noaha. Takiego jak w kuchni, jak w moim śnie. Coś było bardzo nie w porządku. Potrzebowałam pilnie z nim porozmawiać, gdyż nie byłam w stanie skleić tego wszystkiego w całość – mój sen, wisiorki, moja babcia, fotografia. Rozpadałam się, a kawałki rozwiewał wiatr.

Kiedy wreszcie się ubrałam i zeszłam do kuchni, Joseph jadł kanapkę i oprócz niego była tam tylko mama.

– Gdzie się podziała reszta? – zapytałam, siląc się na normalny ton.

– Tata gra w golfa – odpowiedział Joseph z pełnymi ustami.

Dalej.

– Daniel pojechał na próbę Sophie przed recitalem, który ma za parę tygodni.

Dalej.

Niestety, żadne nie raczyło wspomnieć o Noahu. Usiadłam i nalałam sobie soku. Zerknęłam na telefon. Muszę zadzwonić.

– Noah pojechał po coś do domu – powiedziała mama i w jej głosie wyczułam uśmiech. – Wróci później.

A więc byłam tak przewidywalna. Cudownie.

– Chcesz tosta?

– Tak, poproszę.

– Jakie macie dzisiaj plany? – zapytała, zwracając się do mnie.

– Jazda konna – odparł Joseph, odgryzając kolejny kęs.

– Nawet nie wiem, gdzie tu się jeździ.

– Ale Noah wie. On wie wszystko – stwierdził mój brat.

– Widzę, że rodzi się kult idola.

Mama podsunęła mi talerzyk z tostami, obrzucając Josepha byстрыm spojrzeniem.

– Myślę, że powinniśmy dzisiaj dać Noahowi wolne, żeby mógł dysponować swoim czasem wedle uznania. Co byście powiedzieli na kino?

Joseph westchnął.

– Na co mamy iść?

– Na co chcesz...

Joseph uśmiechnął się chytrze.

– Byle było dozwolone do 13 lat – dokończyła mama.

Mina mu zrzedła, ale za moment znów się ożywił.

– Może być *Aftermath*?

Mama skrzywiła się lekko.

– Czy to jest o kosmicznej epidemii?

Joseph przytaknął skwapliwie.

Mama przeniosła spojrzenie na mnie.

– Zgadzasz się?

Nie bardzo miałam ochotę na wyjście. W ogóle nie miałam na nic ochoty. Najchętniej pobyłabym sama w domu. Poczytałabym *Nowe teorie* albo poszukałabym w necie wiadomości na temat symboli związanych z wisiorkiem czy coś w tym stylu.

Było jednak jasne, że mama nie zostawi mnie samej i gdybym powiedziała, że nie chcę nigdzie iść, od razu zaczęłaby dociekać dlaczego. To z kolei pogłębiłoby jej troskę o mnie i w rezultacie byłaby jeszcze mniej skłonna rozluźnić mój więzienny reżim. Dlatego nie protestowałam. Przynajmniej sprawię przyjemność Josephowi.

Do wyjścia zostało jeszcze trochę czasu, więc postanowiłam zadzwonić do Noaha, żeby zapytać go o wczorajszą noc. Jednak po namyśle stwierdziłam, że mama ma rację. Zasłużył sobie na wolne.

Nic dziwnego, że kiedy po chwili stanęłam w drzwiach pokoju gościnnego, ogarnęło mnie poczucie winy. Nie wiedziałam, czego szukam, dopóki moje spojrzenie nie zatrzymało się na tym.

Nie ruszałam jego rzeczy. Nie zajrzałam do jego czarnego, nylonowego worka. W pokoju był idealny porządek, jakby gdyby nikt tam nie nocował ani nawet nie wchodził. Noah pozbiierał wszystkie swoje rzeczy. Ale zanim odwróciłam się do wyjścia, zauważyłam wystający róg jakiegoś przedmiotu tkwiącego pomiędzy łóżkiem a ścianą.

Notatnik.

Noah nie robił notatek.

Zrobiłam krok w głąb pokoju. Może to nie był jego notes. Może Daniel albo Joseph zostawili tu swój i potem o nim zapomnieli? Albo ich koledzy? Sprawdzę pierwszą stronę. Z czystej ciekawości.

Nie. Zawróciłam i wyszłam z pokoju. Na korytarzu wyjęłam komórkę, żeby zadzwonić do Noaha. Zapytam, czy to jego notatki, i jeśli okaże się, że tak, będzie przynajmniej wiedział, że nie nadużyję jego zaufania i nie zajrzę do nich.

Mój wewnętrzny monolog trwał, kiedy wybierałam numer, a potem wsłuchiwałam się w sygnał. W końcu usłyszałam kliknięcie, ale włączyła się

tylko poczta głosowa. Nie odbierał.

W następnej chwili znów znalazłam się w pokoju.

Byłam niemal pewna, że notatnik nie należy do Noaha. Nie robił notatek w szkole, ani też nie widziałam żadnego dziennika u niego w domu. Tym bardziej nie było powodu, żeby przyniósł coś takiego do mnie, zwłaszcza w ferie. Po prostu sprawdzę tylko, co to za zeszyt, i nie będę się wczytywać w jego zawartość.

Zmagania Golluma/Smeagola. Zwycięży dobro czy zło?

Zrobiłam krok w stronę łóżka. Jeżeli notes należy do Noaha, prawa wszechświata wskazują, że zacznę go czytać.

Łatwiej jest jednak prosić o wybaczenie niż o pozwolenie. Zrobiłam kolejny krok. I jeszcze jeden. Sięgnęłam po notatnik i tłumiąc w sobie poczucie winy, zabrałam się do czytania.

Oto nieprofesjonalny zapis obserwacji oraz luźnych przemyśleń Noaha Elliota Simona Shawa, dotyczący Mary (drugie imię dotąd nieznanne) Dyer i jej domniemanych metamorfoz.

Mara właśnie wyszła. Chwilę wcześniej dokonaliśmy całopalenia babcinej lalki, która okazała się (niefortunnie) wypchana ludzkimi włosami oraz wisiorkiem identycznym jak mój. Zrozumiałe jest, że taki rozwój wydarzeń mocno nas poruszył, a z drugiej strony otworzył nowy kierunek wyjaśnienia zagadki naszej pieprzonej inności.

Pocałowałem ją. Była zachwycona.

Zrozumiałe.

Gdybym nawet miała do kogo mówić, i tak nie byłabym w stanie wykrztusić słowa.

Zamrugałam gwałtownie, wpatrzona w kartki notesu i w słowa zapisane jego charakterem pisma, aby upewnić się, czy naprawdę widzę to, co widzę.

Słowa nie znikły. Wiedziałam, kiedy Noah zaczął te notatki. Po tym jak mu powiedziałam, że boję się stracić kontrolę nad sobą. Albo stracić siebie. Po tym jak mu powiedziałam...

Nie mogłam oderwać oczu od tekstu. Mój głos we wspomnieniu brzmiał tak samo chrapliwie jak wtedy.

„Powiedz mi, co widzisz. Sama już nie wiem, co jest rzeczywistością, a co nie; co jest nowe albo dziwne. Nie mogę ufać sobie, ale tobie ufam”.

Noah zacisnął powieki. Wymówił moje imię. Wtedy powiedziałam:

„Albo nie. Nic mi nie mów, bo mogę nie zapamiętać. Napisz to i kiedyś, pewnego dnia, jeśli jakimś cudem poczuję się lepiej, daj mi do przeczytania. Bo inaczej będę się zmieniać niedostrzegalnie, dzień po dniu, i przestanę to wreszcie zauważać. A wówczas będzie za późno”.

Gardło mi się ścisnęło. Noah napisał to dla mnie.

Mogłabym dalej nie czytać. Odłożyć notatnik, powiedzieć mu, że go znalazłam, i przyznać, że przeczytałam tylko pierwszy akapit. Wyjaśnić, że chciałam jedynie sprawdzić, do kogo ten notatnik należy – a sprawdzwszy, momentalnie przerwałam czytanie.

Niestety, nie mogłam się na to zdobyć. Przewróciłam stronę.

Ruth informuje mnie, że kiedy ojciec wróci, będzie oczekiwał, że znowu zacznę chodzić do szkoły i będę regularnie uczęszczać na lekcje. Słucham cierpliwie, ale czuję się kompletnie zdystansowany i wyobrażam sobie tę sytuację w żałosnych, nieistotnych detalach.

Spoglądam tępo ponad głowami nauczycieli, słuchając, jak gędzą jednostajnie o rzeczach, które już znam. Wychodzę z lekcji i kładę się na stole w pseudotropikalnym szataście. Leżę nieruchomo, starając się odprężyć.

Obok przechodzi grupa dziewczyn; pochylają się nade mną. Żałuję, że nie jestem kameleonem. Otwieram oczy, mierzę je spojrzeniem i dziewczyny odskakują od stołu. Chichoczą, śmieją się i słyszę, jak jedna szepcze: „zbyt perfekcyjny”. Mam ochotę potrząsnąć nimi i wykrzyknąć im w twarz, że ten Dawid Michała Anioła za chwilę się rozsypie.

W moim poprzednim życiu, które wydaje się tak odległe, choć minęło zaledwie parę miesięcy, skłonny byłem flirtować z każdą, która w danym dniu wydała mi się choć odrobinę interesująca. Jeśli miałem szczęście, trafiała mi się pojedyncza kandydatka. A potem liczyłem godziny, minuty i sekundy, czekając, aż skończy się kolejny, jałowy dzień.

Wreszcie wracałem do domu. Albo jechałem do nowego klubu z Parkerem czy innym dupkiem, który przed wejściem zarzucał szkolny blezer na ramię i stawiał kołnierzyk swojego pieprzonego polo. Wychodziłem stamtąd chwiejnie, z dwiema pięknymi dziewczynami bez twarzy, uwieszonymi u ramion, a tępe dudnienie klubowej muzyki współgrało z pulsowaniem w skroniach, przebijając się przez opary ekstazy i alkoholu. Piłem i nie czułem nic, śmiałem się i nie czułem nic; widziałem swoje życie za kolejne trzy, pięć czy dwadzieścia lat i nienawidziłem go.

Ta wizja napętnia mnie tak śmiertelną nudą, że mam ochotę umrzeć, tu i teraz, tylko po to, żeby poczuć wreszcie coś prawdziwego.

Strona się skończyła i uświadomiłam sobie, że już nie stoję, tylko leżę na łóżku. Przed sobą mam rozłożony ten notatnik, czy może dziennik, i lewą ręką zakrywam usta. Czytając słowa Noaha, słyszałam jego głos. Brzmiała w nim osobliwa, nieznaną mi gorycz. Przewróciłam stronę.

Za pieniądze można kupić wszystko, czyli nic. Nic na temat Lukumiego czy jak mu tam ani na temat Jude'a. Nawet poszukiwania jego rodziny utknęły w miejscu. Po katastrofie urywają się wiadomości o Claire Lowe, jej bracie oraz ich rodzicach, Williamie i Deborah. Było tylko wspomnienie pośmiertne w gazecie z Rhode Island, ze wskazaniem donacyjnymi. Zapewne po wypadku –

albo przypadku – rodzice wyprowadzili się stamtąd. Nie pomogły koneksje Charlesa; zero rezultatów. Pierwszy raz się zdarzyło, że taki wyga jak on nie jest w stanie kogoś namierzyć. Im bardziej staram się dotrzeć do prawdy, tym bardziej się ona oddala. Nienawidzę poczucia, że wyczerpałem już wszystkie możliwości. Powinienem sam pojechać do Providence, ale nie chcę zostawiać Mary samej.

Może jeszcze z nią porozmawiam, ale ostatnio ma głowę nabitą różnymi psychologami z Horyzontów. Nie tylko ja potrafię nieładnie pogrywać z innymi. Może dlatego tak do siebie pasujemy.

To były pierwsze słowa, które wywołały u mnie uśmiech. Uleciał, kiedy przeczytałam następne.

Przeglądam rzeczy po zmarłej matce. Zapomniałem o nich na całe lata i teraz czuję pustkę, szperając w pudłach, w większości wypełnionych zaczytanymi, pełnymi podkreśleń książkami. Singer i Ginsberg, Hoffman i Kerouac; filozofia i poezja, radykalizm i rock. Przewracam poźółkłe strony z oślimi uszami, zastanawiając się, czy możliwe jest poznanie kogoś poprzez jego ukochane lektury. W niektórych tomach znajduję fotografie. Przeważnie są na nich ludzie, których nie znam, ale na paru jest mama. Ma w sobie żar.

Nagle moją uwagę przyciąga książka z zupełnie innej bajki – Mały książę. Kiedy ją otwieram, wypada czarno-białe zdjęcie – mama sfotografowana od tyłu, trzyma za rączkę jasnowłosego chłopczyka i patrzy na niego. Uświadamiam sobie, że to mnie trzyma za rączkę. Kiedy dorosłem, włosy mi ściemniały.

Czerwona plama przesącza się przez fotografię i rozplywa się, zalewając nasze splecione dłonie. Słyszę krzyki, wrzaski i głos chłopca błagający, żeby zawróciła.

Tu tekst się kończył i pojawił się dopiero na następnej stronie. W gardle mnie piekło i drżały mi ręce. Nie powinnam tego czytać, ale nie mogłam przestać.

Kolejna bójka.

Byłem mocno wkurzony całym tym przekrętem z Lukumim, kiedy usłyszałem, że jakiś gość na Calle Ocho wypowiada umiarkowanie obelżywe słowa pod adresem swojej dziewczyny. Podszedłem i powiedziałem mu coś wybitnie obraźliwego, w nadziei, że rzuci się na mnie.

Rzucił się.

Walka to dla mnie wolność, której nie da się z niczym porównać. Nie można mnie zranić, więc niczego się nie lękam. Co innego moi przeciwnicy, którzy boją się uciepieć. To ułatwia mi sytuację i zawsze wygrywam.

Dzwoni Mara. Liczyła na odpowiedzi, ale nie mam żadnych i nie chcę, żeby o tym wiedziała.

Musiał napisać ten fragment w czwartek, gdy nie pojawił się u mnie. Gdy wreszcie się do niego dodzwoniłam, jego głos brzmiał dziwnie i bałam się, że coś się stało. Pozostawił mnie w niepewności.

Kiedy jej nie widzę, jej duch krąży w moich żyłach. A kiedy zobaczyłem Marę dzisiaj, po całym dniu przerwy, była już inna.

Inna... To słowo wsączyło się w moje żyły.

Przemiana jest subtelna. Niemal niezauważalna; nie dostrzegłbym jej, gdyby Mara sama mi o tym nie powiedziała. Może jesteśmy zbyt blisko. Ale teraz już widzę, że każdy, nawet krótki czas rozstania wyostreza zmiany i obserwuję ją uważnie, dlatego wiem. Nadal jest piękna – jak zawsze – ale jej kości policzkowe stały się bardziej wydatne. Jej obojczyki są jak wyrzeźbione. Miękkosć, którą tak kocham, jest powoli wsysana do wewnątrz albo wysysana od zewnątrz, nie wiem.

Nie chcę jej o tym mówić. Niepotrzebnie zdenerwowała się wtedy na festynie, kiedy jakaś oszołomka wcisnęła jej kit o przeznaczeniu i fatum. I bez tego jest źle.

Napisał to wczoraj.

Próbowałam dopasować jego wynurzenia do momentów, w których o nich myślał, do momentów, kiedy był ze mną. Po przerwie Noah podjął pisanie jeszcze na tej samej stronie.

Nie mogę zapomnieć pocałunku.

Zabawne. Ledwie jej dotknąłem, a było to tak niepokojąco intymne. Wyprężyła się ku mnie, ale położyłem jej rękę na brzuchu i opadła pod dotknięciem mojej dłoni. Chyba jeszcze nigdy nie była tak niebezpiecznie piękna jak w tamtej chwili.

Nie tylko ona się zmienia. Z każdym dniem Mara formuje mnie w coś innego. Jestem definitywnie napalony.

Leżenie z nią w jednym łóżku to wspaniała tortura. Obrastam ją jak mech konar; nasze serca synchronizują swój rytm i stajemy się żywą dwójką. Mara potrafi postawić mnie na baczność jednym spojrzeniem. Wtedy słyszę płaczące skrzypce, podszyte zmysłowym nurtem wiolonczeli. Ten nurt wibruje mi pod skórą, aż mam ochotę pochłonąć ją w całości, ale zaciskam tylko szczęki, przyciskam wargi do jej szyi i sycę się rozedrganiem jej ciała. Po chwili tony zaczynają łagodnieć, kiedy Mara zapada w sen. Teraz jej aura brzmi jak syrenia pieśń wabiąca mnie ku skałom.

Myśli, że jej nie pożądam, i niemal chce mi się śmiać, że tak bardzo się myli. Zanim jednak jej to udowodnię, musi pokonać swoje demony, a przynajmniej jednego z nich. Słyszy we śnie imię Jude'a i dźwięk staje się ostry, narasta; strach przyspiesza oddech i tętno. Przez niego coś w niej pękło i Bóg mi świadkiem, że on zapłaci mi za to.

Nie mogę zabić jej smoka, bo nie mogę go znaleźć, dlatego na razie mogę tylko być przy niej.

To nie wystarczy.

Mój smok. Moje demony.

Noah był przekonany, że to z winy Jude'a boję się z nim całować. I jeżeli dalej będę się bała, a on posunie się za daleko, zaszczuje mnie w taki sam sposób, jak obecnie czyni to Jude.

Nie uwierzył mi, kiedy zapewniałam, że nie boję się o niego. Nie rozumie, że boję się tylko o siebie.

Dalej strony były puste. Przerzuciłam piątą, siódmą i dopiero na trzydziestej znalazłam jeszcze coś:

Moja teoria: Mara potrafi manipulować zdarzeniami, tak jak ja potrafię manipulować komórkami żywego organizmu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób działają nasze zdolności, ale to w sumie nieważne.

Próbuję skłonić ją, żeby wyobraziła sobie coś dobrego i bezpiecznego. Mara patrzy na mnie, koncentruje się, lecz brzmienie jej aury nigdy się nie zmienia. Czy ma to związek z pragnieniami? Może ona nie pragnie niczego dobrego?

Koszmary sen:

Słoneczny blask przesącza się przez zasłony w mojej sypialni, oświetlając Marę, która siedzi na łóżku i rysuje. Ma moją koszulę, zbyt obszerny łach

w czarno-białą kratę, na który normalnie nie zwróciłbym uwagi, ale kiedy ona go nosi, wygląda pięknie.

Gładka skóra jej nagiego uda wyziera spod mojego ramienia, kiedy Mara mości się wygodniej w mojej pościeli. W ręku trzymam książkę: Zaproszenie na egzekucję Nabokova. Usiłuję ją czytać, ale nie mogę wyjść poza ten fragment:

„Pomimo wszystko kochałem cię i będę cię kochał – na kolanach, z ramionami ściągniętymi do tyłu, pokazując katu pięty i naprężając gęsią szyję – wszystko jedno, nawet wtedy. I potem – może przede wszystkim potem – będę cię kochał i kiedyś dojdzie między nami do prawdziwych, wyczerpujących wyjaśnień – i wtedy już jakoś dopasujemy się do siebie, zetkniemy właściwymi krawędziami, rozwiążemy łamigłówkę: przeprowadzić z takiego to do takiego to punktu... tak, żeby ani razu... albo – nie odrywając ołówka... albo jeszcze jakoś inaczej... połączymy, przeprowadzimy i powstanie ze mnie i z ciebie ten jedyiny w swoim rodzaju nasz wzór, do którego tak tęsknię”.¹

Utknąłem na tym fragmencie, ponieważ usiłuję sobie wyobrazić dotyk jej uda pod moim policzkiem.

Grafit ołówka skrobie po kartonie szkicownika, tworząc ścieżkę dźwiękową do mojego odlotu. To oraz brzmienie aury Mary – dysonansowe i przejmujące. Jej oddech i puls są moją nową, ulubioną symfonią; zaczynam uczyć się nut i interpretować je. Są w tej muzyce gniew i błogość, lęk i pożądanie – ale to ostatnie Mara zawsze trzyma na wodzy. Na razie.

Słońce śpiewa w jej włosach, kiedy przechyla głowę, oceniając postępy szkicu. Rysuje lekko pochylona, po kociemu wygięta. Moje serce wystukuje jej imię. Mara zerka na mnie przez ramię i uśmiecha się leciutko, jakby słyszała.

Dosyć.

Ciskam książkę na podłogę. Cenne pierwsze wydanie, ale nie dbam o to. Wtulam się w nią. Ze skrywaną troską chroni swój szkicownik. Fajnie. Nie tego pragnąłem.

– Chodź do mnie – szepczę jej w skórę. Obracam ją twarzą ku sobie. Wsuwa mi palce we włosy i przymykam oczy pod jej dotknięciem.

Całuje mnie pierwsza, co dotąd się nie zdarzyło. Pocałunek jest leciutki, świeży i łagodny. Ostrożny. Nadal się obawia, że może mnie w jakiś sposób skrzywdzić; jeszcze nie pojęła, że to niemożliwe. Nie mam pojęcia, co dzieje się w jej umyśle, ale nawet gdybym miał dochodzić do tego latami, warto podjąć ten trud. Gotów jestem czekać przez wieczność, aby zobaczyć Marę wyzwoloną.

Odsuwam się, żeby znów na nią popatrzeć, ale coś jest nie tak. Coś się urwało. Spojrzenie ma szkliste, nieobecne, rozmyte łzami.

– Wszystko w porządku?

Kręci głową. Wycieka łza, spływa po policzku. Trzymam jej twarz w dłoniach.

– Co jest?

Zerka na odłożony szkicownik. Usuwa się z drogi. Sięgam po niego.

To mój portret, ale zamiast oczu mam czarne studnie. Spoglądam na nią spod zmrużonych powiek.

– Dlaczego to narysowałaś?

Znów kręci głową. Moja frustracja rośnie.

– Powiedz mi.

Mara otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale nie może. Nie ma języka.

Kiedy się budzę, Mary już nie ma.

Leżę samotnie w łóżku. Spoglądam na sufit, a potem na zegar. Trzy minuty po drugiej. Czekam jeszcze pięć minut. Po dziesięciu wstaję, żeby jej poszukać.

Znajduję ją w kuchni. Siedzi przy stole, wpatrzona w swoje odbicie w ciemnym oknie, czubkiem długiego noża naciskając kciuk. Nagle nie jestem już w Miami, tylko w Londynie, w gabinecie ojca; mam piętnaście lat i jestem jak w transie. Macam po blacie biurka, przy którym ojciec nigdy nie siedzi, i znajduję jego nóż. Przeciągam ostrzem po skórze...

Mruganiem odpędzam tę wizję i w desperacji szepczę imię Mary. Nie odpowiada, więc podchodzę do niej, biorę ją za rękę i łagodnie wyjmuję nóż z dłoni.

Uśmiecha się i ten pusty uśmiech ścina mi krew, gdyż taki sam widziałem przed chwilą u siebie.

Rano Mara nic nie pamięta.

Jest 29 marca.

Oddech zamarł mi w piersi, kiedy przeczytałam tę datę. To było dzisiaj.

Moja głowa była wrzącym tygłem myśli i żadna nie wypłynęła na powierzchnię, dopóki nie usłyszałam, że Daniel woła mnie z dołu.

W pośpiechu wsunęłam notatnik tam, gdzie go znalazłam, wymknęłam się z pokoju gościnnego i ruszyłam do kuchni. Daniel czekał tam na mnie, kręcąc kluczykami.

– Wyjeżdżamy – powiedział.

Spojrzałam na korytarz.

– Wiesz, wołałabym...

– Wiem, zostać w domu. Zaufaj mi. – Brat posłał mi tajemniczy uśmiech.

– Jeszcze mi podziękujesz.

Bardzo w to wątpiłam. Marzyłam, żeby zostawili mnie w spokoju i dali pomyśleć. O tym, co mam powiedzieć Noahowi, kiedy się z nim zobaczę. Dlaczego sięgnęłam po dziennik i jakie wrażenia mam po lekturze.

Fragmenty dotyczące mnie to jedna sprawa. Noah pisał je z myślą o mnie, miałam je kiedyś przeczytać.

Ale reszta? Reszta była jego. O nim. Okropnie się z tym czułam.

– Uratowałam cię przed pójściem na ten beznadziejny film z mamą i z Josephem. Idziemy – powiedział Daniel, zamaszystym gestem wskazując na drzwi. – IDZIEMY.

Był tak władczy, że posłusznie ruszyłam za nim do samochodu.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam niedbałym tonem.

Usiłowałam zachowywać się normalnie.

– Będziemy świętować twoje urodziny.

– Przykro mi to mówić, ale trochę się spóźniłeś.

Daniel pogładził podbródek.

– Jasne, rozumiem, z twojej nieoświeconej perspektywy tak to może wyglądać. Jednakże, ze względu na fakt, że twoje kalendarzowe urodziny przypadły w okresie, który można określić jako „Mroczna Epoka”, jednogłośnie uznano i ustalono, że trzeba urządzić poprawiny.

Spojrzałam na niego z ukosa, kiedy wjeżdżaliśmy na autostradę.

– Kto jednogłośnie uznał i ustalił?

– Wszyscy. Cały świat. Świat mówi tylko o Marze Dyer, nie wiesz o tym?

Westchnęłam.

– Nie zdradzisz mi, dokąd jedziemy, prawda?

Daniel udał, że zaciąga sobie suwak na ustach.

– Dobra – mruknęłam.

Trudno było się nie uśmiechnąć, choć byłam w kiepskim nastroju. Brat pragnie mnie uszczęśliwić. To nie jego wina, że jestem w dołku, tylko moja.

W końcu zaparkowaliśmy pod mariną, czego ewidentnie się nie spodziewałam. Wsiadłam z auta i żwir zazgrzytał mi pod nogami. Daniel nie ruszył się z za kierownicy. Pochyliłam się nad jego okienkiem i opuścił szybę.

– Dalej pójdziesz sama – powiedział i zasalutował mi na pożegnanie.

Obejrzałam się na wejście. Niebo zaczęło się zmieniać i srebrnoróżowe chmury pojawiły się nisko na tle lasu masztów. Oprócz nas nie było tu nikogo.

– Co mam robić? – spytałam niepewnie.

– Dowiesz się w stosownym czasie.

Realizowano tu jakiś plan, prawdopodobnie uwzględniający Noaha, co skłaniało mnie do płaczu i śmiechu zarazem.

– Czy mama wie?

– Mniej więcej... nie do końca.

– Daniel...

– Poradzimy sobie, nie martw się. Zasłużyłaś na to. Hej, obejrzyj się!

Odwrociłam się. Mężczyzna w stylizowanym marynarskim mundurze, niosący pokrowiec na ubranie, zszedł z długiej kei i zbliżał się do nas. Spojrzałam na Daniela, ale zasunął szybę. Mrugnął do mnie i pomachał mi.

Gula rosła mi w gardle, kiedy machałam mu na pożegnanie. Nie zasłużyłam na niego.

Mężczyzna w mundurze powiedział do mnie:

– Zechce pani pójść ze mną, panno Dyer. Zapraszam na pokład.

Uśmiechnęłam się, ale mój uśmiech nie sięgnął oczu. Wcześniej bałam się, że Noah przyłapie mnie na czytaniu jego dziennika. I będzie wściekły. Zaczniemy się kłócić. Liczyłam, że jakoś się wytłumaczę i znów będzie dobrze.

Teraz, kiedy zmierzałam ku wielkiej niespodziance, przygotowanej zapewne z gestem i z rozmachem, miałam poczucie, że jest zatruta moją zdradą. Muszę koniecznie mu się przyznać; im dłużej będę zwlekać, tym gorzej dla mnie.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Ron, poprowadził mnie na sam koniec kei. Powietrze było przesiąknięte wonią soli i wodorostów, a fale pluskały pod pomostem dudniącym od naszych kroków. W końcu

stanęliśmy przed smukłym, pięknym motorowym jachtem. Ron pomógł mi przejść po trapie i poprosił, żebym zdjęła buty przed wejściem na pokład. Jasne, nienagannie gładkie deski lśniły pod moimi bosymi stopami.

Zapytał, czy mam ochotę na drinka. Powiedziałam, że tak, choć nie miałam ochoty.

Na pokładzie zaczął się ruch. Zdejmowano cumy i wyglądało na to, że zaraz odpływamy.

– Dokąd płyniemy? – spytałam.

– To nie będzie długi rejs – odparł z uśmiechem Ron.

Popatrzyłam na niebo; zbliżał się zachód słońca i zastanawiałam się, kiedy zobaczę Noaha.

Ron podał mi torbę z ubraniem.

– Mam ci przekazać, że nie musisz się przebierać, jeśli nie zechcesz, ale strój został uszyty specjalnie dla ciebie. Wszystko jedno, jak zadecydujesz – w każdym razie jest twój.

Coś zatrzepotało mi w piersi i w myślach, kiedy ochoczo wzięłam od niego torbę.

– Czy zechcesz przejść do swojej kajuty?

Podziękowałam mu i poprowadził mnie wąskim przejściem, przez schody i drabinki. Zeszliśmy pod pokład, do miniaturowego holu, w którym znajdowały się wejścia do kajut i pomieszczeń służbowych. Mężczyzna w białej, wysokiej czapce pracował w kuchni. Minęliśmy jeszcze dwie kajuty i weszliśmy do trzeciej. Wszędzie wypatrywałam Noaha i nigdzie go nie było.

– Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała – powiedział Ron.

– Dzięki.

Skinął mi głową i zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie samą.

Kajuta była miniaturą hotelowego pokoju. Biała, puszysta kapa okrywała łóżko ze skórzanym, wyściełanym wezgłowiem, które miało po bokach lampy z ustawnym wysięgnikiem. W ścianie, pod rzędem bulajów, był wbudowany barek. Położyłam torbę na łóżku i rozsunęłam suwak.

W środku zobaczyłam ciemnoniebieski materiał, który wydawał się niemal czarny w dyskretnym świetle kajuty. Wyjęłam z torby sukienkę – a właściwie suknię bez ramiączek. Tkanina lała mi się przez palce jak woda. Kreacja była niezwykła; tak miękka, tak idealna, że niemal nierzeczywista. Włożyłam suknię i stanęłam przed ściennym lustrem.

Miałam wrażenie, jakbym ubrała się w noc. W tym kolorze moja blada skóra miała perfekcyjny, alabastrowy odcień. Suknia łagodnie i zarazem

ponętnie opływała moje kształty, jak gdyby jej twórca zaprojektował wszystkie linie i krągłości mego ciała. Akt ubrania się w nią był tak intymny, że skóra zapłonęła zmysłowym żarem.

Jednak najbardziej zdumiewające było wrażenie, że moje odbicie w lustrze wydawało się bardziej znajome i należące do mnie niż kiedykolwiek.

Kiedy wreszcie się na nie napatrzyłam, otworzyłam szafę, żeby poszukać pantofli. Nie znalazłam ich. Przeszukałam dolne półki, gdzie powinny być buty, ale nie zobaczyłam żadnego pudełka.

Dokładnie mówiąc, nie znalazłam pudełka do butów. Kiedy z rezygnacją rozejrzałam się po kajucie, zauważyłam niewielkie pudełeczko na nocnej szafce wbudowanej w wezłowie łóżka. Była to kasetka obita czarnym aksamitem.

Kasetka na biżuterię. Stała na kremowej kopercie. Zdjęłam kasetkę, drżącymi rękami otworzyłam kopertę i w napięciu rozłożyłam kartkę. Oddech uwiązał mi w gardle, kiedy zobaczyłam pismo Noaha.

„To należało do mojej matki, ale było przeznaczone dla ciebie”.

Serce tłukło mi się w piersi i puls dudnił pod skórą, kiedy odłożyłam kartkę i wreszcie zajrzałam do kasetki.

Mroczny klejnot miał kolor nieba o północy i skrzył się ogniem. Sto albo i więcej diamentów otaczało lśniąca łąką królewski szafir i rozciągało się w długi łańcuszek, który zwisał z mojej dłoni. Nigdy w życiu nie widziałam takiego dzieła sztuki jubilerskiej. Niemal bałam się założyć je na szyję.

Niemal.

Zerknęłam na drzwi. Podświadomie oczekiwałam, że Noah wejdzie i zapnie mi łańcuszek na szyi, ale nic takiego się nie stało i byłam skazana na siebie. Naszyjnik był masywny, ale nie czułam jego ciężaru. Dopasował się idealnie.

Upięłam włosy w luźny kok i wyszłam z kajuty. Bose stopy bez problemu wyczuły szczeble drabinki. Za chwilę znajdę się na pokładzie, spodziewając się tam Noaha. Z bijącym sercem wyłoniłam się z luku, zagryzając wargi.

Nie było go.

Jaki zawód. Powoli wypuściłam powietrze i zdałam sobie sprawę, że kurczowo trzymam się poręczy. Rozejrzałam się. Odpłynęliśmy już daleko od przystani i dziób jachtu pruć ciemny, turkusowy przestwór wody, usiany innymi łodziami. Dywany alg unosiły się na powierzchni poprzecinanej pianistymi szlakami kilwaterów. Byli też ludzie: paru pływało na materacach, inni startowali na kiteboardach z pokładu swoich jachtów. Minęliśmy starszego pana z twarzą czerwoną od słońca, trzymającego się pomarańczowego makaronu, w przeciwsłonecznych okularach w neonowozielonych oprawkach i z jaskraworóżową puszką piwa w ręku. Lansiański student w kraciastych spodenkach i w śmiesznym słomkowym kapelusiku sterował lśniącem jachtem, który pulsował rytmami głośnej, kiczowatej muzyki. Cisnął niedopałek w wodę. Dupek.

A potem przepłynęliśmy pod pięknym, białym, oldskulowym zwodzonym mostem, jarzącym się lampami, i otoczenie się zmieniło. Minęliśmy pole golfowe z rzędem palm na skraju i płynęliśmy wzdłuż pięknych nadmorskich rezydencji. W ogrodach rosły drzewa brzoskwiniowe i oliwkowe, a spośród różanych pergoli przebierały prywatne korty tenisowe. Na jednym z trawników stała rama drabinowa, niezbędna przy strzyżeniu żywopłotów, które w tym ogrodzie miały fantastyczne kształty różnych zwierząt. W głębi znajdował się dom w tokańskim stylu, wielki jak pałac, z łukowymi arkadami zajmującymi cały fronton.

Stałam oparta o reling, chłonąc ten architektoniczny spektakl – od modernistycznych monstrów ze szkła i stali po stare, urocze siedziby. Pokład bujał się lekko pod moimi bosymi stopami. Ostatnio tyle razy źle się czułam, że z miłym zdziwieniem stwierdziłam, iż nie mam żadnych objawów choroby morskiej.

Głośna muzyka zadudniła mi w uszach i uniosłam głowę. Na jednym z domów ktoś zamontował zewnętrzny system potężnych głośników. Słyszałam wściekłe riffy gitar i grzmiący elektroniczny beat. Solista wydierał się, wyśpiewując o kimś, kto poszedł na dno i walczy o siebie.

Następny był pudełkowaty budynek, prawdopodobnie z lat sześćdziesiątych, a potem wielka, biała rezydencja z oknami, które zdawały się unosić nad wodą. Greckie posągi otaczały nienagannie wypielegnowany trawnik i ten widok wydał mi się dziwnie...

Znajomy.

To zrozumiałe, gdyż był to dom Noaha. Z tej perspektywy z początku go nie poznałam. Zawsze zajeżdżałam od frontu i od razu wchodziłam do środka.

Jednak nic nie wskazywało na to, że mamy tam zacumować. Najwyraźniej zmierzaliśmy do innego celu. Dziwne.

Wkrótce domy ustąpiły miejsca lasowi. Nad brzegiem rosły ogromne bananowce o wystających korzeniach, z których zwisały festony hiszpańskiego mchu spływające aż do wody. Zachodzące słońce odbijało się w falach, a ruchome refleksy tańczyły na liściach. Palmy, ciężkie od kokosów, chwiały się w wieczornej bryzie. W końcu las zaczął rzednąć. Mijaliśmy uschnięte drzewa o pniach wytrawionych słońcem i wiatrem, podtapiane przez pływy. Palma bez korony sterczała na brzegu jak samotny strażnik, celując kikutem w niebo.

Aż wreszcie zobaczyłam, dokąd płyniemy. Przed dziobem pojawiła się wysepka; wcześniej mijaliśmy inne wyspy, ale teraz byłam pewna, że Noah tam jest. Że czeka na mnie.

Podpłynęliśmy do wąskiego pomostu wysuniętego w wodę. Załoga przycumowała jacht i Ron pomógł mi wysiąść, ale został na pokładzie. Gestem głowy pokazał na koniec krótkiego nabrzeża i ruszyłam przed siebie.

Wiatr rozluźnił węzeł i włosy opadły mi ciemnymi falami na nagie ramiona. Deski pod moimi stopami były gładkie, wybielone przez słońce i wodę. Uniosłam rąbek sukni, żeby jej nie przydeptać. Zastanawiałam się, dokąd idę.

Nie musiałam długo myśleć – tam, gdzie kończyła się keja, zaczynał się rząd pochodni wetkniętych w piasek, których płomienie wskazywały mi dalszą drogę. Szłam dalej po plaży, aż wreszcie go zobaczyłam.

Nieprawdopodobne, jak piękna stała się nagle ta cicha, sekretna plaża z Noahem czekającym na mnie, który wyglądał jak bóg seksapilu – smukły, wysoki i ekstrawagancko przystojny, w perfekcyjnie skrojonym smokingu. Rąbek sukni wysunął mi się z dłoni, opadła mi szczęka i stałam tak przez chwilę, ogarnięta stuporem, z pustką w głowie.

– Jesteś – powiedział.

Dźwięk jego głosu, jego widok pozbawiły mnie słów.

Noah w paru krokach znalazł się przy mnie i pochylił głowę, żeby popatrzeć mi w oczy.

– Maro?

Zdolność mówienia nie wróciła.

Uśmiechnął się tym swoim pokrętnym uśmiechem i pomyślałam, że zaraz się rozpadnę.

– Czy mam się martwić?

Udało mi się pokręcić głową.

Cofnął się o krok i otaksował mnie spojrzeniem.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

Posłałam mu promienny uśmiech.

– Ty też.

Głos miałam dziwnie zachrypnięty.

– W swojej fantazji wspomniałaś o smokingu, więc...

– Nie ja – udało mi się powiedzieć. – Moim zdaniem ty w swojej fantazji wspomniałaś o smokingu.

Nawet nie byłabym w stanie wyobrazić sobie Noaha w takim stroju. Uwielbiałam jego luzacki styl, te znoszone T-shirty i koszule, sprane džinsy, ale to... zabrakło mi słów.

– Hmm... – powiedział w zamyśleniu. – Zapewne masz rację.

Mój uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Po prostu mam rację i już.

– Cóż... – Noah popatrzył w stronę kei. – Jeśli chcesz wrócić do domu...

Żywo pokręciłam głową.

– Więc podoba ci się?

Nieziemsko. Kiwnęłam głową.

– Świetnie. Oliver będzie zachwycony.

– Oliver?

– Krawiec, którego rzadko mam okazję wykorzystywać. Ucieszył się, kiedy zadzwoniłem, choć musiał zostawić inne zamówienia, żeby wyrobić się z moim w dwa tygodnie.

– To musiało kosztować.

– Pięć paczek, ale za tę twoją minę dałbym nawet dziesięć. Pójdziemy?

Podążyłam spojrzeniem za jego gestem i zobaczyłam w oddali koc rozłożony na białym piasku, okolony pochodniami. Pomiedzy drzewami rozpięta była kolorowa tkanina.

Noah podszedł do wody i stanął w miejscu, gdzie fale lizały piasek. Podeszłam do niego, uważając, żeby woda nie zmoczyła mi sukni. Słońce już zaszło i szare chmury goniły się po atramentowym niebie.

– To powinienem ci dać na urodziny – powiedział aksamitnym głosem, w którym kryło się jednak coś, czego nie potrafiłam nazwać.

Odwrócił się ku mnie i jego spojrzenie zsunęło się na moją szyję. Zbliżył się o krok, aż nasze ciała niemal się stykały. Smukłymi palcami musnął naszyjnik, zatrzymując je na klejnocie.

– I to.

Rysował palcami niewidzialny szlak na mojej skórze, poniżej naszyjnika i znów w górę.

– I to – dodał, unosząc mi brodę.

Kciukiem obwiodł moje wargi; jego piękna twarz o rzeźbionych rysach była tuż przy mojej.

– I to – powiedział z ustami o cal od moich ust.

Chciał mnie całować.

Chciał mi wierzyć.

Gdzieś tam, pomiędzy jachtem, suknią, plażą i niebem zapomniałam o tym, co robiłam. A teraz przypomnienie jak rycząca fala wdarło mi się do mózgu. Jeśli w tej chwili mu nie powiem, już nigdy się nie odważę. Kłamstwa powodują, że zmieniamy się w kogoś innego, ale przy Noahu musiałam być sobą.

Słowa paliły mi gardło.

– Noah, ja...

Cofnął się nieznacznie na dźwięk mojego głosu i baczny spojrzeniem próbował odszyfrować moją minę.

– Nie – powiedział, kładąc mi palec na ustach. – Cokolwiek to jest, nic nie mów.

Niestety, muszę.

– Przeczytałam to.

Słowa zabrały z płuc całe powietrze. Noah cofnął rękę.
To nieprawda, że łatwiej jest prosić o wybaczenie. Absolutna nieprawda.

- Przepraszam – wyjąkałam. – Naprawdę nie chciałam...
- Owszem, chciałaś – uciął zimnym głosem.
- Patrzył na ocean. Nie na mnie.
- Po prostu myślałam, że...
- Musimy o tym mówić? Musimy to robić?
- Co robić? – zapytałam łagodnie.
- To. – Słowo bryznęło z jego ust jak kropla palącego kwasu. – To wszystko. – Szybko powrócił do swojego obojętnego tonu. – Prosiłaś, żebym opisał, co widzę. Zgodziłem się. A potem czytasz to bez pytania. – Z okrutną obojętnością wzruszył ramionami. – Gdybym naprawdę nie chciał, żebyś to zobaczyła, nie zostawiłbym tam notatnika. I stało się. Trudno. – Stał wpatrzony w ciemność. – Zresztą nieważne.
- Owszem, ważne.
- Obrócił się ku mnie z gracją drapieżnika.
- W porządku, Maro. – Wymówił moje imię, jakby chciał je rozedrzeć na strzępy. – Chcesz usłyszeć o tym, jak odkryłem u siebie zdolność uzdrawiania? I o tym, jak powiedziano nam, że mamy się wyprowadzić z kolejnej żalosalnej rezydencji, przy czym dwa dni przed terminem powiadomiła nas o tym sekretarka, bo ojciec nie raczył zrobić tego osobiście? Chcesz usłyszeć, jak nagle wszystko mi zobojętniało i poczułem, że dalsza egzystencja nie ma sensu? Że jestem złożony z pustki, skoro czuję pustkę, i że tylko ból, zadany przez ostrze przecinające moją skórę, daje mi poczucie, że żyję i istnieję naprawdę?
- W jego głosie była wściekła pustka.
- Mam ci powiedzieć, że mi się to spodobało? Że zachciałem więcej? A może mam ci zdradzić, że kiedy obudziłem się nazajutrz rano, nie było śladu cięcia, nie mówiąc już o bliźnie, i poczułem rozpaczliwe rozczarowanie?
- Ciszę, która zapadła, mącił tylko szum zwodniczo spokojnych fal i mój oddech. Trwała jeszcze chwilę, zanim Noah znów ją złamał.
- Zacząłem prowadzić swoistą grę, sprawdzając, jak wielką krzywdę mogę sobie wyrządzić. Wypróbowałem wszystko, co można sobie wyobrazić – powiedział, podkreślając słowo „wszystko” spojrzeniem spod zmrużonych powiek, jakby chciał się upewnić, że dobrze go zrozumiałam. – I nic,

żadnych konsekwencji. Chciałem się zatracić i nie mogłem. Szukam zapomnienia, którego nigdy nie znajdę. – Nagle pojawił się uśmiech: mroczny, tragiczny, pusty. – Wystarczy ci?

Był w nim przerażający chłód, ale nie bałam się. Nie o niego.

Zbliżyłam się o krok do Noaha. Mój głos był cichy, ale mocny.

– To nieważne.

– Co jest nieważne? – zapytał bezbarwnym tonem.

– To, co robiłeś wcześniej.

– Ja się nie zmieniłem, Maro.

Przyglądałam mu się, zgłębiałam spojrzeniem jego twarz. „Nadal pragnę się zatracić” – odczytałam z niej. I zaczęłam rozumieć. Noah kuśił niebezpieczeństwo, bo nic mu nie zagrażało; był nieostrożny, bo nie wierzył, że coś mu się może stać. Ale pragnął tego. Nie bał się mnie – nie dlatego, że wierzył, iż nie mogę go skrzywdzić. Po prostu wiedział, że jeśli tak się stanie, z radością powita ból.

Nadal szukał zatracenia. I znalazł je we mnie.

– Chcesz, żebym zrobiła ci krzywdę – powiedziałam prawie szeptem.

Noah postąpił krok ku mnie.

– Nie możesz.

– Mogłabym cię zabić.

W moim głosie zadźwięczała stal.

Jeszcze krok. W jego spojrzeniu było wyzwanie.

– Spróbuj.

Kiedy tak stał przede mną w wytwornym ubraniu, z tą piękną twarzą i wyzywającym spojrzeniem, nadal wyglądał jak arogancki książę. I tylko ja widziałam, że stracił swoją koronę.

Nagle pojęłam, że Noah nie ustąpi. Nie cofnie się, bo nie chce przegrać.

A ja nie chcę go stracić. Dlatego mogę zrobić tylko jedno: odmówić gry.

– Nie będę tym, czym chcesz, żebym była – oświadczyłam stanowczo.

– A czym miałabyś dla mnie być?

– Twoim narzędziem samozagłady.

Nadal się nie poruszył.

– Sądzisz, że chcę cię wykorzystać?

Jasne, że tak.

– A nie chcesz?

Noah z wolna wciągnął powietrze.

– Nie, Maro. – Teraz moje imię zabrzmiało miękko w jego ustach. – Nie. Nigdy tego nie chciałem.

– Czego w takim razie chcesz?

– Chcę... – Urwał i nerwowo przeczesał palcami czuprynę. – Nieważne, czego chcę. – Teraz mówił spokojniej. – A czego ty chcesz?

– Ciebie. Zawsze ciebie.

– Przecież mnie masz – powiedział i poszukał wzrokiem moich oczu. – Mieszkaś we mnie.

Twarz miał kamienną, ale jego słowa brzmiały błagalnie.

– Chcesz wiedzieć, czego chcę? Chcę, żebyś ty najpierw mnie zapragnęła. Ty pierwsza parła do tego. Pierwsza mnie pocałowała. Żebyś przestała się mną przejmować. Bo ja nie będę się przejmował tobą.

Moje serce ruszyło galopem.

– Nie możesz mnie skrzywdzić w sposób, o jaki się podejrzewasz – ciągnął. – A jeśli nawet? Wolałbym umrzeć, czując twój smak na języku, niż żyć i już nigdy cię nie dotknąć. Zakochałem się w tobie, Maro. Kocham cię. Bez względu na to, co zrobisz.

Oddech uwiązał mi w gardle. „Bez względu na wszystko”. W słowach Noaha była obietnica. Obietnica, której chyba nikt nie byłby w stanie dotrzymać.

– Mamy tylko po siedemnaście lat – powiedziałam spokojnie.

– Pieprzyć tę siedemnastkę. – W jego oczach i głosie kryło się wyzwanie.

– Gdybym miał żyć nawet tysiąc lat, i tak zawsze byłbym twój. Gdybyśmy razem mieli przeżyć tysiąc lat, każdego roku na nowo pragnąłbym ciebie.

Noah wiedział, czym jestem i co zrobiłam, a jednak mnie chciał. Widział mnie. Całą. Jakbym nie miała skóry, jakby patrzył mi prosto w serce. Czułam się przy nim wewnątrznie naga. Drżąca.

– Chcę tylko ciebie – powiedział. – Nie musisz wybrać mnie teraz ani kiedykolwiek, ale jeśli to zrobisz, chcę, żebyś była wolna.

Coś poruszyło się we mnie.

– Jesteś silniejsza, niż sądzisz. Nie pozwól, żeby strach tobą zawładnął. Bądź panią siebie.

Obracałam jego słowa w myślach. „Bądź panią siebie”. Gdyby to było takie łatwe! Jak gdybym mogła jednym ruchem pozostawić za sobą smutek, winę, strach, wszystko.

Chciałam tego. Bardzo chciałam.

– Pocałuj mnie – wyszeptałam.

Palce Noaha przesunęły się wzdłuż linii mojego odsłoniętego karku. Skóra zapłonęła żarem.

– Nie mogę. Nie w ten sposób.

Noah zaczął tę pogoń i stałam przed nim, czekając, aż mnie dopadnie. Mógł mnie mieć, ale nie chciał ruszyć z miejsca.

Nagle pojęłam dlaczego.

Chciał, żebym to ja go dopadła. Czekał, aż zacznę na niego polować.

Chwyciłam go za koszulę i przyciągnęłam do siebie. Blisko. Ręce Noaha, obejmujące moje boki, były nieruchome, jak z kamienia. Unosiły i się opadały z każdym moim ciężkim oddechem, ale same się nie poruszyły. A moje – tak. Wsunęłam mu palce pod koszulę; oddech Noaha przyspieszył, gdy dotknęły jego blado-żółtej skóry. Powędrowały wyżej, po rzeźbie twardej, smukłych mięśni, budząc w nich żar. Usiłowałam dosięgnąć ustami ust Noaha, ale był za wysoki i nie chciał się ku mnie pochylić.

Dlatego położyłam się na piasku, pociągając go za sobą.

Skraj sukni dotykał wody, ale nie dbałam już o to. Miękki piasek dostosował się do mojego ciała, kiedy Noah, klęcząc nade mną, wsunął kolano pomiędzy moje uda. Jedną ręką objął mnie za szyję i zaczął wędrować wargami po skórze, muskając dołek pod obojczykiem i zagłębienie za uchem. Objęłam go i wczepiłam mu palce we włosy. Serce biło mi jak szalone. Jego było nadal spokojne.

Zmieniłam pozycję. Teraz ja byłam nad Noahem. Jego żebra wznosiły się i opadały pod moimi palcami. Siedziałam na nim, okraczając go w pasie. Oddychałam szybko i niecierpliwie. Obserwował mnie. Gdybym nie znała go tak dobrze, nie widziałabym w tym niczego niezwykłego. Ale znałam i wyczułam zmianę w jego spojrzeniu.

Położyłam mu dłonie na piersi. Jego serce zabiło szybciej. Przystawał się kontrolować.

Pogoń.

Pochyliłam się niżej, wygięta nad nim w łuk, i zsunęłam mu ręce na brzuch. Pocałowałam go w szyję. Usłyszałam świst wciąganego powietrza.

Uśmiechnęłam się z wargami na jego skórze i powędrowałam ustami ku miejscu, gdzie jej gładkość ustępowała szorstkości. Objęłam go dłońmi w pasie, a Noah zadarł mi suknię. Dotyk jego palców na mojej nagiej skórze pozbawił mnie powietrza z płuc. Wywołał w całym ciele ból pragnienia. Mocniej napałam na niego, wygięta w napięty łuk. Jego usta znalazły się o milimetry od moich.

– Pieprzyć – mruknął.

Słowo wyzwoliło gorące wyładowanie, które spłynęło mi wzdłuż kręgosłupa, wlało się w żyły i rozwibrowało każdy nerw.

Wtedy musnęłam wargami jego usta.

Wiedziałam, że Noah kocha Charliego Parkera i że ma zieloną szczoteczkę do zębów. Że byle jak zapina koszule, ale zawsze starannie ścieli łóżko. Że śpi zwinięty jak embrion, a jego oczy mają kolor nieba przed deszczem. Wiedziałam, że bez oporów je mięso, ale dyskretnie wychodzi z pokoju, kiedy na Discovery Channel dzikie zwierzęta zabijają się nawzajem. Znałam tysiąc jeden drobiazgów z życia Noaha Shawa, ale kiedy mnie całował, nie pamiętałam własnego imienia.

Byłam głodna Noaha, byłam głodna jego pocałunków. Byłam jednym wielkim pragnieniem, namiętym i zdyszonym. Pociąg był tak silny, tak szalony, że jedna cząstka mnie w popłochu chciała się wycofać, lecz druga, mroczna, pierwotna, dzika i głęboko przyczajona, bez tchu wołała o spełnienie.

Noah szeptał moje imię jak modlitwę. Byłam wolna.

Paroma szarpnięciami ściągnęłam marynarkę z jego ramion. Dalej. W parę sekund miał rozpiętą koszulę i rozluźniony krawat. Jego skóra paliła mi dłonie, sunące sobie tylko wiadomymi szlakami po szczupłym, twardym ciele. Po brzuchu, po piersi. Po dwóch cienkich liniach srebra na szyi...

Kolory wybuchły mi w głowie. Zielony, czerwony i niebieski. Drzewa, krew i niebo. Plaża i ocean znikły; zastąpiły je dżungla i chmury. Usłyszałam głos, kojący i znajomy, ale bardzo odległy.

„Mara”.

Słowo wypełniło mi płuca powietrzem przesyconym wonią drzewa sandałowego i soli. Silny nacisk zmusił moje biodra, by się odsunęły. Pchał je w dół. Spojrzenie szarych oczu przygważdżało mnie do ziemi, a niebo nad nimi znów się zmieniło; błękit pochłaniał czerń, gwiazdy pochłaniały chmury. Noah był teraz nade mną; oddychał gwałtownie, powieki mu drgały. Patrzył na mnie z góry.

Patrzył inaczej.

Myśli miałam zmacone i z trudem wydobyłam z siebie głos.

– Co? – wykrztusiłam.

Noah ukrył pod powiekami burzę, która szalała w jego oczach.

– Maro... – zaczął i urwał. – Czuję...

– Co? – zapytałam, tym razem głośniejsze.

– Wierzę ci – powiedział w końcu.

Oblała mnie nagła fala gorąca, kiedy pojęłam, co ma na myśli.

– Skrzywdziłam cię? – zapytałam pospiesznie. – Wszystko w porządku?

Lekki uśmiech uformował się na jego ustach.

– Ciągłe tu jestem.

– Co się stało?

Przez chwilę rozważał słowa.

– Twoja aura brzmiała inaczej – powiedział powoli. – Nasłuchiwałem tej zmiany i wychwyciłem ją, ale nie wiedziałem, co oznacza. Nigdy tak to nie brzmiało. Wypowiedziałem twoje imię, ale nie zareagowałaś. Dlatego przestaliśmy.

Znów przestałam rozumieć, ale nie dbałam już o to.

– Skrzywdziłam cię? – zapytałam ponownie, bo tylko to mnie obchodziło. Musiałam wiedzieć.

Noah pomógł mi wstać i razem stanęliśmy na piasku. Jego słowa i spojrzenie były łagodne.

– Nadal tu jestem – powtórzył i splótł palce z moimi. – Wracajmy do domu.

Poprowadził mnie wzdłuż brzegu, patrząc przed siebie, nie na mnie.

Kiedy przybyłam na plażę, Noah prezentował się nienagannie. Teraz miał luźny krawat i rozpięte mankiety; piasek i morską wodą zrujnowały smoking za pięć tysięcy dolarów, a moje ręce zrobiły strzechę z jego włosów. Szaroszafirowe oczy ciągle płonęły, a jedwabiste wargi były opuchnięte od moich pocałunków.

Taki był chłopak, którego kochałam. Trochę w nieładzie. Trochę zmasakrowany. Po prostu piękna katastrofa.

Jak ja.

Miałam wrażenie, że ciężar mojego świata wyparował z tym pocałunkiem.

Wcale nie był leciutki jak piórko, jak poprzednie. Był mroczny i dziki. Nieprawdopodobny.

I Noah nadal tu był.

Kiedy płynęliśmy do mariny, na mojej twarzy tkwił głupkowaty uśmiech. Nie mogłam przestać się uśmiechać – i nie chciałam tego. Kiedy przebraliśmy się i oddałam Noahowi naszyjnik jego mamy, żeby bezpiecznie go przechował, stwierdziliśmy, co następuje:

Miałam rację. Coś zmieniało się we mnie, kiedy się całowaliśmy.

Ale Noah również miał rację. Nie skrzywdziłam go w sposób, jakiego się obawiałam.

Nie miałam tylko pewności, czy było tak dlatego, że tym razem nasłuchiwał uważnie, usiłując wychwycić zmianę, czy dlatego, że po prostu nie mogę go skrzywdzić, jak sam mówił. W każdym razie cieszyłam się jak szalona, że Noahowi nic się nie stało. Jednak po tym epizodzie zaczęłam wątpić w swoją pamięć. Zastanawiałam się, czy tamten pierwszy pocałunek w jego łóżku nie był jedynie snem, wytworem mojej wyobraźni, halucynacją. Kiedy powiedziałam o tym Noahowi, wziął mnie za rękę, popatrzył mi w oczy i powiedział, żebym zaufała sobie i swojemu instynktowi. Próbowałam wyciągnąć z niego coś więcej, ale uzyskałam tylko tyle, że zaczął mnie całować.

Pomyślałam, że mogłabym spędzić resztę życia na całowaniu się z nim.

Przez pozostałą część weekendu byłam w stanie radosnej lewitacji. Uzyskaliśmy odpowiedź na jedno pytanie z tysiąca, ale była to cudowna odpowiedź. Chciałam wierzyć, że po tym wszystkim, co przeszłam, zasłużyłam sobie na nią.

Wydawało się, że w Noaha również wstąpił nowy duch. Powiedział mi, że dogadał się z organizatorami festynu i ma od nich odkupić nagrania z monitoringu. Liczył, że pomogą mu ustalić, czy Roslyn Ferretti została przekupiona, a jeśli tak, to przez kogo. Postanowił również polecieć do Providence i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej niż jego detektyw, zwłaszcza na temat Jude'a. Nie miałam nic przeciwko temu. Od czasu kiedy John zaczął pilnować domu, nic złego się nie wydarzyło i nie musiałam kurczowo trzymać się Noaha. Teraz, gdy przekonałam się, że nie mogę

zrobić mu krzywdy, słowa fałszywej wróżki przestały mnie niepokoić. Już się nie bałam.

Czułam się wyzwolona.

Noah przytrzymał mnie chwilę w objęciach, kiedy pocałował mnie na dobranoc w niedzielę wieczorem. Uśmiechnęłam się na widok dwóch amuletów na jego szyi. Cudownie, że nosił mój za mnie.

Mój dobry nastrój zauważyli wszyscy, w tym oczywiście rodzice.

– Naprawdę jesteście z ciebie dumni, Maro – powiedział tata, kiedy w poniedziałek rano wiozł mnie do Horyzontów. – Rozmawialiśmy z mamą o twoim okresie próbnym, który kończy się w tym tygodniu, i stwierdziliśmy, że jeśli nie będziesz chciała, nie będziemy cię zmuszali.

Ocena mojego stanu po dwóch tygodniach pobytu w Horyzontach i decyzja o charakterze dalszego leczenia były jednym z warunków umowy, którą podpisałam w chwili przyjęcia. Mieli ocenić, czy wystarczy mi terapia w ośrodku dziennym, czy też należy przenieść mnie do zamkniętego ośrodka ambulatoryjnego. Całkiem o tym zapomniałam, ale i tak nie miało to znaczenia, skoro rodzice sami zdecydowali.

Ciągle byłam w szoku, choć niezmiernie ucieszył mnie taki rozwój wydarzeń.

– Skąd ten pomysł?

Tata pokręcił głową.

– Nigdy nie chcieliśmy się z tobą rozstawać. Najlepiej jest nam razem w domu, kochanie. Po prostu chcemy, żebyś była zdrowa i szczęśliwa.

Szlachetny cel. Tylko przyklasnąć.

Niestety, szczęście nigdy nie trwa długo.

Kiedy zameldowałam się w Horyzontach, wręczono mi jakiś formularz, który okazał się testem. Testem dla socjopatów, sądząc po pytaniach. Było jasne, jaką odpowiedź należy wybrać – te ankiety zawsze tak wyglądają – toteż zakreślałam najłagodniejsze odpowiedzi, z niepokojącą świadomością, że większość tych prawdziwych jest mocno niemiła.

Czy kłamiesz i manipulujesz otoczeniem, kiedy tak ci jest wygodniej lub kiedy pragniesz coś uzyskać?

A) Czasami

B) Rzadko

C) Często

D) Nigdy

Często. Zakreśliłam: „Rzadko”.

Czy uważasz, że zasady społeczne nie odnoszą się do ciebie i możesz je łamać, aby osiągnąć swoje cele?

Czasami. Odpowiedziałam: „Rzadko”.

Czy łatwo przychodzi ci uwolnienie się od odpowiedzialności bez poczucia winy?

Często. „Rzadko”.

Czy zdarzyło ci się zabić jakieś zwierzę?

Czasami, nie da się ukryć. Zapewniłam: „Nigdy”.

I tak to szło. Bardzo się starałam, żeby test nie zepsuł mi dobrego humoru. Udało się i kiedy zaczęliśmy grupę, ciągle tkwiłam w swojej złotej banieczce, choć napierały na nią żaloszne niedole innych. Starałam się trzymać język na wodzy i pilnowałam, aby mój wewnętrzny monolog się nie uzewnętrznił. Po prostu robiłam wszystko, żeby nie zarobić biletu w jedną stronę do stacji Ośrodek Zamknięty.

Jamie sprawiał wrażenie, jakby wywnętrzanie się przed grupą przychodziło mu dziś wyjątkowo opornie. Mnie zaś wyjątkowo zaburzyły standardowe narcystyczne polemiki Adama. Z ulgą wymknęliśmy się na przerwę.

– Nie cierpię tego gościa – powiedziałam, sięgając po ciasteczko.

– Taa... – Jamie był niezwykle małomówny.

Nalał sobie wody z automatu i popijał ją bardzo powoli.

Usiadłam obok niego na kanapce.

– Kto umarł? – zapytałam żartem.

Cienka warstewka potu lśniła mu na czole; otarł je rękawem.

– Anna Greenly.

– Zaraz... Ta Anna, z Croyden?

– Tak, ta.

Spojrzałam na niego, czekając na puentę. Nagle pojęłam, że to nie miał być dowcip.

– Serio? – zapytałam, starając się zachować spokój.

– Stoczyła się z wiaduktu. Jechała po pijaku.

– Och...

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wyrażasz żal, kiedy ginie lubiana osoba. Ale znienawidzona?

– Taa – przytaknął Jamie, choć w sumie nic nie powiedziałam.

Wyglądał kiepsko.

– Dobrze się czujesz? – spytałam z troską.

Wzruszył ramionami.

– Mam coś z żołądkiem. Lepiej się odsuń.

– Ty zawsze musisz wszystko popsuć – powiedziałam z udawanym wyrzutem, na siłę próbując obrócić to w żart. – Teraz, kiedy właśnie zamierzałam cię zwabić do pakamery.

Jamie uśmiechnął się smętnie.

– Jesteśmy zbyt spieprzeni, żeby pieprzyć się w miłosnym trójkącie.

Cały Jamie, cały on.

Milczał przez dobrą minutę, zanim podjął:

– Znasz pewnie te historie o dzieciakach doprowadzonych do samobójstwa?

Znałam.

– Dorośli mówią: „Dzieciaki są wredne”. „Tak to jest z dziećmi”. Co oznacza ukryte założenie, że kiedyś wyrosną z nich małe potwory. – Mięśnie szczęki mu stężały; spojrzenie stało się rozkojarzone i nieobecne. – A ja sądzę, że nie. Uważam, że młodociani dręczyciele wyrosną na dorosłych dręczycieli, i wkurza mnie, że powinienem płakać, jeśli ktoś taki zejdzie z tego świata. Anna była kimś w rodzaju... w rodzaju szkolnej terrorystki – powiedział, wpatrując się w podłogę. – Aiden też. – Nozdrza mu zadrgały. – Przez całe siedem lat tkwiłem w piekle upokorzenia, które mi zafundowali. Agresja fizyczna czy doprowadzenie do wyrzucenia mnie ze szkoły, to były tylko drobne szykany, uwierz mi.

Coś przemknęło przez jego twarz, ale przestał mówić i zamilkł na długo.

Próbowałam poszukać jego spojrzenia.

– Cierpienie boli, kiedy chcesz zachować je dla siebie – powiedziałam.

– Nieprawda – zaprzeczył, lecz nie uniósł wzroku. – Rodzice pytali, czy chcę się przenieść do innej szkoły, ale... – machnął ręką – sama wiesz, że to nie miałyby sensu. Zawsze znajdują się dręczyciele, jeden albo więcej, a ja byłem wykluczonym, czarnym, pokręconym kurduplem, który przerastał umysłowo całą resztę. To wystarczy aż nadto, żeby spaść na sam dół hierarchii dziobania. – Ze świstem wydmuchnął powietrze nosem. – Ale wiesz, jaki mieli ze mną problem? Nigdy nie chciałem zostać jednym z nich. To dręczyło tych drani.

Jamie popatrzył na pusty plastikowy kubek i zgniótł go w dłoni.

– Oczywiście nie możesz powiedzieć głośno takich herezji, bo porządni rodzice natychmiast cię potępią i nazwą potworem – dodał.

Natychmiast pomyślałam o moich dalekich od prawdy odpowiedziach w teście i klepnęłam przyjaciela w ramię.

– Ja na pewno cię nie potępię. Dziś rano zaliczyłam test dla socjopatów.

Naprawdę powinnam mieć trzy na dziesięć odpowiedzi pozytywnych.

– To i tak dużo – stwierdził Jamie z bladym uśmiechem, który pogłębił bruzdy w jego twarzy. – Nie wątpię, że Anna miała choć jedną albo nawet dwie pozytywne cechy i że jej rodzina oraz wierni przyjaciele szczerze boją się nad utratą tak cudownej osoby. Ale gdyby siedziała tu teraz z nami i perorowała na mój temat, pojawiłbym się w jej narracji jako czarnuch, który dybie na białaski. – Wzruszył ramionami. – Szkoda mojej energii, żeby się tym dołować. Nie chcę się czuć jak czarne gówno. Ona nie chciała mojego współczucia, choć i tak je miała. Rozumiesz?

– Rozumiem – odparłam.

Naprawdę rozumiałam.

Jamie wpatrzył się w ścianę przed nami, na której wisiał idiotyczny plakat motywacyjny, przedstawiający orła polującego w wodzie. Ptak triumfalnie unosił w szponach rybę.

– Pożałujesz małego Jamiego?

– Nie – powiedziałam.

– Nie?

– Ten twój numer z ebolą mnie powalił – wyjaśniłam. – I wcale nie jesteś kurdupłem.

Jamie z uśmiechem przekrzywił głowę.

– Zamierzam rzygnąć – oznajmił, wstając. – Smacznego.

Wyszedł. Zostałam na kanapie. Mnie też chciało się rzygać.

Jego słowa otworzyły coś we mnie i obrazy trupów wdarły się w moje myśli.

Pani Morales. Czy zabiłabym ją za prześladowania, gdybym wiedziała, co robię? Nie. A czy zasmuciła mnie jej śmierć?

Brutalna, szczerza odpowiedź brzmiała „nie”. Wstrząsnęła mną myśl, że to ja mogłam uśmiercić nauczycielkę, ale prawie nie myślałam o niej.

I właściciel Mabel. Gdyby żył, ona by nie żyła. Albo cierpiałyby dalej, z otwartymi ranami na szyi, w których zaległyby się robaki, wychudzona i zagłodzona, aż skonałyby w bezlitosnym skwarze. A teraz, po śmierci pana? Jest tłuściutka, wesola, rozpieszczana i kochana. Jej życie jest warte więcej niż życie tego potwora.

No i oczywiście Jude. Który zwabił mnie w pułapkę. Napastował mnie. Dręczył. I teraz mnie prześladowuje, bo przecież nie umarł.

Nie żałowałam, że próbowałam go zabić. Przeciwnie, żałowałam, że ciągle żyje. Uśmierciłabym go jeszcze raz, gdybym miała taką szansę.

Jamie został odesłany do domu po tym, jak jeden z terapeutów usłyszał, jak wymiotuje w ubikacji. Ja nie miałam tyle szczęścia. W czasie lunchu usiadłam obok Stelli, która niemrawo wgryzała się w przeładowaną kanapkę. Żwawo zabrałam się do swojej. Batoniki, które serwowano nam na drugie śniadanie, były stare i kupione w tanim markecie, ale od stołówki można się było uzależnić.

W pewnym momencie przysiadła się do nas Phoebe i zaczęła mnie intensywnie obserwować, jednocześnie gryzmołąc coś w swoim dzienniku i obgryzając paznokcie. Odgryzione kawałki składała na kupkę na stole. Odechciało mi się jeść.

– To obrzydliwe, Phoebe.

– Potrzebne mi do lalki wudu – odpowiedziała i jej uśmiech rozlał się jak plama. – Wygląda jak ty.

Trudno odpowiedzieć na coś takiego. Lepiej nic nie mówić.

Dziwny wyraz pojawił się na dziwnej twarzy Phoebe, kiedy pochyliła się do mnie.

– Daj mi swoje włosy – powiedziała.

Stella zerwała się i odciągnęła mnie od stołu.

– Powiem mojemu chłopakowi! – wrzasnęła Phoebe.

Było to tak idiotyczne, że aż zabawne. Powiedziałam o tym Stelli i puściła moje ramię. Wtedy zauważyłam siniak. Duży, mieniący się kolorami tęczy, wystający spod rękawa.

– Wszystko w porządku? – spytałam, patrząc na siniak.

Stella szybkim ruchem obciągnęła rękaw, a kiedy nasze spojrzenia spotkały się, jej twarz była jak maska.

– To nic takiego – bąknęła. – A ty jak?

Musiałam mieć zmieszaną minę, bo gestem głowy pokazała na stolik.

– Phoebe...

– Och, zaczynam już przywykać do jej wyskoków.

Wzruszyłam ramionami.

Stella milczała chwilę, zanim powiedziała:

– Jest z nią coraz gorzej.

– W każdym razie Phoebe nie jest moją ulubienicą.

Stella rzuciła mi krótkie spojrzenie.

– Uważaj na siebie, dobra?

Chciałam zapytać, o co jej chodzi, kiedy za sobą usłyszałam głos doktor Kells wymawiający moje imię.

– O, Mara. Właśnie o tobie myślałam.

Spojrzała na mnie, na Stellę i znowu na mnie.

– Jesteś teraz zajęta?

Stella machnęła mi na pożegnanie i odeszła. Niech to szlag.

– Nie – odpowiedziałam, żałując, że nie mam roboty.

– Możesz wejść na chwilę do mojego gabinetu?

Lepiej już mieć to za sobą.

– Chciałabym zapytać cię o parę rzeczy – oznajmiła doktor Kells z życzliwym uśmiechem. – Co u ciebie słyhać, Maro? – zagadnęła, siadając za biurkiem.

– Wszystko dobrze.

Tylko tyle powiedziałam. Nie dodałam nic więcej. Znałam ten trik łapiduchów. Pierwsze pytanie jest niewinne, dla zmyłki. Teraz byłam ekspertką w tej grze.

Poczułam, że muszę ziewnąć. Przez chwilę walczyłam z tym, ale biologia zwyciężyła.

– Czy dobrze sypiasz? – zapytała doktor Kells.

– Dobrze.

W sumie nie skłamałam. Przez dwa dni z rzędu budziłam się we własnym łóżku. To już coś.

Wpatrywała się we mnie uważnie.

– Wyglądasz na zmęczoną – stwierdziła.

Wzruszyłam ramionami. Rodzaj zaprzeczenia.

– I zbyt szczupłą. Stosujesz dietę?

Pokręciłam głową.

– Może masz trudności z adaptacją? Czy uważasz, że mogłabyś się czymś wspomóc?

Miałam ochotę zadrzeć głowę i zawyć.

– I tak już biorę dużo leków.

– Ale potrzebujesz snu.

– A jak się uzależnię? – spytałam prowokacyjnie.

Nie zadziało.

– Leki, które ci przepisałam, nie powodują uzależnienia, więc nie musisz się martwić. Przy okazji, czy dobrze działają?

– Wspaniale.

– Miewasz halucynacje?

Jeśli nawet, i tak ci nie powiem.

– Koszmarne sny?

Jak wyżej.

Doktor Kells pochyliła się ku mnie.

– Nic, co wykracza poza normę?

– Nic – odparłam z uśmiechem. – Wszystko w normie.

Totalne kłamstwo.

– A twój pobyt w Horyzontach. Jak ci się podoba nasz program?

– Cóż... – udałam, że się zastanawiam. – Bardzo lubię terapię sztuką.

– To cudownie, Maro. Czy prowadzisz dziennik?

Dobre pytanie. Nie pamiętałam nawet, że go dostałam. Przyznanie się do tego oznaczało, że nie wypełniam zadania. Pogrążam się. Sygnalizuję wielką czerwoną flagą, że Jest Ze Mną Źle. Mogłabym równie dobrze wytatuować sobie na czole wielkimi literami „ZAMKNIJCIE MNIE”.

Dlatego wyjaśniłam doktor Kells, że zgubiłam swój notes. Normalni ludzie często gubią rzeczy. Żadna sprawa.

– Czy ostatnio zdarza ci się zapominać o czymś? – drążyła.

– Nie – odpowiedziałam, udając zaskoczoną tym pytaniem.

– Może to być skutek uboczny niektórych leków. Proszę, żebyś była uważna i starała się wychwycić u siebie różne tego typu objawy. – Poprawiła zsuwające się okulary. – Nawet jeśli sądzisz, że coś jest mało istotne. W razie czego spróbuję zmienić dawkowanie – dodała, zapisując coś na swojej podkładce. – A jaki jest twój stan emocjonalny?

– Co pani ma na myśli?

– Jak układają ci się stosunki z innymi studentami?

– Dobrze.

Doktor Kells odchyliła się na oparcie i założyła nogę na nogę; cieliste rajstopy oblepiały jej kolana jak druga, sztuczna skóra.

– A z Phoebe?

Aha, więc do tego zmierzały jej pytania. Westchnęłam.

– Nie powiedziałabym, że się przyjaźnimy.

– Czemu tak uważasz?

– Czy Phoebe ma przyjaciół? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Maro, interesuje mnie raczej, dlaczego wasze stosunki się nie układają.

– Bo Phoebe jest totalnie stuknięta. I kłamie.

– Chyba rzeczywiście jej nie lubisz.

Potałam podbródek.

- Dokładnie tak.
- Phoebe powiedziała, że jej groziłaś.
- Powiedziała, że jej groziłam?

Opowiedziałam doktor Kells o informacji „Widzę cię”, którą podrzuciła mi do torby. W odpowiedzi uzyskałam tylko zapewnienie: „Będę musiała z nią porozmawiać”.

Następnie spytała:

- A jak z Adamem?

Z zakłopotaniem poprawiłam się na krześle. Jego też nie znosiłam.

- Czy masz tu jakichś przyjaciół, Maro?

W ciszy, która zapadła, kliknięcie włączającego się klimatyzatora zabrzmiało wyjątkowo głośno.

- Jamiego – zasugerowałam.
- Znacie się z Croyden, prawda?
- Taa...
- A Tara?

Kurczę, kto to jest Tara?

- Megan? – zapytała z nadzieją doktor Kells.

Megan. Megan i jej dziwaczne fobie. Rzadko ze sobą rozmawiałyśmy, ale kiedy się widziałyśmy, mówiłam „hej”, toteż postanowiłam twierdząco skinąć głową, a na deser wymieniłam jeszcze Stellę. Na pani doktor nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

– Dobrze – powiedziała wreszcie i machnęła ręką w kierunku drzwi. – Możesz iść. Porozmawiamy sobie jeszcze przed zmianą ośrodka.

- Nie sądzę – powiedziałam, przeciągając słowa – abym tam poszła.

Usiłowałam ukryć satysfakcję w swoim głosie.

– To bardzo niedobrze. – Pani doktor nie kryła rozczarowania. – Nasi studenci na ogół traktują to jako wyróżnienie. Może zdecydujesz się następnym razem?

- Na pewno – rzuciłam.

Chwyciłam torbę, podziękowałam jej za miłą rozmowę i wybiegłam z gabinetu.

Ten dzień byłby całkiem znośny, gdyby śmierć Anny i paznokcie Phoebe okazały się jego najgorszymi momentami.

Tata przywiózł mnie do domu; panowały tam cisza i spokój, gdyż skończyły się ferie i Joseph z Danielem nie wrócili jeszcze ze szkoły. Mama była pewnie w pracy. Noah miał wrócić z Long Island dopiero jutro i w oczy

zajrzała mi nuda.

Nie pozostało mi nic innego, jak skupić się na śledztwie. Mijając portret babci w korytarzu, stwierdziłam, że spróbuję zaatakować *Nowe teorie w genetyce*, jak mówił Daniel. Cholerne sześćset stron.

Ale książki nie było na półce.

Ani w mojej szafie.

Zaczęłam ściągać z półek pudła, licząc, że upchnęłam w którymś z nich książkę, żeby mi nie zginęła, i w końcu o niej zapomniałam. Wywaliłam ich zawartość na podłogę. Na próżno.

Byłam coraz bardziej zdesperowana, kiedy przypomniałam sobie, że ostatni raz widziałam tę cegłę w salonie, przed wyjazdem na festyn. I że wcześniej Daniel bardzo chciał ją pożyczyć. Zapewne była w jego pokoju. Od razu mi ulżyło, ale byłam zła na siebie za tę niepotrzebną napinkę. Normalni ludzie często o czymś zapominają.

Poszłam do pokoju brata i zaczęłam sprawdzać na półkach. Na jednej z nich brakowało paru książek i tomy z obu końców pustej przestrzeni przechyliły się i oparły o siebie, tworząc trójkąt.

Gdyby nie to, nie zauważyłabym leżącego tam szkolnego notatnika. Ani tego, że na okładce moim charakterem pisma napisano moje imię.

Byłam absolutnie pewna, że widzę ten notatnik po raz pierwszy i nigdy wcześniej nie miałam go w ręku. Ta konstatacja wzbudziła we mnie strach.

Przypomniałam sobie, co mówiła Brooke:

– *Gdzie masz swój dziennik?*

– *Nigdy go nie miałam.*

– *Ależ tak, miałaś. Od pierwszego dnia, nie pamiętasz?*

Nie pamiętałam, ale teraz patrzyłam na niego. Sięgnęłam po notatnik i otworzyłam go.

Pierwsza strona była pusta i niemal odczułam ulgę.

A potem odwróciłam kartkę.

Panika zagarnęła mnie jak potężna, sztormowa fala. Kolana się pode mną ugięły i omal nie upadłam. Usiadłam skulona na łóżku Daniela i popatrzyłam.

Druga strona była cała zapisana. Dziesiątki słów w trzynastu wierszach i cały czas tylko jedno, najkrótsze zdanie.

„Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi

Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi pomóż mi
Pomóż mi pomóż mi pomóż mi”.

Słowa urywały się w połowie wiersza. Zemdlałam.

WCZEŚNIEJ
Port w Kalkucie, Indie

Szłam za Niebieskim Człowiekiem, przebierając krótkimi nóżkami, żeby nadażyć za jego długimi krokami. Minęło siedem dni od chwili, kiedy przywiódł mnie do pustej wioski i zamieszkałam z Siostrą w chacie. Cieszyłam się, że znowu jesteśmy w drodze. Cieszyłam się, że znów widzę statki o wysokich masztach, rojące się od ludzi.

Jednak tęskniłam za Siostrą. Żałowałam, że nie ma jej ze mną. Przyciskałam do piersi lalkę. Jeszcze nie nadałam jej imienia.

Niebieski Człowiek zaprowadził mnie do dużego budynku. W środku powitał nas biały człowiek ze szklanymi krążkami na nosie. Niebieski Człowiek wręczył mu mały czarny woreczek. Biały człowiek napełnił go i oddał z powrotem.

– Czy ona mówi? – zapytał biały człowiek w nowym języku, którego już się trochę nauczyłam.

Przesunął szklane krążki wyżej na nosie.

– Nie do mnie – odpowiedział Niebieski Człowiek. – Ale rozmawiała z moją córką w hindi i w sanskrycie.

– A inne języki?

– Nie próbowaliśmy.

– Co ona tam trzyma? – zapytał biały, pokazując kościstym palcem moją lalkę.

Przycisnęłam ją mocniej do piersi. Biały człowiek popatrzył i zanotował coś.

– Moja córka zrobiła tę lalkę dla niej i teraz mała nigdzie się bez niej nie rusza. Są nierozłączne.

– Istotnie.

Biały znów zaczął coś pisać, co chwila rzucając mi spojrzenia znad kartki. Wreszcie Niebieskiemu Człowiekowi pozwolono wyprowadzić mnie na zewnątrz, w zadymiony słoneczny blask.

– Zanim ruszymy dalej, muszę załatwić pewną pilną sprawę – powiedział do mnie. – Możesz sobie zwiedzić port, tylko uważaj, żeby nie stracić mnie z oczu.

Pokazał ręką na rojny, zatłoczony pas nabrzeża.

Skinęłam głową i Niebieski Człowiek odesłał mnie machnięciem ręki.

Ruszyłam biegiem. Zbyt długo pozostawałam w zamknięciu i teraz radowałam się swobodą. Chłonełam każdy zapach: błota, wodorostów, przypraw i piżma, a moje oczy pasły się kolorami ludzkich strojów, domów i statków.

Biegłam, aż usłyszałam piskliwe dźwięki, układające się w powtarzalną, hipnotyczną melodię. Muzyka spowolniła moje kroki i zaprowadziła mnie do swojego źródła.

Stary człowiek siedział ze skrzyżowanymi nogami przed koszem, dmuchając w długi kij rozszerzający się na końcu w bańkę. Ludzie stali kręgiem wokół kosza i starca, patrząc, jak wąz kołyszącym ruchem podnosi się z ciemnego wnętrza. Zaczęli klaskać.

Nie rozumiałam ich zachwytu. Czy to zwierzę żyje w koszu? Czy raczej jest tam więzione, trzymane w ciemności?

Podkradłam się bliżej. Byłam na tyle mała, że mogłam niezauważona przepchać się pomiędzy ludźmi. Podchodziłam coraz bliżej kosza, aż zaniepokojone szepty zlały się w głośny pomruk. Starzec przerwał grę i krzyknął, że mam natychmiast się cofnąć.

Rozumiałam go, ale nie posłuchałam. Dlaczego miałabym się bać węża? Podziwiałam miękkie łuski gada i jego rubinowy, śmigający język, pragnący mnie posmakować. Kiedy wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, długie ciało odgięło się do tyłu...

– Stój! – krzyknął Niebieski Człowiek.

Skóra zapiekła, kiedy trzepnął mnie w rękę. Chwycił mnie za przegub i szybko wyprowadził z kręgu. Ścisnął mocno, ale kiedy oddaliliśmy się na bezpieczną odległość, rozluźnił chwyt.

– Dziecko, oszalałaś?

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

Złagodniał, widząc moje zmieszanie.

– Lubisz zwierzęta? – zapytał.

Głos miał już ciepły, łagodny.

Kiwnęłam głową. Tak.

Policzki uniosły mu się w uśmiechu. Puścił moją rękę, splótł swoje palce z moimi i poprowadził mnie przez nabrzeże. Zatrzymaliśmy się przed jednym z wielkich statków, ale nie to sprawiło, że wstrzymałam oddech z wrażenia.

Zobaczyłam setki zwierząt zamkniętych w rzędzie lśniących, metalowych

klatek.

– Tylko nie dotykaj krat – ostrzegł, kiedy mijaliśmy świergolące i krzyczące ptaki, które były skrzydłami, lecz nie mogły latać.

Markotna, duża, brązowa mała zaciskała ludzkie palce na prętach klatki. Patrzyła na mnie ludzkimi oczami. Ogromny wąż tkwił nieruchomo, zwinięty w kulę, pozbawiony wszystkiego, wycofany z życia.

Nie widziałam w tym najmniejszego sensu. Od małego patrzyłam na małe py skaczące po drzewach. Kołysały mnie do snu ptasie trele. Te zwierzęta nie były u siebie, nie należały do tego zadymionego miejsca.

Nie byliśmy jedynymi widzami. Banda hałaśliwych wyrostków klekotała długimi kijami, przesuwając nimi po prętach dużej klatki. Warczący, szczerzący kły tygrys miotał się w środku; pomarańczowe i czarne pręgi migały przez pręty.

Tygrys chciał rzucić się na swoich prześladowców; potężne cielsko z łomotem uderzyło w bok klatki, a oni ze śmiechem odskoczyli w tył.

– A teraz – powiedział Niebieski Człowiek, przyklękając przy mnie – zostaniesz tu i zaczekasz na mnie. Będiesz miała rozrywkę.

„Rozrywka”. Nie znałam tego słowa.

– Niedługo wrócę. Tylko znów nie narób kłopotów – ostrzegł na odchodnym.

Kiedy się oddalił, podeszłam do chudego chłopaka o małych, rozbieganych oczach, najbliższego z grupy.

– Pomóż mi – szepnęłam.

Czarne oczy spojrzały na mnie czujnie. Może nie zrozumiał? Spróbowałam w innym języku.

– Pomóż mi – powtórzyłam.

– W czym ci mam pomóc? – zapytał.

Pokazałam na zwierzęta.

– Pomóż mi je uwolnić.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że jestem w pokoju brata i ciągle mam w rękę notatnik. Daniel zapukał w otwarte drzwi.

– Skąd ja znam ten widok? – zażartował, wyraźnie zastanawiając się, co ja tu robię.

Kontury sennej halucynacji rozplywały się w moim zamroczonym umyśle. Usiłowałam je zatrzymać.

– Mara?

Zamrugalam gwałtownie i wizje znikły. Nie mogłam sobie przypomnieć, w którym momencie odpłynęłam.

– Taak... – mruknęłam nieprzytomnie.

Trzymałam w rękę notatnik, więc musiało to być niedawno. Ile czasu byłam nieobecna? Parę minut? Sekund? Byłam cała spocona i ubranie lepilo mi się do skóry.

– Wzięłaś książkę? – spytałam brata, siląc się na normalny ton. – Szukałam jej.

– Tę o genetyce? Tak. – Daniel podszedł do szafy i otworzył drzwi. – Przepraszam, włożyłem ją tutaj, żeby nie mieszać jej z moimi rzeczami. Dobrze się czujesz?

Spojrzał na mnie badawczo.

Sztuczny uśmiech.

– Tak, oczywiście.

Znów to dziwne spojrzenie.

– Na pewno?

Ukryłam notatnik za plecami. Dlaczego położyłam go w tym pokoju?

– Nie... tak, wszystko okej – zapewniłam, wstając. – Czy mogę...

– To jest to twoje opowiadanie? – zagadnął Daniel, spoglądając na notatnik, którego nie zdołałam ukryć.

– Jakie opowiadanie? – Spojrzałam na dziennik. – Uhm.

– Jak się rozwija historia? Konstruktywnie? Wyzwalająco?

Mrugnął do mnie.

Aha, myślał, że chodzi o wypracowanie dla Horyzontów. Które wymyśliłam, żeby uzyskać jego pomoc. Spojrzałam na dziennik, a potem na Daniela. Nie miałam pojęcia, dlaczego ani kiedy położyłam go w jego pokoju, ale miałam szczęście, że wcześniej go nie dostrzegł, zważywszy na

jego zawartość. Poczułam ucisk w żołądku. Muszę porozmawiać z Noahem. Jednak brat czekał na odpowiedź, więc wyjaśniłam:

– Ona nie jest opętana.

Daniel czekał dalej. Słuchał.

– Ktoś inny jest... ktoś, obdarzony niezwykłymi zdolnościami – powiedziałam. – Kto nigdy nie używał tabliczki ouija.

Daniel rozważał przez chwilę tę informację.

– Zatem tabliczka ouija była ściemą. – Przytaknął z mądrą miną. – Hmm...

– Muszę już iść – powiedziałam, kierując się do wyjścia.

– Książka.

Daniel podał mi opasły tom, pod którego ciężarem opadła mi ręka. Podziękowałam mu uśmiechem i wymknęłam się do siebie. Zostawiłam dziennik i książkę w pokoju, po czym zmuszając się, żeby iść wolno, udałam się do kuchni. Zabrałam stamtąd telefon, wróciłam z nim do swojego pokoju i drżącymi palcami wybrałam numer komórki Noaha. Odebrał po drugim sygnale.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – zaczął, ale nie dałam mu dokończyć.

– Znalazłam coś.

Chwila ciszy.

– Co?

– W Horyzontach dali mi notatnik, który miał mi posłużyć jako dziennik.

– No dobrze, i...

– Ale zupełnie nie pamiętałam, że go dostałam.

– Okej.

– I nagle znalazłam go w pokoju Daniela. Na okładce było moje imię. Ja podpisałam ten dziennik, Noah. To mój charakter pisma.

– Kiedy go podpisałaś?

– A skąd mam wiedzieć?

– Słuchaj, wracam jutro rano. Od razu przyjadę do ciebie i...

– Nie, Noah, chodzi o to, co napisałam w dzienniku. „Pomóż mi”. Tylko te słowa, na prawie całej stronie.

Cisza.

– Tak – powiedziałam trzęsącym się głosem. – Właśnie tak.

– Spróbuję złapać nocne połączenie... – zaczął i urwał.

Mogłam sobie wyobrazić wyraz jego twarzy: zaciśnięte szczęki, mina zatroskana i opanowana, żebym nie wyczuła, jak jest przejęty. Ale

słyszałam to w jego głosie.

– Dzisiaj są tylko dwa loty z Providence, ale obawiam się, że się na nie nie załapię. Jest jeszcze samolot z Bostonu do Fort Lauderdale, o północy. I tym polecę, Maro.

– Czuję się... naprawdę... – Nie byłam w stanie dokończyć zdania.

Szukałam w myślach słów, ale nie znalazłam.

Noah nie próbował dodawać mi otuchy, mówiąc, żebym nie panikowała, albo że wszystko będzie dobrze. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie.

– Wróć jak najszybciej – powiedział. – John meldował mi przed chwilą, że nic się nie dzieje. Tak więc się nie martw, siedź z rodziną i uważaj na siebie, dobrze?

– Dobrze.

Zacisnęłam powieki. Nic nowego. Już wcześniej miałam takie utraty świadomości. Wyrwy w czasie. Dziwne sny. Naprawdę nic nowego. Da się z tym żyć.

Dałoby się z tym żyć, gdyby udało mi się wyłączyć myślenie.

– Chciałeś do mnie zadzwonić – przypomniałam sobie.

– Tak.

– Czemu?

– Po prostu... stęskniłem się za tobą – odpowiedział i wyczułam, że kłamie.

Uśmiechnęłam się blado.

– Kłamca. Powiedz mi.

Noah westchnął.

– Dałaś mi adres rodziców Claire i Jude, prawda? Charles, ten detektyw, pokazał mi, gdzie to jest, i pojechałem tam, żeby z nimi pogadać. Sprawdzić, czy... nie ma niczego podejrzanego.

Wstrzymałam oddech.

– I co?

– Samochód stał na podjeździe, toteż stwierdziłem, że ktoś powinien być w domu. Zapukałem, nikt nie podszedł do drzwi, więc zadzwoniłem. Wreszcie otworzył jakiś mężczyzna. Zapytałem, czy jest Williamem Lowe'em. Zrobił zdziwioną minę, więc powtórzyłem pytanie, a wtedy przedstawił mi się jak Asaf Ammar, czyli ewidentnie ktoś inny.

– Przecież wiadomo, że Lowe'owie wyprowadzili się po... po wypadku, nie?

– Owszem. Dlatego zapytałem, czy wie, gdzie teraz mieszkają, ale ten gość nigdy o nich nie słyszał. Powiedziałem, że to dziwne, bo według mojej

wiedzy jeszcze cztery miesiące temu mieszkali w tym domu. – Noah głośno przełknął ślinę. – Na to facet zaczął się śmiać i stwierdził, że chyba coś mi się przywidziało. Ale mnie nie było do śmiechu. – Noah urwał na moment. – Maro, on mi powiedział, że kupili ten dom od matki jego żony, która nazywała się Ortle. Osiemnaście lat temu.

Usiadłam na łóżku. Gardło miałam zaciśnięte i słowa nie chciały przez nie przejść.

– To najwyraźniej jakaś pomyłka – dodał. – Musiałaś mi podać zły adres.

– Zaczekaj – powiedziałam i podeszłam z telefonem do szafy.

Ściągnęłam z półki moje pudła z Rhode Island. W jednym z nich był mój stary zeszyt do historii, jeszcze z tamtej szkoły.

Któregoś dnia Rachel na lekcji napisała mi wiadomość, że mamy się spotkać po szkole u Claire. Podsunęłam jej zeszyt, uważając, żeby nauczycielka nie zobaczyła, i Rachel nagryzmoliła adres na wewnętrznej stronie okładki.

1281 Live Oak Court

– Jaki był ten adres? – spytałam Noaha.

– Dwanaście osiemdziesiąt jeden Live Oak Court.

Adres był dobry. Ale coś było nie tak.

Powiedziałam to Noahowi.

– Twoi rodzice byli na pogrzebach, prawda? – zapytał. – Podpytaj mamę, jak to się odbyło. Może czegoś się dowiesz.

Pytałam już wtedy i to było bolesne.

– Ludzie nie znikają – dodał Noah.

– A co z Jude'em? – spytałam.

Noah milczał przez chwilę.

– Nie wiem, Maro – powiedział w końcu. – Choć bardzo bym chciał. John czuwa na ulicy. Nic się nie stanie – ani tobie, ani Danielowi czy Josephowi, rozumiesz? – Jego głos zabrzmiał silnie i dźwięcznie. – Obiecuję.

Zacisnęłam powieki.

– Anna nie żyje – poinformowałam go po zbyt długiej przerwie.

– Wiem.

– To nie ja.

– Wiem. Trzymaj się, Maro.

– Rodzice uważają, że mi się polepszyło – ciągnęłam. – Mówią, że jeśli tak dalej będzie, nie będzie konieczny dalszy etap terapii, w zamkniętym oddziale Horyzontów.

– To dobrze. – Głos Noaha znów brzmiał spokojnie. – Niech się cieszą. Naprawdę świetnie sobie radzisz.

– Poza drobnym faktem, że jest to kompletna nieprawda. Nie polepszyło mi się. Z początku też tak myślałam, ale się myliłam.

– Nie jesteś chora psychicznie. – Noah z trudem ukrywał irytację. – Rozumiesz? Ale coś się z tobą dzieje. Z nami. Dzisiaj... dzisiaj widziałem kogoś – dodał spokojnie. – Jakiś drań znęcał się nad dziewczyną, wykręcał jej rękę. Bałem się, że ją złamie. Prawie mu się to udało.

– Kim ona była?

– Nie wiem. Widziałem ją po raz pierwszy w życiu. W każdym razie nic się jej nie stało. Chcę powiedzieć, że nie jesteś z tym wszystkim sama, Maro. Nie jesteś sama. Pamiętaj o tym.

Oddychałam z trudem.

– Będę pamiętać.

– Niedługo wrócę. Trzymaj się, Maro.

– Okej.

Rozłączyłam się.

Przez pięć, dziesięć sekund wpatrywałam się w słuchawkę, a potem zmusiłam się, żeby zrobić coś jeszcze. Z kranu w umywalce nalałam wody do szklanki. Wypiłam połowę. Zaledwie usiadłam na łóżku, do pokoju wpadł Joseph.

– Idziesz? – zapytał bez tchu.

Wzięłam głęboki oddech, starając się wrócić do normalności.

– Dokąd?

– Na kolację.

Przetarłam oczy i spojrzałam na zegarek.

– A, tak – powiedziałam z udawanym ożywieniem.

Wstałam i ruszyłam do drzwi.

Joseph zerknął na moje nogi.

– Czekaj... a buty?

Marzyłam, żeby zasnąć i obudzić się z Noahem w Miami, z Noahem w moich objęciach. Jednak rodzice uważali, że mi się polepszyło, i musiałam podtrzymać w nich tę wiarę. Aby nie musiano mnie z nimi rozdzielić z powodu problemów, których nie miałam. Grzecznie brałam leki, rysowałam, co mi kazano, wypełniałam kwestionariusze i nie mogłam dopuścić, żeby to wszystko poszło na marne. Nie zniosłabym odosobnienia. A zwłaszcza rozłąki z jedyną osobą, która mi wierzyła. Jedyną, która знаła prawdę.

Odstawiłam szklankę i z szerokim, sztucznym uśmiechem włożyłam buty. Na zewnątrz się śmiałam, a w środku wyłam. Moje ciało siedziało w restauracji, ale mój umysł był w piekle.

Wreszcie wróciliśmy do domu. Daniel i Joseph gadali, rodzice się śmiali, a ja poczułam się trochę lepiej – dopóki nie weszłam do swojego pokoju. Napiłam się ze szklanki, którą napełniłam przed wyjściem, i zaczęłam szykować się do spania, usiłując się nie bać. Strach to tylko uczucie, a uczucia nie są realne.

Jednak płyta, którą tej nocy znalazłam pod poduszką, była przeraźliwie realna.

Zacisnęłam na niej palce w ciemności. W mojej głowie narastało wycie syren alarmowych, ale uciszyłam je nadludzkim wysiłkiem woli. Powoli podniosłam się z łóżka i zapaliłam światło.

Była to płyta CD przeznaczona do nagrywania. Niepodpisana.

John, detektyw Noaha, pilnował domu.

Może sama nagrałam tę płytę? I po prostu o niej zapomniałam, tak jak o dzienniku?

Tak, na pewno. Zerknęłam na zegarek. Była północ. Noah wsiada właśnie do samolotu. Cała moja rodzina jest w domu, w swoich pokojach, i pewnie już śpi. Gdybym teraz obudziła ich w panice, zniszczyłabym kruchy wizerunek normalnej nastolatki. Napiłam się wody i zagryzając zęby, wsunęłam płytę do komputera. Nie mogę spanikować. Nie teraz.

Kliknęłam myszą i wpatrzyłam się w oznaczenie pliku na płycie, ale była to tylko sekwencja cyfr – 31281. Kliknęłam szybko dwa razy i pokazał się odtwarzacz. Kliknęłam play.

Obraz był ziarnisty i czarny, aż nagle błysk oświetlił...

– To musi być tu, chodź – powiedział głos.

Głos Rachel. Moje usta ułożyły się w jej imię, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– A jeśli jesteśmy w innej części budynku? – zastanawiała się Claire, która trzymała kamerę. – Sama już nie wiem.

Przybliżyłam głowę do ekranu i powietrze uciekło mi z płuc, kiedy pojawił się psychiatryk. Farba na ścianach mojego pokoju zaczęła się łuszczyć i odpadać; płatki opadały wokół mnie jak śnieg. Ściany jakby się rozplynęły, a zamiast nich wyrosły inne, stare i odrapane. Na suficie pojawiły się pęknięcia, a podłoga pod moimi stopami gniła w oczach. Znalazłam się w zrujnowanym szpitalu, obok Rachel i Claire.

– A jak nie będzie kredy? – martwiła się Claire.

Światło z jej kamery miotało się dziko po korytarzu. Żadnego zoomu. Żadnego konkretnego celu do filmowania.

Rachel uśmiechnęła się do Claire i uniosła dłoń w rękawiczce, pokazując, co ma w ręku.

– Wzięłam kredę.

Dały się słyszeć stłumione kroki i ktoś kopnął na bok starą wykładzinę. Błysnął flesz – Rachel zrobiła zdjęcie. Moje oczy zaszklily się łzami, ale nie mogłam oderwać wzroku od tej sceny.

– Czekaaj, to chyba tu.

Rachel uśmiechnęła się szeroko i tysiąc igieł wbiło się w moją pierś.

– Ale tu strasznie!

Och, Boże, Boże, Boże.

– Oj, tak.

Claire weszła za Rachel do pokoju i oświetliła wielką, starą szkolną tablicę, zapisaną imionami i datami, dziesiątkami różnych charakterów

pisma.

– A nie mówiłam – powiedziała z satysfakcją Rachel. – Zaraz... a gdzie jest Mara? I Jude?

Obraz na ekranie zatańczył. Claire musiała wzruszyć ramionami.

Próbowałam krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wyszedł z moich ust.

– Chyba po nią pójde – stwierdziła Rachel i wysunęła się z kadru.

Dusiłam się. Kurczowo chwyciłam powietrze. Zgarnęłam włosy z twarzy i próbowałam mówić; powiedzieć coś do nich, ostrzec je, ocalić, ale byłam niema. Zakneblowana. Pozbawiona głosu.

– Dobra, ja pójde. Wpisz się za mnie, okej? I weź kamerę.

Rachel mrugnęła do Claire.

– Masz załatwione.

Wzięła kamerę od Claire i już więcej jej nie widziałam. Skierowała obiektyw na tablicę i sfilmowała wszystkie wpisy, od góry do dołu. Pogwizdywała sobie przy tym. Biały obłoczek powietrza wydobywał się jej z ust.

Dźwięk odbijał się od wysokich ścian, wypełniając moje uszy i myśli. Kucnęłam na podłodze, przyciskając kolana do piersi, niezdolna wydobyć z siebie słowa, a tym bardziej krzyku. Skrzypienie kredy na starej, popękanej tablicy mieszało się z pogwizdywaniem Rachel i mój umysł rejestrował tylko te dwa odgłosy, dopóki nie rozległy się kroki. Kamera porzuciła tablicę i filmowała teraz Claire.

– Ptaszki mają słodkie sam na sam.

– Serio? – spytała Rachel.

Claire znikła z kadru. Obraz miotał się przez chwilę, aż znów na ekranie pojawiła się Rachel.

– Mara w porządku?

– Ehem.

– Niegrzeczna dziewczynka – powiedziała znacząco Rachel.

Śmiech. Claire.

A potem trzask, tak głośny, że niemal namacalnie go poczułam.

– Co to...?

Spanikowany szept. Rachel.

Przeciągły, metaliczny zgrzyt. A potem sekwencja potężnych huków, kiedy tysiącfuntowe drzwi po kolei zaczęły się zatrząskiwac.

– O, Boże...

Histeryczne oddechy. Krzyk.

Tumany kurzu i resztek zasłoniły mi widok; szum głośników wypełnił

uszy. Białe litery pojawiły się w ciemnościach i ułożyły się w napis: PLIK USZKODZONY. A potem cisza. Ekran zrobił się czarny. Obraz w mojej głowie ściemniał i zgasł.

Pomyślałam, że nagranie się skończyło, kiedy usłyszałam cichy śmiech. Niewątpliwie mój.

Nie wiedziałam, ile czasu minęło. W każdym razie, kiedy znów krzyknęłam, mój głos był stłumiony. Otworzyłam oczy, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale znajdowałam się w kompletnej ciemności. Nie miałam podłogi pod stopami ani sufitu nad głową.

Nie byłam w psychiatryku. Ani w domu, w swoim pokoju.

Związana i zakneblowana, leżałam w bagażniku czyjegoś samochodu.

Nie wiem, jak się tam znalazłam.

W jednej sekundzie siedziałam przed komputerem, oglądając film z kamery Claire i słuchając swojego śmiechu. Ze wszystkich sił starałam się nie stracić poczucia rzeczywistości i nie pozwolić, by porwał mnie koszmar. W następnej sekundzie leżałam skulona w ciemnościach, szorstka wykładzina drapała mi policzek i dusiłam się z gorąca.

Jedno tylko wiedziałam: jedyną osobą, która miała powód, żeby mnie dręczyć, był Jude i już wcześniej tego próbował.

Co oznaczało, że to on mnie wiezie.

Samochód podskoczył na wyboju i przygryzłam sobie język. Krew zalała mi usta. Usiłowałam ją wypluć, ale były zakneblowane; nie miałam pojęcia czym. Wysyłałam sygnały do swoich rąk i nóg, błagając je, żeby się poruszyły, walczyły, ale nic się nie działo. Wyobrażałam sobie, że wyginam się i skręcam, napierając na to, co mnie krępuje, ale byłam bezwładna i bezsilna. Jak szmaciana lalka, którą znudzone dziecko cisnęło do pudła, niezdolna się poruszyć.

Musiał porwać mnie z domu – z mojego pokoju – kiedy rodzina spała, niczego nieświadoma.

Ale co z Johnem?

Łzy pociekły mi z kącików oczu. Skóra swędziała i piekła od szorstkiej wykładziny bagażnika. Mięśnie rąk i nóg były bezwładne, co oznaczało, że musiano mi podać jakiś narkotyk.

Ale jak? Jedliśmy w restauracji, nie w domu. Starałam się odtworzyć w pamięci ostatnie pół godziny, ale myśli mi się rozbiegały i nie mogłam sobie nic przypomnieć. Nic.

Auto się zatrzymało. Moje ospałe, bezwładne ciało wreszcie ożyło. Pulsowało boleśnie. Byłam mokra od potu.

Trzasnęły drzwi. Kroki zazgrzytały na żwirze. Kulłam się w bagażniku, zdesperowana i bezbronna, spocona, brudna i sponiewierana. Strach zmienił mnie w zwierzę i mój prymitywny mózg kazał mi udawać martwą.

Ktoś otworzył bagażnik; słyszałam to i czułam, ale nadal nic nie widziałam. Zapewne miałam zawiązane oczy. Nasłuchiwałam. W pobliżu musiała być woda. Fale pluskały, rozbijając się o jakąś przeszkodę.

Poczułam dotyk dużych, silnych rąk na swoim bezwładnym ciele.

Umierałam z przerażenia. Ręce wyciągnęły mnie z bagażnika i czułam napinające się, grube bicepsy.

– Szkoda – powiedział szeptem jakiś głos. – Było zabawniej, kiedy się broniłaś.

Jude, bez żadnych wątpliwości.

Poczułam ciśnienie pod czaszką – musiał nieść mnie przerzuconą przez plecy, głową w dół. Jęknęłam cicho pod kneblem.

Wreszcie wróciłam do normalnej pozycji. Zostałam posadzona na krześle, z rękami związanymi za oparciem. Bolały mnie kolana, uda i łydki. Zapachy i dźwięki – wodorostów i soli, gnijących resztek i szum fal – wyraziście docierały do moich zmysłów, ale nadal trudno mi było zebrać myśli.

Odsłonił mi oczy i zobaczyłam go. Wyglądał na starszego, niż go zapamiętałam, ale to na pewno był on. Jasne, zielone oczy. Przetłuszczzone jasne włosy. Dołeczki. I para normalnych, zdrowych dłoni.

Przyjrzałam się otoczeniu i chłonełam jego szczegóły jak gąbka. Byliśmy w jakimś budynku na przystani. Wzdłuż ścian piętrzyły się stosy kapoków, dwa kajaki leżały jeden na drugim, a w kącie stała stara, zardzewiała tablica z napisem ZAKAZ WYTWARZANIA FALI. Budynek był dobrze utrzymany, grubo pomalowany szarą farbą, zakrywającą ubytki ścian. Drzwi były tylko jedne. Jude stał w wejściu.

Gorączkowo poszukałam wzrokiem czegoś, co nadawałoby się na broń. Nagle przypomniałam sobie, że przecież sama jestem bronią.

On albo ja. Natychmiast wyobraziłam sobie Jude'a zmasakrowanego, z krwawą raną w brzuchu. Wyobraziłam go sobie w agonii.

– Nareszcie – powiedział.

Na sam dźwięk jego głosu miałam ochotę plunąć mu w twarz. Zrobiłabym to, gdyby nie knebel.

– Stęskniłaś się za mną? Kiwnij głową na tak albo pokręć nią na nie.

Jego uśmiech był jak otwarta rana.

Poczułam gorzki smak na języku, ale udało mi się przełknąć i wyobraziłam sobie, że połknęłam swój strach.

Jude westchnął i na moment opadły mu ramiona.

– To jest właśnie problem. Pogadałbym z tobą, ale boję się, że jeśli odkleję taśmę, zaczniesz krzyczeć.

A żebyś wiedział!

– Nikt cię tu nie usłyszy i zaraz wybiłbym ci krzyki z głowy, ale w pierwszej chwili działałyby mi na nerwy. No i co mam zrobić? – Zerknął

na sufit i potarł brodę w namyśle. – Może tak: jeśli zaczniesz wrzeszczeć, to jak tylko skończę z tobą, poderżnę Josephowi gardło w jego własnym łóżku.

Wyjął coś z kieszeni: nóż do cięcia kartonów. W słabym świetle błysnął zegarek na jego przegubie.

Miałam wrażenie, jakbym dostała cios w brzuch. Rozkaszałam się.

– Spokojnie, tygrysico – powiedział i mrugnął do mnie.

Muszę go uśmiercić. Jude musi umrzeć. Obracałam tę wizję w myślach. Jude, krwawiący, umierający. Przewijałam ją bezustannie do początku, jak film. „Błagam”.

– Tak, to powinno zadziałać.

Wyjął z kieszeni jeszcze coś: klucz. Uniósł go w górę i pokazał mi.

– Na wszelki wypadek pamiętaj, że mogę wchodzić do waszego domu i wychodzić z niego, kiedy tylko zechcę. Mogę potraktować gazem twoją rodzinę i zabić ich we śnie. Albo jeszcze lepiej: zabić Daniela i Josepha na oczach rodziców. Są różne opcje i mamy duży wybór. Jednym słowem, mogę zrobić wiele, jeśli zaczniesz krzyczeć. Porwanie cię z domu było tak łatwe, że aż śmieszne.

Uśmiech rozjaśnił jego twarz, pogłębiając dołeczki w policzkach gładkich jak u dziecka.

Byłam zniesmaczona nim i sobą. Jak to się stało? Jak mogłam dopuścić, żeby to coś w ludzkiej skórze pochłonęło moje życie? Jak mogłam tego nie zauważyć? Jak mogłam nie wiedzieć?

– Zrozumiałaś? Kiwnij głową, jeśli tak.

Kiwnęłam i poczułam, że gula rośnie w gardle. Zaraz się udławię.

– Okej – powiedział z uśmiechem. – No to jedziemy. Może trochę zabołec.

Jednym ruchem zerwał mi taśmę z twarzy. Rzygnęłam na podłogę. W szparach pomiędzy deskami zobaczyłam wodę. Ocean? Jezioro?

Ten zapach soli. Jednak ocean.

Jude pokręcił głową.

– Fuj, Maro.

Popatrzył na mnie z naganą, jak na szczeniaka, który napaskudził na dywan.

– I co mam z tobą zrobić?

Rozejrzał się po pomieszczeniu i dostrzegł coś. Mop. Nabrał wody i zmył wymiociny z wyblakłych desek.

Zrozumiałam, że próby zabicia Jude’a nie mają sensu. Jakoś przeżył katastrofę szpitala i choć bardzo się starałam go wyeliminować, nic mi nie wychodziło. Jude musiał o tym wiedzieć, bo przyglądał mi się bez strachu.

A jednak, choć nie mogę go zamordować, nie jestem bezsilna. W myślach rozbrzmiał mi wyzywający głos Noaha.

„Nie pozwól, żeby strach tobą zawładnął – powiedział. – Bądź panią siebie”.

Jude musiał chcieć czegoś ode mnie, bo inaczej dawno byłabym martwa.

Cokolwiek by to było, nie dostanie tego.

– Zadałem ci pytanie – powiedział, kiedy skończył. – Możesz odpowiedzieć.

Oczekiwał odpowiedzi, więc milczałam.

Jego rysy stężały i w sumie byłam zadowolona, bo wreszcie przestał się kryć i wyglądał jak ktoś, kto jest zdolny porwać, związać i zakneblować drugiego człowieka.

– Co mam z tobą zrobić? – zapytał ponownie, teraz już spokojniej, a więc tym bardziej przerażająco. – Spójrz na mnie – polecił.

„Bądź panią siebie”. Odwróciłam wzrok.

Zbliżył się i uszczypnął mnie w policzek.

– Spójrz na mnie.

Zamknęłam oczy.

– Ładnie wyglądasz, Maro – powiedział łagodnie.

Proszę, proszę, niech on umrze. Błagam.

– Mam gdzieś twoją opinię, Jude – powiedziałam szeptem.

Otworzyłam oczy. Nie mogłam się powstrzymać.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i rozparł na krześle.

– Założę się, że będziesz miała kłopoty przez ten niewyparzony język.

Nie przestając się uśmiechać, wysunął ostrze na całą długość i przejął mnie pierwotny, zwierzęcy dreszcz strachu. Jude uniósł rękę, spoglądając na okrutnie ostrą, tnącą krawędź.

– Czego chcesz?

Zaskoczyła mnie siła własnego głosu. To mnie wzmocniło.

Jude popatrzył na mnie, jakbym była kawałkiem układanki, którą usiłuje ułożyć.

– Chcę, żeby Claire żyła.

Przymknęłam oczy i zobaczyłam słowa wypisane krwią.

„DLA CLAIRE”.

Bolały mnie wszystkie kości; członki miałam odrętwiałe od więzów i nieruchomej pozycji.

– Ja też chcę, żeby Claire żyła.

– Nie wypowiadaj jej imienia!

Głos miał ostry jak brzytwa, ale po chwili znów się uspokoił.

– Zamierzasz ją sprowadzić z powrotem?

Wiedział, co zrobiłam. Wiedział, że ją zabiłam. A teraz mnie karał; od początku chciał mnie ukarać. To była zemsta.

Nie miałam pojęcia, co robić. Nie widziałam wyjścia z tej sytuacji; byłam związana, bezbronna i na próżno usiłowałam go zabić.

Czy mam kłamać? Udawać, że nie rozumiem, o co mu chodzi? Czy przyznać się, że to zrobiłam, bo i tak już wiedział? A może pokajać się? Przeprosić?

Nie mogłam się zdecydować, więc zignorowałam pytanie.

– Myślałam, że ty też nie żyjesz.

Przełknęłam z wysiłkiem. Patrzyłam na jego ręce.

– Jak zdołałeś przeżyć?

Tym razem wychylił się na krzesło, aż jego twarz znalazła się tuż przed moją. Czułam jego oddech.

Oczekiwał, że się cofnę, więc siedziałam nieruchomo.

– Rozczarowana?

Chciał, żebym przytaknęła.

– Nie.

Uniósł brwi.

– Naprawdę?

Nie mogłam się powstrzymać.

– Tak.

Toksyczny uśmiech pojawił się na jego wargach.

– Świetnie, jedźmy dalej – powiedział miękko. – Wreszcie jesteś szczerą. Nie martw się, nie użyję tego przeciwko tobie.

– To był wypadek – powiedziałam, zanim zorientowałam się, co mówię.

Jude przez moment mierzył mnie wzrokiem, a potem krótko pokręcił głową.

– Oboje wiemy, że to nieprawda.

– Budynek był stary i zawalił się – ciągnęłam, za wszelką cenę starając się, by nie brzmiało to desperacko i nieszczerze.

Uciszył mnie syknięciem.

– Daj spokój, Maro. Przecież w to nie wierzysz.

Nie wierzyłam, ale skąd Jude o tym wiedział?

– I ja też nie wierzę – dodał. – Widziałem film. – Potrząsnął głową. – Boże, Maro, ten twój śmiech. Naprawdę upiorny.

– Skąd go masz? – naciskałam. – Jak się stamtąd wydostałeś?

– Jak uruchomiłaś zamykanie drzwi? – odparował, przysuwając się bliżej z krzesłem. – Jak udało ci się poruszyć tę całą maszynę? A może po prostu pomyślałaś i stało się?

Czy tak to zrobiłam?

– Usłyszałem, że zaskrzypiały dźwignie, i skoczyłem do drzwi, ale zatrzasnęły mi się na rękach – powiedział.

Patrzył mi prosto w oczy.

– Kiedy odwróciłem głowę i spojrzałem na ciebie, uśmiechałaś się. Po prostu się uśmiechałaś.

Moja pamięć ożyła.

W jednej sekundzie tak silnie przyciskał mnie do ściany, iż bałam się, że się w nią wtopię. W następnej to on znalazł się wraz ze mną w pułapce w szpitalnej sali. Tyle że ja już nie byłam ofiarą.

On nią był.

Zaśmiałam mu się w twarz w swojej oszalonej furii, która wstrząsnęła posadami gmachu, aż runął, grzebiąc pod sobą Jude'a, Claire i Rachel.

– Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego? – zapytał jakby samego siebie.

„Bądź panią siebie”. Usta miałam suche i spękane. Język był jak papier ścierny, ale jakoś zdołałam wydobyć głos.

– Kim trzeba być, że zrobić coś takiego? Jak mogłeś mnie tak napastować?

Nozdrza mu zadrgały.

– Nie udawaj, że tego nie chciałaś – powiedział ostro. – Leciałaś na mnie od początku. Claire mi mówiła.

Jude przesunął się na krawędź krzesła. Niemal dotykał policzkiem mojego ucha. Podstawił mi ostrze noża pod oczy.

– Mamy dwa wyjścia. Pierwsze: sama to zrobisz. I drugie: ja zrobię to za ciebie. Jeśli będę zmuszony wybrać drugie, nie zawaham się.

Ostrze było tak blisko moich oczu, że zamknęłam je odruchowo.

– Dlaczego mi to robisz?

– Bo zasłużyłaś sobie na to – syknął mi do ucha.

Bezsilność i strach mieszały się z nienawiścią i buntem. Nie wiedziałam, co mam zrobić ani co mam powiedzieć, ale wiedziałam jedno – dopóki rozmawiamy, będę żyła.

– Mają cię na nagraniu – powiedziałam, byle coś mówić. – Odkryją, że ty to zrobiłeś.

Roześmiał się.

– Nagranie z komisariatu? Powiedziałaś im, że to ja? – Uniósł mi podbródek palcami. – Tak, powiedziałaś. Wystarczy na ciebie popatrzeć. Zastanówmy się – kamera sfilmowała gościa w bluzie z długimi rękawami, w workowatych spodniach i bejsbolówce. I policja miałaby ci uwierzyć, że jest twoim zmarłym chłopakiem? Nic dziwnego, że uznali cię za wariatkę. – Z cmoknięciem wciągnął dolną wargę. – Powiedzmy sobie szczerze, w sumie nią jesteś. To tylko ułatwi mi sprawę – dodał, zerkając wymownie na nóż. – Będzie prościej.

Wstał i adrenalina wlała mi się do żył, dając kopa. Byłam wykończona i otumaniona, ale moje przeguby nie były już tak odrętwiałe. Ani nogi.

Narkotyk przestawał działać.

– Dlaczego przyszedłeś na policję? I do mojej szkoły? – zapytałam. Błagałam.

– Chciałem, żebyś wiedziała, że żyję – odparł.

Byłam mu wdzięczna, że raczył odpowiedzieć. Omal nie krzyknęłam z ulgi.

– Pomyślałem, że pokażę ci się w... jak to się nazywało?

– Co?

– Twoja dawna szkoła?

– Croyden.

Strzelił palcami.

– No właśnie, w Croyden. Uciekłaś na mój widok – powiedział z uśmiechem. Zimnym, okrutnym, gadzim. – A komisariat? Nie wiedziałem, dokąd idziesz. Ale... – przez moment dobierał słowa – ... pasowało mi to. Chciałem cię przestraszyć.

Udało mu się.

– Już wcześniej mogłeś mnie wiele razy zabić. Czemu czekałeś?

Jude uśmiechnął się w odpowiedzi. Milczał. Uniósł ostrze.

O, Boże.

– A twoja rodzina? – wyszeptałam.

Mów Jude. Mów. Mów.

– Claire jest moją rodziną.

Głos miał teraz inny. Mniej ostry. Przełknął i wziął głęboki oddech.

– Wiesz, co znaleźli? – zapytał obojętnym tonem.

Wstał i przesunął się za moje plecy.

– Była w kawałkach i musieli sprowadzić zamykany pojemnik.

– Rachel też – dodałam głucho.

Błąd. Nie powinnam tego powiedzieć. Jude pochylił się nade mną, z policzkiem tuż przy moim uchu.

– Proszę – powiedział i sięgnął po moją rękę.

To uczucie, ten koszmarny lęk był czymś nowym. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego – ani niedawno, w bagażniku, ani nawet w opuszczonym szpitalu.

– Czemu miałabym ci pomagać w zabiciu mnie?

Mój głos był zaledwie cieniem oddechu, echem szeptu.

Jude znów był blisko. Stał tuż za mną i mówił mi do ucha:

– Daję ci wybór, Maro. Twoje życie albo życie twoich braci.

Przyłożył mi ostrze do policzka, żeby przypomnieć mi, do czego jest zdolny.

Przypomniął mi o czymś jeszcze.

Jego zegarek, rolex, ten sam, który Noah zobaczył w swojej wizji, znalazł się tuż przed moimi oczami.

– Ładny zegarek – szepnęłam.

„Rozmawiaj z nim. Rozmawiaj”.

– Dzięki.

– Skąd go masz?

– Abe Lincoln mi go dał – prychnął Jude.

– Dlaczego porwałś Josepha?

Jude nie odpowiedział.

– On ma zaledwie dwanaście lat.

Mój głos zabrzmiał płaczliwie.

Spojrzenie Jude'a było lodowate.

– Brat za siostrę.

Nienawiść rosła we mnie jak bezkształtna, mroczna masa, pochłaniająca strach.

– Gadałeś z nim o piłce u nas w domu.

Jude odpowiedział śmiechem i w mojej głowie rozbrzmiało słowo „chory”.

– Wszystko sobie zaplanowałem – wyjaśnił. – Miałem zamiar sprowadzić tu Daniela na imprezę – nie martw się, nie zamierzałem zrobić mu krzywdy. Ty miałaś to zrobić.

Powinnam pokręcić głową, ale ostrze było zbyt blisko.

– Nigdy nie zrobiłabym mu krzywdy.

– Nigdy nie mów nigdy – odpowiedział z powagą.

Głos miał znów spokojny.

– Zrobisz wszystko, co zechcę. – Westchnął. – Ale ktoś musiał się poświęcić i zostać bohaterem. – Przewrócił oczami. – I w końcu jesteśmy tu razem.

– Nie jestem...

Jude zachichotał.

– Myślisz, że chodzi o ciebie? – zapytał kpiąco i przysunął się bliżej, marszcząc nos. – Nie jesteś bohaterem, Maro Dyer. Jesteś gotowa zrobić wszystko, żeby dostać to, czego chcesz. W tym jesteśmy podobni. Ja. I ty.

Stanął przede mną i mogłam go zobaczyć. W całej okazałości. Był wysoki, potężny i nieporuszony jak skała. Przesunął wzrokiem po moim ciele.

– Trochę szkoda – skomentował.

Musnął wierzchem dłoni moje ramię. Jego dotyk sparaliżował mnie.

„Zajmij go rozmową”. Gorączkowo szukałam w myślach słów, jakiegokolwiek zahaczenia.

– Dlaczego zabrałeś Josepha do Everglades?

– Już ci mówiłem. Poza tym, jeżeli chcesz pozbyć się ciała na Florydzie, nie ma lepszego miejsca niż bagna.

Ale tamta szopa... była własnością klienta mojego ojca. Leona Lassitera.

– Czemu konkretnie w to miejsce?

– Podsunięto mi je.

Czułam, że zaraz zwariuję.

– Kto?

– Wspólny przyjaciel – odparł.

Rozwiązał moje przeguby, odwrócił je i zaczął oglądać.

Moja rodzina uwierzy zapewne w moje samobójstwo. Po tym wszystkim, co się stało, było to bardzo prawdopodobne. Jednak...

– Dlaczego przywiozłeś mnie właśnie tutaj? – zapytałam, żądna odpowiedzi.

„Powiedz mi, gdzie to jest”.

– Pomyśl logicznie. Chyba nie chciałybyś, żeby znaleźli cię w domu, nie? Gdzie Joseph mógłby pierwszy natknąć się na twojego trupa? Nie, zrobiłabyś to poza domem. Tam, gdzie w miarę szybko ktoś by cię znalazł, ale nikt bliski. *Notabene* dzisiaj w nocy wzięłaś samochód Daniela.

Brzmiało to tak, jakby był z siebie dumny. Miałam ochotę odgryźć sobie język.

Jude znów przesunął się za moje plecy. Przeciągnął wraz z krzesłem na tył pomieszczenia i dopiero teraz zobaczyłam, że są tam drugie drzwi. Nie było ich widać, gdyż były pomalowane na kolor ściany i nie miały klamki. Jude pchnął je i wywłókł mnie na zewnątrz.

– Wiesz, od tamtego czasu myślałem, że kiedy wreszcie cię dopadnę, będę tylko marzył, żeby cię zabić za to, co zrobiłaś. Ale teraz zastanawiam się nad jeszcze gorszą karą.

Lgnął spojrzeniem do mojej skóry.

Nie mogłam znieść, kiedy patrzył na mnie w ten sposób. Zacisnęłam powieki.

Jude potrząsnął krzesłem, aż zadzwoniły mi zęby.

– Hej. – Szarpnięcie. – Patrz na mnie.

Nachylił się nade mną i unióśł mi podbródek.

– Patrz na mnie.

Nic nie mogłam zrobić. Byłam na jego łasce. Otworzyłam oczy.

Ale kiedy patrzyłam na Jude'a – nienaturalnie ciemnego w jasnych światłach pomostu – przepłynęły przeze mnie słowa, które nie były moje.

„Nie jesteś z tym wszystkim sama”.

Słowa Noaha, wypowiedziane niedawno. Noah odnalazł Josepha, kiedy go porwano. Teraz wiedziałam, że zrobił to Jude. Mój brat, otumaniony, któremu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Noah w jakiś sposób wyczuł, co się działo z Josephem, i wiedział, że porwał go Jude, ponieważ patrzył oczami mojego brata.

I jeśli teraz okaleczę siebie, też to zobaczy.

Nie było go w Miami, więc nie mógł mi pomóc. Ale wiedziałam przynajmniej, że zobaczy, co się dzieje.

Przygryzłam sobie język tak boleśnie, że aż jęknęłam. „Zobacz mnie” – błagałam.

– Zrobisz to sama – dyszał mi w ucho Jude – czy mam to zrobić za ciebie?

Krew wypełniła mi usta i wstrząsało mną bezgłośnie łkanie. Przed nami rozciągał się czarny, nieskończony wodny przestwór. Znajdowaliśmy się na końcu pomostu. Kręciłam głową, usiłując dostrzec coś, co pozwoliłoby mi

choćby w przybliżeniu określić, gdzie jesteśmy, wyłowić jakiś znaczący szczegół, ale świat rozpływał mi się w oczach. Z bólu? Od płaczu?

Tak, od płaczu. Zamrugałam, na moment odzyskując zdolność widzenia, i zobaczyłam, że pomost przechodzi w wąską, wydeptaną ścieżkę prowadzącą do majaczącego w oddali kotwicowiska jachtów i łodzi.

Ale nie widać było ludzi. Nikogo.

Jude zagarnął ręką moją twarz jak koszykarz piłkę. Popatrzył mi w oczy.

– Jesteś za mało zmotywowana – stwierdził.

Nie byłam pewna, czy Noah to widzi. Z tego, co mówił, zapamiętałam, że do identyfikacji zdarzenia nie wystarczy mu ból; domyślałam się, że potrzebował czegoś jeszcze. Tylko nie wiedziałam czego.

Splunęłam krwią na deski pomostu i dostałam w twarz. Jude wiedział, jak bić. Tak żeby bolało, ale nie został ślad.

– Nie rób tego – ostrzegł. – Nie spieprz sprawy, bo zabijesz swoją rodzinę, Maro. – Pochylił się nade mną. – Spójrz na mnie i powiedz mi, że kłamię.

„Zobacz mnie – błagałam bezgłośnie. – Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi”.

– Dobra – powiedziałam głośno. – Zrobię to. Zrobię, co zechcesz.

– Nawet to?

– Tak.

– Na wypadek, gdybyś pomyślała o ucieczce, pamiętaj, że mam klucz do twojego domu.

– Pamiętam – wyszeptałam.

– Poza tym mogę zawsze przeciąć przewody hamulcowe w samochodzie Daniela. Albo w samochodzie twoich rodziców.

Straciłam oddech. Załkałam bezsilnie. Strasznie się o nich bałam. Paranoicznie.

– Od ciebie zależy, co się z nimi stanie, zrozumiałaś?

– Tak – szepnęłam.

Zacisnął palce na mojej twarzy.

– Tak – jęknęłam.

Byłam gotowa zrobić dla nich wszystko, aby tylko nic im się nie stało. Byłam gotowa na każde poświęcenie.

– Zrobię to.

Jude zerwał taśmę krępującą moje nogi i ręce. Teraz trzymał mnie za szlufki dzinsów, jak to miał w zwyczaju.

– Daj mi rękę.

W moim umyśle rozpętała się burza. To było nie do zniesienia. Ostrze

musnęło wewnętrzną stronę przegubu i oparło się o żyłę. Lekko wcięło się w skórę. Krzyknęłam.

– Spokojnie.

Popłynęła krew i zrobiło mi się niedobrze od jej metalicznej woni. Jude zrobił poziome, płytkie cięcie, po czym wręczył mi nóż.

– Tnij głębiej, po linii mojego cięcia – polecił. – Jedną ręką, potem drugą. I pamiętaj, co mogę zrobić Josephowi.

A jednak cięcie było poziome.

Nie pionowe.

Nie było śmiertelne.

Na sekundę moje serce zabiło mocniej.

Dopóki nie spojrzałam na Jude'a i nie zobaczyłam, że...

Że on wie.

Jude nie chciał mnie zabić. Chciał czegoś jeszcze.

Czego może chcieć, myślałam, upuszczając sobie krew; jej mdła, metaliczna woń mieszała się ze słoną wonią oceanu. Stał przede mną, przytrzymując mi ręce, kiedy cięłam sobie przeguby, nie dając mi spaść z krzesła. Nie byłam w stanie odwrócić wzroku od pogłębiających się, krwawych rozcięć. Byłam słaba i drżąca. Jęknęłam cicho.

– Halo...

Gwałtownie uniosłam głowę, tak jak Jude. Świat rozpływał mi się w oczach – już nie z powodu łez, tylko narastającej słabości – ale zobaczyłam zarys postaci zbliżającej się do nas.

Chciałam krzyknąć, lecz nie mogłam wydobyć głosu. Byłam słaba, przerażona, niemal ślepa i nie miałam siły wezwać pomocy.

Jude puścił mój przegub i ścisnął mi twarz swoim szerokim łapskiem.

– Nawet o tym nie myśl.

Zabrał mi nóż i schował go, a potem stanął tak, żeby zasłonić mnie przed obcym głosem.

– Co tu się dzieje?

Głos mężczyzny brzmiał teraz donośniej. Był bliżej. Słyszałam kroki dudniące po pomoście z mojej prawej strony.

– Nic się nie dzieje. Wszystko w porządku – odpowiedział spokojnie Jude.

Klap, klap.

– Może jednak...

Nagła cisza. Świst wciąganego powietrza.

– O, Boże – wykrztusił nieznajomy.

– Wszystko jest pod kontrolą – zapewnił Jude, uruchamiając cały swój urok.

Zmienił się, słyszałam to. Gdybym nie wiedziała, jak zgniłą ma duszę, ten czarujący głos przypomniałby mi, jak na początku podobał mi się Jude Lowe.

W głosie mężczyzny pojawiły się władcze tony.

– Wezwałeś karetkę?

Usiłowałam coś powiedzieć, znaleźć jakieś słowa, ale głos mi zanikł.

– Jest w drodze – powiedział Jude.

Popłynęły łzy, częściowo przywracając mi zdolność widzenia. Mężczyzna

sięgnął po coś, co miał przy biodrze.

– Ściągnę ich tu w parę minut. Policja – wyjaśnił.

W tym momencie coś zmieniło się w twarzy Jude'a. Wyciągnął swój nóż do kartonu i mój umysł eksplodował bezgłośnym okrzykiem grozy. Kiedy gliniarz włączył krótkofalówkę, Jude wysunął ostrze.

Oczy mężczyzny rozszerzyły się gwałtownie.

– Co ty...

Jude chciał go rozplatać. Zanim zdążył się zamierzyć, policjant rzucił się na rękę z nożem.

A wtedy Jude wbił sobie ostrze w bok.

Nie pojmowałam, na co patrzę.

Policjant też nie pojmował. Wyszarpnął nóż z ręki Jude'a.

– Rany boskie... co z tobą?

Jude upadł na kolana z twarzą wykrzywioną bólem.

Gliniarz zaczął mówić do mikrofonu:

– Centrala, przyślijcie wsparcie do...

Wypuścił radio z ręki, zanim zdążył dokończyć zdanie. Grymas strasznego bólu zmiotł zdumienie z jego twarzy. Nóż Jude'a wysunął się z bezwładnych palców.

I upadł o parę kroków ode mnie.

Zsunęłam się z krzesła i na czworakach zaczęłam pełznąć ku niemu, gdyż byłam zbyt słaba albo zbyt przerażona, żeby ustać na nogach. Czarne i czerwone plamy latały mi przed oczami. Ale jakoś posuwałam się naprzód.

– Zostaw... to – wykrztusił Jude.

Ciągle klęczał, zgarbiony; głowa ciążyła mu w dół, a ramiona zwisały bezwładnie.

Sunęłam w jego stronę, choć wszystko we mnie sprzeciwiało się temu. Chciałam się zatrzymać. Nie mogłam. Ktoś jęczał, lecz nie ja ani nie Jude. Ten mężczyzna, policjant. Nie widziałam go, nie słuchałam, czy coś mówi, nie interesowało mnie, co się z nim dzieje. Myślałam tylko o jednym – o nożu. Sięgnęłam po niego, ale mięśnie nie słuchały rozkazów z mózgu. Drżały niekontrolowanie i byłam tak słaba, że kiedy chciałam objąć palcami plastikową rączkę, nóż spadł w szparę pomiędzy deskami pomostu.

Koniec. Stało się.

Byłam u kresu sił. Nogi i ręce ugięły się pode mną i upadłam na deski. Nie mogłam się podnieść, nie mogłam się nawet ruszyć. Oczy miałam nadal otwarte i nie straciłam przytomności, choć modliłam się o to, gdyż cała byłam bólem.

Pomost zatrzęsł się pod ciężarem upadającego ciała. Gliniarz. Był na krawędzi mojego pola widzenia. Oczy miał otwarte. Szkliste. Płytki oddech. Gdzieś z mojej lewej strony słyszałam cichy, metaliczny głos. Jego radio? Jedynym innym dźwiękiem było pluskanie wody pode mną. Czułam na policzku szorstki dotyk deski. Spojrzałam w dół, przez szparę. Woda uderzała o słupy pomostu, powoli wzbierając od przypiływu. Plusk był głośniejszy, niż się spodziewałam. Światło księżyca srebrzyło powierzchnię. Tak tu spokojnie.

Wtem dostrzegłam jakieś kształty w dole. Te rzeczy miękko uderzały o pale pomostu. I nie były to fale.

W nagłym wyostrzeniu wizji, zanim straciłam świadomość, pojęłam, że woda nie jest pusta.

Pływały w niej setki martwych i zdychających ryb.

Czas przestał dla mnie istnieć. Mogły minąć sekundy albo lata, zanim usłyszałam inny odgłos.

„Biip”.

Usiłowałam otworzyć oczy, ale niewiele widziałam, bo świat był wyprany z kolorów. Jakby ktoś je wszystkie wytarł.

„Ssss...”

Było zabawniej, kiedy się broniłaś”.

Głos Jude’a brzmiały mi w uszach. Szarpnęłam się, ale coś mnie więziło. Nadal byłam w niewoli, bezsilna i bezradna.

– Wybudza się.

Nowy głos, dziwny, obcy, dochodzący do mnie jak przez mgłę. Próbowałam coś powiedzieć, ale udławiałam się słowami.

Jakieś kroki szybko zbliżyły się do mnie.

– Ciiiicho. Leż spokojnie i odpręż się.

Dotyk dłoni na moim ramieniu, szorstki, lecz dodający otuchy.

Wreszcie otworzyłam oczy i światło wlało mi się pod powieki. Znów je zamknęłam, na minutę, może pięć. Potem spróbowałam jeszcze raz.

Jakaś kobieta pochylała się nade mną; kontury jej postaci zacierały się. Nie patrzyła mi w oczy. Widziałam jej brodę, szyję i obfity biust.

– Kim jesteś? – zapytałam chrapliwym szeptem; głosem, który nie należał do mnie.

Chyba się uśmiechnęła.

– Mam na imię Joan, kochanie.

– Zaraz... czy ona... Mara... och, Boże, Maro, obudziłaś się, koteńku?

Głos mamy spłynął na mnie, wypełnił mnie ciepłem. Coś ścisnęło mi pierś, nie dając oddychać. Po chwili zrozumiałam, że to łkanie. Płakałam.

– Och, koteńku.

Dotyk jej dłoni, delikatny, ale konkretny.

Usiłowałam skupić myśli. Początkowo miałam wrażenie, jakbym patrzyła przez brudną szybę, ale w końcu zobaczyłam, gdzie jestem.

Biały sufit. Jaskrawe, techniczne oświetlenie. Różne urządzenia.

Szpital.

Zaledwie to pomyślałam, zarejestrowałam nowe szczegóły. Rurka pod nosem. Ucisk na przegubach, przedramionach, gdzie więcej rurek

wystawało z mojego ciała. Chciałam je wyrwać, chciałam krzyżeć, ale wszystko było takie ściśnięte – moja pierś, ręce, wszystko. Nie byłam w stanie się poruszyć.

– Dlaczego nie mogę się poruszyć? – spytałam.

Spojrzałam na swoje ciało, okryte po brodę kocem.

W polu widzenia pojawiła się mama.

– To dla twojego bezpieczeństwa, dziecko.

– A co mi grozi?

Mama spojrzała na sufit, jakby szukała tam słów.

– Nie pamiętasz – powiedziała, jakby mówiła do siebie.

Pamiętałam, że Jude uprowadził mnie z mojej sypialni, wywiózł na przystań i zmusił, żebym się pocięła. Pamiętałam, jak groził, że jeśli tego nie zrobię, zabije moją rodzinę.

Mama wyjęła coś z kieszeni – ciasno złożoną kartkę – rozprostowała ją i podsunęła mi pod oczy.

– Zostawiłaś to w swoim pokoju, zanim wyszłaś, zabierając samochód Daniela – powiedziała. – Kartka z twojego dziennika – dodała.

Dziennik, o którym nie wiedziałam, że go mam. Słowa, których nie pamiętałam, że je napisałam.

„Pomóż mi pomóż mi pomóż mi”.

Mama była zdruzgotana. Błada i wyczerpana, wyglądała, jakby przepłakała sto lat.

– Pocięłaś sobie przeguby, Maro – powiedziała, tłumiąc łkanie. – Pocięłaś sobie przeguby.

– Nie. – Gwałtownie pokręciłam głową. – Nie rozumiesz.

Próbowałam usiąść na łóżku, ale nie mogłam. Dalej byłam więźniem i panika zatruwała mi umysł.

– Chcę usiąść – powiedziałam z desperacją.

Mama kiwnęła głową i nieznajoma kobieta, Joan, najwyraźniej będąca pielęgniarką, podeszła i pilotem uniosła wezglowie. Chciałam poprawić sobie poduszkę. Nie mogłam. Teraz, w nowej pozycji, zobaczyłam dlaczego.

Byłam przywiązana do łóżka.

– Co to ma być? – spytałam tonem, który był na wpół skargą, na wpół przekleństwem.

Mama podeszła do łóżka i zsunęła koc. Zerknęła na pielęgniarkę. Kobieta skinęła głową i odwiązała taśmy, które krępowały mi ręce.

Przeguby miałam obandażowane. Teraz poczułam, że mnie bolą.

Oddychałam głęboko, usiłując wziąć się w garść, ale to było trudne.

Niemal niewykonalne.

– Czy wszystko w porządku?

Spojrzałam na drzwi, które ktoś otworzył. Postać policjanta z ręką opartą na biodrze... a może ochroniarza? – zamajaczyła w wejściu. Zajrzał do sali, ale nie wszedł.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała służbiście Joan. – Sytuacja jest pod kontrolą.

Nerwowo wędrowałam wzrokiem od niej do mamy, ale mama starała się nie patrzeć na mnie.

Musiałam wyglądać tak, jak się czułam: na krawędzi krzyku i hysterii, ponieważ pielęgniarka w pośpiechu zaczęła uwalniać moje nogi z więzów.

– Wczoraj straciłaś sporo krwi, kochanie, i prawie przez cały czas byłaś nieprzytomna – powiedziała. – Po transfuzji ocknęłaś się i mimo wszystkich środków, które wpompowaliśmy w ciebie, zaczęłaś trochę szaleć. Ale teraz już wszystko dobrze, prawda?

– Skąd ten gliniarz pod drzwiami?

Joan zawahała się niedostrzegalnie i nagle postanowiła sprawdzić odczyty monitorów za moją głową.

– Oprócz ciebie na przystani znaleźli jeszcze kogoś – powiedziała mama.

Na ułamek sekundy świat stanął w miejscu. Mężczyznę? Przecież mama знаła Jude'a. Dlaczego nie powiedziała po prostu, że chodzi o niego?

– Mężczyznę w średnim wieku – ciągnęła mama. – Szpakowate włosy, mocna budowa ciała. – Poszukała wzrokiem moich oczu. – Znasz go, Maro?

Mężczyzna wypuścił radio z ręki, zanim zdążył dokończyć zdanie. Grymas straszliwego bólu zmiotł zdumienie z jego twarzy.

Pokręciłam głową, czując sztywność karku i suchość w ustach. Jak on umarł?

– Co się stało? – spytałam.

– Nie wiemy – opowiedziała łagodnie mama. – Nie... już... nie żył, kiedy przyjechała policja. Chcą ci zadać parę pytań, kiedy się lepiej poczujesz.

– A Jude? Co z Jude'em?

Mama na moment zacisnęła powieki.

– Jude nie żyje, Maro.

Nieświadomie musiałam zadać to pytanie głośno. Przez sekundę moje serce rozsadała radość.

– Zginął w katastrofie szpitala – dodała mama.

Ona nic nie rozumie!

– Nie. Nie.

– Budynek się zawalił.

Pamiętałam, jak wypowiedziała te słowa w innej szpitalnej sali, w innym mieście, w innym stanie. Krzyk narastał mi w gardle.

– Jude nie mógł tam być. Ani Rachel czy Claire.

– Nie, mamó, posłuchaj...

Słowa gorączkowo tłoczyły mi się w ustach.

– Doktor Kells zaraz tu będzie – przerwała mi. – Zajmą się tobą i wszystko będzie dobrze.

– Co? Kto się zajmie?

– W Horyzontach, kochanie.

Mama przysiadła na skraju łóżka. Jej spojrzenie raniło mi serce.

– Córeczko, za bardzo cię kochamy, żeby pozwolić, abys cierpiała. Chcemy, żebyś jak najszybciej wróciła do domu, ale najpierw musisz wydobrzeć.

Gwałtownie potrząsnęłam głową.

– Nic nie rozumiesz.

– Uspokój się, dziecko – powiedziała Joan i spojrzała na mamę.

– Nie zrobiłam tego.

Błagalnym gestem uniosłam obandażowane przeguby. Joan w paru krokach znalazła się przy łóżku. Łagodnie ujęła mnie za ręce. Szarpnęłam się. Zacisnęła chwyt.

– Nie ruszaj mnie! – zawyłam.

Mama zerwała się, przyciskając dłoń do ust.

– Nie słuchacie mnie!

Biały szum pulsował mi w uszach. Wychyliłam się do przodu.

– Ależ słuchamy. Słuchamy cię, kochanie.

Pokój zaczął mi się rozplywać przed oczami.

– Pozwólcie mi wytłumaczyć – powiedziałam, ale słowa zmieniły się w bełkot.

Próbowałam spojrzeć na mamę, ale nie potrafiłam skupić wzroku, nie znalazłam jej oczu.

– Oddychaj głęboko, proszę.

Ktoś uspokajająco pogładził mnie po ramieniu.

Mama wyszła. Joan podtrzymywała mi głowę.

– Oddychaj, oddychaj.

Nie słuchali mnie. Tylko jedna osoba mogła mnie wysłuchać.

– Noah – szepnęłam pośród rozpadającego się świata.

W tym momencie jakiś cień zamajaczył za szybą szpitalnych drzwi.

Zdążyłam go zauważyć, zanim wezbrał czarny przypływ. Modliłam się, żeby to był Noah.

Ale to nie był Noah, tylko Abel Lukumi. Wpatrywał się we mnie z daleka.

Kiedy ponownie się ocknęłam, nie było już rurek. Nadal znajdowałam się w szpitalu, ale w innej sali. I nie byłam już przywiązana do łóżka.

Okazało się, że wypadł mi z życiorysu cały dzień. Lekarze, pielęgniarki i psycholodzy bezustannie wpadali do pokoju, zamęczając mnie badaniami i pytaniami. Poddawałam się posłusznie procedurom i odpowiadałam najlepiej, jak potrafiłam, starając się nie patrzeć im w oczy i nie krzyczeć im w twarz prawdy. Ani o Judzie, ani o Lukumim.

Jak mnie tu znalazł?

I po co przyszedł?

Rozmyślałam o tym bez końca, ponieważ jedno pytanie rodziło następne; tonęłam w nich i wzbierała we mnie panika, lecz nie mogłam nic po sobie pokazać. Bałam się, że nie pozwolą mi zobaczyć Noaha. Kroplówki i więzy wytręcały mnie z równowagi. Teraz, uwolniona od nich, mogłam ułożyć twarz w maskę bez wyrazu zakrywającą wewnętrzne wrzenie. Dobre zachowanie działa na moją korzyść i muszę o tym pamiętać. Miałam nadzieję, że z pomocą taty przebrnę przez policyjne przesłuchanie w sprawie gliniarza, którego znaleziono martwego na pomoście obok mnie. Okazało się, że miał atak serca. Nie z mojej winy.

A gdyby nawet, nie byłam w stanie się tym przejąć. Nie teraz. Teraz myślałam tylko o Noahu. Chciałam poczuć jego dłonie na mojej twarzy, jego ciało przy moim ciele; chciałam słyszeć jego głos, szepczący mi do ucha, zapewniający, że mi wierzy.

Jednak minął kolejny dzień i Noah się nie pokazał. Joseph też nie przyszedł. Kiedy wreszcie pojawił się Daniel, wyjaśnił, że Josephowi nie pozwolono na odwiedziny. Siedział przy moim łóżku z puszką napoju w ręce, pstrykając kółeczkiem.

– Co z Noahem? – spytałam spokojnie.

Daniel pokręcił głową.

– Muszę z nim porozmawiać.

Usiłowałam ukryć desperację w moim głosie.

– Masz zaostrzony reżim – wyjaśnił. – Tylko najbliższa rodzina. Noah przyjechał tutaj prosto z lotniska i wrócił do domu dopiero parę godzin temu.

A więc był tutaj i musiał odejść. Uszło ze mnie całe powietrze.

– Potwornie nas wystraszyłaś, Maro.

Zamknęłam oczy, dusząc w sobie furię. To była wina Jude’a, ale inni musieli za to płacić.

– Wiem – powiedziałam głuchym głosem. – Przepraszam.

Przeprosiny zostawiły mi niesmak w ustach i miałam ochotę splunąć.

– Po prostu ciągle myślę... co by było, gdyby policja przyjechała tam godzinę później? – Daniel potarł czoło. – Dręczy mnie to.

Głos mu zadrżał i tak gwałtownie szarpnął kóleczek przy puszcze, że je odłamał. Z trzaskiem wepchnął zamknięcie do środka.

Zastanowiły mnie jego słowa.

– Kto ich wezwał?

– Ktoś zadzwonił, ale się nie przedstawił.

Ludzie patrzą na ciebie w szczególny sposób, kiedy myślą, że masz nierówno pod sufitem. Widziałam te spojrzenia nazajutrz rano, na promie płynącym do Ośrodka Leczenia Psychiatrycznego „Horyzonty” na No Name Island.

Wiatr targał mi włosami przed twarzą. Przyglądałam je rękami, ukazując zabandażowane przeguby. Wtedy właśnie kapitan, który gawędził sobie z moim ojcem o ekologii wysp Key, pojął, że wiezie nas do słynnego wariatkowa, a nie do ośrodka wypoczynkowego. Mimowolna czujność pojawiła się na jego twarzy razem z obawą i współczuciem. Zrozumiałam, że będę musiała przyzwyczać się do takich spojrzeń, bo lekarze powiedzieli mi, że na przegubach zostaną blizny.

– To krótki rejs – wyjaśnił kapitan i pokazał na niewyraźne pasmo lądu rysujące się na oceanicznym horyzoncie.

Poczułam się nieprzyzwoicie malutka.

– Wyspa No Name jest tam, po wschodniej stronie – dodał. – Widzicie?

Widziałam. Wyglądała tak... samotnie. Przypomniałam sobie słowa Stelli. „Lakewood znajduje się na kompletnym odludziu – jak zwykle takie instytucje”.

– Lubisz astronomię? – zagadnął mnie kapitan.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Obserwuj nocami gwiazdy. Na wyspę nie jest doprowadzony prąd, choć koncerty energetyczne ostro za tym lobbują. Jednak większość mieszkańców nie życzy sobie elektryfikacji.

Nie mogłam sobie wyobrazić, że ktoś nie chce mieć prądu w domu. Powiedziałam to głośno. Kapitan wzruszył ramionami.

Musiałam wyglądać na spanikowaną, gdyż mama pogładziła mnie pocieszająco po plecach.

– Horyzonty korzystają z energii słonecznej i generatorów. Na pewno nie zabraknie prądu, nie martw się.

Kiedy zbliżyliśmy się do wyspy, przed nami pojawił się niewielki port i tablica z napisem:

OSTATNI PROM ODPLYWA O 18.00, NIE KURSUJE PRZY ZŁEJ POGODZIE.

Kapitan zerknął na stalowe niebo.

– Do tego czasu pogoda może się zmienić. Chmury nie wyglądają za dobrze.

– Na szczęście macie kabinę.

Mama ruchem głowy pokazała na zabudowaną część promu. Nie spodobała się jej opcja, że będzie zmuszona rozstać się ze mną wcześniej, niż zamierzała. Popatrzyła na mnie smutno i zrozumiałam, że dręczy ją sama myśl o rozstaniu.

Kapitan pokręcił głową.

– Nie chodzi o deszcze, tylko o fale. W czasie sztormu buja. Lepiej się pospieszcie, jeśli nie chcecie tu spędzić nocy.

– Dzięki – powiedział tata. – Niedługo wrócimy.

Wysiedliśmy. Rodzice nieśli rzeczy, które spakowali za mnie.

Nie udało mi się zobaczyć z Noahem przed wyjazdem. I miałam go nie zobaczyć przez następne dwanaście tygodni.

Na myśl o tym poczułam ucisk w żołądku. W tym momencie zobaczyłam wózek golfowy czekający przy nabrzeżu.

Terapeuta wprowadzający z Horyzontów Sam Robins powitał mnie protekcyjnym skinieniem głowy.

– Cóż, Maro, wolałbym, żebyśmy spotkali się w nieco innych okolicznościach.

Nigdy i nigdzie.

– Jedziemy – powiedział do rodziców. – Wskakujcie.

Wsiadliśmy. Wózek golfowy śmignął po wąskiej drodze z kamiennej kostki, obsadzonej wysokimi trzcinami i trawą. Zajechaliśmy na podjazd przed grupą białych otynkowanych budynków z jasnopomarańczowymi, hiszpańskimi dachówkami. Otaczała je zieleń, zaaranżowana w stylu malowniczego angielskiego ogrodu, jak z magazynu „Wiejska Rezydencja”, który prenumerowała mama. Purpurowe hibiskusy i białe lilie okalały niewielki staw ze złotymi rybkami, które leniwie przesuwały się pod

powierzchnią wody. Były tam starannie wystrzyżone żywopłoty, obramowane rabatami bliżej mi nieznanymi polnymi kwiatów i żółtych stokrotek. To miejsce miało jakiś niestosowny urok, który z miejsca znienawidziłam.

Robins poprowadził nas do wymuskanego budynku, zapewne głównego, gdyż znajdował się na samym froncie. Miał ściany z białego stiuku, a podłogi z białych kafelków. Za każdym zakrętem można było się natknąć na posążek czy niszę z figurynką, a drzwi strzegły terakotowe donice, w których rosły starannie wypielęgnowane drzewka i krzewy. Miało się wrażenie, jakby ten zamknięty świat powielał wzory lądowej, bardziej otwartej mutacji Horyzontów.

– Hermencia przejrzy twój bagaż, Maro. Masz szczęście, że będzie to pobyt zamknięty, ponieważ znajdziesz tu wszystkich swoich przyjaciół.

Pobyt zamknięty. W końcu tu trafiłam.

Dobrze przynajmniej, że będzie Jamie i uprzyjemni mi to obligatoryjne odosobnienie. To już coś. Potem wrócę do domu i jakoś pójdzie.

Rodzice zajęli się papierkową robotą, a ja zostałam odprowadzona do innego pokoju przez kobietę z szopą gęstych, ciemnych włosów skrywających obojętną, służbową minę.

Kobieta krótko skinęła głową.

– Muszę sprawdzić, czy nie masz niebezpiecznych przedmiotów.

– Dobrze.

– Masz jakąś biżuterię?

Zaprzeczyłam bez słowa.

– Muszę cię poprosić, żebyś się rozebrała.

Zamrugałam zaskoczona.

– Mogę?

Dalej stałam bez ruchu.

– Rozbierz się.

Podbródek zaczął mi drgać.

– Dobrze.

Wpatrywała się we mnie wyczekująco. Rozpięłam bluzę, zdjęłam ją i podałam kobiecie. Pomacała kieszenie i odłożyła ją na stół. Opuściłam wzrok i ściągnęłam bluzkę przez głowę. Wylądowała miękko na kafelkowej podłodze.

Stałam w staniku i w dzinsach, zgarbiona, odruchowo krzyżując ramiona na piersi.

– Majtki też.

Potwierdziłam skinieniem głowy, ale nie zrobiłam żadnego ruchu. Przez minutę. Dwie.

– Mam ci pomóc? – spytała Hermencia.

– Słucham?

– Chcesz, żebym ci pomogła?

Pokręciłam głową. Przyłożyłam dłonie do oczu i przez chwilę oddychałam głęboko. Tylko ubranie. To tylko ubranie.

Rozpięłam dzinsy. Opadły mi do kostek. Stałam tam, czując, jak powietrze opływa mi ciało i zaczyna powoli wirować. Kobieta przeszukiwała moje ubrania, prześwietlając mnie wzrokiem i pytając, czy mam jakieś ukryte kolczyki. Nie miałam. Wreszcie skończyła inspekcję i wcisnęła mi naręcze moich ciuchów. Chwiałam się, usiłując włożyć je na siebie w pośpiechu.

Wróciłam do rodziców. Wypełnili i podpisali formularze, ale ja musiałam jeszcze podpisać swoje, zapoznawszy się uprzednio z regulaminem i zasadami, które miały od tej pory rządzić moim życiem. Trzy miesiące bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Telefoniczny kontakt z rodziną dozwolony dopiero po miesiącu. Miałam wrażenie, że podpisuję ten cyrograf własną krwią.

Wreszcie przyszła pora pożegnania. Mama uścisnęła mnie bardzo mocno.

– To nie na długo – powiedziała, jakby próbowała mnie pocieszyć. Albo siebie.

– Wiem – szepnęłam, kiedy przyciągnęła mnie jeszcze bliżej do siebie.

Pragnęłam tulić się do niej i zarazem ją odepchnąć.

Przygładziła mi włosy.

– Kocham cię, Maro.

Łzy zapiekły mnie w gardle. Chciałam krzyczeć i nie mogłam. Wiedziałam, że mama mnie kocha. Jednak mi nie wierzy. Rozumiałam ją. Ale to bolało. Strasznie bolało.

Kiedy rodzice odjechali, oprowadzono mnie po terenie. Całość składała się z czterech połączonych budynków z obowiązkowym ogrodem zen w centralnej części. Wędrowałam po pomieszczeniach, nie zwracając na nie większej uwagi. Nie interesowało mnie to miejsce. Nie liczyło się. Ja byłam tu. Noah i moja rodzina zostali na łądzie. Jude też. Może robić, co zechce. Jest bezkarny.

Miałam nadzieję, że ograniczy się tylko do mnie.

Moja rodzina była na jego łasce. Nie miałam pojęcia, co się stało z Johnem i jak Jude zdołał uprowadzić mnie bez jego wiedzy. Mimo to wierzyłam, że Noah potrafi zapewnić im bezpieczeństwo. Bo jeśli nie...

Wolałam nawet o tym nie myśleć.

Od razu wpadłam w tryby intensywnej terapii i rutynowo odpowiadałam na pytania nowych psychoterapeutów. W przerwie pomiędzy sesjami behawioralnej terapii poznawczej a spotkaniem z dietetykami Horyzontów przejrzałam zawartość podręcznej biblioteczki w sali do spotkań grupowych. W tym czasie reszta „studentów”, stali rezydenci i pacjenci z pobytami trzymiesięcznymi lub dłuższymi, jak ja, oraz rezydenci czasowi, jak Jamie, Stella i niestety, Phoebe, uczestniczyli w zajęciach teambuildingu czy w innych. Dzięki swojej „próbie samobójczej” zostałam wyłączona z większości wspólnych zajęć. Chwalebne blizny. Szczęściara.

Barney, jeden z miejscowych terapeutów, obserwował mnie dyskretnie. Miał wygląd mięśniaka, jak większość męskiego personelu – specjalnie ich tak dobierali, żeby potrafili nad nami zapanować? – ale wydawał się miły i zagadywał mnie przyjaźnie. Nie był protekcyjny jak Robins czy niestosownie afektowany jak Brooke. Był po prostu fajny – tylko ja nie miałam ochoty z nikim rozmawiać.

Z roztargnieniem przerzucałam strony dziwnej książki zatytułowanej *Co to jest normalność?*, kiedy zaczęli się schodzić moi towarzysze niedoli. Musieli wracać z jakiejś gry, bo nadciągnęli w trzech grupach odróżniających się kolorami koszulek – czarnym, białym i czerwonym. Megan była czerwona. Błede policzki miała zaróżowione, a jasne, rozwichrzone loki tworzyły fantazyjną aureolę wokół jej głowy. Marudziła, że musi się umyć, i odesłano ją z asystą do łazienki. Adam, który zjawił się po niej, również miał czerwony T-shirt. Skrzyżował swoje pakerskie łapska

na klacie i wyglądał, jakby przed chwilą spotkała go przykra przegrana.

A potem pojawił się Jamie, w czerni. Zobaczył mnie i od razu podszedł.

– Sama jesteś sobie winna – powiedział na przywitanie.

Zamknęłam książkę.

– Cześć, Jamie. Też się cieszę, że cię widzę.

Spiorunował mnie wzrokiem.

– A ja się nie cieszę, że widzę cię w takim miejscu.

– Dzięki, że nie owijasz w bawełnę. Niedobrze mi się robi, kiedy traktują mnie jak nieszczęśliwe dziecko.

– Aj, sarkazm, boli!

Przewróciłam oczami.

Jamie wzruszył ramionami.

– Posłuchaj – zaczął i pochylił się ku mnie. – Nie przyjmuję do wiadomości twojej próby samobójczej, gdyż kłóci się ona całkowicie z moim obrazem twojej osoby, okej? Ale cieszę się, że przynajmniej zachowałeś poczucie humoru.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Ja też się cieszę – powiedziałam, zadowolona, że nie muszę się tłumaczyć z nieprawdziwych powodów, dla których tu trafiłam. – Ciekawe, co tym razem nawywijałam, nie?

– Interesujący punkt widzenia – stwierdził Jamie i zerknął w stronę drzwi.

Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyłam...

Noah!

Tutaj.

Stał o parę metrów ode mnie. Mokry szary T-shirt kleił się do szczupłego, muskularnego ciała, a woda kapiała z futerału gitary na nieskazitelne kafelki podłogi.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, straciłam mowę i zdolność ruchu.

Noah odwrócił się.

– Gdzie mogę to położyć? – zapytał Barneya, lekko unosząc futerał.

– Tędy – odpowiedział terapeuta. – Pokażę ci twój pokój.

Noah przeszedł obok mnie, jakbym była powietrzem.

Tkwiłam tam w stanie kompletnego stuporu. Miejsca zapełniały się stopniowo. Dobra, stara Brooke usiadła naprzeciwko mnie. Jej bransolety pobrzękiwały przy każdym ruchu. Poprawiła zawój na głowie i powiedziała:

– Zaczynamy za pięć minut, dziewczyny i chłopaki. Jeśli ktoś chce się napić albo iść do łazienki, niech zrobi to teraz.

Pochyliła się ku mnie, ciepło powiedziała „hej”, współczująco klepnęła mnie w ramię, po czym wstała, żeby przynieść sobie wody.

W tym momencie wszedł Noah. Przeczesał palcami ciągle wilgotną czuprynę i usiadł daleko ode mnie, sadowiac się na zbyt małym, plastikowym krzeselku i wyciągając przed siebie długie nogi. Nie odezwał się słowem – ani do mnie, ani do nikogo. Wydawał się... jakiś inny.

Przyglądałam mu się, usiłując dociec dlaczego. Wyglądał perfekcyjnie niedbale w wytartych dżinsach i markowym T-shircie; spod strzechy pięknych włosów wyzierała twarz o nieodgadnionym wyrazie. W sumie nic się nie zmieniło w jego wyglądzie, poza jednym szczegółem...

Naszyjnik. Zniknął.

Odruchowo przetarłam oczy. Kiedy je otworzyłam, Noah nadal tam był.

Jamie też go widział. I Barney. Normalnie uznałabym to za dowód, że Noah jest jak najbardziej realny.

Ale kiedy wszyscy wmawiają ci obłąd i nikt ci nie wierzy, gdy przysięgasz, że jesteś normalna, mimo woli zaczynasz się zastanawiać, czy nie mają racji.

Kiedy Stella wstała, żeby przynieść sobie wody, ja też podniosłam się z krzesła.

– Hej – powiedziałam.

Odgarnęła włosy ze swojej oliwkowej twarzy i nacisnęła kranik pojemnika.

– Hej.

Jak mam zapytać kogoś, czy przypadkiem nie mam właśnie halucynacji, widząc swojego chłopaka w ekskluzywnej klinice dla czubków?

– Widzisz tego chłopaka, tam? – zagadnęłam, dyskretnym ruchem głowy wskazując na Noaha, który wyciągnął się na krześle, splatając ręce za głową.

Stella nawinęła lok na palec i spojrzała na niego, a potem na mnie i znów na niego.

– To ciacho?

Jeśli ciacho, to musi być on.

– Tak.

Pełne wargi Stelli rozciągnęły się w uśmiechu.

– Niezły, co?

Jeszcze jak niezły! Popatrzyłam w jego kierunku, ale nie odwzajemnił

spojrzenia.

– Fakt.

Stella też mu się przyglądała.

– Wysoki, z ciemnymi, idealnymi włosami – dodała.

Ktoś powiedział coś do Noaha, prowokując go do aroganckiego uśmiešku.

– Nieprawdopodobny uśmiech – powiedziała Stella, kiedy Noah zerknął ku nam. – Niebieskie oczy, nie?

– Aha – przytaknęłam z roztargnieniem, wpatrzona w fantastycznego chłopaka, który parę dni temu mówił, że mnie kocha, a teraz mnie nie poznawał.

– Taa, widzę go. – Stella upiła łyk wody. – Z chęcią obejrzałabym go sobie dokładniej. Zaraz – powiedziała i zerknęła na mnie z ukosa. – Ty go znasz?

Przez chwilę rozważałam odpowiedź.

Czy można powiedzieć, że się kogoś naprawdę zna?

– Nie wiem – powiedziałam w końcu.

Stella spojrzała na mnie jeszcze raz i wróciła na miejsce. Ja także. Nadal byłam w szoku. Jamie przysunął się z krzesłem i szturchnął mnie w ramię.

– Auć – syknęłam, pocierając rękę.

– Och, dobrze, jesteś żywa. A już się bałem, że będę musiał cię reanimować. – Spojrzał na mnie bystro. – Sprawiasz wrażenie mocno zaskoczony takim rozwojem wydarzeń.

Zdobyłam się na ogromny wysiłek, żeby odpowiedzieć Jamiemu, gdyż nie mogłam oderwać oczu od Noaha. Myślałam, że nie zobaczymy się przez długie miesiące. Że będę musiała czekać w nieskończoność, aby opowiedzieć mu o tym, co zrobił Jude, o wizycie Lukumiego w szpitalu i o nagraniu z kamery Claire, które podrzucił mi Jude.

I oto Noah był tu ze mną. Nie będę musiała czekać. Cudownie, powinnam krzyknąć z radości.

– Zaskoczona... – bąknęłam. – Tak.

– Jak gdybyś nie wiedziała, że Noah dołączył do nas na tej wyspie zagubionych dzieci.

– Co? – Wreszcie oderwałam spojrzenie od Noaha i przeniosłam je na Jamiego. – Nie wiedziałam, serio.

– Jasne. Mam z nim mieszkać w pokoju, Maro. Nienawidzę cię.

– Myślisz, że ja za tym stoję?

– Och, daruj sobie. – Jamie spojrzał na mnie z jawną dezaprobatą. –

Przecież dobrze wiesz, że Noah musi nałogowo ratować damy w potrzebie.

– Nie prosiłam go, żeby tu przyjechał – powiedziałam, choć jeszcze nigdy tak się nie ucieszyłam na jego widok. – A gdybyś chciał narzekać na swojego współlokatora, pomyśl, że ja muszę mieszkać z Phoebe.

Jamie stosownie udał zgrozę.

– Niestety – potwierdziłam z westchnieniem. – Oczywiście od razu złożyłam reklamację, ale powiedziano mi, że muszę zwrócić się w tej sprawie do doktor Kells. Niestety, dzisiaj jej nie ma, gdyż wizytuje ośrodek tylko parę razy w tygodniu, nadzorując pracę terapeutów. Jednym słowem, muszę wziąć na wstrzymanie.

Brooke klasnęła w ręce.

– Czy wszyscy już są? Świetnie! Jak widzicie, do naszej horyzontowej rodziny dołączył dziś nowy student. Powitajmy gorąco Noaha Shawa!

– Cześć, Noah – powiedziała chórem grupa.

– Noah zostanie z nami na weekend, na próbę, a potem zadecydujemy, co dalej. Może opowiesz nam coś o sobie, Noahu?

– Urodziłem się w Londynie – poinformował kompletnie obojętnym tonem. – Moi rodzice przeprowadzili się z Anglii do Stanów dwa lata temu.

Słuchałam go z otwartymi ustami.

– Nie mam ulubionego koloru, choć bardzo nie lubię żółtego.

Nie do wiary!

– Gram na gitarze, kocham psy i nienawidzę Florydy.

Teraz wreszcie nasze spojrzenia spotkały się. Spodziewałam się firmowego uśmiechu, ale w oczach Noaha była pustka. Serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Miło nam cię poznać, Noahu. Czy zechcesz powiedzieć nam, z jakiego powodu się tu znalazłeś?

Uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu był tylko chłód.

– Podobno nie radzę sobie ze złością.

Przez następną godzinę pacjenci dzielili się swoimi wydumanymi problemami, aż nadeszła przerwa na lunch. Noah dogonił mnie na korytarzu. Sprawiał wrażenie załamane.

– Nie można na moment spuścić cię z oka, Maro – powiedział cicho.

Parsknęłam śmiechem, ale zatkał mi usta dłonią.

Przymknęłam oczy pod jego dotykiem. Czułam go. W realu.

W tym momencie pragnęłam tylko jednego: przytulić Noaha i znaleźć się w jego objęciach. Ale kiedy zrobiłam ruch, żeby objąć go w pasie, powiedział krótko:

– Nie, Maro.

Zamrugałam i pomyślałam, że zaraz się rozplącę. Musiał to zobaczyć, gdyż dodał szybko:

– Oni nie wiedzą, że jesteśmy ze sobą. Jeżeli się dowiedzą, rozdziela nas, a tego nie zniosę.

Kiwnęłam głową i Noah cofnął rękę. Obejrzał się czujnie przez ramię. Korytarz był pusty, ale w każdej chwili ktoś mógł się pojawić.

– Jak się tu dostałeś? – zapytałam.

– To długa opowieść, w której występują duże ilości alkoholu i Lolita.

Zmarszczyłam czoło, nic nie pojmując.

– Powieść?

– Nie, ta orka z oceanarium.

Jakimś cudem mnie rozbawił.

– Czy powinnam widzieć?

– Raczej nie – odparł głuchym głosem.

Unikał mojego spojrzenia.

Coś było nie tak. Chciałam zapytać, o co chodzi, ale widząc, jak jest spięty, spytałam o naszyjnik.

Noah westchnął.

– Musiałem go zdjąć w trakcie tej przemiłej, niemal striptizowej kontroli, którą serwują tu na wejściu. Hermencii bardzo się spodobał. Muszę wystawić jej rachunek.

Znów się uśmiechnęłam. Noah nie. Nie miałam pojęcia, co się z nim działo i dlaczego. Musiałam o to zapytać, nawet gdybym nie doczekała się odpowiedzi.

– Co się stało?

Ujął mnie za przeguby i wymownie uniósł je w górę.

– Oni uważają, że chciałam się zabić – wyjaśniłam.

Noah zacisnął powieki. Po raz pierwszy zobaczyłam udrękę w jego twarzy.

– Ty też tak uważasz? – zapytałam.

Mięśnie jego szczęki napięły się.

– Nie, Maro. Widziałem... wszystko widziałem. Widziałem Jude'a.

Kiedy otworzył oczy, znów miał nieobecne spojrzenie. Gładka, nieprzenikniona maska. Przypomniała mi się inna nasza rozmowa, którą wiedliśmy w zupełnie odmiennych okolicznościach.

– *A jeśli coś się stanie i nie będzie cię przy mnie? – zapytałam, kiedy wyszliśmy z zoo, roztrzęsiona, przerażona i udręczona poczuciem winy.*

– Będę – oświadczył z niezachwianą pewnością.

– A jeśli nie? – naciskałam.

– Wtedy ja będę winny.

Czy tak właśnie się stało? Popatrzyłam na niego i potrząsnęłam głową.

– Nie jesteś winny.

– A jednak jestem – odpowiedział z porażającą goryczą.

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, pojawił się terapeuta i rozdzieliliśmy się w pośpiechu.

Do końca zajęć nie mieliśmy okazji, żeby zostać sami. Noah przechodził z jednych bezsensownych zajęć na drugie w towarzystwie Adama, Stelli, Megan i innych krótkoterminowych pacjentów, podczas gdy ja odwalałam kolejne indywidualne spotkania z terapeutami i coraz bardziej pogrążałam się w samotności. Po drodze poznałam paru stałych rezydentów, którzy wcale nie wydawali się zaburzeni. A przynajmniej nie tak jak Phoebe.

Kiedy nadeszła pora kolacji i zebraliśmy się w stołówce, udało mi się usiąść naprzeciwko Noaha. Przy stole siedziało jeszcze paru chłopaków, których nie znałam, ale oni się nie liczyli.

Desperacko pragnęłam z nim porozmawiać. Tyle miałam mu do powiedzenia!

Był tak blisko i zarazem tak daleko. Palce mnie swędziały, żeby go dotykać, żeby poczuć jego realne, rozumiejące, współczujące istnienie.

Wypowiedziałam jego imię, ale zbył mnie krótkim, odmownym ruchem głowy. Przygryzłam wargi. Miałam ochotę krzyknąć, żeby dać ujście frustracji. Czułam, że zaraz odpłynę, i chciałam się zakotwiczyć, zahaczyć o niego.

Musiał widzieć, co się ze mną dzieje, bo nagryzmolił coś kredką na serwetce – musiał zwinąć tę kredkę z sali terapii artystycznej – i podsunął mi wiadomość przez stół.

Uniosłam głowę, rozejrzałam się czujnie i przeczytałam:

„Sala muzyczna, pierwsza w nocy”.

– Ale... – szepnęłam.

„Zaufaj mi” – odszepnął bezgłośnie.

Zaufałam.

Niecierpliwie obserwowałam bieg słońca po niebie. Kończyłam kolację i wyczekiwałam wieczoru, kontentując się towarzystwem wyjątkowo milczącej i ponurej Stelli. Grzebała w talerzu, co chwila zerkając na boki. Kiedy zapytałam ją, czy coś się stało, rzuciła jakiś pretekst i wyszła z sali.

Nie mogłam się doczekać, kiedy zapadnie noc. Co chwila usiłowałam wyrzeć przez zmatowione, grube szyby. Ciemności czyhały na ostatnie blaski dnia, gotowe je pożreć.

Szczęk sztuców ucichł wreszcie i słońce zapadło za widnokrąg. Terapeuta Wayne pojawił się z tacą plastikowych kubeczków z pastylkami, typowych

dla terapeutycznej Florydy.

Widziałam, jak Stella szybko połyka swoje, aż jej biały T-shirt zafalował na brzuchu. Jamie jednym łykiem przyjął dawkę. Jabłko Adama na jego szyi poruszyło się i Wayne przeszedł do następnego pacjenta.

Przyszła kolej na mnie. Dzisiaj w moim kubeczku znalazły się dwie dodatkowe pastylki. Owalna i niebieska.

– Znasz zasady, Maro – powiedział Wayne.

Znałam. Co nie znaczy, że pragnęłam się do nich stosować. A jeśli leki mnie otępią? Rozejrzałam się, szukając wzrokiem Noaha w małym morzu twarzy wypełniającym stołówkę. Nie było go tam.

– Maro – powiedział Wayne łagodnie, lecz z nutą niecierpliwości.

A, do licha z nimi. Chwyciłam kubeczek i połknęłam pigułki, popijając je wodą.

– Pokaż – powiedział.

Rozdziawiłam paszczę i pokazałam mu język.

Wayne uśmiechnął się i przeszedł do następnej osoby. Podniosłam się z ociąganiem, odstawiłam naczynia na ladę i dołączyłam do szeregu dziewczyn rozchodzących się do swoich pokojów. Szczęśliwie miałam pod ręką kosmetyczkę, którą spakowała mi mama, z szamponem i mydłem, jakbym wyjeżdżała na letni obóz. Udałam się do damskiej łazienki, pod prysznic. Były tam kabiny, ale nie indywidualne, tylko podwójne. Traf chciał, że trafiłam pod jeden natrysk z Phoebe – a jakżeby inaczej? Zdażyłam już przywyknąć do takich niespodzianek.

Wyszłam stamtąd na chwiejnych nogach. Poczułam się nagle słaba i zmęczona. Drżącymi rękami zawiązałam szlafrok i poczłapałam korytarzem za współlokatorką. Weszłyśmy do naszego prostego, białego pokoju z parą bliźniaczych, białych łóżek. Phoebe zajęła łóżko bliżej okna, zostawiając mi to przy drzwiach.

Świetnie.

Była dziwnie spokojna. Przez cały dzień nie odzywała się do mnie. Nie wierzyłam we własne szczęście. Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem wstała i zgasła górne światło w chwili, kiedy szukałam wśród rzeczy włożonych do nowej szafki czegoś, co nadawało się do spania. Rzuciłam jej poirytowane spojrzenie, którego albo nie zauważyła, albo je olała. Bez słowa wślizgnęła się do łóżka, a ja ułożyłam się w swoim, choć nie zamierzałam zasnąć.

W każdym pokoju jest duży, szkolny zegar wiszący na ścianie nad drzwiami. Wskazówki naszego zegara pokazywały dwudziestą drugą,

dwudziestą drugą trzydzieści... dwudziestą trzecią... Mijały sekundy, a ja wsłuchiwałam się w chrapanie Phoebe.

Wtem...

– Wstawaj!

Szorstki, kobiecy głos wdarł mi się do mózgu. Miałam ochotę zatłuc tę babę.

Powoli otworzyłam oczy. Phoebe w mroku pochylała się nade mną. Zaczęłam się podnosić, kiedy zorientowałam się, że już siedzę na łóżku.

Mało tego, zdążyłam nawet opuścić nogi i chłodne kafelki ziębiły mi stopy.

– Wstajesz z łóżka – nakazała mechanicznie Phoebe.

– Co? – Mój głos ociekał sennością.

– Obudziłaś się – powiedziała. – Miałaś nie spać.

Podparłam ręką ciężką głowę. Moje spojrzenie powędrowało w stronę zegara.

Czwarta nad ranem. Zaspałam. Nie spotkam się z Noahem. Za późno.

– Chcesz wody? – spytała Phoebe.

Gardło mnie piekło, a w ustach i na języku miałam gorzki osad. Kiwnęłam głową. Dziwiła mnie jej niezwykła uprzejmość, lecz nie miałam siły dociekać, skąd się wzięła. Wstałam chwiejnie i Phoebe poprowadziła mnie słabo oświetlonym korytarzem. Cicho zmierzałyśmy w stronę łazienki.

– Siusiu – powiedziała Phoebe do Barneya siedzącego w dyżurce.

Z uśmiechem skinął głową i wrócił do lektury. Czytał *Milczenie owiec*.

W łazience Phoebe odkręciła kran. Byłam tak spragniona, że przypadłam do umywalki, nabrałam wody w złożone dłonie i uniosłam je do ust. Piłam chciwie, a woda przeciekała mi przez palce. Nabrałam nową porcję, a potem jeszcze jedną. Już myślałam, że nigdy nie ugaszę pragnienia, kiedy wreszcie niesmak w ustach ustąpił i gardło przestało mnie piec. Spojrzałam w lustro.

Byłam blada, a moja skóra była lepka od potu. Włosy wisały w strąkach, oczy spoglądały tępo i nieprzytomnie. Nie byłam podobna do siebie. Nie czułam się sobą.

– Krwawa Mary – powiedziała Phoebe.

Podskoczyłam. Zapomniałam, że stoi obok mnie.

– Co? – zapytałam, nie odrywając wzroku od obcej osoby w lustrze.

– Jeśli trzy razy wypowiesz po północy słowa „Krwawa Mary”, ona przyjdzie do ciebie w lustrze, żeby wydrapać ci oczy i gardło.

Zerknęłam na Phoebe w lustrze. Gapiła się na sufit.

– Już dwa razy wypowiedziałam jej imię – dodała i uśmiechnęła się.
Woda kapiała z kranu.

– Miała poronienia – ciągnęła. – To doprowadzało ją do szaleństwa, więc kradła dzieci innym kobietom. Ale one też umierały. Zabijała je.

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze i przeszedł mnie dreszcz.

Co miałam jej odpowiedzieć? Nabrałam ostatnią garść wody i obmyłam nią twarz.

– Kogo zabiłaś? – spytała Phoebe.

Głos miała zimny i dźwięczny.

Zamarłam. Woda ściekała mi z twarzy i palców na kafelkową podłogę.

– Kiedy wstałaś z łóżka, powiedziałaś, że nie miałaś zamiaru zabijać Rachel i Claire, ale innych ci nie szkoda. Tak mówiłaś.

– Śnił mi się koszmar – odpowiedziałam trzęsącym się, chrapliwym głosem.

Mocno zakręciłam kran.

– To nie wyglądało na senny koszmar – stwierdziła Phoebe.

Zignorowałam ją i odwróciłam się, żeby odejść. Zastąpiła mi drogę.

– Kim były Rachel i Claire? – zapytała, świdrując mnie spojrzeniem.

Jej oczy wyglądały jak ciemne studnie w bladej, okrągłej twarzy.

– To był tylko koszmarny sen – powtórzyłam, odwzajemniając jej spojrzenie.

Na zewnątrz usiłowałam za wszelką cenę udawać, że jej pytania nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Ale w środku?

Rozpadałam się w środku.

– Mówiłaś, że cieszysz się, że zabiłaś jakiegoś faceta – ciągnęła bezlitośnie Phoebe. – Żałowałaś, że nie zgmiotłaś mu czaszki własnymi rękami.

– Przestań – jęknęłam i zaczęłam się trząść.

– Opowiadałaś mi o psychiatryku – powiedziała i cofnęła się nieznacznie.

– Opowiedziałaś mi wszystko.

Kąciki ust Phoebe wykręciły się w paranoidalnym uśmiechu.

– Wiem o nim. – Wyszczrzyła się do mnie. – Wiem, jak go pragniesz. Jak go kochasz. Jaka jesteś zdesperowana. Ale on cię nie kocha, nie kocha – zanuciła.

Naprawdę powiedziałam jej o Noahu? Zacisnęłam powieki. Nozdrza mi drgały. Miałam ochotę wrzasnąć jej w twarz, żeby się zamknęła, ale nie mogłam tego zrobić. To byłoby równoznaczne z przyznaniem się.

– Wracam do łóżka – powiedziałam i ruszyłam do drzwi, wymijając ją.

Miałam nadzieję, że nie zauważy skrywanego drżenia w moim głosie.

Szła tuż za mną. Za blisko.

Wracałyśmy w milczeniu. Phoebe z uśmiechem satysfakcji wsunęła się do łóżka. Miałam ochotę dać jej po twarzy, ale gdzieś tam, w tyle głowy wiedziałam, że to nie ona doprowadza mnie do pasji, tylko ja sama.

Przerwy w życiorysie, nieświadome zapiski – zgoda, to mnie przerażało, ale mi nie szkodziło. Przynajmniej do tego momentu. Jak długo nie wspominałam innym o swoich problemach, mogłam uważać je za epizody i funkcjonować w miarę normalnie.

I poszukiwać Jude'a. Żeby go unicestwić; żeby już nigdy mnie nie skrzywdził.

Phoebe nie wiedziałaaby tego wszystkiego, gdybym sama jej nie powiedziała. Co oznaczało, że tracę kontrolę nad sobą.

Podciągnęłam kołdrę do brody i wpatrzyłam się w sufit. Nie mogłam uspokoić myśli i nie mogłam zasnąć.

Leżałam tak, dopóki ciemność nie ustąpiła jasności. Wstałam o siódmej, żeby podjąć wyzwanie nowego dnia.

Nagle Phoebe zaczęła krzyczeć.

– Co ci jest? – syknęłam.

Darła się jak opętana.

Nadbiegli ludzie z innych pokoi i zgromadzili się w drzwiach. Kiedy napotkałam spojrzenie Noaha, przez tłum przepchał się Wayne.

– Co tu się dzieje? – zapytał, stając w progu.

Phoebe udało się dokonać niemałej sztuki – z przerażeniem przywarła plecami do ściany i jednocześnie szarpnęła się w przód, oskarżycielsko wskazując mnie palcem

– Ona stała nade mną, kiedy spałam!

Świdrujące spojrzenie Wayne'a usiłowało przewiercić mnie na wylot.

Uczyniłam gest zaprzeczenia.

– Ona kłamie – powiedziałam. – Ja po prostu wstałam, żeby się ubrać.

– Kiedy się obudziłam, stała nade mną, o tu – upierała się Phoebe.

Zacisnęłam zęby, tłumiąc wściekłość.

– Chciała mi zrobić krzywdę!

– Uspokój się, Phoebe – powiedział terapeuta.

– Zabije mnie, jak jej nie powstrzymacie!

– Czy możecie stąd odejść? – Wayne zwrócił się do gapiów. – Barney! Brooke! – zawołał.

– Już idziemy – zadudnił głęboki głos Barneya.

Weszli do pokoju. Stałam jak zamurowana obok swojego łóżka.

– Phoebe, już dobrze, uspokój się – powiedziała Brooke i usiadła obok niej na łóżku. Phoebe zaczęła się autystycznie kiwać w przód i w tył. – Proszę, zrób teraz ćwiczenia oddechowe, które ci pokazywałam, dobrze? I pamiętaj o liczeniu.

Słyszałam, jak Phoebe liczy do dziesięciu. Tymczasem Barney i Wayne skupili się na mnie. Wayne podszedł bliżej.

– Co się stało, Maro? – zapytał.

– Nic się nie stało. Mówiłam prawdę.

– Nie mogę z nią mieszkać! – zawyła Phoebe.

– Phoebe, jeśli nie przestaniesz krzyczeć, będziemy musieli cię zabrać do izolatki.

Od razu się zamknęła.

Brooke popatrzyła na mnie z drugiego łóżka.

– Maro, czy możesz nam opowiedzieć, co się działo tej nocy? Chcemy posłuchać twojej relacji.

Z trudem powstrzymałam się, żeby nie spoglądać na drzwi i nie szukać wzrokiem Noaha. Przełknęłam.

– Jadłam kolację ze wszystkimi.

– Z kim siedziałaś przy stoliku? – drażyła Brooke.

– Eee... nie pamiętam.

Rany, z kim siedziałam?

– Ze Stellą – odpowiedziałam w końcu.

Zerknęłam na drzwi i zobaczyłam, że Stella stoi obok Noaha. Spojrzał na nią i dziwny wyraz przemknął po jego twarzy.

Usłyszałam, jak Brooke wypowiada moje imię, i znów skupiłam się na niej.

– Dobrze, zatem jadłaś kolację ze Stellą. Co było potem?

– Wzięłam prysznic i wróciłyśmy z Phoebe do pokoju. Przebrałyśmy się w piżamy i położyłyśmy się spać.

– Wychodziły do łazienki około czwartej nad ranem – poinformował Barney.

Kiwnęłam głową.

– Tak, Phoebe poszła ze mną.

– Nie wypowiadaj mojego imienia – warknęła Phoebe.

Przewróciłam oczami.

– To wszystko?

– Tak.

– Czy wcześniej zdarzało ci się lunatykować? – zapytała Brooke.

Oczywiście zaprzeczyłam, ponieważ odpowiedź była twierdząca.

Zanim wyszła, Brooke poleciła, żebym porozmawiała o tym z doktor Kells przy następnej wizycie. Musiałyśmy się z Phoebe szybko ubrać, bo za chwilę miała się zacząć zaimprovizowana sesja grupowa.

– Dlaczego im skłamałaś? – zaatakowałam, kiedy zostałyśmy same.

Uśmiechnęła się. Miałam ochotę ją walnąć.

Omiał tego nie zrobiłam.

Zacisnęłam powieki i zaczęłam oddychać głęboko, usiłując wygnać z myśli obraz tej świruski. Kiedy wyszłam z pokoju, zobaczyłam Noaha stojącego pod jednym z gabinetów znajdujących się w korytarzu.

– Co się stało? – spytał ściszym, czujnym głosem.

– Zasnęłam – wyjaśniłam, wściekła na siebie. – Phoebe obudziła mnie w środku nocy. Mówiła, że... że opowiadałam jej o Rachel i Claire. O wszystkim.

Noah nie skomentował moich doniesień.

– Co to za dziewczyna? – zapytał.

Podążyłam za jego spojrzeniem, aż zatrzymało się na Stelli. Siedziała skulona w fotelu, w holu, w którym odbywały się zajęcia grupowe. Wyłamywała palce i nieobecnym ruchem wycierała dłoń o lewe kolano, odziane w wytarte dżinsy.

– Ma na imię Stella – poinformowałam. – Miła. Czasami miewa humory, ale w sumie jest w porządku. Czemu pytasz?

– Widziałem ją – powiedział.

– Widziałeś ją?

– Ktoś ją dręczył. – Noah popatrzył na moje ręce. – Chwycił ją za nadgarstek. Omiał nie złamał jej ręki.

Poczułam suchość w gardle.

– Dlaczego dręczył? I dlaczego ją?

Noah z zakłopotaniem potarł czoło.

– Nie wiem.

– Ile to już razem? – zapytałam.

– Pięcioro.

– Czyli ja, Joseph, dwie osoby, których nie znasz, i teraz...

– Stella.

– Zapraszam wszystkich! – zawołała Brooke.

Pożegnaliśmy się spojrzeniem i odeszliśmy na swoje miejsca. Usiadłam obok Jamiego, który był dziś dziwnie milczący.

Brooke ruchem głowy dała znak Wayne'owi. Oboje stanęli przed nami.

– Kochani, jak zapewne wiecie, rano zdarzył się pewien incydent – zagaiła. – Nic wielkiego, jednak uznaliśmy, że nadarzyła się okazja, aby poćwiczyć zaufanie.

Odpowiedział jej chóralny jęk. Stella wymamrotała parę słów po hiszpańsku. Przypadkiem je znałam. Trzeba przyznać, że pasowały idealnie.

– Nieważne, ile ćwiczeń przerobimy, i tak nie da się zaufać Marze – oświadczyła Phoebe.

Jamie zachichotał cicho. Kopnęłam go w kostkę.

– Phoebe, rano zdążyłaś podzielić się swoimi odczuciami, więc jeśli nie masz nic nowego, pozwól, że będę kontynuowała.

Phoebe, odpowiadając Brooke, patrzyła na mnie.

– Owszem, jest coś nowego, czym chciałabym się podzielić.

Nie podobał mi się ten ton.

– Myślicie wszyscy, że Mara jest dobrą, niewinną dziewczyną, której po prostu zdarzyło się nieszczęście. Ale tak nie jest. Ona chce mi zaszkodzić. Chce zaszkodzić nam wszystkim.

Jamie nie zdzierzył i ryknął śmiechem. Jednak mimo tego melodramatycznego tonu słowa Phoebe były niepokojące. Nie dlatego, że były prawdą.

Dlatego, że były wykalkulowane. Phoebe była szalona, lecz sprytna. Mówiła czy robiła pewne rzeczy z rozmysłem i miała w tym swój cel, ale nie miałam pojęcia jaki.

– Phoebe, dlaczego uważasz, że Mara ma wobec ciebie złe zamiary?

– Bo powiedziała to we śnie.

O, cholera.

Brooke spojrzała na mnie, a potem na Phoebe.

– Kiedy to było, Phoebe?

– Dziś w nocy.

Dobra, może i nie kłamie. Była wredna, wkurzająca i głupia, a zarazem przebiegła, tak jak tylko może być złe, demoniczne dziecko. Mogłam mrużyć we śnie, że ją zamorduję, ale to jeszcze nie znaczy, że na jawie życzę jej śmierci! Ani innym. Nie wizualizowałam tego sobie. A przynajmniej nie świadomie.

Nieświadomie?

Czyżbym nieświadomie pragnęła jej śmierci? I co by się stało, gdybym

zapraǳnęła tego we śnie?

Czy Phoebe by umarła?

– Nie mogę z nią mieszkać, Brooke – powiedziała cicho Phoebe.

Podbródek zaczął jej drgać.

No, fajnie.

– Boję się – wyszeptała dla wzmocnienia efektu.

– Dlatego właśnie robimy trening zaufania, Phoebe.

– To nie pomoże!

– Nie pomoże, jeśli nie spróbujesz – ucięła Brooke. – Dobrze, grupo, proszę, żebyście wstali. Wayne, czy możesz odczytać listę par?

Wayne odczytał. Ja oczywiście byłam w parze z Phoebe. Jamie z Noahem. Dziewczyna, którą pamiętałam z Horyzontów z Miami miała ćwiczyć z Megan, zaś Adam dostał do pary jakiegoś stałego rezydenta. Pary składały się głównie ze współlokatorów. Czyżby obawiano się rewolucji wśród pacjentów?

– Dobrze, kochani. Zaczniemy od tak zwanego ufnego upadku – powiedziała Brooke. – Obowiązuje kolejność alfabetyczna, co oznacza, że jeśli twoje imię zaczyna się literą, która występuje w alfabecie wcześniej niż litera imienia partnera, ty padasz pierwszy, a partner ma cię złapać.

Zrobił się ruch, kiedy pary zaczęły się łączyć. Zauważyłam, że ludzie znoszą do sali poduszki i maty do jogi. Żeby łagodzić upadki?

– Kiedy policzę do trzech, pierwsza osoba z każdej pary pada – oznajmiła Brooke.

Wypadło na mnie. Obejrzałam się na Phoebe i zobaczyłam jej uśmieszek. Nie wróżył nic dobrego.

– Lepiej mnie złap – szepnęłam.

Udała, że nie słyszy.

– Raz... – Brooke zaczęła odliczanie.

– Mówię serio – dodałam, zbliżając się do niej i odwracając się plecami.

– Dwa...

Phoebe wyciągnęła ręce, ale nadal mi nie odpowiedziała.

– Trzy!

Upadłam. Na tyłek.

– Pie...!

– Powiedziała, że pochlasta mi przeguby! – Phoebe płaczkliwie poskarżyła się Brooke. – Mówiła cicho, żebyś nie słyszała!

Brooke popatrzyła na mnie z westchnieniem.

– Przy takim nastawieniu trudno będzie wam o zgodę w pokoju.

Phoebe zaczęła płakać. Ronić wielkie, krokodyle łzy.

– Nie mogę z nią mieszkać. Po prostu nie mogę, naprawdę.

Wstałam z podłogi, zerkając na Jamiego, który patrzył na mnie współczująco. Noah przyglądał się Phoebe. Pewnie też się zastanawiał, o co jej naprawdę chodzi.

Brooke miała wyraźnie dosyć. Nagle powiedziała coś, czego nie spodziewałam się usłyszeć.

– Czy ktoś z was byłby skłonny zamienić się na pokoje i zamieszkać z Marą?

Ale strzeliła!

Podniosłam rękę.

– Tak, Maro?

– Brooke, mogę mieszkać sama.

– Nie ma mowy – ucieła, zerkając na moje przeguby. – Przykro mi. Kochani, nikt nie chce się zamienić? To by nam znacznie ułatwiło...

Nikt nie podniósł ręki. Próbowałam nawiązać kontakt wzrokowy ze Stellą, ale unikała mojego spojrzenia, wpatrzona w przestrzeń, obojętna na moje nieme błaganie.

To tak, jakby wybrano mnie na końcu do drużyny siatkówki, tylko o wiele gorzej.

Nagle za naszymi plecami coś z hukiem roztrzaskało się o kamienną posadzkę.

Odwróciliśmy się jak na komendę. Phoebe stała obok przewróconego postumentu, z którego spadł wazon. Twarz miała poczerwieniałą, a mokre włosy zwisały w strąkach po obu stronach twarzy. Zapadła taka cisza, że można by usłyszeć upadającą szpilkę. Ludzie milczeli, kiedy Phoebe parę razy kurczowo złapała oddech, a potem schyliła się i sięgnęła po ostry odłamek skorupy.

– Phoebe! – ostro krzyknął głos dorosłego.

Nagle w pokoju zaroilo się od personelu w ilości, jakiej dotąd nie widziałam w Horyzontach.

– Nikt mnie nie słucha! – zawyła Phoebe, ale zanim zdążyła dotknąć odłamka wazonu, Wayne chwycił ją, poderwał w górę i odciągnął do tyłu.

– Zawiadom pagerem Kells, a potem weź jej dziennik! – Słyszałam, jak Brooke szepcze do Wayne'a.

Phoebe rzucała się dziko, kiedy podszedł Barney i stanął przed nią, zasłaniając nam widok. Kiedy znów ją zobaczyłam, była jak szmaciana lalka w ramionach Wayne'a. Szybko wyniósł ją z sali.

Porozumiałam się wzrokiem z Jamiem.

– Dziwadło – skomentował.

– Łagodnie powiedziane – prychnęłam.

Jamie pochylił się ku mnie.

– Jak tam twój zadek?

– Jakoś przeżyję.

– Wiedziałem, że to się tak skończy.

– Ja też. Co za cholerny pomysł, żeby zakwaterować nas razem?

Szaleństwo.

Jamie uniósł brwi.

– Dobra, jestem psychiczna. Nie będę ukrywać.

Wyszczrzył w uśmiechu białe zęby.

– Nikt nie jest doskonały.

Phoebe, otumaniona uspokajaczami, była idealną współlokatorką – spała i do końca dnia miałam z nią święty spokój. Jak będzie w nocy?

Miałam nadzieję, że nieprędko się ocknie.

Wcześniej podesłałam Noahowi notatkę, podobną do jego poprzedniej.

„Dzisiaj, pierwsza w nocy, w sali muzycznej? Dasz radę?”

Spojrzałam na niego w trakcie kolacji i dał znak, że tak. Zegar mozolnie odliczał sekundy. Modliłam się, żeby wszyscy grzecznie zasnęli. Intensywnie wizualizowałam sobie puste, bezludne korytarze. I Barneya, chrapiącego w dyżurce przed telewizorem, ze słuchawkami na uszach. Albo Brooke w łóżku. Wyjątkowo nikt nie musiał iść w nocy do łazienki. Nikomu z naszych nadzorców nie chciało się patrzeć w monitory. Słyszałam, jak wszyscy moszczą się wygodnie w łóżkach, szeleszcząc pościelą. Jak zasypiają, a ich oddech spowalnia, uspokaja się.

To był mój czas. Jednym ruchem odrzuciłam okrycie i założyłam na pizamę bluzę z kapturem. Zaciągnęłam suwak pod szyję, żeby stłumić gorączkowe bicie własnego serca. Kiedy wstałam z łóżka, sprężyny materaca jęknęły i z niepokojem zerknęłam na drugie łóżko.

Phoebe spała jak zabita.

Na paluszkach podreptałam do drzwi i otworzyłam je najciszej, jak mogłam. Z drzeniem ruszyłam korytarzem, mijając drzwi do pokojów. W pewnym momencie ktoś kaszlnął i serce stanęło mi w gardle. Ostrożnie wyjrzałam zza rogu i zobaczyłam przed sobą aneks, w którym odbywały się nasze grupowe terapie. Przede mną była dyżurka i podświadomie oczekiwałam komendy nakazującej natychmiastowy powrót do łóżka.

O dziwo, nikogo tam nie było.

Puściłam się biegiem. Gdzie jest Noah? W łazience? A może teraz on zasnął?

Nieważne, bo już go widziałam – czekał na mnie w mrocznym, cichym korytarzu i marzyłam, żeby rzucić mu się w ramiona.

Nie zrobiłam tego. Wyhamowałam.

– Udało ci się – powiedział z uśmiechem.

Odwzajemniłam ten uśmiech.

– Tobie też.

Sięgnęłam do klamki sali muzycznej, ale zanim zdążyłam ją przekręcić,

zobaczyłam klawiaturę, jak przy domofonie. Znieruchomiałam.

– Na pewno wiesz, co robisz? – spytałam nerwowym szeptem.

Noah uspokoił mnie gestem i szybko wstukał kod. Przyglądałam mu się z niedowierzaniem.

– Każdego można kupić – powiedział, kiedy drzwi otworzyły się z cichym szcękaniem.

Usunął się uprzejmie, wpuszczając mnie pierwszą.

Ciemność za drzwiami była nieprzenikniona. Noah wziął mnie za rękę, splatając palce z moimi. Poprowadził po podłodze, pokrytej miękką wykładziną, a potem pociągnął w dół, dając znak, żebym usiadła.

Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, zobaczyłam, że w drugim końcu pokoju znajduje się małe okno. Srebrna poświata księżycy wydobywała z mroku rysy nieodgadnionej twarzy Noaha.

Siedział oparty plecami o ścianę, chłodny i nieruchomy jak posąg. Rozplótł palce i cofnął rękę. Chciałam ją odzyskać, lecz Noah pokręcił głową.

– Nie rób tego – powiedział.

W jego głosie był dystans. Irytacja i zjadliwość.

– Czego mam nie robić? – zapytałam zbита z tropu.

Zacisnął szczęki i popatrzył na mnie pustym wzrokiem.

– Co się stało?

– Nie wiem... – zaczął. – Nie wiem, co...

Spojrzał w dół.

Na moje przeguby.

Ach, więc o to chodziło! Noah był na mnie wściekły. I musiał czuć też wściekłość na siebie, choć nie było tego widać. Reagowaliśmy zupełnie inaczej. Ja wyrzucałam z siebie gniew. On dusił go w sobie.

Ujęłam jego twarz w dłonie, ani czule, ani delikatnie.

– Przestań – powiedziałam ostro. – Nie ty mnie zraniłeś. Przestań się zadrećzać.

Wyraz twarzy Noaha się nie zmienił.

– Nie było mnie przy tobie.

– Próbowalesz mi pomóc. Nie mogłeś tam być, bo usiłowałeś wyjaśnić...

Niebieskie oczy, patrzące w półmroku spod zmrużonych powiek, miały połysk stali.

– Obiecałem, że nie zostaniesz z tym wszystkim sama, i nie dotrzymałem słowa. Obiecałem, że ci pomogę. Nie pomogłem.

– Ale...

– Byłaś śmiertelnie przerażona, kiedy mnie wzywałaś – przerwał mi. – Nigdy nie zapomnę twojego głosu.

– Noah.

– Powiedziałaś mi o dzienniku, którego prowadzenia nie pamiętasz, i nigdy... nigdy twoja aura tak nie brzmiała, nigdy cię takiej nie słyszałem.

Jego głos stał się daleki, nieobecny.

– Zaraz po twoim telefonie udało mi się zabukować lot z Bostonu i ugrzęzłem w tym pieprzonym samolocie, kiedy on zmuszał cię...

Nie dokończył zdania. Trząśł się z furii i wstrzymywanego krzyku.

– Miałem wrażenie, jakbyś umierała we mnie – dodał już spokojniej, głuchym głosem. – Z pokładu dzwoniłem do Daniela. Próbowałem i próbowałem, aż wreszcie się obudził i odebrał.

Noah poszukał spojrzeniem moich oczu.

– Powiedziałem mu, że chcesz się zabić, Maro. Nie umiałem inaczej określić tego... co widziałem.

Rysy ściągnął mu gniew.

Przesunęłam opuszkami palców po arystokratycznych liniach jego twarzy.

– Już dobrze – powiedziałam uspokajająco.

– Wcale nie jest dobrze! – warknął. – Zesłali cię tu. Trafiłaś tu przeze mnie, bo im powiedziałem.

– Nie, Noah. Przez to, co zrobił mi Jude.

Roześmiał się bez humoru.

– Twoja mama powiedziała, że nie mogę cię odwiedzić, gdyż ma być przy tobie tylko najbliższa rodzina. Mówiła, że zamierzają cię skierować na leczenie zamknięte. Nie potrafiłem przyjąć tego do wiadomości. Ciągle brzmiał mi w uszach twój głos, przeniknięty paniką, błagający o życie. – Zacisnął powieki. – I nie mogłem być przy tobie.

– Byłeś w szpitalu – powiedziałam, obwodząc kciukiem cudowny zarys jego ust. – Daniel mi powiedział.

Noah otworzył oczy, ale unikał mojego spojrzenia.

– Raz udało mi się cię zobaczyć.

– Naprawdę?

Przytaknął krótko.

– Byłaś nieprzytomna. Byłaś... przywiązali cię do łóżka.

Zamilkł i nie odzywał się prawie przez wieczność.

Potrzebowaliśmy czasu. Tyłu jeszcze rzeczy musieliśmy się dowiedzieć.

– Widziałam Abła Lukumiego – powiedziałam.

Noah zmarszczył czoło.

– Co?

– W szpitalu. Chyba drugiego dnia, kiedy się ocknęłam. Mama tłumaczyła mi, skąd się wzięłam w szpitalu i...

Wpadłam w szal. Wpadłam w szal i musieli mnie uspić.

– Usiłowałam im wytłumaczyć, co się stało, co mi zrobił Jude, ale... nie udało mi się. Zanim leki zaczęły działać, zobaczyłam Lukumiego w drzwiach sali.

Noah nic nie mówił.

– To nie była halucynacja – zaznaczyłam z przekonaniem, bojąc się, że tak pomyśli. – Ty go nie widziałeś, prawda?

– Nie.

Tylko tyle odpowiedział.

Jasne, że nie. Szybko opowiedziałam Noahowi o wszystkim, co wydarzyło się tamtej nocy – o niepodpisanej płycie, którą znalazłam pod poduszką, i o filmie, który był na niej nagrany. O Rachel w psychiatryku, widzianej obiektywem kamery Claire. O tym, jak oglądałam katastrofę na ekranie.

Pomięłam tylko moment, w którym usłyszałam własny, upiorny śmiech.

Kiedy skończyłam, Noah powiedział:

– Nie powinienem cię zostawiać. – Pokręcił głową. – Myślałem, że John wystarczy.

– Ufałeś mu. Pilnował domu całymi dniami i wszystko było w porządku. – Urwałam na moment. – A co mu się właściwie stało?

– Miał atak serca. Tak po prostu, kiedy siedział w samochodzie zaparkowanym obok waszego domu.

Poczułam się tak, jakby wrzucono mnie do lodowatej kąpieli. Całą siłą woli tłumiłam panikę w moim głosie.

– Podobnie jak ten policjant.

– Jaki policjant?

– Ten, który się zjawiał na przystani, kiedy byłam tam z Jude'em – wyjaśniłam, starannie dobierając słowa. – Zobaczyłam go, zanim zemdlałam. Nie miał munduru, musiał być po służbie, ale kiedy mnie zobaczył, ruszył na pomoc. Próbował wezwać posiłki, ale Jude...

Jude wbił sobie ostrze w bok.

Nadal nie potrafiłam dostrzec w tym sensu. Obrazy i odczucia układały się w moich myślach w jeden dręczący ciąg. Przerażenie i gniew, strach

i panika. Opowiedziałam Noahowi dokładnie, co działo się na pomoście, aby ocenił to wszystko ze swojej perspektywy. Może wspólnie dojdziemy do jakichś wniosków.

– I były martwe ryby pod pomostem – dodałam.

Oczy Noaha zwięzły się czujnie.

– Unosiły się na wodzie. Pełno martwych ryb.

Jak w Everglades, pomyślałam, przypominając sobie, co potem mówił Noah. Wpadliśmy w pułapkę w kanale pełnym aligatorów. Musiałam ratować Josepha. Miałam dwa wyjścia: walczyć albo uciekać. Uciekać nie mogłam. Zostałam zapędzona pod ścianę i mój umysł instynktownie podjął decyzję o walce.

Mój strach zabił wszystko, co żyło wokół nas w wodzie. Aligatory. Ryby. Wszystko. Na przystani też się bałam. Jude mnie przerażał. Nie zamierzał umrzeć. Czy wtedy, usiłując go zabić, znowu siałam śmierć?

Czy zabiłam policjanta? Tego, który chciał mi pomóc?

Poczułam dławienie w gardle i poczucie winy boleśnie ścisnęło mi żołądek. Wtem przypomniałam sobie...

John. On też miał zawał. A przecież tamtej nocy nawet go nie widziałam. Nie mogę zatem odpowiadać za jego śmierć.

Dreczyłam swój umysł, usiłując doszukać się w tym wszystkim sensu. Byłam ciekawa, co myśli Noah. Spytałam go.

– Nie było mnie tam – odpowiedział z tym samym, nieobecny spojrzeniem.

Przysunęłam się do niego. Zarzuciłam mu ramiona na szyję i przyciągnęłam go do siebie. Drgnął i usiłował wysunąć się z moich objęć. Nie pozwoliłam mu na to. Teraz, kiedy byliśmy tak blisko, zrozumiałam, jak strasznie mi go brakowało.

Noah zachowywał się, jakby nic nie czuł, ponieważ czuł wszystko. Wydawało się, że nic go nie obchodzi, gdyż obchodziło go aż za bardzo.

Uśmiechnęłam się z ustami przy jego ustach.

– Teraz jesteś przy mnie.

Kiedy Noah odpowiedział, jego głos ciął powietrze jak brzytwa.

– Jestem tutaj, bo żyjesz, Maro. Gdyby on cię zabił...

– Ale nie zabił – powiedziałam i słowa przez moment nie chciały zejść mi z języka. – Nie zabił mnie – powtórzyłam i oparłam się o ścianę, bo słowa przeniosły mnie nagle na przystań.

Zobaczyłam siebie, krwawiłam i leżałam twarzą w dół na pomoście.

Nie byłam w stanie odwrócić wzroku od pogłębiających się krwawych rozcięć.

Nie były śmiertelne.

Jude wiedział. Domyślałam się tego po sposobie, w jaki przyglądał się nacięciom na moich przegubach, analizował je. Aby się upewnić, że krwawię, lecz nie wykrwawię się na śmierć. Nie chciał mnie zabić. Chciał czegoś innego.

– Jude zostawił mnie przy życiu – powiedziałam głośno. – Celowo. Dlaczego?

Noah przeciągnął dłonią po nieogolonej szczęce.

– Chciał, żebyś żyła, aby mógł cię dalej dręczyć? – Uśmiechnął się złowrogo. – Szkoda, że nie zdążyłem wyrobić sobie znajomości w celi.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Siedziałeś w więzieniu?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy to było?

– Kiedy dowiedziałem się, że wywieźli cię na wyspę i nic nie mogę zrobić. Sytuacja wymagała... – Noah przez chwilę szukał słowa – ...radykałnych rozwiązań – dokończył. – Musiałem przekonać ojca, że jeśli natychmiast nie zobaczą się z tobą, stanę się dla niego kłopotem... popsuję mu wizerunek.

– Zaraz... to było już po incydencie z Lolitą?

Przytaknął krótko.

– Noah – powiedziałam ostrożnie – co zrobiłeś tej biednej orce?

Wreszcie naprawdę się uśmiechnął. Szczerze, po dawnemu. Marzyłam, żeby uśmiechał się tak do mnie do końca mojego życia.

– Lolita ma się dobrze – zapewnił. – Po prostu wepchnąłem kogoś do jej basenu.

– Nie zrobiłeś tego!

– Częściowo tak.

Pokręciłam głową z udawaną dezaprobatą.

– Gość zachęcał swojego socjopatycznego bachora, żeby walił pięściami w szklaną ścianę – wyjaśnił Noah znudzonym tonem.

– A co w ogóle robiłeś w oceanarium?

– Szukałem guza. Chciałem zrobić coś spektakularnego, na co rzuciłyby się media.

– Boże, i udało ci się?

– Prawie. – Pokazał kciukiem i palcem wskazującym, jak mało brakowało. – Tatuś szybko to wyciszył. Pewnie im posmarował.

Zadając następne pytanie, uważnie patrzyłam na Noaha.

– Rozumiem, że twój ojciec wie o nas, tak?

– Tak – potwierdził obojętnie. – Wie.

– I co...?

Noah uniósł brwi.

– Jak to, co?

Boże, ci faceci. Nie do przejścia!

– Co o tym myślisz?

Noah sprawiał wrażenie, jakby nie zrozumiał pytania.

– A czy to ważne?

Aha. Rozumiał pytanie, tylko nie wiedział, dlaczego pytam.

– Owszem, ważne. Powiedz mi.

– Myślisz, że jestem świrem – wyjaśnił z prostotą Noah.

Usiłowałam nie pokazać, jak bardzo mnie to zabolowało.

Najwyraźniej mi się nie udało, gdyż Noah wziął mnie za rękę. Po raz pierwszy dotykał mnie w ten sposób od czasu wydarzeń z Jude'em – z czułością i z przejęciem. Z nieprawdopodobną delikatnością odwijał bandażę na moich przegubach, a mimo to sprawiał mi ból i zaczęłam protestować. Uciszył mnie i uniósł moje dłonie do ust. Wargi miękkie jak płatki kwiatów musnęły palce, a potem wnętrze. Noah popatrzył mi w oczy, niewoląc mnie kompletnie.

A potem pocałował blizny.

– To wszystko nieważne – mruknął z ustami przy mojej skórze.

Przesuwał palcami po szramach, uzdrawiając żyły pod nimi.

– Ważne jest tylko jedno.

– Co? – wyszeptałam.

Popatrzył na mnie spod zasłony długich, ciemnych rzęs. Nie puścił moich rąk.

– Zabicie Jude'a.

Miękki dotyk rąk Noaha i jego łagodny głos wypowiadający te słowa sprawiły, że przeszedł mnie dreszcz grozy.

Bardzo chciałam zabić Jude'a. Wiele razy o tym myślałam. Ale deklaracja mordercy brzmiała dziwnie w ustach Noaha. Nie pasowała do niego.

Puścił moje ręce.

– Zanim tu przybyłem, zaangażowałem więcej ludzi do pilnowania twojej rodziny, choć nie sądzę, aby Jude im zagrażał – powiedział, patrząc prosto przed siebie. – Całe jego postępowanie świadczy o tym, że chodzi mu wyłącznie o ciebie. Tłumaczył, że porwał Josepha, gdyż chciał wywołać w tobie poczucie winy; świadomość, że Joseph ucierpiał przez ciebie. Wiedział, że to będzie dla ciebie największą udręką.

Przełknęłam ślinę. Gardło miałam jak papier ścierny.

– Ale teraz jestem tutaj. Z tobą.

Noah milczał przez moment.

– Wiecznie tak nie będzie – powiedział.

Coś w jego głosie napełniło mnie lękiem i zmusiło do przyjrzenia się mu jeszcze raz. Był jak zawsze piękny, ale coś mrocznego kryło się za tymi rzeźbionymi rysami.

A może zawsze tak było, tylko wcześniej tego nie dostrzegłam.

Puls mi przyspieszył.

Noah odwrócił się do mnie z tą swoją kocią gracją.

– Ta dziewczyna, którą widziałem, Stella, tak?

Kiwnęłam głową.

– Co o niej wiesz?

Znów mówił jak dawny Noah i poczułam ulgę, choć nie bardzo wiedziałam dlaczego.

– Niewiele – przyznałam. – Jamie powiedział kiedyś, że Stella może uchodzić za prawie normalną, ale nie wiemy, z jakiego powodu tu trafiła.

Było mi trochę głupio, że nie zainteresowałam się wcześniej Stellą. Na swoją obronę mogłam powiedzieć, że nie bardzo miałam na to czas.

– Czemu pytasz?

Noah przeczesał palcami czuprynę.

– Zauważyłaś, że ona jest inna?

– W jakim sensie?

– Inna, jak my.

– Niczym specjalnym się nie wyróżnia. – Wzruszyłam ramionami.

Noah uniósł brwi.

– Nasze zdolności też nie są widoczne i oczywiste.

To prawda.

– Więc myślisz, że Stella jest taka jak my?

– Zastanawiam się. Nie bez powodu widziałem w swoich wizjach ciebie i ją. Pomyśl o tym – naokoło są miliony chorych i cierpiących ludzi, ale ja widzę tylko pięcioro. Co ich łączy? Jedyne rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to...

– Zaraz... jednym z nich był Joseph.

Nie mogłam sobie wyobrazić, że jest nieszczęsnym dziwadłem, jak my.

– Nie mam pewności, ale sądzę, że cokolwiek nas łączy, jest w jakiś sposób nabyte, a nie wrodzone – dodał Noah. Musiał wyczuć mój strach. – Stella powinna mieć tu swoją kartotekę, jak każdy z nas, a tam na pewno są symptomy i diagnozy. Może ma podobne jak ty?

Albo jak moja babcia.

Tyle że babcia dawno umarła i nie zdążyłam jej poznać, więc musi chodzić o cechy dziedziczne. Co by oznaczało, że Noah się myli. Podobnie mogło być z Josephem.

Noah pogładził kielkujący zarost na brodzie.

– Moglibyśmy wychwycić jakiś związek... coś, co nam wcześniej umknęło.

Coś, co nam umknęło. Jego słowa przywołały w moich myślach obraz Phoebe, płaczącej i kiwającej się autystycznie na podłodze. Kiedy Brooke zaczęła ją pocieszać, zrobiła grymas za jej plecami.

– Powinniśmy również sprawdzić Phoebe – powiedziałam, choć myśl, że ten potwór miałyby dzielić z nami jakiegokolwiek cechy, była straszna.

Po chwili nasza następną, równie straszna myśl. Jeżeli Stella i Phoebe są podobne do mnie i do Noaha, to mamy jeszcze jedną wspólną cechę.

Wszyscy jesteśmy tutaj, na tej wyspie.

Spojrzałam przez małe okno sali muzycznej. Gałęzie wyginały się na wietrze, lecz pomimo szalejącego na zewnątrz żywiołu w pokoju panował spokój. Niebo było nadal mroczne i nic nie zapowiadało świtu.

– Powinniśmy już iść – powiedziałam do Noaha i razem podnieśliśmy się z podłogi. – Jak chcesz zdobyć kartoteki?

– W taki sam sposób, w jaki sprowadziłem nas do tego pokoju – powiedział z tym swoim cudownym, pokrętnym uśmiechem. – Wystarczyło

dać komuś w łapę.

Noah poprowadził mnie korytarzem. Bałam się nawet szepnąć, bo stanęliśmy pod drzwiami gabinetu doktor Kells. Tu też była klawiatura, taka sama jak w sali muzycznej. A jeśli Kells jest w środku?

Noah pokręcił głową, kiedy głośno wypowiedziałam to pytanie.

– Bywa tu tylko parę razy w tygodniu i na pewno nie o takiej dzikiej porze. Tym razem wstukał całą sekwencję kodów. Po chwili drzwi otworzyły się z kliknięciem.

– Proszę, proszę, kogo ja widzę?

Myślałam, że zemdleję. Jak na komendę obróciliśmy się z Noahem.

Zobaczyliśmy Jamiego, który stał w korytarzu o parę metrów od nas.

– A niech mnie, jeśli to nie jest Noah Shaw – ciągnął Jamie ściszym głosem, naśladując brytyjski akcent Noaha. – Uwodziciel dziewczyn; gość, który właśnie wychynął ze studia, w którym zgrywał piękny podkład muzyczny do swojego najnowszego podboju. CO ZA METAFORA, PROSZĘ PAŃSTWA – zakończył scenicznym szeptem.

– Jamie – syknęłam ostrzegawczo, usiłując przywołać go do porządku.

– Dobra, dobra – powiedział, pojednawczo wznosząc ramiona. – Żyjemy w wolnym kraju. Niemniej jednak, Maro, zanim zaangażujesz się w rolę upierdliwej kierowniczkii planu, która rozkazuje aktorom...

– Jamie...

– Albo, nie daj Boże, terapeutki, która ustawia pacjentów! – zawołał z teatralną grozą. – Powiedz mi, że nie masz takich zamiarów, bo jeśli nie, gotów jestem wymiotować na wasze oblicza. Oba naraz.

– Jamie, za bardzo się podkreśliłeś – rzuciłam ostro.

– Tak też mi mówią – przyznał, puszczając do mnie oko. – To co, koniec gry?

– Definitywnie – potwierdził Noah.

– Czyli wchodzimy?

– Tak. – Noah skinął głową. – Tylko, na Boga, zamknij paszczę.

Pchnął drzwi i cała nasza trójka znalazła się w twierdzy doktor Kells.

– Czego szukasz? – zapytałam Jamiego, kiedy Noah zatrzasnął za nami drzwi.

– Mojej teczki, a czegoż by innego? – Jamie pytająco przechylił głowę. – A wy?

– Sądzę, że mamy wspólne cele – zełgał Noah.

Jamie poruszał się swobodnie w ciemnym pokoju. Niedbale przysiadł na biurku doktor Kells.

– Komu posmarowałeś? – rzucił.

– Wayne’owi – powiedział Noah.

Jamie kiwnął głową.

– Wygląda na przekupnego typu.

– Prawie wszystko na tym świecie da się kupić – powiedział sentencjonalnie Noah, przenosząc spojrzenie na wysoką kartotekę z szufladami, stojącą w rogu.

– Tylko po co wydawać kasę? – stwierdził Jamie. – Czy próbowałeś kiedykolwiek otworzyć pokój bez kodu?

Spojrzałam na niego uważnie.

– Jaki pokój?

Jamie pokręcił głową.

– Kiepska z ciebie młodociana przestępczyni, Maro. Próbowałem, ale nie udało mi się. Gdyby udało nam się zdobyć klucz uniwersalny, to z pomocą kostki mydła i zapalniczki moglibyśmy zrobić odcisk, a potem wykonać kopię.

Noah nie odpowiedział, zajęty zagłębieniem do szuflad. Pojaliśmy z Jamiem aluzję i też zajęliśmy się szukaniem teczek.

Wypatrywałam nazwisk, ale teczki miały tylko cyfry. Może daty urodzenia? Wyjęłam jedną z teczek i otworzyłam ją.

Jakieś sprawozdania finansowe. Hmm... Odłożyłam i sięgnęłam po następną.

Przez jakiś czas pracowaliśmy w ciszy przerywanej stukotem szuflad i szelestem papierów. Szybciej by nam szło, gdyby można było zapalić światło, lecz musieliśmy być ostrożni.

– Bingo – powiedział nagle Jamie, aż podskoczyłam. – Są ułożone chronologicznie.

Triumfalnie uniósł w rękę trzy teczki.

– Dyer. – Wręczył mi moją. – Shaw. – Wsunął Noahowi do ręki. – I Roth.

– Przycisnął swoje papiery do piersi.

Popatrzyłam na teczkę. Miałam nadzieję, że znajdę tam wiele odpowiedzi. Noah rozsiadł się na fotelu doktor Kells i posłał mi leniwy uśmiech. Usiadłam mu na kolanach.

– Przyjemnej lektury – życzył nam Jamie.

Uśmiechnęliśmy się. Noah wyjął swoje papiery, a ja nie mogłam się zdecydować. Nie byłam pewna, czy na pewno chcę poznać zawartość swojej teczki. Z drugiej strony taka okazja mogła się już nie zdarzyć...

Ach, pieprzyć to. Otworzyłam teczkę. Na pierwszej stronie były moje

dane. Od razu przeszłam do drugiej.

Pacjentka przyznaje, że w przeszłości i obecnie pojawiały się u niej myśli o skrzywdzeniu siebie lub innych, doznawała także halucynacji słuchowych i wzrokowych. Pacjentka bez wahania opisała okoliczności, które doprowadziły do incydentu z jej udziałem w komisariacie policji w Miami. Jej tok myślowy jest logiczny i spójny. Pacjentka przyznaje się do konkretnych lęków – boi się krwi, igieł i wysokości. Zaprzecza, jakoby występowały u niej jakiegokolwiek obsesje czy kompulsje. Potwierdza natomiast, że ma problemy z koncentracją.

Można przypuszczać, że halucynacje i koszmary są wywołane stresem. Pacjentka cierpi również na poważną bezsenność i ataki paniki. Dręczą ją obsesyjnie nawracające myśli. Ma na swoim koncie samookaleczenia (patrz: załączone materiały). Te ostatnie pacjentka oraz jej rodzina przypisują ekstremalnemu poczuciu winy, wywołanemu zapewne przez podwójną traumę: próbę gwałtu w noc zdarzenia, które wywołało syndrom PTSD (zawalenie się budynku), i samą katastrofę. Pacjentka jako jedyna ocalała z katastrofy, w której zginęła jej najlepsza przyjaciółka, jej chłopak i siostra chłopaka. Pacjentka twierdzi, że chłopak ją napastował, i żywi urojone przekonanie, iż on nadal żyje i ją prześladowa. Pacjentka posiada klinicznie udokumentowaną historię omamów słuchowych i paranoidalnych myśli. Pacjentka jest społecznie wycofana: ewidentnie nie ma bliskich przyjaciół. Silne więzy łączą ją tylko z najbliższą rodziną, jakkolwiek wydaje się, że lubi i akceptuje pacjenta Jamiego Rotha. Zaobserwowano narastającą animozję pomiędzy pacjentką a inną pacjentką, P. Reynard. Nie stwierdzono wypalenia emocjonalnego. Wykazuje objawy nasilenia przesądów i magicznego myślenia oraz wzmożonego zainteresowania zjawiskami paranormalnymi. To oraz inne wyżej wymienione objawy prowadzą do wstępnej diagnozy:

PTSD i ewent. współwystępujące zaburzenia afektywne (Dwubiegunowe: ostre, o cechach psychotycznych)

Zaburzenia schizofrenoidalne (trwające 1–6 miesięcy)

Schizofrenia (jeżeli symptomy będą się utrzymywały po osiemnastym roku życia). Ewentualnie: zaburzenia urojeniowe.

Ostateczna diagnoza po dalszej obserwacji.

– Maro.

Słyszałam głos Noaha tuż przy uchu. Nieznacznie odwróciłam głowę, nie

ruszając się z jego kolan. Noah gładził mi policzek opuszką kciuka. Wstrząsnęło mną, że policzek mam mokry.

Płakałam.

– Nic mi nie jest – powiedziałam zdławionym głosem. Odchrząknęłam. – Wszystko w porządku.

Zatknął mi pasmo włosów za ucho.

– Cokolwiek tam napisano, to nie o tobie.

Niestety, jak najbardziej o mnie.

– Nie czytałeś – mruknęłam, odwracając głowę.

Jamie siedział cicho, pogrążony w lekturze swojej historii choroby.

Noah przesunął palcem po moich zębach.

– Chcesz, żebym przeczytał?

Sama nie wiedziałam, czy chcę, czy nie.

– Sama nie wiem – powiedziałam.

Noah znał moje przeżycia i był tu ze mną. Ale widzieć to wszystko wypisane na papierze, wiedzieć, co myśli o nas ktoś inny, obcy...

– Chcesz przeczytać moje papiery? – spytał Noah.

Głos miał niski, ale ciepły.

Nie było sensu kłamać. Tak, chciałam przeczytać. Fakt, że sam mi to zaproponował, musiał być znaczący. Czułam się dziwnie spięta, kiedy podał mi zszywkę. Otworzyłam ją na pierwszej stronie.

IMIĘ I NAZWISKO PACJENTA: Noah Elliot Simon Shaw

WIEK: Siedemnaście lat

Pacjent prezentuje się jak zdrowo wyglądający nastolatek, wzrostu nieco więcej niż średniego, o szczupłej, lecz silnej budowie ciała. Sprawia wrażenie starszego, niż jest w rzeczywistości. Nie jest łatwo nawiązać z nim kontakt. Pacjent nie wykazuje chęci współpracy i demonstruje brak zainteresowania rozmową.

Zdaniem rodziny i nauczycieli pacjenta charakteryzuje permanentny wzorzec aspołecznego, prowokującego, wyzywającego, wrogiego lub agresywnego zachowania zarówno wobec dorosłych, jak i rówieśników. Nietypowo nie ma to wpływu na jego postępy szkolne; pacjent jest wyjątkowo zdolnym uczniem i osiąga znakomite wyniki. Nie stwierdza się u niego nadpobudliwości czy zaburzeń lękowych, lecz często prowokuje on gwałtowne konfrontacje z innymi osobnikami płci męskiej. Rodzice podkreślali wielokrotne manifestowanie się bezdusznej, pozbawionej emocji, cynicznej postawy, co potwierdziły testy. Jednakże rodzice podkreślają, że pacjent nigdy nie wykazywał okrucieństwa wobec zwierząt; przeciwnie, potrafi odnosić się do nich z troską i zaangażowaniem. Zwłaszcza dobrze radzi sobie ze zwierzętami agresywnymi czy niebezpiecznymi, z którymi styka się w gabinecie weterynaryjnym swojej macochy. To świadczyłoby przeciwko autyzmowi społecznemu czy innym diagnozom zakładającym rozmaite socjopatie. Zarówno rodzice, jak i szkoła donosili o świadomych aktach wandalizmu i wynikłych z tego szkodach materialnych, które zdarzały się w przeszłości, jak również o oszukańczym zachowaniu (kłamstwa) i lekceważeniu norm społecznych. Macocha wskazała na parę epizodów z alkoholem i narkotykami, które jednak zdarzyły się w przeszłości i później nie miały kontynuacji.

Pacjent, skonfrontowany z opiniami swoich rodziców i nauczycieli, reagował arogancko, udzielając manipulacyjnych, cynicznych odpowiedzi. W raporcie szkolnym pojawia się też wątek bezustannej potrzeby poklasku (dbałość o seksualną reputację), impulsywności i poszukiwania przygód. Pacjent demonstruje aroganckie samouwielbienie i uwodzicielską postawę; nie toleruje nudy, jest bardzo pewny siebie, wygadany, sprawnie się wysławia.

Kontynuować obserwację pod kątem zaburzeń opozycyjno-buntowniczych; możliwa diagnoza – społeczne zaburzenie osobowości lub osobowość narcystyczna.

Zamknęłam teczkę i oddałam ją Noahowi.

– Dlaczego masz dwa drugie imiona? – zapytałam.

– Tylko tyle? Nic więcej cię nie zainteresowało?

Odsunął się ode mnie, żeby poszukać czegoś w moich oczach. Może niesmaku. Może strachu.

– To nie ty – powiedziałam cicho i spokojnie.

Powolny uśmiezek uniósł kącik jego ust. Smutny uśmiezek.

– Nie, to jednak ja.

Stwierdziłam, że oboje mamy rację. Nasze kartoteki mówiły o nas na tyle, na ile zostaliśmy ocenieni i zbadani przez innych. Ale były to tylko fragmenty naszych osobowości. Niebędące nami. Tylko my mogliśmy decydować, kim jesteśmy.

Objęłam Noaha nogami w pasie.

– W sumie uwagi o niechęci do współpracy i cynizmie są słuszne – stwierdziłam. – Potrafisz być... – musnęłam wargami jego usta – ... frustrujący.

Jamie odchrząknął. Prawie o nim zapomniałam.

– Jak tam? W porządku? – spytałam.

– Jeżeli „w porządku” oznacza: „pesymistyczny, niestabilny emocjonalnie, ze skłonnościami do manipulacji”, odpowiedź brzmi „tak” – odpowiedział wesoło. – „Pacjent demonstruje wyjątkowy sarkazm i permanentne zgorzknienie; postrzega wiele spraw w kategoriach ekstremalnych, czarno-białych, jako absolutnie złe lub absolutnie dobre. Szybko zmienia poglądy o innych, nawiązując intensywne, lecz niestałe znajomości – wyrecytował z pamięci. – U pacjenta ujawnia się konflikt orientacji seksualnej; wykazuje nadmierne zainteresowanie seksualnymi przypadkami swoich współtowarzyszy. Pacjent jest przykładem klasycznego zaburzenia osobowości typu *borderline*. Niedookreślony i niestały obraz własnej osoby; impulsywność i huśtawka emocjonalna” – zakończył, jakby zmęczyła go ta wyliczanka.

Zamknął teczkę i rzucił nią jak frisbee, aż pofrunęła na ścianę, a sam wyprostował się z rękami wyciągniętymi nad głową.

– Panie i panowie, oto Jamal Feldstein Roth!

Zamrugałam gwałtownie.

– Zaraz... Jamal?

– Olej to – powiedział, szczerząc białe zęby. – Moi rodzice to liberalni Żydzi z Long Island, okej? Chcieli, żebym czuł związek z moim dziedzictwem – dodał z naciskiem na słowo „moim”.

– Nie oceniam, tylko jestem zaskoczona. Ja mam na drugie imię Amitra.

– Amitra – powtórzył Noah. – Teraz rozumiem.

– Po jakiemu to? – zapytał Jamie.

– Sanskryt? Hindi?

Wzruszyłam ramionami.

– Przypadek? – drążył Jamie.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, mama ma hinduskie pochodzenie.

– Co znaczy to imię?

– A co znaczy Jamal?

– Dobra, poddaję się.

– Tyle mam zapewne wspólnego ze swoim hinduskim dziedzictwem co ty z afrykańskim – powiedziałam. – Moja mama uwielbia sushi.

– A moja latkes. – Uśmiech Jamiego trwał tylko ułamek sekundy. – Pierdoły – powiedział nagle. – Jesteśmy nastolatkami. Mamy prawo do sarkazmu.

– I do fascynacji seksem – dodałam.

– I do impulsywności – dorzucił Noah.

– Otóż to – przytaknęła Jamie. – Ale my jesteśmy tutaj, a oni nie. – Powoli pokręcił głową. – Każdy jest trochę szalony. Jedyna różnica pomiędzy nami a nimi jest taka, że oni lepiej się maskują. – Urwał na moment. – Dlatego... swędzi mnie ręka, żeby puścić to miejsce z dymem. – Uniósł brwi. – Tylko mnie?

– Nie tylko ciebie. – Zachichotałam.

Jamie wstał i klepnął mnie po ramieniu, po czym ziewnął szeroko.

– Trzeba o tym pomyśleć. Na razie mam dosyć. Zostajecie?

Zerknęłam na Noaha. Jeszcze nie dotarliśmy do tego, o co nam chodziło. Nasze spojrzenia się spotkały i było jasne, że pomyślał to samo.

– Taa – odpowiedziałam.

Jamie podniósł swoją teczkę z podłogi i włożył do odpowiedniej szuflady.

– Dzięki za fajną imprezę – powiedział z ręką na kłamce. – Warto by ją jeszcze powtórzyć.

Pomachałam mu na pożegnanie i wyszedł.

Zostaliśmy z Noahem sami.

Noah odchylił się w fotelu doktor Kells i popatrzył na mnie. Ciągłe siedziałam mu na kolanach.

– Co? – Spłoszyłam się nagle i poczułam, że pieką mnie policzki.

– Wszystko w porządku?

Kiwnęłam głową.

– Na pewno?

Zastanawiałam się przez chwilę. Myślałam o zawartości swojej teczki.

– Nie do końca – przyznałam. – Przykre, że nikt mi nie wierzy, kiedy mówię o Judzie.

Objęły mnie ramiona Noaha, mocne i ciepłe. Podjęłam decyzję.

– Możesz to przeczytać – powiedziałam.

Pokręcił głową; włosy połaskotały mi skórę.

– Dając ci swoje papiery, nie oczekiwałem niczego w zamian. Nie musisz mi pokazywać.

Popatrzyłam mu w oczy.

– Ale ja chcę.

Sięgnął po teczkę leżącą na biurku za moimi plecami. Wyjął z niej papiery, odchylił się na fotelu i zaczął czytać, ze mną na kolanach.

Nie odzywaliśmy się. Palce Noaha zawędrowały pod mój T-shirt i rysowały niewidzialne wzory na ciele. Rozpraszał mnie. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością.

Usłyszałam, jak Noah wypowiada moje imię, i wróciłam do rzeczywistości.

– Maro, widziałaś to?

Pochyliłam się nad teczką. Podsunął mi kartkę, żebym lepiej widziała. Na pierwszej stronie, pod moimi danymi, które pominęłam, napisano drukowanymi literami PRZECIWWSKAZANIA, a pod tym ktoś dopisał ręcznie:

„Sarin, pierw. nosiciel; przypuszczalne przeciwwskazania, dotąd niepoznane; podawano midazolam”.

Puls zadudnił mi w uszach.

– Sarin. Panieńskie nazwisko mojej matki.

I nazwisko mojej babci.

Nie byłam pewna, czy Noah mnie słucha. Wcisnął mi teczkę do ręki,

zsunął mnie z kolan i szybko wstał.

Krew zaszumiała mi w uszach.

– O chodzi z tymi przeciwwskazaniami?

– Wiesz, to jest tak... – Noah zaczął pospiesznie otwierać szuflady. – Jeżeli masz uczulenie na penicylinę, przeciwwskazaniem będzie podanie ci penicyliny – wyjaśnił. – Nie powinnaś jej brać, chyba że korzyść przeważy nad ryzykiem.

– A midazolam?

– Używają go w klinice – powiedział Noah, wysuwając kolejną szufladę. – Nigdy nie informowali, że ci go podają?

– Zaraz... w jakiej klinice? Weterynaryjnej? – wykrztusiłam.

– Większość leków weterynaryjnych wywodzi się z ludzkich, a nie odwrotnie. Jeśli nie myślę się z tym midazolamem, stosuje się go jako silny lek nasenny i jeden ze składników znieczulenia.

– Dlaczego mieliby mnie usypiać? – zapytałam z drżeniem.

Noah pokręcił głową.

– Nie wiem – powiedział bezradnie. – Mam nadzieję, że mieli usprawiedliwione powody. – Zerknął na zegarek. – Trzeba się pospieszyć, bo niedługo się obudzą. – Jego sylwetka majaczyła w mroku. – Ty szukaj teczki Phoebe, a ja Stelli, dobra?

Przytaknęłam w milczeniu, bo nie mogłam znaleźć słów. Skupiłam się na robocie, żeby nie myśleć, i w przyspieszonym tempie przeszukiwałam gabinet. Kiedy wzięłam się do biurka pani doktor, w dolnej szufladzie z prawej strony na pliku papierów znalazłam coś, czego nie szukałam.

Uniosłam rękę, demonstrując dyndające na cienkim, czarnym rzemyku dwa bliźniacze, srebrne wisiorki – jego i mój. Powinny wisieć na szyi Noaha.

– Noah – powiedziałam. – Twój naszyjnik.

Odwrócił się, kładąc na biurku teczkę podpisaną „Benicia” – to było nazwisko Stelli.

Podałam mu naszyjnik. Zapiął go sobie na szyi, a potem pomógł mi w poszukiwaniu teczki Phoebe.

Szperałam w każdej szufladzie, przerzucałam papiery. Na jednej z półek zobaczyłam stos notesów. Zaczęłam kartkować je po kolei, licząc, że znajdę tam uwagi doktor Kells.

Noah znów wrócił za biurko.

– Szukaj dalej – polecił i włączył monitor zahibernowanego komputera.

Szperałam jak szalona, czując, że ogarnia mnie panika. To był

prawdziwy wyścig z czasem. Ja prowadziłam poszukiwania tradycyjnymi metodami, a Noah rozpoczął zwiad elektroniczny.

Nagle dostrzegłam notes, podpisany kulfonami Phoebe, i w tym samym momencie Noah wymówił moje imię zdławionym, wstrząśniętym głosem, jakiego dotąd u niego nie słyszałam.

W zimnej poświacie monitora jego twarz była blada, o stężonych, ściągniętych rysach. Hipnotycznie wpatrywał się w ekran. Zabrałam z półki notes Phoebe i podeszłam do biurka, żeby zobaczyć, co go tak wciągnęło.

I zobaczyłam nas.

Na ekranie komputera doktor Kells odtwarzał się zapis filmowy wysokiej rozdzielczości. Kamera nagrywała moją sypialnię. Moje łóżko. W moim domu. Noaha rozpartego na fotelu przy moim biurku. Mówiącego do mnie.

Zobaczyłam jego uwodzicielski uśmiech. I swój uśmiech, który posłałam mu w odpowiedzi.

I datę w rogu, gdzie tykał licznik.

Sfilmowano to w zeszłym tygodniu.

Noah kliknął na coś i teraz patrzyłam z przerażeniem, jak nasze ekranowe wcielenia pojawiały się i znikwały w przyspieszonym tempie, w streszczeniu wielogodzinnej transmisji.

Znów kliknął i pokazało się okienko z kolejnymi plikami. Otworzył je i na ekranie zaczęła migać nasza kuchnia. Pokój Daniela. Pokój gościnny.

Każde pomieszczenie w naszym domu było filmowane.

Znów klik. Głos Noaha z głośników, płynący z przeszłości.

„Nie pozwolę, żeby Jude cię skrzywdził”.

Noah spazmatycznie wciągnął powietrze. Znów przewinął film do przodu. Patrzyliśmy, jak w kadrze pojawia się jego szczupła postać. Potem ja krzątałam się w swojej sypialni, aż wreszcie w piżamie wskoczyłam do łóżka. Potem oglądaliśmy Jude’a, który wszedł do sypialni, kiedy usnęłam. Widziałam, jak patrzy na mnie, śpiącą.

Jude dręczył mnie i prześladował bezustannie. Noah oskarżał się, że zostawił mnie i nie dopilnował, ale to nie była jego wina. Po prostu był tak samo nieświadomy jak ja, tak samo ślepy.

Za to doktor Kells nie była ślepa. Wszystko widziała. Widziała nas. Przez cały czas nas obserwowała.

– Ona wie, że Jude żyje – powiedziałam martwym głosem. – Wiedziała to od początku.

Noah nie odezwał się słowem.

Wpatrzyłam się w ekran, zagryzając usta.

– To jest dowód – powiedziałam.

Noah spojrział na mnie z powagą. Jego też zmroziło.

– Musimy skopiować te pliki i ujawnić, co tu się dzieje.

Noah kliknął na inną ikonkę i na ekranie pojawił się żółty trójkąt w wykrzyknikiem.

NIE MOŻNA NAWIĄZAĆ POŁĄCZENIA

– Dobra, starczy. – Noah zerwał się z fotela, aż ten odjechał do tyłu. – Spadamy – powiedział, biorąc mnie za rękę.

Nie byłam jeszcze gotowa.

– Muszę mieć dowód – powiedziałam uparcie, myśląc o swojej teczce.

Urojenia. Koszmary nocne. Halucynacje.

– Jeśli nie zdołamy udowodnić, że Jude żyje i Kells o tym wie, jeśli nie uciekniemy stąd, zostanę tu na zawsze.

Głos mi się załamał, kiedy wypowiadałam ostatnie słowo. Przemagając ucisk w gardle, podsunęłam Noahowi dziennik Phoebe i wróciłam do przeglądania biurka. Tym razem szukałam płyty CD, pendrive'a – czegokolwiek, na co można by przegrać te filmy.

Nagle zastopował mnie głos Noaha.

– Chryste – szepnął wpatrzony w otwarty dziennik Phoebe.

Podeszłam i zajrzałam mu przez ramię.

Z trudem mogłam odcyfrować jej gryzmoły, ale w wielu miejscach powtarzało się moje imię, ilustrowane szkicami, na których występowała postać z grubsza podobna do mnie, z flakami wylewającymi się z brzucha.

– Nie to – powiedział Noah i pokazał na wewnętrzną stronę okładki.

Phoebe wymalowała tam serduszka z inicjałami J+P. I podpisała je ozdobnym, kwiecistym pismem:

Phoebe Lowe

Phoebe miała na nazwisko Reynard. Jude nazywał się Lowe.

J + P.

Nagle przypomniały mi się słowa Phoebe – które wypowiedziała, kiedy przyznała się, że podrzuciła do mojego plecaka wiadomość „Widzę cię”. Dwa słowa łomotały mi w mózgu.

– *Ja tego nie napisałam – powiedziała Phoebe, opuszczając wzrok na swój dziennik. Uśmiechnęła się. – Ale ja to podrzuciłam.*

Znów słyszałam jej głos i gula narastała mi w gardle.

– *Mój chłopak mi to dał – zanuciła.*

– *Kto jest twoim chłopakiem, Phoebe? – spytałam.*

Nie wierzyłam, że ma chłopaka. Uważałam, że zmyśla, że tworzy sobie urojoną rzeczywistość. Za każdym razem, kiedy przypierałam ją do muru, wymigiwała się od odpowiedzi i byłam pewna, że kłamie. Teraz zrozumiałam, że się myliłam.

Jude był tym chłopakiem.

– On ją wykorzystał – powiedziałam.

Teraz mój strach był pierwotny, nieukrywany.

– Posłużył się nią.

Doktor Kells wiedziała, że Jude żyje, i orientowała się, co nas łączy. Jude spotykał się z Phoebe, sterował nią i podrzucał jej rzeczy, które miały mnie przerazić. Phoebe i ja byłyśmy pacjentkami Horyzontów. Doktor Kells kierowała całym programem. Jaka była rola Jude'a?

Kim on jest, do cholery?

– Pieprzyć to. – Noah zatrzasnął dziennik Phoebe i chwycił mnie za rękę.
– Idziemy!

Pociągnął mnie do drzwi. Ledwie się ruszałam; nogi miałam jak z ołowiu.

– Noah, co oni robią? – szepnęłam.

– Dowiemy się, ale na razie chodź.

Mój umysł był sparaliżowany strachem, szokiem i zagubieniem. Gdyby Noah mnie nie prowadził, nie wiedziałabym, dokąd iść. Wymknęliśmy się z gabinetu doktor Kells. Drzwi zatrzasnęły się za nami z cichym kliknięciem. Korytarze nadal były puste, a drzwi do sypialni pozamykane. Nikt z terapeutów jeszcze nie wstał i była szansa, że przemkniemy się niepostrzeżenie.

Czy oni też wiedzieli o wszystkim?

Nagle zauważyłam, że jedne drzwi są niedomknięte. Te, które z całą pewnością zamknęłam za sobą, wychodząc.

Drzwi mojego pokoju.

Stałam jak wryta, zatrzymując Noaha szarpnięciem.

– Moje drzwi – szepnęłam. – Ja je zamknęłam, Noah. Na pewno.

– Maro...

Pchnęłam drzwi. Błady słup światła padł na ścianę nad łóżkiem Phoebe.

Na ścianie były litery.

Które układały się w słowa.

W słowa wypisane czymś ciemnym i mokrym.

Metaliczno-słona woń zaatakowała mi nozdrza, budząc mdłości. Noah wcisnął włącznik, ale światło się nie zapaliło. Wsunął się do pokoju, nie puszczając mojej ręki.

Phoebe leżała na łóżku z kołdrą naciągniętą pod brodę. Ręce spoczywały na pościeli wzdłuż ciała. Dwa gejzery ciemnoczerwonej krwi tryskały z przeciętych przegubów, plamiąc okrycie po obu stronach ciała. A na ścianie wypisano krwią:

WIDZĘ CIĘ

Jude tu był.

W pokoju panowała martwa cisza. Próbowałam przełknąć ślinę, krzyczeć, ale nie mogłam. Minęła wieczność, zanim usłyszałam najbliższy mi głos, szepczący moje imię.

Otoczył mnie mocny, bezpieczny krąg ramion Noaha. Uniosły mnie w górę; kojące ciepło jego ciała przeniknęło przez mokrą od potu koszulkę. Oplotłam go nogami, wtuliłam twarz w jego szyję i załkałam rozpaczliwie, bezgłośnie.

Noah niósł mnie w milczeniu, szybko i cicho przemykając przez korytarz. Nie wiedziałam, co robi i dokąd idzie, ale było mi to obojętne. Gdyby teraz opuścił mnie na ziemię, na pewno bym nie ustała.

Doszliśmy do głównego wyjścia. Noah odchylił głowę i spojrzał mi w oczy.

– W dwadzieścia minut możemy być na przystani, jeśli pobiegniemy. Możesz biec, Maro?

Czy mogę biec?

Wilk czał się pod moimi drzwiami, ziemia płonęła mi pod stopami. Muszę biec. Pobiegnę.

Kiwnęłam głową. Noah postawił mnie na podłodze, ale nie puścił mojej ręki. Sięgnął do klamki...

Zaraz, a jeśli...

– Jamie – szepnęłam i spojrzałam do tyłu, tam, skąd przyszliśmy. – Jamie był w gabinecie. Był tam z nami, Noah.

Obserwowano mnie i torturowano. Posłużono się Phoebe, a potem ją zabito.

Żadne z nas nie było bezpieczne. I oboje byliśmy tutaj.

Co oznaczało, że Jamie też nie jest bezpieczny. Podobnie jak reszta

dzieciaków z ośrodka.

Ale na nim zależało mi najbardziej i chciałam go ratować.

– Musimy wrócić po Jamiego – powiedziałam mocnym, stanowczym głosem.

Skinął głową i zagryzł usta.

– Pójdę po niego, przysięgam, ale najpierw muszę cię wyprowadzić w bezpieczne miejsce.

Noah chciał ratować mnie.

Nie wahałam się ani chwili.

– Nie. Nie możemy go zostawić.

– Maro...

– Nie możemy go zostawić – powtórzyłam, usiłując wyrwać rękę z jego uścisku.

– Nie zostawimy go – zapewnił Noah, ale mnie nie puścił.

Drugą ręką szarpnął klamkę. Nawet nie drgnęła.

Zostaliśmy zamknięci w ośrodku.

– Jesteśmy w pułapce – szepnęłam.

Nienawidziłam swojego głosu. Nienawidziłam swojego strachu.

Noah odciągnął mnie od drzwi i ruszyliśmy korytarzem w lewo. Szedł szybko, sadząc wielkie kroki, i ledwie za nim nadażałam. Nie miałam pojęcia, dokąd zmierzamy; to miejsce było dla mnie jak labirynt. Ratowała nas fotograficzna pamięć Noaha. Poprowadził nas do jadalni, której okna wychodziły na ocean. Pierwsze promienie świtu zaczęły rozjaśniać ciemne niebo nad oceanem. Noah spróbował otworzyć drzwi prowadzące do kuchni.

One też były zamknięte.

Noah zaklął i wrócił do mnie. Popatrzył na mroczne fale za szybą, na krzesła i stoliki.

– Odejdź – warknął, odciągając mnie od okna.

Cofnęłam się. Noah chwycił krzesło i z furją cisnął nim w okno.

Krzesło odbiło się od szklanej tafli.

– Dobra – powiedział Noah z nagłym spokojem. – Musimy ich obudzić.

Jamiego. Stellę. I resztę dzieciaków, o to mu chodziło. Mieliśmy przewagę liczebną nad dorosłymi. Była szansa, że działając wspólnie, zdołamy się wyrwać z tej pułapki.

Pobiegliśmy do pokojów pacjentów. Noah szarpnął pierwsze drzwi. Były zamknięte. Walnął w nie pięścią, żeby obudzić śpiących.

Cisza. Przeszliśmy do następnych drzwi.

Znów zamknięte.

Nagle uświadomiłam sobie, że nie widzę żadnych zamków w drzwiach pacjentów. Ani zasuwek. Ani guzików, które można by wcisnąć.

Nie oznaczało to jednak, że nie ma tam zamków. Były, tylko my, pacjenci, nie mogliśmy się nimi posługiwać.

A teraz zamknięto nas od wewnątrz.

Uwięziono nas, podszeptował mi umysł.

Od czasu wyjścia z gabinetu doktor Kells nie spotkaliśmy żywej duszy. Nikogo z terapeutów. Żadnych dorosłych. Zostawiono nas.

Dlaczego?

Natężałam umysł, dając się prowadzić Noahowi. Ciągnął mnie do swojego pokoju, który dzielił z Jamiem. Drzwi były otwarte.

Pokój był pusty.

Nogi się pode mną ugięły. Nie mogłam stać. Zaczęłam się osuwać na ziemię, ale Noah mnie podtrzymał. Przyciągnął mnie do siebie, blisko, bardzo blisko i objął mnie ciasno, aż przylgnęłam do niego każdym punktem swojego ciała. I staliśmy tak, czoło przy czole, pierś przy piersi, biodra przy biodrach. Na moment zwolnił uścisk, żeby odgarnąć mi z twarzy zmierzwione i wilgotne włosy. Usiłował pozbierać mnie w całość, a ja ciągle się rozpadałam.

Kiedy moje suche łkania wreszcie ucichły, szepnęłam:

– Strasznie się boję.

„I tak mi głupio” – dodałam w myśli. Nienawidziłam swojej słabości.

– Wiem – powiedział cicho Noah z ustami przy moim uchu. – Ale muszę poszukać Jamiego.

Kiwnęłam głową. Tak, musi iść. Chcę tego. Tylko nie mogłam się zdobyć na to, żeby pozwolić mu odejść.

Po chwili to przestało być ważne. Po chwili usłyszeliśmy krzyk.

Krzyk urwał się tak szybko, jak się zaczął.

– To nie był Jamie – powiedział Noah, tuląc moją głowę do piersi.

Racja. Krzyczała kobieta.

Słuchaliśmy, spojeni ze sobą w ciemnościach. Cisza wisiała nad nami niczym gruba zasłona tłumiąca wszystkie dźwięki poza łomotem mojego serca. A może Noaha. Trudno było stwierdzić.

Rozległ się kolejny krzyk – zdawał się dochodzić ze środka budynku. Z ogrodu?

– Zostań tu – polecił Noah mocnym, zdecydowanym głosem.

Musi tam iść. Ale nie sam.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie będziemy się rozdzielać. – Mój głos nabrał piskliwych tonów. – Nie będziemy się rozdzielać.

Powoli wypuścił powietrze. Nie odpowiedział. Wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Nasze kroki odbijały się echem w ciszy korytarzy. Ścisnęłam mocniej palce Noaha, żałując, że nie jesteśmy jedną istotą. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że przeguby już mnie nie boją.

Niebo było nadal ciemne – tyle że z czarnego zmieniło się na ciemnofioletowe. Za oknami, które nie chciały nas wypuścić, mignęła błyskawica i na ścianie wykwitły na moment nasze monstrualne cienie.

Znów krzyk...

Te krzyki osaczały nas. Przyciągały. O to chodziło.

Razem weszliśmy w mój koszmar.

Jude stał w ogrodzie zen. Silna, groźna sylwetka odcinała się na tle jasnego piasku, wśród malowniczych kęp bambusów i starannie wypielegnowanych drzewek bonsai. Jamie i Stella, Adam i Megan klęczeli wokół niego ze schyłonymi głowami, rozmieszczeni pośród skał. Ręce i nogi mieli skrepowane.

Jeszcze jedna dziewczyna, nie widziałam jej twarzy, leżała nieruchomo na boku. Biała koszulka była nasiąknięta krwią.

Na zewnątrz rozszalała się burza. Nad szklanym dachem kłębiły się żywioły, lecz w ogrodzie było cicho. Nikt nie walczył. Nikt nie powiedział słowa. Nawet Jamie. Cała ta scena była surrealistyczna. Obłąkana. Do głębi przerażająca.

Wtem głos Jude'a przerwał ciszę.

– Najpierw próbowaliście drzwi, co? – spytał nas z uśmiechem. – A potem okna?

Milczeliśmy.

Jude klasnął językiem.

– Tak było. Wiem.

Powędrował spojrzeniem po postaciach na piasku. Kiedy uniósł głowę, patrzył już tylko na Noaha.

– Cóż, cieszę się, że wreszcie się spotkaliśmy – powiedział. – Choć chciałem tego uniknąć.

Nic w postawie czy wyrazie twarzy Noaha nie wskazywało, że go słyszy. Był spokojny i nieporuszony, niczym kamień wystający z piasku. Jakby widok związanych, klęczących nastolatków był mu kompletnie obojętny.

Dziwne, ale Jude wydawał się bardziej przejęty. Zamrugnął, nerwowo przełknął ślinę i dopiero teraz popatrzył na mnie.

– Usiłowałem cię znaleźć, Maro, ale dobrze się ukryłaś. Dlatego nie miałem wyboru. Musiałem ich tu ściągnąć.

– Po co? – zapytałam. – Czego chcesz?

– Chcę Claire – odpowiedział z prostotą.

– Ona nie żyje. – Głos mi drżał. – Zabiłam ją i straszliwie tego żałuję, ale to już się stało. Przepraszam.

– On myśli, że możesz przywrócić ją do życia – powiedziała Stella chrapliwym głosem, prawie szeptem.

Siedem par oczu w jednym momencie skupiło się na niej.

– Co? – Myślałam, że się przesłyszałam.

Jude przykucnął przy niej, sprężony jak wąż, gotowy do ataku.

Stella zignorowała go. Nie patrzyła na niego, tylko na mnie.

– Myśli, że przywrócisz ją do życia – powtórzyła.

Jude walnął ją w twarz.

Jamie drgnął gwałtownie.

Megan zaczęła płakać.

Adam przyglądał się Jude'owi z żywym zainteresowaniem, a nie ze strachem.

Noah postąpił krok naprzód. Wzbierała w nim milcząca furia.

Kiedy zobaczyłam, jak Jude uderzył Stellę, coś wzbudziło się we mnie i rosło. Nadal kurczowo trzymałam się Noaha, ale przestałam się trząść.

– Mam przywrócić mu Claire – powiedziałam powoli.

Stella kiwnęła głową.

– Tego właśnie chce.

– Ale skąd ty... – zaczęłam i urwałam, gdyż nagle pojęłam.

Stella była taka jak my. Była odmieńcem. Popatrzyłam na nią, przyjrzałam się jej twarzy i zrozumiałam, skąd wie.

Wiedziała, co myśli Jude. Słyszała jego myśli.

Jeśli Jude naprawdę wierzył, że przywróćę Claire do życia, porozrywaną na strzępy, zmiażdżoną, której spopielone szczątki spoczywają na Rhode Island, sześć stóp pod ziemią, musiał być kompletnie oderwany od rzeczywistości. Cierpiał na urojenia.

Nie pozostało mi nic innego, jak udawać, że jego urojenia są rzeczywistością.

– Jude – powiedziałam błagalnym tonem. Już to z nim ćwiczyłam. – Bardzo chciałabym zwrócić ci Claire. Tylko powiedz mi, jak mam to zrobić.

Grymas ściągnął mu rysy.

– Musisz być zmotywowana – powiedział mechanicznie.

Znów uderzył Stellę. Brutalnie. Jeszcze mocniej.

Czułam, jak mięśnie ręki Noaha napinają się i twardnieją.

Jude obrzucił go spojrzeniem i na jego wargach pojawił się uśmiech.

– Przyłącz się do nas – powiedział do niego. – Mógłbyś nam pomóc.

Coś zmieniło się w Noahu. Odprężył się.

– W czym dokładnie miałbym pomóc? – zapytał głosem, który nie był już obojętny, tylko demonstracyjnie znudzony.

Stella zakasłała. Pochyliła się nad piaskiem i wypluła krew. A potem uniosła głowę i popatrzyła na mnie.

– Musisz się bać – powiedziała. – On myśli, że kiedy będziesz się naprawdę bała, zrobisz to.

A więc Jude chciał, żebym się bała. Wszystko, co robił, miało mnie przerażać. Pokazanie się w komisariacie, abym wiedziała, że żyje. Wykradzenie Danielowi klucza, dzięki czemu mógł wchodzić do naszego domu, kiedy zechciał, i robić mi zdjęcia we śnie, albo podkładać różne rzeczy, jak lalkę. I zaznaczyć, że tam był, że swoją obecnością zbrukał miejsce, które uważałam za bliskie i bezpieczne.

Zabił kota i wyjaśnił mi, dlaczego to zrobił, pisząc na ścianie krwią.

I było mu ciągle mało. Nie chciał, żebym gdziekolwiek, z kimkolwiek czuła się bezpiecznie. Ani z własnym ojcem – dlatego omal nie zepchnął nas z szosy – ani w Horyzontach, gdzie straszył mnie za pośrednictwem Phoebe. Dał jej moje zdjęcie i kazał wydrapać w nim oczy; napisał wiadomość i kazał mi ją podrzucić. Grał na mnie jak na instrumencie, posługując się

Phoebe jak posłusznym narzędziem, aby wytrącić mnie z równowagi, dręczyć i terroryzować nawet wtedy, kiedy nie było go przy mnie i nie mógł tego robić osobiście.

A wszystko z zemsty, myślałam. Chce pomścić Claire. Ukarać mnie za to, co zrobiłam jemu i jego siostrze. Zarazem chce czegoś więcej i dziś muszę mu to dać.

Ale nie będę mogła mu tego dać.

Powiedział, że muszę być bardziej zmotywowana. Czyli przerażona. Muszę być naprawdę przerażona, żeby to zrobić.

A przecież trzęsłam się ze strachu. Straszliwie się bałam. Bo wiedziałam, że Claire nie wróci.

Nie było nawet sensu udawać.

– Jude – powiedziałam. – Przysięgam, że zrobiłabym to, gdybym tylko mogła. Bardzo mi przykro.

Jude przekrzywił głowę i badał wzrokiem moją twarz.

– Nie jest ci przykro – stwierdził. – Ale zaraz będzie.

Ruchem tak szybkim, że niemal niedostrzegalnym, chwycił w garść rude kędziory Stelli i szarpnął ją w górę, jednocześnie wyginając jej kark do tyłu.

Megan krzyknęła. Jamie odwrócił wzrok. Adam krzyknął z zaskoczenia.

Noah znów kipiał, czułam to. A jednak trwał przy mnie i nie ruszał się.

Ja też kipiałam.

– Myślisz, że jeśli będziesz ją dręczył, sprowadzę ci Claire? – zapytałam z furją. – Gdybym mogła, już dawno bym to zrobiła.

Jude pozwolił Stelli opaść na kolana. Stał i patrzył na nią z góry.

– O, Boże – wyszeptała z jękiem.

Uśmiech wypełził na usta Jude'a.

Sposób, w jaki to powiedziała, i sposób, w jaki się uśmiechał, rozpałyły moje nerwy do białości.

– O co chodzi?

Jude uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Powiedz im – nakazał Stelli. Milczała, więc szarpnął ją za włosy. – Powiedz!

– Ona... – Stella przygryzła wargi i popatrzyła na Jude'a, który przykucnął obok niej. – Ona wiedziała – powiedziała szeptem, nie odrywając od niego wzroku. – Jude jest częścią tego. Wiedziała... o, Boże, wiedziała o nas wszystkich, od początku, a Jude... obiecała, że zwrócisz mi Claire, jeśli doprowadzi cię tutaj. Powiedziała mu, jak ma to zrobić, i zamknęła nas tutaj, żeby zobaczyć, co ty zrobisz... och, Boże...

– Jaka ona? – zapytał szeptem Jamie.

– Kells – odpowiedział Noah.

– Jude jest częścią tego? – zapytałam zdławionym głosem. – Czyli czego? Kim on naprawdę jest? Kim my jesteśmy?

– Nie słyszę – jęknęła Stella. – Za dużo głosów!

Zaczęła mamrotać coś szeptem; wychwyciłam z tego tylko jedno słowo. Brzmiało jak „polisa”.

– Jak możemy stąd wyjść? – spytałam szybko.

Musiałam się tego dowiedzieć, zanim Stella odpłynie do reszty.

– Jak uciec?

– Nie możecie – wymamrotała.

– Mnie tu wpuszczono – powiedział spokojnie Jude.

Poczułam się, jakbym dostała cios w samo serce.

Doktor Kells wpuściła tu Jude’a. Wszyscy dorośli wyszli. Nikt nam nie pomoże, nikt nie przyjdzie.

– On zabił Phoebe – powiedziała Stella. Plecy jej drżały. – Ale to ma wyglądać na twoją robotę, Maro. Tak będą zeznawać. Potrzebują cię...

Jude wymierzył jej policzek. Stella zacisnęła swoje pełne wargi i wpatrzyła się w piasek. Nie zamierzała się więcej odzywać.

Nie rozumiałam większości z tego, co powiedziała, ale jedno do mnie dotarło: doktor Kells obiecała Jude’owi, że przywróce mu Claire, jeśli zwabi mnie tu dziś w nocy. I kłamała.

Chciała mnie tutaj z innego powodu, choć nie miałam pojęcia, o co jej może chodzić. Nie mogłam dłużej podtrzymywać złudzeń Jude’a, ale mogłabym spróbować przekonać go, że jest tylko pionkiem, elementem jakiejś obłądnej gry, która się tutaj toczy. Szansa, że Jude opamięta się i nas uwolni, była prawie zerowa. Nie miałam jednak lepszego pomysłu.

– Doktor Kells cię okłamała – powiedziałam.

– Nie – odparł szybko. – To ty mnie okłamałaś.

Chwycił Stellę za nadgarstek i złamał go jednym ruchem. Wszyscy usłyszeliśmy trzask.

Megan zawyła jak zwierzę. Jamie zaklął. Adam uśmiechnął się. Ja zapłonęłam furją.

A Noah? Noah milczał. Nawet się nie poruszył. Nie był spięty. Po długiej chwili powiedział do Jude’a takim tonem, jakby tłumaczył mu, gdzie jest najbliższa stacja benzynowa:

– Dobrze by było, gdybyś ją uwolnił.

Twarz Jude’a stężała. Nie rozumiał, czemu Noah nie zareagował ostro

i czemu był taki obojętny, podobnie zresztą jak ja.

Jude chciał wytrącić nas z równowagi. Chciał, żebyśmy się bali. Na tym zależało mu najbardziej i podejrzewałam, że torturował Stellę, aby mnie zastraszyć.

Jego strategia nie zadziałała. Nie byłam przerażona. Byłam wściekła i Jude to widział. Dlatego zmienił taktykę. Nie posłużył się Stellą, żeby sprowokować mnie – posłużył się nią, żeby sprowokować Noaha. Liczył, że po rycersku ruszy na pomoc damie w opałach.

Chciał, żeby Noah zajął miejsce Stelli.

To też nie zadziałało. Noah ani drgnął.

Jude puścił przegub Stelli. Dziewczyna upadła na przesiąknięty krwią piasek i na moment poczułam ulgę...

Dopóki Jude nie chwycił Jamiego za kark i nie odgiął jego głowy do tyłu.

Sytuacja odwróciła się błyskawicznie. Lęk ścisnął mi żołądek.

– Pozwolę mu odejść – oznajmił Jude z szerokim, reklamowym uśmiechem – jeżeli Mara zajmie jego miejsce.

Powoli wypuściłam oddech; nie zdawałam sobie sprawy, że tak długo go wstrzymywałam. Jude już raz miał mnie w rękach, wtedy, na przystani. A jednak mnie nie zabił. Zakradał się do mojego domu, straszył mnie i dręczył, ale nadal żyłam.

Stella powiedziała, że Jude nie może mnie zabić, gdyż jestem mu potrzebna do odzyskania Claire. Jeżeli zajmę miejsce Jamiego, Jude skupi się na mnie, a reszta zyska szansę ucieczki.

Puściłam rękę Noaha.

Spojrzenie Noaha osadziło mnie w miejscu.

– Ani się waż!

Niespodziewanie przemówił Jamie. Głos miał silny, władczy i ostry jak diament.

– Puść mnie – powiedział do Jude’a.

Nie wierzyłam własnym oczom. Jude posłuchał!

Patrzyłam, jak Jamie, nagle uwolniony z chwytu, osuwa się bezsilnie. Zanim zdążył dotknąć piasku, Jude znów złapał go za kark i szarpnął w górę. A potem brutalnie kopnął w żołądek. Jamie z jękiem zwinął się na ziemi.

– Więcej się nie odzywaj – warknął Jude.

Trzęsłam się ze złości i nienawiści. Jude przyglądał mi się z klinicznym zainteresowaniem.

– Widzisz, Maro, tak to właśnie działa – powiedział głośniejszym niż uprzednio, gdyż pochlipywanie Megan zmieniło się w ciągłe zawodzenie.

– Im dłużej każesz mi czekać, Maro, tym bardziej będą cierpieć.

– Oni nie mają z tym nic wspólnego!

Jude kiwnął głową.

– Właśnie – potwierdził. – Czemu w takim razie każesz im cierpieć za swoje winy? A przecież wystarczy, jeśli zajmiesz ich miejsce. – Poczęstował mnie ohydny, gadzim uśmiechem i spojrzał na mnie jak na szczura. – Jeżeli tego nie zrobisz, zabijesz ich powoli, a ja każę ci na to patrzeć.

Noah otoczył mnie ramieniem w pasie i delikatnie przyciągnął do siebie.

– Ty nie zabijasz, Maro – powiedział i przeniósł spojrzenie na Jude’a. – On zabija.

Mrok wsączył się w głos Noaha i cień przemknął mu po twarzy. Nigdy się nie poddawał, ale ja czułam, że jestem bliska kapitulacji.

To było przerażające.

Jude musnął palcem jasne, zlepione potem włosy Megan. Biały piasek wokół niej pociemniał od moczu.

– Kogo wybierasz na pierwszego? – zapytał mnie.

Wpadłam w stupor. Nie mogłam wykrztusić słowa. Jude powoli ukląkł przy Megan.

Noah delikatnym, nieznacznym gestem przesunął mnie za siebie.

Jude ujął twarz Megan swoją dużą dłonią, a wtedy Noah skoczył w przód tak szybko i cicho, że ten ruch prawie mi umknął.

W następnej sekundzie jego pięść z ohydny trzaskiem wylądowała na twarzy Jude'a.

Megan i Adam głośno i nierówno wciągnęli powietrze, ale nie patrzyłam na nich. Scena, która rozgrywała się przed moimi oczami, pochłaniała mnie bez reszty. Jude wykorzystywał swoją masę, atakując jak rozszalały taran, ale Noah był szybki, zwinny, precyzyjny i piekielnie skuteczny. Walił w Jude'a jak w bęben i nie mogłam już na to patrzeć.

Wtem usłyszałam swoje imię wypowiedziane głosem Megan. Zanim ona i Adam jednocześnie padli twarzami w piasek.

W przebłysku pamięci zobaczyłam, jak Jude wbija sobie nóż w bok i pada na drewniany pomost.

Obrazy zalały mnie falą. Mężczyzna z przystani, który zmarł, kiedy chciał mnie ratować. John, mój ochroniarz, którego atak serca dopadł w samochodzie. Martwe ryby pod pomostem i martwe ptaki, spadające z nieba.

To nie była moja wina. Ale nie był to też przypadek.

– Noah – szepnęłam, wędrując spojrzeniem od Megan i Adama do Jude'a i z powrotem. I wreszcie, wreszcie zrozumiałam.

Jude potrafił uzdrawiać siebie jak Noah – tylko żeby to zrobić, musiał zabić coś lub kogoś – jak ja.

Nie musiał zabijać własnymi rękami. Nie musiał nawet myśleć o zabijaniu. Po prostu wystarczyło, żeby się zranił, a wówczas wszystko i wszyscy wokół niego ginęli.

Jak John. Jak ten gliniarz po służbie. Jak ryby.

Byłam śmiertelnie niebezpieczna, ale Jude był gorszy. Zwierzęta musiały to wyczuwać. Kiedy wróciłam do domu z kliniki psychiatrycznej, pupilki moich sąsiadów zniknęły. Tego samego dnia Jude zaczął nawiedzać nasz dom.

Noah obalił przeciwnika na piasek i unieruchomił go. Przycisnął mu szyję przedramieniem i zbliżył twarz do jego twarzy.

– Zabiję cię – powiedział spokojnie. – Ale zanim umrzesz, będziesz błagał o litość.

Jude wydał jakiś odgłos, ale zagłuszył go podwójny, bolesny jęk Megan i Adama.

„Polisa ubezpieczeniowa” – tak określiła to Stella.

Pierś Jude'a unosiła się i opadała; ramiona mu się trzęsły. Śmiał się.

– On ich zabije. – Głos miałam słaby, chrapliwy, żałosny. – Jeśli go zranisz, oni umrą.

– Jeśli mnie nie zabijesz – powiedział Jude niskim, chrapliwym głosem – pokroję Marę na kawałki tak małe, że nie zdołasz...

Noah cofnął rękę z gardła Jude'a i brutalną dźwignią wyłamał mu kolano.

Przeraźliwy krzyk przeszył powietrze. Tym razem krzyczał Jude. Zwijął się z bólu na piasku, ale po niecałej minucie znów zaczął się śmiać.

Jego rechot i łomot mojego serca były jedynymi dźwiękami, jakie słyszałam.

– Chcesz zemsty? – zapytał Jude, a jego słowa odbiły się echem w zamkniętej przestrzeni ogrodu. Ruchem głowy pokazał na Megan i Adama. – Proszę, nie krępuj się.

Zerknęłam na nich nerwowo. Byli już nieprzytomni, ale jeszcze oddychali. Jasne włosy Megan miały niemal ten sam kolor co piasek. Tymczasem Jamie i Stella byli przytomni. Nic nie mówili, ale czujnie obserwowali wszystko. Świadomie, jak ja.

Tak jak ja.

Nie umierałam. Oni też nie. Co oznaczało, że jeśli Noah zdoła przytrzymać dłużej Jude'a, może uda mi się uwolnić ich z więzów. Rozpaczliwie rozejrzałam się za jakimś narzędziem, za czymś ostrym...

– Ona ma rację – powiedział Jude i skinął głową w kierunku Stelli. – Nie chcę zabić Mary. – Głos miał głuchy, chrapliwy, ale podszyty zadowoleniem. – Torturowanie jej jest o wiele zabawniejsze.

Noah paroma kopnięciami odwrócił Jude'a na plecy i usiadł na nim okrakiem. Znów zaczął miażdżyć mu gardło przedramieniem.

Tego właśnie chciał Jude. Adam wydał dziwny, bulgoczący dźwięk; tatuaże na jego rękach uwydatniły się na tle pobladłej skóry. Megan leżała cicho.

– Zabijasz ich – powiedziała głośno Stella.

Noah sprawiał wrażenie nieludzko, lodowato spokojnego, ale ja wiedziałam, że przestaje panować nad sobą. Był w stanie myśleć wyłącznie o uśmierceniu Jude'a i moim bezpieczeństwie, nie zważając na innych ani na cenę, którą przyjdzie za to zapłacić. Gdyby Jude chciał zamordować kogoś z nich, Noah trzymałby się z daleka. Ale nie mógł nie zareagować, kiedy Jude skupił się na mnie.

Ja byłam słabością Noaha.

Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby się poddał.

Wypowiedziałam jego imię.

Na twarzy Noaha malowała się obłądna pustka. Czekał, aż resztki powietrza ujdą z płuc Jude'a, lecz dźwięk mojego głosu wybił go z morderczego transu. Wyprostował się nieznacznie, zmniejszając nacisk na krtań przeciwnika i pozwalając mu zaczerpnąć powietrza.

Rozejrzałam się bezradnie, usiłując wypatrzyć jakieś narzędzie. Ogród znajdował się w środku budynku i zamykające go ściany były gładkie. Nie było tu żadnych mebli, tylko postument, na którym ustawiono zieloną, porcelanową misę.

Ten widok otworzył kłapkę w mojej pamięci. Przypomniała mi się Phoebe, jak stłukła wazon.

Już wiedziałam, co zrobić.

– Trzymaj go! – zawołałam do Noaha i pobiegłam w odległy róg dziedzińca, gdzie stał postument.

Pchnęłam go i misa roztrzaskała się na kamiennej posadzce. Wybrałam duży, ostry odłamek. Czy dam radę przeciąć nim więzy?

W tym momencie rozległ się krzyk Stelli i cała scena znów rozprysła się na kawałki; moje myśli też się rozprysły.

Obejrzałam się. Jude stał, a na boku Noaha rozlewała się plama krwi.

Powolny, krwiożerczy uśmiech pojawił się na wargach Noaha. Dwaj przeciwnicy trwali w milczącym impasie, a ci z nas, którzy jeszcze byli przytomni, wpatrywali się w nich, czekając, co będzie dalej. Utkwiłam w potrzasku mojego prywatnego piekła. Choć wiedziałam, że Noah się uzdrowi, i widziałam ten dziki uśmiech, który świadczył o tym, że ból tylko go podnieca, to jednak krwawiąca rana na jego boku paliła mnie jak żrący kwas. Odruchowo zacisnęłam rękę i palce przeszył mi ostry ból...

Odłamek. Nadal go miałam.

Zmusiłam się, żeby oderwać wzrok od chłopaka, którego kochałam, i pospieszyłam na pomoc przyjaciołom. Jamie był najbliżej.

– Ale się popieprzyło – mruknął, kiedy zaczęłam piłować plastikowy zacisk, którym spętano mu rękę.

Ostre porcelanowe krawędzie raniły mi skórę, lecz nie ustawałam w wysiłkach, dopóki Stella nie krzyknęła imienia Noaha. Przerwałam piłowanie i uniosłam głowę.

Jude przemieścił się i był teraz bliżej mnie niż Noah; przesuwał się powoli w moją stronę. Z jeszcze większą zajadłością zaatakowałam więzy Jamiego.

– Uciekaj – powiedział Noah prawie szeptem.

W jego głosie brzmiała desperacja.

Nie mogłam go zostawić. Pewnie tak by było mądrzej, ale nie mogłabym tego zrobić.

Podobnie jak nie mogłabym zostawić Jamiego i Stelli. Zignorowałam nakaz Noaha i zdwoiłam wysiłki. Jamie miał już wolne ręce i w pośpiechu piłowałam więzy na jego nogach.

Puścili! Nagle wszystko zaczęło się dziać jednocześnie. Jamie zerwał się zdumiewająco szybko, Jude rzucił się na mnie, a Noah sprężył się do skoku.

Jude obalił mnie na ziemię. Odłamek wypadł mi z ręki.

– Zabierz ich stąd! – wrzasnęłam do Noaha, kiedy łapska Jude’a oplótły moje ciało.

Czubek stalowego ostrza cisnął mi skórę. Wystarczył drobny ruch, żeby nóż wbił mi się w szyję i żebym wykrwawiła się jak szlachtowane zwierzę, na oczach Noaha.

Jego twarz przybrała wyraz, który każdy wzięłby za furję. Ale ja wiedziałam lepiej.

To była panika.

Pałaca łza spłynęła mi po policzku, kiedy Jude uniósł mnie i przycisnął mocno do swojej okropnej, szerokiej piersi. Patrzyłam na Noaha, na jego zmartwiałe, perfekcyjne rysy. Stał nieruchomo i przyglądał się nam w ogromnym napięciu.

Tymczasem Jamie uwolnił Stellę i oboje wstali. Stella drugą ręką podtrzymywała swój złamany nadgarstek. Megan i Adam byli nieprzytomni, ale żywi. Jamie chwycił Megan pod pachy i zaczął ją ciągnąć w stronę korytarza. Stella szła obok niego. Byliśmy nadal zamknięci w budynku, ale wiedziałam, że teraz, kiedy Jude ma mnie, zostawi ich w spokoju.

– Idź – nakazałam Noahowi, choć wiedziałam, że nie posłucha.

Szczękę miał jak z kamienia, a spojrzenie ze stali. Będzie mi go brakowało.

Uświadomiłam sobie, że się z nim żegnam.

Noah musiał to wyczuć, gdyż powoli pokręcił głową. Na mój użytek jego głos zabrzmiał dźwięcznie i spokojnie.

– Wszystko będzie dobrze.

„Naprawię to” – chciał powiedzieć.

Jude zaciskał chwyt; ostrze kłuło mi szyję. Wypuściłam powietrze z płuc i zanim zdążyłam zaczerpnąć nowego, przydusił mnie mocniej. Ciepła strużka krwi pociekła mi pod koszulką.

– Dam ci wszystko, czego zażadasz – powiedział Noah do Jude’a. Głos

miął bardzo spokojny. – Wszystko.

Jude odpowiedział z ustami przy moim uchu. Czułam jego pałący, trujący oddech.

– Nie masz żadnej rzeczy, której bym pragnął. Już nie.

Popatrzyłam w oczy Noaha i zobaczyłam, że coś w nich umarło.

Nie mogłam tego znieść. Przestałam się już bać o siebie; ogarnął mnie tylko rozpaczliwy, bezbrzeżny smutek.

– On mnie nie zabije – skłamałam Noahowi. – Nic mi się nie stanie.

Jude, nie wypuszczając mnie ze swego niedźwiedziego uścisku, wycofał się do ściany i przesuwając się wzdłuż niej w stronę korytarza, gdzie znajdowały się pokoje pacjentów. Znów znalazłam się z nim w pułapce.

Pułapka. To słowo zmobilizowało moją pamięć. Napłynęły wspomnienia...

Inny ciemny korytarz. Rozświetlany błyskami flesza aparatu Rachel.

Idziemy z Jude'em za Rachel i Claire, trzymając się środka wielkiego holu. Po bokach ciągną się pokoje pacjentów, a ja nie chcę się do nich zbliżyć. Kiedy Rachel i Claire znikają za rogiem, przyspieszam kroku, bojąc się, że zgubię je w tym labiryncie korytarzy.

Już wcześniej byłam w pułapce.

I uciekłam z niej.

Wyszłam bez szwanku z katastrofy; siniak na policzku zarobiłam wcześniej. Pamiętam, jak w szpitalnym lustrze zobaczyłam fioletową plamę na swojej kości policzkowej. Tam, gdzie uderzył mnie Jude.

Rozwaliłam w gruzy stary psychiatryk, oszczędzając siebie. Nic mi się nie stało.

Dobrze, ale Jude też ocalał, podszeptał mi umysł.

Ścisnął mnie tak, że prawie traciłam oddech i wiedziałam, że jest wpatrzony w Noaha. Ostrze wniknęło głębiej; czułam ból i rozlewające się ciepło. Jude z chorą uciechą dawkował sobie przyjemność z torturowania mnie na oczach mojego chłopaka.

Marzyłam, żeby odpłacić mu tym samym.

Może mi się uda. Owszem, Jude ocalał – ale stracił rękę.

Czyli nie mogę go zabić, ale mogę zranić. Tyle już razy próbowałam uśmiercić Jude'a i nigdy mi się nie udało. Ale i ja nie dałam się zabić. Skoro potrafiłam sprawić, że zawalił się szpital, czemu mam nie spróbować z tym budynkiem? Gdyby się zawalił, byłabym wolna.

Noah też. Może nawet ucierpiałby, ale przecież był odmieńcem, jak ja, więc pewnie by przeżył. Poza tym potrafi się sam uzdrowić i wiele razy to

robił. Nie musiałam się o niego martwić.

A Jamie? Stella? Oni również byli inni. Jak Jude. Na pewno by nie zginęli; mogli co najwyżej zostać ranni.

To też nie problem. Noah ich uzdrowi, tak jak uzdrowił mojego ojca, kiedy tata był bliski śmierci.

Gorący oddech Jude'a palił mi skórę; odwróciłam głowę, usiłując go uniknąć. Zanim wciągnął mnie w mrok korytarza, zobaczyłam zakrwawioną Megan na skraju ogrodu. I Adama leżącego na piasku.

Ja, Noah, Jamie i Stella przeżyjemy. Ale oprócz nas są tu jeszcze inni.

Adam zapewne jeszcze żyje. Megan żyła, kiedy Jamie odciągał ją od Jude'a. Może tam, za tymi zamkniętymi drzwiami, jest więcej pacjentów.

Jeśli rozwalę to miejsce w gruzy, jak psychiatryk, każdy, kto nie jest odmieńcem, zginie tak jak Rachel i Claire. Zginą Adam, Megan... inne normalne dzieciaki.

Ale przecież i tak by zginęli, pomyślałam. Jude załatwiłby wszystkich po kolei, aż... aż nikt nie zostałby żywy.

Włoski jeżyły mi się na skórze i krew tętniła mi w uszach, kiedy zorientowałam się, że Jude zaraz skręci za róg. A wtedy przestanę widzieć Noaha.

Czas mnie gonił. Muszę podjąć decyzję, nawet jeśli żadne wyjście nie będzie dobre. Może bohater wymyśliłby coś lepszego, ale nie byłam bohaterem.

„Zawsze masz jakiś wybór” – powiedział pewnego razu Noah.

Już wybrałam.

Nateżyłam całą swoją moc i rzuciło nami o ścianę.

Jude nie spodziewał się tego. Jego głowa rąbnęła o mur z ohydny, głuchym łomotem. Wyobraziłam sobie szczeliny rozchodzące się pajęczą siecią z tego miejsca, w górę do sufitu, na boki i w dół, do fundamentów. Ramiona oplatające moją pierś puściły i Jude zwałił się na ziemię.

Byłam wolna, ale nie uciekłam.

Odwróciłam się błyskawicznie, żeby spojrzeć mu w twarz. Słyszałam tylko swój oddech i uderzenia serca – głośne, przyspieszone, ale nie z powodu strachu. Z powodu lodowatej, niepowstrzymanej furii.

Czułam silny, niemiły, narastający nacisk w głowie. Podałam się mu i nagle coś pękło, coś się wyzwoliło. Ustawiłam do pionu bezwładne ciało Jude'a, rozplaszczając je na ścianie, jakbym chciała go tam rozsmarować. Ciskałam nim i napierałam z taką siłą, że kawały tynku spadały na podłogę. Nie wiedziałam, że mam aż taką moc. Nie mogłam zabić

Jude'a samą siłą umysłu, ale mogłam tego dokonać własnymi rękami. Zasłużył na śmierć.

Wiedziałam, że Noah stoi za mną, ale nie ruszył mi na pomoc. Zrozumiał, że jej nie potrzebuję.

Jude był nieprzytomny i bezwładny jak szmaciana lalka. Wydało mi się, że czas zaczął zwalniać; czarne i czerwone plamy latały mi przed oczami, zawężając pole widzenia. Jakaś bezbarwna woń wypełniła powietrze. Miażdżyłam krtań Jude'a usługnymi rękami, które wydawały się należeć do kogoś innego. Widok wywołał przyływ dzikiej radości. Poczułam, że się uśmiecham.

„Maro”.

Słyszałam, jak ukochany, znajomy głos wymawia moje imię, ale byłam bardzo daleko i nie słuchałam go. Wiedziałam, że nie mogę przestać, dopóki ta rzecz w moich rękach nie będzie martwa. Nie mogłam pozwolić, żeby uciekła mi albo uleczyła się. Chciałam widzieć, jak umiera, zmienić ją w bezkształtną masę mięsa. Ta myśl sprawiała niemal zmysłową przyjemność. Drzwi były nadal zamknięte i nie mogłam wyjść – ale mogłam zburzyć to więzienie, wczepić się w nie myślami i pazurami, jeśli zajdzie taka potrzeba. Muszę wyprowadzić stąd chłopaka, którego kocham. Muszę odzyskać wolność.

To była moja ostatnia myśl, zanim stała się ciemność.

WCZEŚNIEJ
Port w Kalkucie, Indie

Tłum rósł i gęstniał, gromadząc się wokół dzikich zwierząt w porcie. Na jednym ze statków coś ryknęło potężnie, aż małe małpki podniosły przerażony wrzask. Jeden z mężczyzn walnął pięścią w sufit klatki i duży, kolorowy ptak zaskrzeczał w środku. Mężczyzna uśmiechnął się i zbliżył twarz do prętów, patrząc, jak ptak bije o nie skrzydłami, aż na podłogę lecą pióra, barwne i błyszczące jak klejnoty.

Inny mężczyzna wetknął kij do drugiej klatki i zaczął drażnić dużą, brązową małpę. Zwierzę ściągnęło wargi, ukazując zęby.

Mały chłopiec o czarnych oczach, którego wcześniej prosiłam o pomoc, dołączył do innych, którzy biegali wokół tygrysiej klatki, łomocząc kijami po prętach. Największy z wyrostków, prowodyr w buroczerwonej tunice, splunął na tygrysa. Zwierzę ryknęło.

Gawiedź wybuchła śmiechem.

Szybki, płytki oddech unosił moją drobną pierś. Serce waliło mi jak dzikie. W rękę ścisiskałam lalkę.

Duży chłopak schylił się po kamień – jeden, drugi, trzeci. Reszta bandy poszła za jego przykładem.

Po kolei brali zamach i rzucali w tygrysa. Kamienie dzwoniły o pręty klatki. Trafiały w przegowane futro.

Dławiłam się nienawiścią, tonęłam w niej. Mroczne myśli wirowały mi w głowie, a czas zwolnił i pełzył z dręczącą powolnością, kiedy tygrys warczał i kulił się w klatce. Chłopcy zaśmiewali się. Tłum ich oklaskiwał.

Zwierzę nie zasłużyło sobie na takie traktowanie. Strasznie chciałam, żeby tygrys uwolnił się z klatki, i nagle zobaczyłam to w myślach: błyszczące pręty upadają na ziemię. Kamienie nie uderzają już w futro, zęby i pazury zaczynają rozdzierać ludzkie ciała. Zamknęłam oczy, żeby cieszyć się tą wizją, a nie obrazem widzianym naprawdę.

Otworzyłam je gwałtownie, kiedy usłyszałam krzyki.

Tygrys cofnął się, napierając zadem na tylną ścianę klatki – i ściana wypadła. Patrzyłam, jak wielka łapa zmiata z drogi najbliższego chłopaka, wysokiego prowodyra. Pazury wydarły mu ziejącą, krwawą ranę w boku.

Inny chłopiec, ten z czarnymi oczami, zbladł jak chusta i znieruchomiał. Nie patrzył na tygrysa. Patrzył na mnie i na jego wargach formowało się słowo, które pewnego dnia miało się stać moim imieniem.

Mara.

Tygrys obalił swoją ofiarę na ziemię i wysoki chłopak zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Drapieżnik okraczył go, chwycił zębami za gardło i zwarł szczęki. Wrzask ustał.

Teraz krzyczeli inni, ale to już nie było ważne. Ważne, że tygrys był wolny.

Obudziłam się pewnego ranka w jakimś szpitalu i zobaczyłam, że obok łóżka siedzi doktor Kells.

Wszystko było jak zwykle: stojak na kroplówkę przy moim łóżku. Biała, wykrochmalona pościel. Biały, podwieszany sufit ze świetlówkami. Słyszałam ich ciche buczenie. Patrzyłam na ten sterylny pokój z dystansu, jak przez szybę.

Wtem, w jednym momencie, wszystko wróciło.

Jude, bezwładny, któremu zabierałam życie moimi własnymi rękami.

Stella i Jamie, poranieni i poobijani, wyciągający Megan z ogrodu tortur.

I Noah... patrzyłam, jak coś w nim umiera, okłamując go, że wszystko będzie dobrze.

Ale przecież nie kłamałam. Wyrwałam się z łap Jude'a i Noah był blisko, stał za mną do końca. Zanim zemdlałam, zawołał moje imię. Słyszałam to. Zapamiętałam to.

Gdzie on teraz jest? Gdzie są oni? I gdzie ja jestem?

Próbowałam usiąść, zejść z łóżka, ale coś mnie trzymało. Zerknęłam na swoje ręce leżące wzdłuż ciała na niebieskim kocu, którym byłam okryta, spodziewając się więzów.

Nie było bandaży ani pasów. Po prostu nie mogłam poruszyć rękoma.

– Dzień dobry, Maro – powitała mnie doktor Kells. – Czy wiesz, gdzie jesteś?

W przyspieszonym tempie zaczął kiełkować we mnie lęk, że zobaczę napis na ścianie informujący, że jestem na jakimś kolejnym oddziale psychiatrycznym. I zaraz się okaże, że nigdy go nie opuszczałam. Że ostatnie dwa tygodnie, sześć tygodni, sześć miesięcy, w ogóle się nie wydarzyły. Po wszystkim, co przeżyłam ostatnio, to byłoby dla mnie pewnym pocieszeniem.

Nie mogłam poruszyć rękami, ale mogłam kręcić głową w obie strony, więc próbowałam się rozejrzeć. W sali nie było okien. Ani żadnych napisów. Tylko moje łóżko, kroplówka i duże lustro na ścianie, za plecami doktor Kells.

Nie wiedziałam, gdzie jestem, za to bardzo dobrze wiedziałam, co zrobiła

ta kobieta. Patrzyłam na elegancką panią doktor, siedzącą spokojnie na plastikowym krzeselku obok mojego łóżka, i przebiegałam w myślach kartotekę jej kłamstw. Widziałam kadry z Jude'em w moim pokoju, patrzącym na mnie we śnie, podczas gdy doktor Kells rejestrowała te sceny na filmie. Wiedziała, że Jude żyje. Wiedziała, co mi robi. Wpuściła go do Horyzontów i kazała nam wszystkim przejść przez piekło.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił, ale teraz patrzyłam na nią nowymi oczami.

– Czy wiesz, kim jestem? – zapytała doktor Kells.

Jesteś osobą, która nadużyła mojego zaufania, zdradziła mnie i oszukała. Osobą, która szpikowała mnie kłamstwami i prochami, udając, że chce mi pomóc, a w rzeczywistości pragnęła, żeby mój stan się pogorszył. Dobrze wiem, kim jesteś, próbowałam jej powiedzieć. Z trudem otworzyłam usta, ale wyszło z nich tylko słowo „tak”.

Czułam się jak okaz oglądany pod mikroskopem, włożony pomiędzy dwa szkiełka. Mogłam widzieć i słyszeć wszystko, ale byłam wypreparowana z siebie. Rozłączona. Nie byłam sparalizowana – czułam swoje nogi i dotyk sztywnych prześcieradeł na skórze. Mogłam oblizywać usta i robiłam to. Mogłam mówić, choć wypowiadałam inne słowa, niż zamierzałam. Kiedy próbowałam zmusić moje usta do krzyku czy nogi do wierzgania, było to jak nieosiągalne marzenie.

– Jest parę spraw, o których chciałabym z tobą porozmawiać, Maro, ale najpierw muszę cię poinformować, że otrzymałaś kroplówkę z pewnej odmiany amytału sodu. Słyszałaś o takim środku?

– Nie – odpowiedział mój zatruty język.

– Potocznie nazywa się to serum prawdy. Nazwa nie jest całkiem adekwatna. W eksperymentalnej psychiatrii używa się go czasem, aby ulżyć pacjentom w stanach katatonicznych czy maniakałnych.

Wychyliła się ku mnie i zapytała łagodniejszym tonem:

– Cierpisz, Maro, prawda?

Kipiałam w tym łóżku, w tym ciele i chciałam plunąć jej w twarz. Nie mogłam. Zamiast tego powiedziałam:

– Tak.

Kiwnęła głową.

– Sądzymy, że wersja leku, którą stworzyliśmy, pomoże ci w twoim... szczególnym stanie. Jesteśmy po twojej stronie, Maro. Chcemy ci pomóc – powiedziała obojętnym głosem. – Ale czy ty pomożesz nam?

Zerknęła przez ramię na wielkie ściennie lustro.

„Nie!” – darł się mój umysł.

– Tak.

– Cieszę się, Maro.

Uśmiechnęła się do mnie, a potem schyliła się po coś. Kiedy się wyprostowała, miała w ręku pilota.

– Chcę ci teraz coś pokazać – powiedziała i zawołała do pustej sali:

– Ekran!

Cienki, biały ekran opuścił się mechanicznie z sufitu, a część ściany przy lustrze odsunęła się, ukazując białą tablicę z jakąś listą wypisaną czarnym flamastrem.

– Monitory! – rozkazała doktor Kells, zanim zdążyłam przeczytać choć jedno zdanie.

Coś zaczęło pikać za moją głową, w tym samym rytmie co moje serce.

– Światło – rzuciła pani doktor i pokój pogrążył się w mroku. Uniosła rękę z pilotem i wcisnęła „play”.

Patrzyłam na skaczący, amatorski obraz, filmowany z ręki przez Claire. Robiła panoramę wnętrza psychiatryka, wyłapując po drodze Rachel. Był to ten sam filmik, który Jude zostawił mi pod poduszką.

Obraz ściemniał. Usłyszałam swój śmiech.

W tym momencie nagranie od Jude’a się urywało i obraz zniknął. Tymczasem tu, na tym ekranie, trwało dalej. Widać było, że ktoś podniósł upuszczoną kamerę i kręcił jeszcze przez chwilę. Zanim nastąpiło końcowe cięcie, w polu widzenia kamery pojawił się rozbłysk, który wyłuskał z mroku twarz doktor Kells.

Była w psychiatryku. Była tam.

Mój umysł miał odruch wymiotny, ale moje ciało leżało spokojnie, kiedy zapaliły się światła.

Doktor Kells pokazała na białą tablicę.

– Maro, czy dasz radę przeczytać to, co jest tam napisane? – Wpatrywałam się w zdania na tablicy tak intensywnie, że krew dudniła mi w uszach. Maszyna za moją głową – kardiomonitor – przyspieszyła swoje pikanie.

Podwójnie ślepa próba

S. Benicia, ujawniony (G1821, nosiciel, pochodzenie nieznane). Działanie niepożądane: anoreksja, bulimia, samoookaleczenia. Dobrze reaguje na leki. Przeciwwskazania spodziewane, lecz nieznane.

T. Burrows, niestwierdzone nosicielstwo, zgon.

M. Cannon, niestwierdzone nosicielstwo, podano środki uspokajające.

M. Dyer, ujawniający się (G1821, nosiciel, pierwotny). Działanie niepożądane: współwystępujący PTSD, halucynacje, samookaleczenia, ew. schizofrenia/podtyp paranoidalny. Reaguje na midazolam. Przeciwwskazania: spodziewane n.e.s.s.?

J. Roth, ujawniający się (G1821, nosiciel, prawdopodobnie pierwotny), stymulowany. Działanie niepożądane: ew. osobowość typu borderline, ew. zaburzenia nastroju. Przeciwwskazania spodziewane, lecz nieznanne.

A. Kendall: niestwierdzone nosicielstwo, zgon.

J.L.: indukowany, protokół Lenaurda, wczesna stymulacja. Działanie niepożądane: osobowość mnoga (oporna na leczenie), syndrom Aspergera (oporny), migreny, napady ostrej agresji (jak wyżej). Przeciwwskazania: nieznanne.

C.L.: indukowany, protokół Lenaurda, wczesna stymulacja, zgon.

P. Reynard: niestwierdzone nosicielstwo, zgon.

N. Shaw: ujawniony (G1821 pierwotny nosiciel) Działanie niepożądane: samookaleczenia, ew. syndrom opozycyjno-buntowniczy (oporny), zaburzenia zachowania? (oporny); przetestowany: barbiturany typ a (oporny), typ b (oporny); oporny na wszystkie typy; (test m.a.d.), zgon.

Uogólnione działanie niepożądane: mdłości, stany podgorączkowe. Bezsenność, koszmary senne.

– Uczestniczysz w eksperymencie typu podwójnej ślepej próby, Maro – poinformowała mnie doktor Kells. – Co oznacza, że większość twoich lekarzy i terapeutów nie jest tego świadoma i uważa cię za zwykłą pacjentkę. Wybrano cię do tego programu, gdyż spełniasz określone warunki. A mianowicie posiadasz gen, który ci szkodzi.

Nosiciel.

– Ów gen sprawia, że zachowujesz się w sposób, który stanowi zagrożenie dla ciebie i dla innych.

Efekty uboczne.

– Rozumiesz, Maro?

– Tak – chlapnął mój zdradziecki jęzor.

Rozumiałam.

– Niektórzy z twoich przyjaciół są także nosicielami tego genu i tak jak w twoim przypadku zaburza im to normalne funkcjonowanie.

Stella. Jamie. Noah. Te nazwiska były na liście, razem z moim.

A także J.L. Jude Lowe.

Chciałam wiedzieć, kim albo czym jesteśmy – i teraz wiedziałam. Nie byliśmy studentami. Nie byliśmy też pacjentami.

Byliśmy podmiotami. Obiektami, idealnymi ofiarami. Gdybyśmy ogłosili światu, że jest wilkiem w owczej skórze, doktor Kells wyprodukowałaby setki stron naukowej dokumentacji, przedstawiającej nas jako nieuleczalne przypadki. Po czymś takim każde nasze prawdziwe stwierdzenie świat nazwałby fikcją.

Psychiatryk, Jude, Miami – ludzie, których uśmierciłam, mój brat, porwany przez Jude'a. Wszystko było po to, aby mogła nadejść ta chwila.

Wszystko zostało wykalkulowane. Zaplanowane.

Nie wysłano mnie do Horyzontów, tylko ściągnięto mnie tam podstępem. Moi rodzice nie mieli pojęcia, co to jest za miejsce; po prostu chcieli mi pomóc i doktor Kells przekonała ich, że jej terapia będzie najlepsza. Kiedy stwierdzili, że robię postępy i mam się coraz lepiej, uznali, że nie muszą kontynuować programu, bo dobrze sobie radzę. I zamierzali mnie wycofać. Chcieli, żebym wróciła do domu. Chcieli, żebyśmy żyli sobie dalej jak spokojna, szczęśliwa rodzinka.

Po dniu, w którym podjęli tę decyzję, nastąpiła noc i Jude kazał mi pochłastać sobie żyły. Tak, aby uznano to za próbę samobójczą.

Po to, żebym do nich wróciła.

Usłyszałam szept Stelli:

„Oni cię potrzebują”.

Oni? Czyli kto? Doktor Kells i Jude?

Głos doktor Kells wdarł się w moje galopujące myśli.

– Twoje zachowania zadały ból osobom, które kochałaś, Maro. Czy chcesz krzywdzić tych, których kochasz?

– Nie – wykrztusiłam z wysiłkiem i to była prawda.

– Wiedziałaś – przytaknęła. – Bardzo mi przykro, że nie zdążyliśmy ci pomóc. Liczyliśmy, że zdołamy cię zneutralizować lekami, zanim zdążysz zawalić budynek. Wierz mi, próbowaliśmy za wszelką cenę ocalić twoich przyjaciół.

Moje serce przestało bić. W sali na parę sekund zapanowała cisza, po czym aparat znów zaczął pikać.

– Nie spodziewaliśmy się, że sprawy tak się potoczą – ciągnęła doktor Kells. – Możemy mówić o szczęściu, bo udało nam się zabrać stamtąd Jamiego Rotha, Stellę Benicję i Megan Cannon, zanim doznali poważniejszych obrażeń. Niestety, nie zdążyliśmy wyciągnąć Noaha Shawa.

Musiałam się przesyłścić.

Tak, na pewno. Spokojnie, powoli skierowałam wzrok na tablicę i zmusiłam umysł, żeby poskładał litery w słowa, a potem zrozumiał ich sens. Ale zdołałam przeczytać tylko jedno:

„Zgon”.

Wpisane pod nazwiskiem Noaha.

Pamięć podsunęła mi słowa kobiety, o której Noah mówił, że kłamie.

„Zniszczysz go swoją miłością”.

Cały ból, jaki kiedykolwiek czułam, był tylko wstępem, przygrywką do tego momentu.

– Dach zawalił się wokół ciebie, ale nie na ciebie, Maro. Noah stał zbyt blisko i zginął pod gruzami.

„Umrze przed czasem z tobą u boku, chyba że pozwolisz mu odejść”.

– Jest mi bardzo, bardzo przykro – powiedziała doktor Kells.

Nie, to nie mogła być prawda. Niemożliwe. Noah uzdrawiał się za każdym razem, kiedy coś mu się stało. Zapewniał mnie, że nic mu nie mogę zrobić, że nie musi się mnie bać. Nie kłamał. Nigdy mnie nie okłamał.

Ale doktor Kells tak. Skłamała mi na temat Jude’a. Skłamała Jude’owi na mój temat. Okłamała moich rodziców, jeśli chodzi o Horyzonty. Okłamywała wszystkich.

I teraz znów kłamie.

A jednak uroniłam łzę. Tylko jedną. Spłynęła po moim obcym policzku.

– Chcemy mieć pewność, że coś takiego więcej się nie zdarzy. Mamy nadzieję, że uda się temu zapobiec, ale musisz współpracować, Maro.

Doktor Kells czekała na odpowiedź – nie wiadomo po co, bo byłam w stanie tylko przytakiwać, jak automat. Wiedziała, że normalnie odmówiłabym współpracy, a zatem robiła to na pokaz. Tylko dla kogo? Bo przecież nie dla mnie.

Kipiałam wściekłością.

– Chcemy ci pomóc w wyzdrowieniu. Chcesz wyzdrowieć, Maro?

Jej słowa poruszyły osad na dnie pamięci.

„Czego tak naprawdę chcesz?” – zapytała mnie doktor Kells w trakcie pierwszego wywiadu.

„Wyzdrowieć” – odpowiedziałam.

Mówiłam to szczerze. Po katastrofie szpitala byłam pogrążona w rozpacz. Po tym jak zobaczyłam Jude’a w komisariacie, dręczył mnie strach. Żal, poczucie winy, strach o siebie i o rodzinę. Strach przed sobą. To mną rządziło.

Doktor Kells manipulowała mną i moimi lękami. Jude też. Nie

wiedziałam, jaką rolę on odgrywa w tym wszystkim i co chce osiągnąć doktor Kells, terroryzując mnie, dręcząc i okłamując. Nie miałam pojęcia, do czego im jestem potrzebna, dlaczego sprowadzili mnie tutaj, gdzie w ogóle jestem i czy jestem tu sama, czy nie. Na liście były inne nazwiska i jeśli oni też tu są, jakoś do nich dotrę i wyrwiemy się stąd razem, żeby wrócić do tych, których kochamy.

Znów zobaczę chłopaka, którego kocham. Ani przez moment w to nie wątpiałam.

Doktor Kells powtórzyła pytanie:

– Czy chcesz wyzdrowieć, Maro?

Już nie.

Coś głęboko uspiętego we mnie obudziło się i ożyło. Wstało, wyprostowało się i wzięło mnie za rękę.

– Tak – skłamał mój język.

Odpowiedź zabrała plastikowy uśmiech z jej umalowanych ust.

Teraz już wiedziałam – jestem uwięziona w pułapce tego ciała, tego łóżka, tej chwili. Ale kiedy wyglądałam przez okna moich oczu, przez kraty mojego więzienia, wiedziałam, że nie pozostanę w nim na zawsze.

Potrząsnęli moją klatką, żeby zobaczyć, czy potrafię ugryźć. Kiedy mnie wypuścili, przekonali się, że odpowiedź brzmi „tak”.

¹ Vladimir Nabokov, *Zaproszenie na egzekucję*, przeł. Leszek Engelking. Czytelnik, Warszawa 1990.

Przekład: Małgorzata Fabianowska
Redakcja: Katarzyna Włodarczyk-Gil
Korekta: Magdalena Marciniak, Anna Jagiełło

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki i projekt okładki: Jacket photography copyright © 2012 by
Heather Landis

Adaptacja okładki: Krzysztof Rychter
Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska
Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
e-mail: biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1686-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow